KOREA

Tegoż autora wyszły:

LATOROŚLE. — PUSTELNIA W GÓRACH. — CZUKCZE. Z illustr. K. Gorskiego i J. Pankiewicza 1 20
W oprawie . . 1 60

NA DALEKI WSCHÓD. Kartki z podróży: Przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii. — Piąta wystawa powszechna w Japonii. — Dwie wycieczki. — Kawałek Japonii. — Polowanie na wieloryby. — Taku. — Tien-tsin. — Pekin. — Szanghaj 1 50

NA KRESACH LASÓW. Powieść. Wydanie trzecie, nie zmienione . . . . 1 —

POWIEŚCI CHIŃSKIE. Uang-Ming-Tse. — Ku-lisi. — Jang-hun-tsy. (Zamorski djabeł) . 1 50

POWRÓT. Powieść z życia Wschodniej Syberyi. 1 —
W oprawie . . 1 40

RISZTAU. Powieść. Z illustracjami . A. Ka-mieńskiego 1 20
W oprawie . . 1 50

W MATNI. — JESIENIĄ. — SKRADZIONY CHŁOPAK. — CHAJŁACH. — W OFIE-RZE BOGOM. Wydanie 2-gie . . . . 1 —



Druk. i lit. J. Cotty w Warszawie, Kapucyńska 7.

Wacław Sieroszewski

KOREA

(KLUCZ DALEKIEGO WSCHODU)

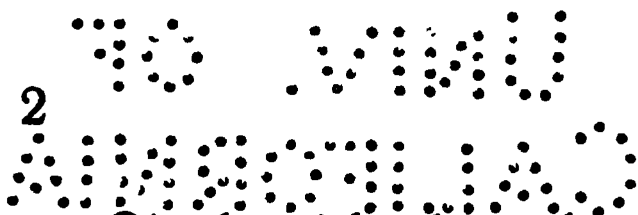
Z 28 RYSUNKAMI i MAPĄ



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA
KRAKÓW—G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Ноября 1904 г.

„Korea cudny kraj! Żyzność ziemi niesłychana, urodzaje egipskie! Potoki taniego, korejskiego ryżu zalewają nawet ryżową Japonię. Tam rosną nieprzejrzane lasy drogocennych drzew: cedry, cyprysy, jesiony, korkowe dęby... Nieprzebrane bogactwa mineralne czekają niecierpliwie dzielnej ręki Europejczyka... Złota, żelaza i miedzi w bród!... A jest i węgiel i marmur!... Ptactwa roje: bażanty, kaczki, gęsi i łabędzie latają nad jasnemi polami; stada jeleni, antylop, kóz i dzików brodzą w górach. Jest to raj myśliwców! Ale trzeba być ostrożnym, gdyż są tam i tygrysy. Gaje mirtowe rzucają swe cienie na ukwiecone łąki, a wszystko kąpie się w słonecznem, łagodnem powietrzu i ciepłych błękitnych morzach... Potulna ludność chętnie płaci podatki, czci władzę i pracuje napół darmo — z przyzwyczajenia i dla przyjemności... Jest trochę brudna, ale ma piękne, wysmukłe kobiety o stromych piersiach i szerokich biodrach... Przewyższają one urodą wszystkie kobiety Dalekiego Wschodu“.



Oto korejska legenda, opowiadana mi z małemi zmianami przez powołanych i niepowołanych znawców tego kąta świata. Skorom jednak próbował wydobyć z nich jakieś wyraźniejsze szczegóły, zbywali mię mglistymi ogólnikami lub dziwacznemi opowieściami o niebywałych zdarzeniach, z których żadną miarą nie mogłem uklecić ogólnego obrazu. Książki też niewiele pod tym względem mi pomogły, więc płynąłem do Korei przez śliczne, złocisto-modre morze Japońskie, wolny od wszelkich idei podpowiedzianych.

Pamiętałem jedynie, że ze swego położenia geograficznego, z wielkości oraz kształtów Korea najbardziej zbliżoną jest do Włoch [1]), że jest półwyspem więcej długim niż szerokim, krańcowym cyplem południowo-wschodnim lądu azyatyckiego.

Wreszcie wyłoniły się z liliowych mgieł nagie, skaliste brzegi korejskie...

Jakże wydały mi się brzydkie, posępne po uroczych wybrzeżach Japonii! Połamane, pogięte poszczerbione, uderzały jedynie potwornością swych dziwacznie pokręconych wiszarów.

---

[1]) Korea zajmuje 218,192 kilom. kwadr. przestrzeni; ma 900 wiorst długości i 130 szerokości w miejscu najwęższem (od Genzanu do zatoki Korejskiej). Najbardziej wygięty ku północy łuk granicy Korejskiej sięga 43^{0} 2' szer. pół. (rz. Tumań-hań); najdalej na południe wysunięty przylądak dochodzi 32^{0} 20' szer. półn.

I.

Wybrzeża.

Dnia 10-go października 1903 r. o 6-ej rano zarzuciliśmy kotwicę w obszernej, okrągłej zatoce Fuzańskiej, strzeżonej u wejścia przez dużą wyspę, trzy sterczące z wody skały i wojenny statek japoński. Okalają ją szare, brzydkie góry. Jedyną kępą zieleni jest ciemny gaj sosnowy we wklęsłości portu, tuż u błękitnej wody. W gaju, na wzgórku, wznosiło się ciemne „tori“, wysmukła brama japońska, a dalej poza nią powiewała czerwona chorągiew nad małą świątynią buddyjską.

— Ten gaj zasadzili Japończycy! — powiedział z pewną dumą nasz kapitan, bardzo miły Japończyk.

Spojrzałem przez perspektywę. W gaju rosły stare drzewa, kręte i grube. Ale Fuzan należy do Japonii od 400 lat. Cała Korea została w XVI stuleciu zawojowana przez Japończyków. Po zgonie szioguna Hidejoszi opuścili oni jednakże półwysep, zatrzymawszy Fuzan nazawsze.

Dzielnica japońska w Fuzanie jest niewielka (1,000 domów), ale czysta i dobrze utrzymana. Częściowo skanalizowana, posiada wodociąg, szpital, oddział tokijskiego banku „Daj-ici-ginko", izby handlowe, konsulat, pocztę, telegraf podmorski i korejsko-japońską gazetę *Czosen Szimpo.* Kolej, łącząca Fuzan i przecinająca najludniejsze i najurodzajniejsze prowincye Korei, miała być otwarta w maju roku bieżącego [1]). Mieszkańców liczy Fuzan 6,000, lecz w lecie, w czasie połowu ryb, ilość ich wzrasta do 15,000. Europejczycy mają tu dotychczas 8 domów, w których mieszka 20 białych.

Na wyspie Jeleniej (Cziöl-liön- do), zamykającej wyjście zatoki, Japończycy urządzili porządne składy węgla, zasilane z Nagasaki i Simonoseki. W mieście zbudowali kilka fabryk, wielką garncarnię i młyn do obłuskiwania ryżu. Przystań, wyłożona kamieniem ciosanym, posiada ładną, kamienną tamę dla ochrony ładujących się statków, gdyż zatoka Fuzańska pod tym względem jest niedogodna, że mają do niej dostęp tajfuny i większa fala.

W mieście dużo pięknych sklepów, dużo herbaciarni i restauracyi, jak zawsze w portach. Błądząc po ulicach, natrafiliśmy nawet na małą „josziwarę", dzielnicę wesołych domów, gdzie brzęczały „samiuseny" i z poza zamkniętych żaluzyi tryskał wesoły śmiech.

---

[1]) Została otwartą w grudniu.

Tuż za wzgórkiem, za gajem sosnowym świątyni, kryły się obszerne, okolone murem koszary.

— Jakiej jesteście narodowości i co tu robicie? — spytał nas łamaną angielszczyzną policyant japoński, wynurzając się niespodzianie z zarośli.

Towarzysz mój odpowiedział mu dyplomatycznie, że przybyliśmy na japońskim parowcu towarzystwa „Nippon Jusen Kajsza“.

Zapisał coś w notatniku, skłonił się i odszedł ku przystani, a myśmy udali się w stronę przeciwną, na dół, przez gaj.

Za koszarami stał piękny, duży budynek; na obszernym, wzniesionym i równym jego dziedzińcu maszerowały, klekocąc sandałami, kolumny chłopczyków i dziewcząt w ciemnych „kirimono“... Co jakiś czas, na dany znak, szyki się łamały, dzieci zaczynały z wrzawą ścigać się, bawić, swawolić i grać w piłkę. Nauczyciele i nauczycielki z wdziękiem i widoczną przyjemnością brali udział w tych zabawach, poczem znowu na dany znak wszyscy wracali na miejsca do swych obowiązków. Przez obszerną sień weszliśmy do gmachu. Wszystko uderzało nadzwyczajną schludnością i prostotą. Jeden z nauczycieli wyszedł na nasze spotkanie i, wprowadziwszy nas do małego saloniku, prosił uprzejmie, byśmy zaczekali, aż zawiadomi dyrektora o naszej chęci zwiedzenia zakładu. Salonik służył jednocześnie za gabinet fizyczny; stały tam dobrze zrobione maszyny i globusy, sporo okazów wypchanych ptaków i zwierząt. Po chwili wrócił nauczyciel w towarzystwie mło-

dego Japończyka, który płynnie mówił po angielsku, i udaliśmy się przez szerokie, widne korytarze do klas. Wszędzie niezwykła czystość, moc powietrza i słońca. Ławki, katedry, tablice europejskie, na ścianach mapy, wizerunki zwierząt i roślin, portrety znakomitych ludzi i sceny historyczne. W każdej prawie sali na katedrze lub osobnym stoliczku stały kwiaty, jakiś drobiazg artystyczny lub pięknie malowany parawanik, co nadawało sali miły urok domowego zakątka, rozświecało dzieciom wdzięcznym uśmiechem szarą nudę obowiązkowego w klasach pobytu. W jednej z sal trafiliśmy na lekcyę śpiewu; ładnie ubrana nauczycielka, z kwiatkiem we włosach, grała na pokojowych organach i śpiewała półgłosem, a dzieci wtórzyły jej chórem. W innej sali nauczyciel w surducie wykładał geometryę, kreśląc na tablicy figury. Dzieci zdawały się nie zwracać na nas najmniejszej uwagi; jedynie nauczyciele i nauczycielki odpowiadali na nasz ukłon uśmiechem i kiwnięciem głowy.

— Wspaniale!... — powtarzał mój towarzysz, pedagog z zawodu. — Jaka swoboda, prostota i serdeczność!

Nie dziwiło mię ani istnienie w Fuzanie takiej szkoły, ani wyborne jej urządzenia, gdyż w Japonii przeciętnie na 1,500 mieszkańców przypada jedna szkoła ludowa, a na każde 3—4 tysięcy — szkoła wyższego typu. Prócz tego istnieją w Fuzanie japońskie szkoły dla Korejczyków i szkoły korejskie.

Wielu Korejczyków snuło się po ulicach, ale domów ich nie znaleźliśmy w japońskiem mieście; aby je obaczyć, musieliśmy udać się daleko, aż do wioski na podgórze.

Wioska wyglądała zdala, jak kępa rumowisk. Sfora szarych, zajadłych psów i gromadka biało odzianych dzieciaków wyskoczyły na nasze spotkanie. Znikły jednak, gdyśmy się zbliżyli. Z za murów wychyliły się głowy ze zwiniętymi na czubkach kokami. Przez krętą, zaśmieconą uliczkę weszliśmy na jakieś podwórko. Na wąziuchnej werandzie, przed niziutkiemi drzwiami maleńkiego domku, złożonego z głazów, siedział na piętach Korejczyk brodaty, poważny, w niepokalanych, białych szatach i włosianym, ażurowym kapeluszu na głowie; przed nim stał mały stoliczek z miseczkami z jadłem; obok klęczała żona, trzymając łubiane pudełko z gotowanym ryżem, a w ciemnym otworze drzwi migała młoda, śniada twarzyczka dziewczęcia z srebrnymi kolczykami w uszach. Korejczyk dziobał spokojnie w miseczkach swemi pałeczkami stołowemi, rzuciwszy na nas ledwie przelotne spojrzenie. Dopiero gdym skierował nań aparat fotograficzny, machnął wzbraniająco ręką. Nie mogliśmy się z nim dogadać. Zresztą okazywał zupełną obojętność na nasze zachowanie się, wyjąwszy manewry z aparatem. Na to pilnie miał oko zwrócone. Żona, która schowała się pospiesznie za drzwi, patrzała na nas stamtąd ciekawie wraz z córką.

Wkoło za grudami bezładnie zwalonych kamieni

rozlegały się śmiechy i szepty; tam kryli się ludzie, dzicy i nieufni. Psy, wtulone w rozmaite szczeliny, warczały i ujadały wściekle.

Staliśmy bezradni i zarazem niezmiernie zaciekawieni otaczającą nas scenką z kamiennego wieku. Nagle na tle słonecznego błękitu, dalekiego nieba i morza ukazały się dwie ładne Japonki, które niespodzianie weszły na sąsiedni pagórek. Wiotkie, wytworne, w ciemnych, powłóczystych szatach, przepasanych barwnemi „obi“, z nimbem czerwonych, przejrzystych parasolek wokoło uśmiechniętych twarzy, wyglądały jak wysłanki z innego świata. Prowadziły pieczołowicie za rękę małe, pyzate dziecię, ubrane pstro, jak motyl.

I to był Wschód, lecz jakże odmienny!

Towarzyszył im młody uczeń w pasiatym „kirymonie“. Umiał trochę po angielsku, więc wysłuchał z niezmierną powagą naszych żądań, rozważył i przetłomaczył. Korejczyk kiwnął głową i wyciągnął rękę. Położyliśmy na niej monetę, poczem krajowiec pozwolił się odfotografować i obejrzeć swój dom. Ciemna, nizka buda bez okien, wysłana cienkiemi, słomianemi matami!... W najdalszym jej rogu, tyłem do nas, stały skulone kobiety z twarzami ukrytemi w dłoniach...

Smutni, rozżaleni wracaliśmy z wycieczki przez senne pola jesienne. Tu i owdzie sunęły wolno jedna za drugą wysokie, białe postacie w ażurowych, włosianych kapeluszach i inne, drobniejsze, z różowemi i zielonemi zasłonami, zarzuconemi zazdrośnie na głowy i twarze. Na czarnych, skibionych polach półnadzy ora-

cze nawracali leniwo spracowane woły i ciężkie pługi. Dzieci uciekały od nas pospiesznie i kryły się w bróz-dach.

Po południu udaliśmy się na północno - wschodnią stronę zatoki, gdzie bielała w oddali stacya kolei, budującej się do Seulu. Na drodze, pnącej się stromo w górę, snuły się białe tłumy rosłych Korejczyków, szły kobiety korejskie w szerokich spódnicach, niosąc na głowach kosze z owocami i warzywem, dzbany z wodą, paczki i węzły. Żwawym krokiem przechodzili ciemno ubrani, zawiędli, drobni Japończycy, żołnierze korejscy i japońscy w zupełnie jednakowych mundurach. Od żółtych, nadbrzeżnych urwisk, zrytych jak kretowiska, zlatywały ku morzu wagoniki pełne ziemi i głazów. Na wagonikach siedzieli ogorzali korejscy kopacze, korejscy kamieniarze ciosali bloki kamienne, korejscy tragarze przetaczali je z miejsca na miejsce. W górze i w dole na gzymsach urwisk, u błękitnej, zasypywanej ziemią przystani, wśród największego mrowia nagich, ogorzałych ciał i białych płócien korejskich stali spokojnie z mapami i narzędziami w ręku niepozorni japońscy inżynierowie i nadzorcy, kierujący robotami. Senni zazwyczaj i powolni Korejczycy ruszali się żwawo. Wszędzie tętniało życie, rozlegał się huk rozsadzanych opok, wycie i zgrzyt szyn wstrząsanych przelotem wagonów-samotoków, głuchy gwar głosów, zmieszanych z jednostajnie melodyjnem gędźbieniem morza.

Nigdzie w Korei już nie widziałem nic podobnego!

Starożytne ruiny korejskiego zamku, strzegące na wysokiej przełęczy drogi Fuzańskiej w głąb lądu, pewnie z równem zdumieniem patrzały na ten obraz i... wspominały dawne czasy.

Fuzan, jako port najstarszy, najlepiej zagospodarowany i najbliżej Japonii położony, na długo pewnie pozostanie ogniskiem japono-korejskiego handlu. Współzawodniczyć z nim może tylko sąsiedni, o parę godzin odległy Ma-sam-pho (Masampo), który ma dogodniejszą, obszerną i zaciszną przystań, dosyć głęboką, aby statki mogły stawać u samego brzegu. Ale i tam już usadowili się i gospodarują Japończycy. Przed wojną było ich tam (nie licząc wojska) około tysiąca; mieli już konsulat, porty i założyli miasteczko niedaleko od wielkiej wsi korejskiej, mającej bez mała 10,000 mieszkańców. Do końca ubiegłego stulecia Fuzan posiadał monopol na zewnętrzny handel Korei, zresztą bardzo ograniczony i skrępowany rozmaitymi przepisami. Dopiero w 1883 r. zostały otwarte dla cudzoziemców dodatkowe porty Genzan i Czemulpo, a następnie Mok-pho i Czi-nam-pho w 1898 roku oraz Ma-sam-pho, Sion-czin-pho (północno-zachodni) i Kiuń-sań w 1899 roku [1]). Wtedy, dzięki swemu położeniu u ujścia spławnej rzeki Chań-hań, blizkości stolicy, łatwości komunikacyi z miastami Phiön-jan i Kiuń-sań, okolicami urodzajnemi i zaludnionemi, dzięki wreszczcie sąsiedztwu

---

[1]) W tym również czasie były otwarte dla europejskiego i japońskiego handlu miasta: Seul (stolica), Phiön-jan

Chin, wysunął się na pierwsze miejsce port Czemulpo. Przedtem była to mama korejska wioska, teraz powstało tam ładne miasteczko, mające z górą 8,000 mieszkańców, w tej liczbie znaczna większość Japończyków, 1,500 Chińczyków i setka Europejczyków — Anglików, Amerykanów i Niemców. W brudnej i ubogiej dzielnicy korejskiej gromadzi się podobno do 15,000 majtków, przewoźników, ładowników, drobnych przekupniów oraz innej biedoty... Miasto zalega stoki wysokiego pagórka. Białe jego domy wyglądają bardzo ładnie wśród zieleni licznych ogrodów. Dzielnica japońska jest najobszerniejsza, najlepiej urządzona i w najlepszem miejscu. Tam jedynie można dostać rzeczy niezbędnych do życia. Poważną konkurencyę wszakże robią Japończykom Chińczycy, którzy, posiadając znacznie więcej pieniędzy i tańszy kredyt, wypierają ich zwolna z hurtownego handlu. W drobnym handlu zdążyli już zmonopolizować w swych rękach sprzedaż żywności oraz jarzyn, dostarczanych przez okolicznych rolników.

---

i wieś Jan-hoa-cżin (koło Seulu). W 1902 roku odwiedziło: *Czinampho*— 855 żaglowców pojemności 16,767 tonów i 283 parowców 58,626 tonów, *Mokpho*—72 żagl. 3,830 ton. pojemności i 373 parowce 165,116 tonów pojemności; *Kiuń-sań* — 69 żagl. 1,492 tonów pojemności i 167 parowców 35,775 ton. pojemn.; *Masampho* — 62 żagl. 827 ton. pojem. i 207 parow. 29,749 ton. pojem.; *Sion-cżinpho* — 9 żagl. 858 ton. pojem. i 228 parow. 52,527 ton. pojemności.

Najlepszy, po europejsku urządzony hotel „Daibutsu“ znajduje się w dzielnicy japońskiej i należy do Japończyków. Mogłoby go pozazdrościć niejedno miasto polskie; konsulat japoński, piękny pałacyk w głębi ogrodu, panuje ze szczytu góry nad miastem. Pyszny widok otwiera się stamtąd na zatokę pełną statków, na uroczą wysepkę „Roze'a“, oddzielającą właściwą przystań od portu zewnętrznego, na blado-błękitny liman rzeki Chań, szeroko roztrącający na północy różowe, nadbrzeżne skały.

Port jest dość płytki, wielkie, wojenne oraz handlowe statki muszą się zatrzymywać daleko od brzegu. Kiedym był w Czemulpo, przybył właśnie pancernik rosyjski z dwoma torpedowcami, żądając od konsulatu japońskiego zadośćuczynienia z powodu jakiejś zwady marynarzy rosyjskich z tutejszym tłumem japońskim. Ogromne, czarno, bojowo pomalowane okręty wyglądały zdala, jak drobne musze kropki na lazurowym puklerzu morza. Podczas gdy cała sprawa była roztrząsana przez przedstawicieli obu państw, w twierdzy korejskiej, na wyspie Kang-hoa, posępnie huczały działa i siwy dym słał się nad zatoką. Biedacy, choć strzelaniem do celu zawiadamiali świat o swem istnieniu!

Bezwątpienia, że i Czemulpo zawdzięcza znaczny swój rozwój handlowy Japończykom, którzy nietylko zbudowali miasto, utrzymują kolej łączącą je ze stolicą (45 kilometrów), urządzili nad morzem przystań, lecz pierwsi założyli tu bank, izby handlowe, konsulat, pocztę, telegraf, agentury przewozowe, ogniową straż

ochotniczą i t. d. Obroty handlowe Czemulpo sięgają 9 milionów rubli, odwiedza go z górą 1,000 statków rocznie, w tej liczbie 300 parowców. W 1902 roku zawinęło doń 451 żaglowców i 533 parowce ogólnej pojemności 305,395 tonów [1]).

Ci mali wyspiarze wszędzie na Wschodzie wnoszą zaczyn nowego życia. Chińczycy i Korejczycy ufają im, gdyż widzą w nich braci. Zresztą kupcy korejscy są ubodzy, mało ukształceni, niezabiegliwi i nie mają floty; nieprędko więc będą mogli obejść się bez cudzej pomocy.

Z portów, otwartych dla cudzoziemców, jedynie Genzan, leżący na północno-wschodniem wybrzeżu półwyspu, może się pochwalić pewną liczbą korejskich kupców i czemś w rodzaju korejskiego handlu. Ale i tam głównymi dostawcami i odbiorcami towarów są Japończycy [2]). Wywożą oni stąd głównie miedź, skóry, bydło, zboże i złoto, dorywczo dobywane przez krajowców w północnej Korei. W lecie gromadzi się tu mnóstwo rybaków, zaglądają często statki towarzystw

---

[1]) Ton=60 pud.=2400 funt.

[2]) Dzielnica japońska ma około 400 domów, 2,000 mieszkańców, konsulat, świątynię, szkołę, pocztę, telegraf, trzy apteki, trzy szpitale, zarząd miejski i policyjny, 238 sklepów i dużo warsztatów rzemieślniczych. Odwiedza port około 250 statków, w tej liczbie 200 parowców. Obroty handlowe Genzanu sięgają 2 mil. rubli („Reports on the Trade of Korea" for 1898). W 1902 r. zawinęło doń 86 żaglowców i 325 parowców ogólnej pojemności 160,311 tonów.

wielorybniczych: rosyjskiego i japońskiego. Cały rok w dzielnicy korejskiej odbywa się co pięć dni zwykły jarmark, na który schodzą się wieśniacy z okolicznych wiosek. Słynie Genzan z wyrobu mosiężnych fajeczek i obuwia plecionego ze szpagatu.

Genzan, po korejsku Uenzan, należy do najstarszych, pobrzeżnych sadyb korejskich; kroniki z XIV stulecia już o nim wspominają. Z okolic Genzanu pochodzi słynny władca I-siön-ge, założyciel obecnie panującej dynastyi. Dwunastotysięczne miasto korejskie tworzy długą, ściśle zabudowaną ulicę w południowo-zachodnim końcu zatoki, głębszym i lepiej osłoniętym od wiatrów, niż część środkowa, zajęta przez dzielnicę europejską i japońską, albo północna (port Łazarewa), która choć nie zamarza, ale nieraz w zimie wypełnia się krami, przynoszonemi przez prądy od Władywostoku. W czasie mego pobytu w Genzanie w porcie Łazarewa kryły się niewidzialne wcale z lądu ani morza wojenne okręty angielskie i amerykańskie. Zresztą, sądząc z położenia i budowli genzańskich, mieszkańcy tego miasta nigdy nie dbali bardzo o morze. Korejski Genzan (3,000 domów i 15,000 mieszkańców) robi wrażenie wielkiego, brudnego, zaniedbanego zajazdu. W sklepikach, kramach, budach sprzedają przeważnie jedzenie lub rzeczy potrzebne tragarzom, woźnicom, podróżnym... Przed każdym prawie domem, na odrzuconych klapach okien, stoją naczynia, misy, filiżanki do herbaty, wskazujące, że tu można się posilić, wypocząć, nawet przenocować. W głębi podwórek widać obszerne

szopy i żłoby, pełne nieraz koni, mułów, wołów. Przez ulice ciągną całe karawany tych zwierząt, objuczonych pakami towarów, gdyż w Genzanie zbiegają się końce trzech gościńców, łączących brzeg wschodni półwyspu z brzegiem zachodnim, ze stolicą oraz miastami północnemi, dostarczające drogich futer, żeńszenia oraz cennych „pant" [1]). Na ulicach snują się tłumy woźniców, przewodników, tragarzy, wędrownych kramarzy, ogorzałych i brudnych, ale odzianych niezmiennie w białe szaty i ażurowe, czarne kapelusze, w których wnętrzu prześwieca kok, starannie zwinięty na czubku głowy. Mówią głośno, ale chodzą i ruszają się wolno, często przysiadają gromadkami na skraju drogi, pod ścianą albo u kramika, wyciągają z za pasa małe, mosiężne fajeczki na długich cybuchach i palą je w milczącem skupieniu. Wszystko to żyje z przewozu towarów, ale na przystani nie widziałem ani jednej dżonki korejskiej. Były tam jedynie liche łodzie rybacze.

A przecież Korea jest krajem stworzonym dla żeglarzy. Długość tego półwyspu cztery razy przewyższa jego szerokość w najszerszem miejscu, najodleglejsze od wybrzeży miejscowości leżą zaledwie o siedemdziesiąt mil od morza. Były czasy, kiedy Korejczycy słynęli jako żeglarze, kiedy flota ich słusznie uważana była za najlepszą na Dalekim Wschodzie. W 1593 roku

---

[1]) Młode rogi jelenie, pełne krwi, zanurzone po odpiłowaniu w słony wrzątek, używane przez Chińczyków jako wzmacniające lekarstwo.

w morskiej bitwie pod Quelpartem zwyciężyli oni potężnych Japończyków, marzących o koronie chińskiej. Ale właśnie po tej morderczej wojnie, której terenem była Korea i która trwała 6 lat, nieszczęśliwy, znękany naród postanowił zerwać wszelkie stosunki z łupieżczym i krwiożerczym światem. Handel z cudzoziemcami był zakazany pod karą śmierci, budowa statków morskich i żeglarstwo utrudnione, brzegi opustoszałe z mieszkańców, wioski i miasteczka przeniesione w głąb lądu. Wzdłuż morza, na wysokich górach, powstał cały szereg strażnic, które za pomocą ogni sygnałowych (pon-siuj) dawały znać najbliższej władzy, a następnie stolicy, o zbliżaniu się każdego obcego okrętu. Śmiałkowie, którzy odważali się wówczas w małej liczbie, lub niedość uzbrojeni i ostrożni, wylądować na niegościnne brzegi, płacili za to życiem. Stan taki przetrwał lat 400. Jeszcze w 1866 r. statek amerykański, „General Sherman", który wszedł bez pozwolenia w ujście rzeki Tä-don-hań, znikł bez śladu wraz z załogą.

Z takiego snu niełatwo się zbudzić!

Podróżnika, płynącego wzdłuż brzegów Korei, uderza ich straszna martwota. Poczwarnie pogiętych i popaczonych ich skał nie zdobi żadna roślinność. Nigdzie nie widać ani wiosek, ani pól uprawnych. Rzadko łodzie z żółtymi żaglami pojawiają się niespodzianie i nikną niepostrzeżenie wśród urwistych przylądków, jakgdyby lękając się ludzkiego spojrzenia. Jedynie fale wznoszą się wysoko i pienią, gdyż morze korejskie jest burzliwe, w lecie szaleją tu tajfuny, a w zimie burze lodowe.

W 1902 roku odwiedziło wybrzeża korejskie, właściwie jego otwarte dla handlu porty, 2,560 żaglowców pojemności 80,539 tonów i 2,902 parowce pojemności 1,160,895 tonów. Ogromną większość przedstawiały statki japońskie (1,516 żagl. pojemności 61,123 ton. i 1,904 parowce pojemności 877,193 tonów); pocztowe i pasażerskie, należące do towarzystw „Nippon-Jusen-Kajsza", „Osaka-Szosen-Kajsza" i „Hori-Company", zawijają z kolei do trzech główniejszych portów co tydzień a do drugorzędnych co dwa tygodnie.

II.

Con-sà, Ma-fù i phun.

Zapisz pan sobie w notesie, zapisz pan sobie!...—nalegali przyjaciele obecni przy moim wyjeździe — *Mulle* — nie rozumiem, *iso*—jest, *obsa* — niema, *czoso* — dobrze, *pali-pali* — prędzej, *ka* — precz, *napo* — źle, *kamajeso* — zaczekaj, *tony* — pieniądze, *suli* — wódka, *muri* — woda, *puri* — ogień, *kiera* — jajo, *soo* —wół, *mogare* — jeść, *czapso* — pić, *sęgnia* — zapałki...

— Ale przedewszystkiem wymyślaj! Wymyślaj i mów, jakim chcesz językiem, a zrozumieją cię. Korejczycy są ogromnie sprytni, ale do sprytu, a szczególniej do działania pobudzić ich można jedynie gwałtownem natarciem!...

Starannie zapisałem słówka, zapamiętałem rady, ale mimo to postanowiłem... nająć tłomacza.

Z trudnością znaleziono w Genzanie krajowca, który umiał trochę po angielsku i za dwa ruble dziennie zgodził się towarzyszyć mi w wyprawie. Ale o wiele

większą trudność przedstawiło znalezienie... koni. Nigdym nie przypuszczał, ażeby w ogromnej wsi korejskiej, żyjącej głównie z dostawy towarów, zabrakło nagle jucznych zwierząt. Zgodziłem się nawet na woły, ale... wszystko znikło. Natomiast pojawili się jacyś Japończycy, którzy trop w trop chodzili za mną. Dopiero nazajutrz, na skutek energicznych poszukiwań miejscowego agenta Floty Ochotniczej i pogróżki, że pójdziemy ze skargą do „kam-ni" (komisarza portowego), znowu ukazał się na dziedzińcu Osa-bań, ten sam stręczyciel furmański, który nas już był kilka dni przedtem obietnicami zwodził. Znowu przyrzekł uroczyście dostarczyć za dobre pieniądze parę koni, które... *dojdą!* Ale... ale tylko parę!... Zresztą tłomacz (ton-sà) zgadzał się iść piechotą za mały dodatek do umówionego wynagrodzenia.

— Musi się pan decydować, niema rady. Jedzie pan albo nie jedzie!? Furmani i ich stręczyciele tworzą w Korei zwartą szajkę. Jeden drugiemu nigdy w drogę nie włazi. W dodatku czuję, że tu mąci ktoś trzeci. Trzeba czemprędzej brać, co dają, gdyż za jakąś godzinę może inny wiatr zawiać i nic nie dostaniemy... W takich wypadkach nie pomogą ani namowy, ani zadatki, które wogóle Korejczycy mają za nic... Pewnym swego może pan być wtedy dopiero, kiedy pan siądzie na konia. Ale i wówczas radzę rewolwer i nahajkę mieć pod ręką. Korejczycy ulegają tylko sile—pouczał mię agent.

Zgodziłem się więc niezwłocznie na wszystkie

warunki i kazałem przyprowadzić konie nazajutrz o świcie.

O brzasku byłem gotowy do drogi. Ale minęła godzina szósta, siódma... dziesiąta, wysłano do Osabania jednego i drugiego gońca, a nie zjawiły się ani konie, ani woźnica, ani nawet wysłani gońcy... Zaniepokojeni udaliśmy się sami do korejskiej dzielnicy.

— Poznaję robotę Japończyków... Napewno telegrafowali do Tokio z zapytaniem, co mają z panem robić, i czekają na odpowiedź. W istocie, oni są tu panami i miastem rządzi nie kam-ni, lecz konsul japoński... Czuję to na każdym kroku. Czy pan wie, że oni raz zabronili w sąsiednim porcie ładować woły na nasze statki i żaden Korejczyk nie ośmielił się zakazu naruszyć... Nie mogliśmy znaleźć robotników za żadną cenę—oburzał się agent.

Ku wielkiemu naszemu zdumieniu w połowie drogi spotkaliśmy tłomacza i woźnicę z końmi, w towarzystwie wysłanych sług.

— Dlaczego spóźniłeś się?

— Konie jakoś długo jadły... Musiały się przecież najeść przed drogą... Potem... jadłem ja... Potem robiłem sprawunki... Dużo sprawunków, bo podróż daleka... Potem przyszedł jeden sługa, potem przyszedł drugi sługa... Jak zaczęli wymyślać, tak się zwlokło...

— Nasz „ma-fu“ (furman) jest *z urodzenia* bardzo leniwym człowiekiem... znam go od dzieciństwa... Cóż robić, kiedy tak się stało!... — objaśniał nam poufnie, bez śladu zakłopotania tłomacz.

Rozbroiła mię ta typowa, korejska odpowiedź. Tłomaczenia ich zawierają zawsze jakiś pewnik niezwykle prosty i niezbity.

— Dlaczego usnąłeś wczoraj, kiedy kazałem ci czuwać?! — wyrzucał gospodarz słudze.

— Ogromnie mi się spać zachciało! — odpowiada ten tonem, liczącym na niechybne współczucie.

— Wczoraj rabusie wpadli do domu bogatego Korejczyka; na krzyk pokrzywdzonych przybiegła policya, ale nic zrobić nie mogła, gdyż rabusie mieli rewolwery i mogli kogoś zabić... Dali im spokój, bo przecież milsze każdemu życie, niż pieniądze — opowiadał mi zupełnie poważnie przysięgły tłomacz genzański, były uczeń szkoły rosyjskiej w Seulu.

Myślałem, że natychmiast po przybyciu do domu ruszymy w drogę... Ale gdzie tam! Leniwy *z urodzenia* ma-fu [1]) wcale się nie spieszył. Okazało się, że nie miał... siodła... Przywiązał konia do sztachet i poszedł szukać go na miasto. Tymczasem najęty tłomacz znacząco kręcił się koło nas. Wreszcie wybąkał, że on ze mną nie pójdzie, gdyż... jego ojciec nagle zachorował. Zdumiało to nas, ale powód był nie do pokonania. Cześć przodków i gorące przywiązanie do rodziców jest w Korei nakazem państwowym i religijnym. Nawet mój krewki gospodarz, pan agent, zamilkł na razie.

---

[1]) ma-fu, chiński wyraz, wymawia się po korejsku ma-phu.

— O łotry, o obwiesie!... — zamruczał wreszcie, odchodząc pospiesznie w głąb domu.

Ton-sà (tłomacz) stał dalej na ganku i pilnie nam się przyglądał. Wietrzyłem w jego zachowaniu się jakąś nową grę wschodnią i, tłumiąc rozżalenie, powiedziałem zupełnie spokojnie:

— Cóż robić: pojadę bez tłomacza. Gdzież się podział „ma-phu“?

Obecni pobiegli skwapliwie szukać ma-phu, lecz po chwili ton-sà wrócił w towarzystwie wysokiego, przystojnego Korejczyka.

— Sir! — rzekł po angielsku. — Droga jest długa i trudna. Źle będzie wam bez ton-sy. Ten człowiek umie po angielsku lepiej, niż ja...

— Ale żąda większego wynagrodzenia! — dokończyłem za niego.

— Nie. On pójdzie za te same pieniądze!

Spojrzałem bystro i ze zdumieniem na przybysza: agent również wyszedł na ganek. Lewy wąs naszego ton-sy drgnął cokolwiek, zresztą wytrzymał nasze spojrzenie spokojnie. Podobał mi się, miał twarz poważną, śmiałą i zręczne ruchy żołnierskie.

— Byłem wioślarzem u angielskiego agenta, ale po jego wyjeździe zostałem bez zajęcia — powiedział dość poprawnie po angielsku.

— Jak się nazywacie? Czy macie dom, żonę i dzieci, i gdzie się one znajdują?—pytał gospodarz.

— Nazywam się Im-czaa-giri. Mam żonę, troje dzieci i dom tu w Genzanie.

Wymienił ulicę. Zapisano to wszystko do sporządzonej naprędce umowy. Nie podobało mi się, że Im-czaa-giri wykręcił się od jej podpisania. Rozważyłem jednak, że jeśli Japończycy albo Korejczycy zechcą uczynić na mnie w głębi kraju zasadzkę, to lepiej, aby choć jeden z ich wspólników poszedł ze mną i był agentowi wiadomy. Zresztą nowy ton-sà zachował się bardzo przyzwoicie i dość nieśmiało poprosił o 3 dolary zadatku [1].

— Tyle odstępnego muszę dać poprzedniemu ton-sà!

— Odstępnego?... A cóż jego ojciec?!

— Już wyzdrowiał!— odrzekł z dyskretnym uśmiechem mój nowy towarzysz.

Teraz dopiero spostrzegliśmy, że nasz ma-phu stał oparty o sztachety i nic nie robił. Rozumie się, że siodła nie znalazł, ale nie wykazywał z tego powodu najmniejszego zakłopotania. Był *też* w żałobie po ojcu, nosił żółtawą, zgrzebną odzież, ogromny i nizko na twarz spadający, bambusowy kapelusz, i zupełną obojętność w sercu na rzeczy doczesne, do których przedewszystkiem należały nasze żądania. Korea jest krajem, gdzie doprawdy można znienawidzieć uczucia rodzinne!

Obejrzałem ofiarowane mi przezeń siodło juczne. Były to dwie niezgrabne, zgruba zaledwie ociosane

---

[1]) Dolarami nazywają w Korei srebrne japońskie jeny (98 kop.) oraz srebrną korejską monetę tej samej wartości.

deski, połączone dwoma mocnymi łękami. Ponieważ nie miałem wyboru, kazałem czemprędzej przyczepić do nich dwa strzemiona z wikliny, nakryć wszystko wojłokiem, poczem poprężyć i juczyć konie niezwłocznie. Gdym dosiadł mego wierzchowca, wydało mi się w pierwszej chwili, że mam pod sobą Giewont.

Wierni sobie Korejczycy w ostatniej dopiero chwili powiedzieli mi, że muszę zmienić srebro na mosiężne *czochy*.

— W okręgu Genzańskim nie biorą niklów, nikle zaczynają się za górami — ostrzegł mię Im-czaa-giri.

W dodatku ma-phu zażądał wypłaty połowy należności z góry i również mosiądzem.

Korejski system monetarny zawsze doskonale odzwierciedlał panujące prądy polityczne. Korejczycy chwalą się, że mieli monetę na długi czas przed naszą erą. Ale Chińczycy, którzy nie znoszą, żeby ktoś miał coś nie od nich, twierdzą, że metalowe pieniądze poznali Korejczycy dopiero w XIII stuleciu [1]). Rozumie się, że to były pieniądze chińskie. W XVII stuleciu zaborcza dynastya Mandżurska zabrania Korei bić własną monetę. Cesarz Sjuk-dzon Ueń-hio w początkach XVIII w. próbuje ratować upadające państwo, wprowadza reformy i wbrew zakazowi zaczyna znowu wypusz-

---

[1]) Gardner: „Journal of the China Branch of the Royal Asiatic Society", r. XXXII, nr. 2, p. 71, cyt. według „Opisanie Korei", wydawnictwa ministeryum skarbu, t. II, str. 469.

czać krajowe pieniądze. Ale chaos wewnętrznych rozterek przejawia się i w systemie monetarnym. Nietylko oddzielne prowincye, ale ministerya, zarządy, nawet osoby (naczelnicy 5 dzielnic w Seulu) mają prawo wyrabiać własną monetę.

Ten chaos trwał do ostatnich czasów, zmieniając się jedynie w szczegółach. W końcu ubiegłego stulecia dzięki wpływowi Japonii wprowadzono system monetarny według wzorów japońskich. W tym celu w 1884 roku założono w Seulu mennicę, która zresztą dla niewiadomych przyczyn została cały czas bezczynną. Dopiero w 1892 roku w Czemulpo zaczęto pod kierunkiem majstrów japońskich bić monetę stemplami, sprowadzonymi z Japonii. Moneta ta jest gorsza od japońskiej, ale ma ten sam podział i nominalnie tę samą wartość. Korejski dolar srebrny 5 *jan* (albo *lan*) równa się japońskiemu *jenowi;* 1 srebrny *jan* równa się japońskiej monecie srebrnej 20 *sen* (0,20 jena), niklowa moneta 25 *phun* równa się niklowej japońskiej monecie 4 *sen*, a miedziak 5 *phun* — jednemu japońskiemu *senowi*. Stara jednak moneta chińskiego typu utrzymała się w obiegu w wielu miejscach Korei. Dzięki temu, iż kurs ich spadł niżej istotnej wartości, skupują ją skrzętnie Japończycy i wywożą jako towar. W 1899 r. wywieźli oni z samego Fuzanu tych pieniędzy za 450,000 jenów) [1]). Nominalnie 500 *phun* kosztuje jednego jena

---

[1]) „Trade of Corea for the Jear 1899" („Diplomatic and Consulas Reports", nr. 2511); „The Independent", August 3. r. 1889, cyt. wedł. „Opisanie Korei", t. II str. 473.

(98 kop.); każdy *phun* (czoch) waży około 3,4 gramów. Nawlekają je zwykle po 100 sztuk na mocny sznurek, co zwie się *jan* (lan) i jest najulubieńszą jednostką płatniczą. Dziesięć *phun* zwie się *cżjön*.

Za 20 jenów (rubli) przyniesiono mi całe naręcze tych janów i cżjönów. Było tam z górą 10,000 dziurawych, guzikowatych monet, które ważyły około 50 funtów. Połowę musiałem wziąć na drogę, a połowę oddałem z wielką przyjemnością naszemu ma-phu, co go również ucieszyło, gdyż wskutek różnicy kursu nominalnego i rzeczywistego zyskiwał na każdym rublu parę groszy.

Władował sobie swój skarb na plecy i ruszyliśmy nareszcie w drogę.

W przejeździe przez korejską dzielnicę poszczęściło mi się i spotkałem kupca idącego z obrachunkiem do swego patrona. Poprzedzał go rząd stękających tragarzy, z których każdy miał na plecach zaledwie *trzydzieści rubli*. Sto rubli przedstawia poważny ładunek na *jednego konia*.

Tak wygląda chiński wynalazek! Bardzo on niedogodny dla złodziei i podróżników. W rezultacie złodzieje starają się kraść wyłącznie srebro. A dla dogodności podróżników korejskich oberżyści tutejsi wpadli na pomysł o wiele sprytniejszy, niż nawet pieniężne kwity Cooka. Można w początkach podróży zapłacić oberżyście pewną kwotę i ten wydaje kwit odpowiedni, na którym następnie cały szereg innych oberżystów notuje należność, przypadającą im za nocleg i pożywie-

nie podróżnego. Ostatni oberżysta wypłaca mu resztę pozostałych pieniędzy, a kwit zostawia u siebie. Rozumie się, iż takie przekazy są możebne jedynie dzięki doskonałej i jednolitej w całym kraju organizacyi cechu oberżystów.

Nie skorzystałem jednak z tego udogodnienia, gdyż nie wiedziałem jeszcze, gdzie mię los rzuci, nie chciałem krępować się w ruchach i wyborze miejsca wypoczynku, oraz nie wierzyłem, żeby każda wioszczyna miała takiego bankiera. Przekonałem się z czasem, że nie miałem racyi. Gdybym im był zawierzył, uniknąłbym przykrości, jakich miałem niemało z powodu fałszywych pieniędzy niklowych. W Genzanie przy zmianie dano mi ich prawie *połowę*. Fałszywe pieniądze są i były zawsze plagą Korei. W ciągu 1902 roku jedynie w Czemulpo uległy konfiskacie według Hamiltona 3,573,138 fałszywe monety wartości 180,191 jenów. Korejczycy fałszerstwo ich zwalają na Chińczyków i Japończyków. Istotnie, korejscy majstrowie nie umieją podrobić dość zręcznie stempli wzorów europejskich. Natomiast rząd korejski wypuszcza coraz gorszą monetę w ilości nieograniczonej, zależnie od pustek w skarbie państwa i przyległych mu... kieszeniach urzędników. Obecnie kursuje w Korei monety niklowej na 14,000,000 jenów, choć w skarbie państwa niema wcale zapasów srebra ani złota.

III.

Klasztor Sŏk-oan-sa.

Urzędownie istnieją w Korei trzy rodzaje dróg: 1) wielkie gościńce, okopane rowami i mające od 20 do 30 stóp szerokości; jest ich wszystkiego sześć w całem państwie i wszystkie wiodą z kresów do stolicy; 2) drogi podrzędne, szerokości od 8 do 10 stóp; 3) ścieżki.

Do jakich należała ta, którą wyruszyliśmy z Genzanu, doprawdy nie wiem. Z początku był to piękny, szeroki trakt, po którym szli tłumnie biało odziani ludzie w czarnych kapeluszach. Wielu jechało na osłach, mułach, koniach, nawet wołach. Ciężko toczyły się niezgrabne, dwukołowe wozy, naładowane snopami. Na brunatnych rżyskach ryżowych, po obu stronach drogi uwijały się gromadki biało ubranych żeńców. Jaskrawe, czerwone, zielone lub niebieskie zasłony dziewcząt migały na drodze — lub gorzały daleko wśród pól, jak ogromne maki. A w dali wyniosłe, szaro-niebieskie góry splotem litym otaczały dolinę. Szliśmy ku nim, ku bladej przełęczy, z poza której wyglądał łańcuch

szczytów wyższych. Słońce, ślizgając się wśród zwichrzonych na niebie chmur i skalistych pod niemi wiszarów, wypełniało dolinę tłumem plam błędnych. Białe gromady idących ludzi i srebrna rzeczka wśród pól jesiennych to skrzyły się w blaskach promieni, to mierzchły niespodzianie w zapadających cieniach. Środkiem doliny biegł ubogi, jednodrutowy telegraf.

Nad rzeczką, którą ton-sà nazwał Tongul, wygiął się, jak stonoga, garbaty mostek chróściany na cienkich palikach. Mijamy malowniczą, kopcowatą górę, porosłą sośniną. Nareszcie widzę coś, co zapowiada osławione lasy korejskie. U drogi spostrzegam słup wyrzeźbiony w kształcie potwornego bałwana. Ma długi nos, wyłupiaste oczy i wielkie, wyszczerzone kły. Niegdyś był malowany na czerwono, ale deszcze i wichry mocno go uszkodziły. Jest to „Dzan-sion“, słup drogowy i jednocześnie strażnik, wzbraniający przejścia po niej złym duchom. Za dawnych czasów, kiedy gościniec Genzański był okopany rowami i miał przepisaną prawem szerokość, po obu jej stronach, co 10 *li* (5 wiorst) stały takie słupy. Obecnie znikły rowy i słupy, a miejscami nawet droga. Rozmyły ją powodzie i ulewy, rozorali chciwi ziemi wieśniacy. W jednem miejscu długośmy błądzili wśród bagnistych pól ryżowych, zataczając straszliwe zygzaki wysokiemi jak groble miedzami, nim trafiliśmy znowu na drogę. Wynurzyła się niespodzianie z rączego potoku. Okazało się, że kanał do zraszania pól zerwał w czasie deszczów tamę i obrał sobie za łożysko... gościniec. Dzięki temu przejeżdżamy na ty-

łach jakiejś ubogiej wioszczyny, obok kilku wspaniałych drzew i małego młynka, klekocącego nad strugą. Wstępujemy na podgórze, dolina zwęża się, mijamy znowu szereg lepianek, skleconych z mułu i słomy i kierujemy się ku podobnym lepiankom, szarzejącym w nagim źlebiu górskim niedalekiej już przełęczy. Wioska zwała się Phabalba, co znaczy stacya pocztowa.

— Dawniejsza stacya pocztowa. Teraz są inne. Dawniej cała obsługa pocztowa dostawała zamiast pensyi ziemię (do uprawy). W takiej wsi mieszkali sami pocztylioni i kuryerzy... Trzymali dużo koni. Poczta przewoziła tylko rządowe papiery i urzędników... Nikt nie mógł żądać podwody, jeżeli nie miał blachy z pozwoleniem—objaśnił mi ton-sà.—Od ośmiu lat jest inaczej. Każdy może brać na poczcie konie, ale nikt nie bierze, bo są drogie. Za to listy tanio kosztują i bez względu na odległość.

Zatrzymaliśmy się, aby popaść konia i pokrzepić się przed dalszą podróżą; do klasztoru pozostało 50 *li* (25 wiorst) [1]. Nie dostaniemy się tam przed nocą. Exstacya wyglądała bardzo marnie; miała budynki podobne do starych, zarzuconych chlewów i stajni, ludność ubogą, niesłychanie brudną i oberwaną. Wśród gromadki otaczających nas dzieci widziałem dziewczynki odziane jedynie w... kolczyki. O chłopcach nie mówię. A przecie zimny, przejmujący wiatr dął z gór.

---

[1]) *Li* wymawiają również *i; li* miara i nazwa chińska, równa się $^1/_2$ wiorście.

Zażądałem jajek.

— Obsa! (niema).

Zażądałem ryżu. Też — *obsa!*

— Cóż więc macie?

— Zaraz będzie! — uspakajał ton-sà.

Brudna karczmarka z gołemi, obwisłemi piersiami, ratując honor swego zakładu, pobiegła do sąsiadów. Po niejakim czasie podano mi trzy jajka, ale każde pękło z hukiem bomby — przy pierwszem dotknięciu łyżeczką. Oddałem je zdziwionemu mą odmową i ucieszonemu swym nabytkiem ma-phu. Podano mi następnie imbryk z gorącą wodą: okazała się brudną i cuchnącą; podejrzewam, że w niej to właśnie gotowano przed chwilą jajka. Wyraziłem niezadowolenie. Naówczas sam ton-sà poszedł doglądać przyrządzenia herbaty. Gromadka poważnych, brodatych Korejczyków zasiadła na piętach wśród drogi i, zapaliwszy małe fajeczki, czyniła pilnie spostrzeżenia nad nami. Okoliczność, że dałem dzieciom trochę cukru, dobrze ich względem mnie usposobiła. Zbliżyli się zaraz i zaczęli dotykać mego kortowego paltota, pytając, czy to skóra i ile kosztuje?...

Wyjechałem trochę skwaszony tą pierwszą wizytą we wsi korejskiej, gdyż licząc na osławiony ryż krajowy, nie wziąłem wcale z sobą prowiantu.

— Tutaj nikt się nie zatrzymuje; wszyscy jadą wprost do *An-bion*'u. I mybyśmy się też nie zatrzymywali, gdybyśmy wyjechali wcześniej!... — pocieszał mnie ton-sà.

Wdzieramy się na niewysoką przełęcz Tan-sa-koge [1]), dość łagodną od strony Genzanu. Wokoło wznoszą się góry ogładzone, kopcowate, porosłe nizką sośniną i dębniakiem. Na samej przełęczy leży kupa kamieni, coś w rodzaju mongolskiego „obo“, i stoi drzewo obwieszone ofiarami ze szmatek kolorowych, z nitek, papierków, pęczków włosienia, starych chodaków i t. d. Widziałem już takie drzewo na 7-ej *li* od Genzanu. Tłomacz nazywał je „dżida“. Są poświęcone „duchowi miejsca“ i zupełnie podobne do takich drzew jakuckich. Stanowczo szamanizm był i jest najgłębiej zakorzenioną i najbardziej rozpowszechnioną z religii azyatyckich. Spotykałem go w pełnym rozwoju lub szczątkach na ogromnych przestrzeniach, poczynając od brzegów morza Kaspijskiego do Sachalinu i od oceanu Lodowatego do wysp archipelagu Japońskiego. Były to zawsze, nawet w szczegółach, te same wierzenia i praktyki społeczeństw organizujących się do walki z przyrodą. W podstawie ich leży pojęcie odkupienia.

Południowy stok przełęczy stromo spada na dół. Z przełomu wszakże niema widoku, gdyż garby gór tworzą wokoło małą kotlinkę. Dopiero gdyśmy się spuścili niżej, rozwarł się przed nami rozległy krajobraz sfalowanej doliny płowej, przeciętej strugą srebrną, umajonej ciemnymi gajami, usianej dymiącemi wsiami... Widnokrąg zamykała potężna ściana czerwono-granatowych gór, wspartych o chmurne niebo. Były to

---

[1]) Koge — przełęcz.

góry Dyamentowe (Kym-hań-sań), cel naszej podróży. W ich pazusze, wysoko u szczytu chowa się słynny klasztor buddyjski Sök-oan-sa.

Straszono mnie w Genzanie, że na drodze doń istnieje urwisty gzems, tak wązki i stromy, że przebyć go może jedynie... błogosławiony. W pobliżu drogi wznosiły się kopcowate, ogładzone przez deszcze wyniosłości, porosłe rzadkimi krzewami.

Telegraf i droga główna poszły na przełaj przez dolinę ku południowi, a myśmy zawrócili na zachód. Towarzysząca nam od niejakiego czasu gromadka wieśniaków, idących na zarobek do Seulu, grzecznie pożegnała się z nami przyciśnięciem rąk do piersi. Jeden z nich powiedział „goodbye“, a drugi „proszczaj“; obaj bywali we Władywostoku.

Dążyliśmy wązką drożyną nad wysokim brzegiem rzeki Nam-san ku jej źródłom. Bystry, kręty prąd z szumem przelewał się w dole wśród niezliczonych mielizn piaszczystych i ławic żwirowych koryta. Miejscami ścieżka nikła, zapadając w nurty wraz z podmytem, glinianem urwiskiem. Wówczas z trudnością drapaliśmy się na stoki, gdzie chropawe głazy zaledwie zlekka pokrywała cienka powłoka skalnych okruchów i zwiędłej trawy jesiennej.

Mijamy małą kapliczkę z rogatym dachem, o okapach wachlarzowych, jak nauszniki japońskiego szyszaka. Pod dachem, za sztachetami, stoi słup kamienny, upstrzony chińskimi hieroglifami. Pewnie rodzina

i poplecznicy jakiego administratora wysławiają w ten sposób jego zasługi.

Znowu opuszczamy drogę, która po garbatym mostku dylowym przerzuca się na brzeg przeciwny. Jedziemy dalej ledwie widocznym szlakiem. Z poza górskich fałdów wyłaniają się czarne urwiska. Czerwone i żółte powoje zwieszają się tu i owdzie z ich zrębów; poza nimi błękitnieje oczyszczone z chmur niebo. W dole, wśród zielonawych, omszałych głazów, burzy się rozszalała rzeka. Ścieżyna wije się nikłym gzemsem pod festonami powoi i urywa wysoko, na tle błękitu.

— Aha, rozumiem: oto jest droga błogosławionych.

Konie drą się w górę po zrębach, jak po schodach, jeno węszą kamienie, zanim postawią na nich mocne, małe kopyta. Juki, kolana moje i kapelusz co chwila trącają o szczerby nawisłych z boku skał. Czuję, że wartoby zsiąść z konia, ale nie mam gdzie. Siedzę więc dalej, jak trusia, ogłuszony łoskotem kotłującej się w dole rzeki. Ukośne słońce rzuca tęczę na wzlatujące w górę jej puchy i pyły. Wreszcie stanęliśmy na samej górze, na małym ganeczku, gdzie droga urywa się u węgła opoki. Spoglądam przed siebie i zaczynam w niebogłosy krzyczeć na ma-phu, wiodącego przodem objuczonego rzeczami konia. Nie słyszy mię z powodu huku wody, ogląda się za późno. Wierzchowiec mój już pełza na brzuchu wśród chaotycznie, prostopadle prawie zwalonych głazów. Wije się pode mną jak jaszczurka i wciąż prawą nogą, jak kot łapą, próbuje drogi

przed sobą. Moje nogi chyboczą się gdzieś koło jego uszu. Najmniejsza niezręczność ruchów a obaj spadniemy w przepaść...

— Twardy z pana człowiek. Tędy nikt konno nie jeździ!—pochwalił mię ton-sà, gdyśmy stanęli na dole.

— O tak! Mam nadzieję, że za ten przejazd łaskawy Budda przebaczy mi wszystkie moje przewinienia. Dlaczego jednak nie ostrzegłeś mię, żebym zsiadł z konia?...

Ton-sà w zamyśleniu poskrobał się w podbródek, poczem zaczął coś ostro wyrzucać ma-phu. Ten mu się odcinał. Okazuje się, że istnieje o wiele dogodniejsza droga. Na chwilę błyska w mej głowie podejrzenie, że dla tych ludzi byłoby bardzo dogodnem, gdybym spadł w przepaść: zostałby im drugi koń z rzeczami i pieniędzmi.

— Tamtą drogą ledwie po północy stanęlibyśmy w klasztorze!—spokojnie tłomaczy mi ma-phu.

Znowu otwarła się przed nami rozległa dolina: pośrodku niej drzemie w mglistem słońcu jesiennem zasnuta dymami wieś. Poza nią zatacza foremne półkole długi, jak reduta, lecz niewysoki pagórek, uwieńczony kolumnadą pojedyńczych sosen. Gdyby to była Japonia, pomyślałbym, że tam umyślnie zasadzono te drzewa dla piękności obrazu!... Zresztą i tutaj w poszanowaniu drzew, w rozrzuceniu gajów czuć wszędzie mistrzowskie, misterne dotknięcie mnichów buddyjskich. Szare, strome strzechy chat toną w zieleni. Za chwilę cała ona znika za gęstym, przydrożnym szpalerem. Ilmy, wierzby, dęby, sumaki, sosny, cyprysy japońskie

splatają się w śliczną ścianę powietrzną, dzierzganą światłem, uwitą żyłkami czarnych gałązek, malowaną jaskrawem złotem, karminem i ogniem opierzchłych liści jesiennych. Szpaler wygina się łukiem i urywa u rzeczki, nad którą chlupie i klekocze cały szereg tłuczek do ryżu. Każda nakryta czochratym kołpakiem trzcinowym; nad urwistym brzegiem wystają jedynie ciemne koryta, które prąd, płynący zdala rynienką, nieustannie napełnia. Ciężar wody pochyla wtedy kołyszące się na kółkach koryto i unosi do góry jego szyję z tłuczkiem, ukrytą pod daszkiem. Koryto opróżnia się, szyja przeważa i pięść jej z impetem pada w pełną ryżu stępę... I tak wciąż i wciąż, dzień i noc, aż zeskoczą krzepkie, brunatne łupiny z perłowego ziarna.

Przebywamy rzeczkę po garbatym mostku i wjeżdżamy do gaju ogromnych dębów i słodkich kasztanów. Tłum dzieci, które biegły ku nam na przełaj z wioski, zatrzymał się u strugi i nad czemś naradzał. Mijamy gaj i spuszczamy się ku brudnym ścierniskom, pociętym wązkiemi groblami. To są pola ryżowe. Prowadzi przez nie doskonała, wysoko usypana droga. Wszędzie widać ład, zamożność i porządek. Z lasku opodal wychylają się rogate dachy chińskie z żłobkowanej dachówki.

Już jesteśmy na podgórzu potężnego, wprost z doliny wzdymającego się, górskiego łańcucha. Z obu stron drogi sterczą wśród drzew dziwaczne, wysokie na 10 sążni słupy, z wyrzeźbionemi na końcu potwornemi głowami, o wyłupiastych oczach i rozwartych, czerwo-

nych paszczach. Dalej widać nad drogą czerwoną bramę w kształcie szubienicy, ze sztachetami nad górną przecznicą.

Jedziemy lasem dość rzadkim. Omijamy zmurszałe skały i zawracamy ku widniejącemu poprzez rzadkie gałęzie wysokiemu szczytowi. Wygodna droga, szeroka i gładka, pnie się w górę. Znowu mijamy bramę w kształcie wielkiej, chińskiej, czworobocznej altany na ośmiu słupach. Niedaleko stamtąd, w zaklęsłości górskiej mieści się mały cmentarz, pełen pionowo stojących głazów-pomników, upstrzonych hieroglifami. U drogi, na gładko zciosanych, szaro-zielonych skałach czernieją głęboko żłobione, pobożne i mądre wyrazy. Znowu brama. Droga spuszcza się cokolwiek na dół. Zapada zmierzch. Mgły ze szczytów, kłębiąc, staczają się i wypełniają bladym swym oddechem śliczny las mieszany. Czernieją tam olbrzymie sosny i cyprysy japońskie; złote wierzby, lipy, jesiony i ogolone z liści misterne ilmy wychylają się z tumanów; toną w nich ciężkie, słodkie kasztany o lekko poczerniałych liściach, potężne dęby mandżurskie wyciągają daleko kręte, miedziano-liste konary. A na pniach drzewnych plączą się i wieszają delikatne zwoje japońskiego chmielu, niby lotne zasłony z szarego muślinu; czarne, obwisłe mosty cytrynowca (magnolia) przecinają powietrze, ciężkie ich końce, grube, jak liny okrętowe, opadają ku zaroślom drobnolistnych, krzewiastych klonów, dzikich trześni, śliw, szakłaków, głogów i malin... Złote, bure, ogniste i karminowe ich liście, przyćmione obecnie

mgłą i zmrokiem, mieszają się w śliczną mozajkę. Łupieżcze, kolczate drzewo dyable przewija się wszędzie, jak cierniowa korona. O tak, piękne są lasy korejskie!... Szkoda, że ich mało!

Coraz ciemniej! Światło wieczorne jedynie górą przecina las poziomemi, krwawemi smugami. Dolina zwęża się, droga ostro pnie pod górę, tuż nad krawędzią potoku. W czarnym, jak atrament, jarze głucho bulkoce woda. Przebywamy przepaść po starożytnym moście łukowym z ciosanego kamienia, nakrytym ładnym dachem drewnianym. W bladym wylocie długiej ulicy, nad którą zesklepiły się konary wyniosłych drzew, czernieją budowle o wywiniętych dachach i tli się mdłe światło. Po chwili stajemy przed tęgimi, czarnymi murami, zamkniętymi wielką, ostrołukową bramą. Na stuk kopyt i wołanie naszego ma-phu wychyla się z jakiegoś otworu łysa głowa mnicha. Zamieniają z sobą urywane wyrazy, poczem wielkie wrzeciądza z głuchym zgrzytem rozchylają się i wjeżdżamy pod arkadę czarniejszą od nocy. Głosy ludzkie i stuk kopyt końskich dźwięcznie rozlegają się pod sklepieniem. W głębi podwórza migają światła, w pomroce chodzą jasne jego smugi, w których widzę poruszające się, białe postacie ludzi. Wrota z głuchym zgrzytem znowu się za nami zawarły. Jednocześnie na płaskich głowicach słupów kamiennych, po obu stronach kamiennych schodów, wiodących na obszerne wzniesienie, zapłonęły stosy smolnego łuczywa. Pasma czarnego dymu wiją się nad ogniem i tłuką po podwórzu, okolonem wysokim mu-

rem. Wstępujemy po schodach na taras, gdzie na kolumnadzie wspiera się ciężki dach. Tutaj na kamiennej posadzce nocują w lecie pielgrzymi. Dla mnie jednak wygolony mnich w szarej opończy rozsunął uprzejmie drzwi małej komnatki, całej wyklejonej, jak pudełko, naoliwionym papierem, grubym i żółtym, jak pergamin. Zapalono świecę, wstawioną w wielki lichtarz żelazny. Przyniesiono mały stoliczek.

Tymczasem ma-phu przy pomocy klasztornych sług zdejmował z koni juki i siodła, a ton-sà rozkładał poważnie w mojej izdebce wyjmowane z torby podróżnej przedmioty. Na stronie szły jakieś szepty, w czerwonym blasku smolniaków przesuwały się białe i żółte postacie w powłóczystych szatach. Wreszcie zamajaczyła na stopniach schodów cała ich grupa. Środkiem szedł poważny kapłan w żółtym, jedwabnym, obszernym jak ornat habicie, niósł w ręku różaniec, a na głowie miał żółty beret rogaty, towarzyszyło mu dwóch służków z wygolonemi głowami, w białych szatach. Każdy z nich dzierżył w ręku po wielkiej, srebrnej misie. Weszli, postawili misy na małych, drewnianych stoliczkach i cofnęli się z ukłonem. Kapłan siadł przed nami i skłonił się, przyłożywszy ręce do czoła.

— Witam cię, cudzoziemcze! Nim mówić zaczniesz, spróbuj naszego napoju!...

— Niech pan spróbuje!... To dobre... Taki tutaj zwyczaj!—dodał od siebie, przetłomaczywszy pozdrowienie, ton-sà.

Odpowiedziałem pozdrowieniem i poniosłem czarę do ust.

Było to ciepła woda, z pysznym, aromatycznym miodem. Wychyliłem napój do dna ku wielkiemu zadowoleniu otaczających. Poczem mnich zaczął pytać, skąd jadę, dokąd, kto jestem. Przyniesiono wielką, w skórę oprawną księgę gości, zapisaną niezliczoną ilością chińskich, korejskich i japońskich napisów.

Szukałem podpisów europejskich. Było ich ledwie kilkanaście, przeważnie angielskich, parę włoskich, parę niemieckich i rosyjskich. Wśród nazwisk odczytałem między innemi: „George N. Curzon, M. P. London, 9 Oct. 1892.—Seul spring rice“ — podpis obecnego wicekróla Indyi, autora książki „Problems of the Far East“.

Rozmawialiśmy czas jakiś o krajach Zachodu, o ludach i wiarach, poczem duchowny skłonił się nizko i, powiedziawszy po japońsku „kombawa“ (dobranoc), odszedł, poważnie stąpając po wielkich schodach z różańcem w ręku. Wniesiono natomiast tacę z posiłkiem. Był tam biały, doskonały ryż, solone i kwaszone warzywa, polane ostrym sosem ze strączkowego pieprzu, i słodkie placuszki z miodu i leśnych orzechów.

Ognie na podwórzu dogasały. Przy niewyraźnych ich błyskach widziałem, jak map-hu zaprowadził konie do stajni, jak następnie udał się na spoczynek do czeladnej w towarzystwie służek i parobków. Ton-sà powiedział mi dobranoc i znikł w swym pokoiku obok.

Skończyłem notatki i wyciągnąłem się na mym podróżnym wojłoku, na czystej, ciepłej, ogrzanej z dołu podłodze. Przez cienkie drzwi papierowe z nadworza dobiegał mię szum lasu, łoskot wzbierającego potoku i przejmujący siepot jesiennej szarugi, nabiegającej niespodzianie, jak zwykle w górach.

IV.

Kilka słów o wierzeniach korejskich.

Daleko w morze wystający ląd korejski służył od niepamiętnych czasów za schronisko wyspiarzom Oceanu Indyjskiego, wypartym ze swych dziedzin południowych, oraz za most koczownikom azyatyckim, dążącym do bajecznych, podzwrotnikowych ogrodów. Opierając się na kronikach wschodnich, Hulbert [1]) dowodzi, że historya zastała w południowej Korei Malajczyków, podczas gdy północ półwyspu zamieszkiwały plemiona pochodzenia tunguskiego, fińskiego, wreszcie mongolskiego. Według źródeł chińskich ludy te znajdowały się na bardzo nizkim stopniu rozwoju, mieszkały w pieczarach, nie znały rolnictwa i ognia. Czciły niebo, gwiazdę poranną, tygrysa, duchy powietrza, gór, wody i ziemi. Wierzyły, że po śmierci człowieka dusza jego

---

1) „The Korean Repository", 1895, p. 219 — 255.

nie ginie i dla swego istnienia wymaga ofiar z jadła i napoju [1]).

Z cech tych oraz z okoliczności, że plemiona powyższe nie tworzyły jednolitego państwa, lecz luźne związki gromad krewniaczych, wnioskować należy, iż wyznawały szamanizm—religię zarania urządzeń rodowych. Zresztą znajdujemy niezbity dowód tego w pozostałej po nich puściźnie.

Pomimo iż buddyzm, a następnie konfucyonizm zapanowały w wyższych sferach korejskich już od V stulecia i były kolejno ogłoszone za religie państwowe, szamanizm po dziś dzień pozostał główną treścią wierzeń prostego ludu w tym kraju. Wtargnął on nawet do ksiąg i świątyń religii, przybyłych z sąsiednich Chin w pełni swego rozwoju. I chociaż nie wpłynął na nie w tym stopniu, co w Tybecie i Mongolii, gdzie głębokie spekulacye Sakia-Munii zdołał przerobić w pogański lamaizm, lecz zostawił wyraźne ślady w malowidłach, wyobrażeniach niektórych bogów i w wielu obrzędach. Drogi Korei usiane są ołtarzami, postaciami bóstw, ofiarnemi drzewami. Najczęściej trafiają się *Sön-hoan-dan* [2]) — ołtarze świętego władcy. Są to wielkie nieraz kupy kamieni polnych, niedbale złożonych pod starem drzewem lub w małym gaju. Niema zwykle na nich żadnego bałwana, ani nawet wizerunku. Kawałki ofiarnego papieru, gałganków, woreczki z ryżem, części

---

[1]) Griffis. „Corea, the Hermit Nation", p. 326.

[2]) Mój ton-sà nazywał je: Son-hoang-tang.

starej odzieży, popsute kapelusze i znoszone obuwie wiszą na gałęziach drzew, zostawione tam przez pobożnych przechodniów. Niekiedy obok stoją maluchne, ubogie kapliczki, wzniesione na cześć zwierząt i ptaków, niszczących szkodliwe dla rolnictwa owady [1]).

Podobne, kamienne ołtarze, również pod staremi drzewami, stoją na każdej prawie przełęczy i są poświęcone Duchowi Gór (San-szin-riŏn albo Sań-sillion) [2]), opiekunowi myśliwców, strażnikowi żeńszenia. Ołtarze te mają pośrodku małe wgłębienia, w których mieści się figurka albo wizerunek mężczyzny z dzikiem spojrzeniem, jadącego na tygrysie. Tygrys jest wysłańcem i wcieleniem tego boga, uważanego za bardzo groźnego ducha, któremu należy pilnie składać przeznaczoną dlań garstkę ryżu.

Bardzo często spotykałem też w pobliżu wsi niewielkie ołtarze duchów „Siń-dzan", które poznać można po obrazku groźnego rycerza z podpisem: „jestem Duchem, który tu mieszka". Duchów tych istnieje aż 80,000 i każdy z nich dowodzi licznym pułkiem podwładnych.

---

[1]) „Czczą Korejczycy bóstwo drzewa, któremu składają ofiary koło nowego roku. Po skończonej ofierze wchodzą do lasu i zaklinają boga. Ptaki, będące tam, duszą w ręku, rozdzierają i patrzą we wnętrznościach, czy tam dużo jest ziarna, z czego wróżą, że rok będzie urodzajny. Jeżeli znajdują kamyki, przepowiadają klęskę". („The China Review" Vol. XIV, p. 224).

[2]) San — szczyt góry, silliŏn—duch, istota niewiadoma.

Na cześć duchów miejsc (To-di-cżi-sin) i prowincyi (Dzon-sin) budują Korejczycy małe szałasy na stokach wzgórz, pod drzewami. Często wewnątrz szałasów nic niema, jeno przed nimi wisi sznurek z festonami z papierków i gałganków, podobnych do japońskich „tai-taki“. Czasami stoi tam duży kamień albo gliniane wzniesienie z figurkami bożków lub z ich wizerunkiem, grubo namalowanym na papierze, desce, wreszcie korze drzewnej. Koło tych kapliczek co trzy lata odbywają się zbiorowe uroczystości za pieniądze, zbierane z całej okolicy.

I. B. Bishop przytacza spis bóstw i duchów szamańskich, udzielony jej przez dr. Landis'a:

I. *Duchy wyższego rzędu:*

1) Duchy Niebios;

2) Duchy ziemi;

3) Duchy gór i pagórków;

4) Duchy smoków;

5) Duchy opiekuńcze prowincyi;

6) Duchy Religii Buddyjskiej (?). II. *Duchy domowe:* 7) duch szczytu dachowego; 8) duch sprzętów i mebli; 9) demon rodziny Ii; 10) duch kuchni; 11) sługa demona rodziny Ii; 12) duchy, które służą swym przodkom; 13) stróże i słudzy demona rodziny Ii; 14) duchy, które pomagają kuglarzom; 15) duchy mienia i sprzętów, podobne do Nr. 8, ale niższego rzędu; 16) duchy ospy; 17) duchy, przybierające kształty zwierząt; 18) duchy, wcielające się w młode dziewczęta i czyniące je zaklinaczkami; 19) duchy siedmiu gwiazd two-

rzących Nurka (Dippes); 20) duch miejsca domu. III. *Rozmaite rodzaje duchów:* 21) duchy, robiące człowieka śmiałym; 22) duchy zamieszkujące drzewa (każde sękowate, rosochate lub poczwarne drzewo jest przypuszczalnie zamieszkane przez te duchy, których spotkanie powoduje śmierć gwałtowną albo przedwczesną. Każdy umierający przed zakończeniem cyklu (60 lat) uważa się za zmarłego pod wpływem jednego z tych duchów. Nie należy objaśniać, że wszystkie one są złymi duchami); 23) duchy, powodujące pożarcie przez tygrysy; 24) duchy, powodujące śmierć w drodze; 25) duchy, które wałęsają się dokoła domów, przyczyniając rozmaite nieszczęścia; 26) duchy, powodujące śmierć poza domem; 27) duchy, powodujące śmierć człowieka, w zastępstwie innego; 28) duchy, powodujące śmierć człowieka przez uduszenie; 29) duchy, powodujące śmierć przez utopienie; 30) duchy, powodujące śmierć kobiet przy połogu; 31) duchy, wywołujące samobójstwo; 32) duchy, powodujące śmierć od ognia; 33) duchy, powodujące śmierć z pobicia; 34) duchy, powodujące śmierć z upadku; 35) duchy morowej zarazy; 36) duchy cholery.

Bóg wogóle po korejsku „ok-han“ albo han-uemi, albo htien-ciu-kkei. Boga ziemi zwą San-sin-nimi; boga Nieba—Sze-geni.

Jednego z głównych bogów, przyjmującego po zgonie dusze zmarłych i sądzącego je — zwą Korejczycy Ok-han-siante.

Widziałem też nieraz przy wjeździe i wyjeździe ze

wsi słupy wysokości wzrostu człowieka i wyżej z końcami wyrzeźbionymi w kształcie twarzy ludzkich, umalowanych czerwono, biało, czarno i często przyodzianych nawet w korejskie kapelusze.

Mój ton-sà, który ogromnie niechętnie dawał mi wszelkie objaśnienia, tyczące się religii, stale dowodził, że to są znaki przydrożne... Dopiero gdym mu kilka razy wykazał, że według jego własnych wskazówek „znaki przydrożne" są niższe, mają na sobie napis i stoją w odległości co najmniej 10 li (5 wiorst), czego w danym wypadku nie było, zgadzał się, że to są: „ghost" (duch). Ale jakie „ghost", nie chciał powiedzieć. Odmówił również wyjaśnień, co znaczą wysokie na kilkanaście stóp żerdzie z drewnianemi podobiznami ptaków na końcach, ze słomianymi sznurami, zwieszającymi się z ogonów tych ptaków. Takie żerdzie stały zwykle parami przy wjeździe do wsi.

Oprócz tych duchów, mających liczne ołtarze i świątyńki pod otwartem niebem, istnieje cały szereg bogów domowych. „Dzoe-sök", bóg płodności, opiekun kobiet ciężarnych, nienawidzący żałoby i śmierci. Stąd zwyczaj zawieszania ostrzegającego znaku na drzwiach domu, gdzie znajdują się położnice lub kobiety w stanie odmiennym. Święto na cześć tego boga odbywa się co trzy lata z udziałem szamanek.

„Cön-cziu"—bóg dachu chaty, jeden z licznych bogów domowych, gdzie każdy kąt, pokój, ognisko, półka, słup, belka, mają swego opiekuna, mieszkającego w nim lub koło niego. Wyobrażają je zwykle ka-

wałki naklejonego w odpowiedniem miejscu papieru lub małe woreczki z ryżem.

„Ti-cziu“—bogowie rodziny oraz miejsca, na którem stoi dom rodziny. Jako ich fetysze służą pęki słomy lub garnczki z ryżem, nakryte kamieniem. W pobliżu wielu domów dostrzedz można „Dzo-oan“ —ducha gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy, wcielonego w suchą tykwę, pełną gałganów.

Nadomiar po całym świecie wciąż błądzą roje wiecznie głodnych, gniewnych i mściwych dyabłów (sagen), zmór i potępieńców (tök-ha-bi) — dusze ludzi zmarłych nagłą, niespodziewaną śmiercią lub zadręczonych przez bliźnich. Wszyscy oni czyhają skwapliwie na nieopatrznego człowieka, aby przy lada sposobności rzucić się nań, dokuczyć mu, skrzywdzić go, zadać mu chorobę, nasycić się widokiem jego cierpień lub wymódz zdradziecko ofiarę.

Szamani (pań-su) i szamanki (mu-dan albo sysyń) prowadzą z nimi nieustanną wojnę.

W organizacyi ich uderza jedna cecha, istniejąca jedynie w stanie szczątkowym u innych szamanistów, mianowicie: wielkie znaczenie i przewaga kobiet. Szaman drugiego stopnia (pak-su-mu albo sia-tań, sia-dań) w czasie spełniania poważniejszych czarów musi się nawet za kobietę przebierać.

Wprawdzie szamanami pierwszego stopnia (pań-su) mogą zostać wyłącznie ślepi od urodzenia *mężczyźni*, lecz przypuszczać należy, że ich organizacya jest cudzoziemskiego, buddyjskiego pochodzenia.



Święty gaj z ołtarzem Sŏn-hoan-dan niedaleko wsi Hau-bulang.

Oni sami twierdzą, że ich zaklęcia i pieśni zapożyczone są od buddystów [1]). Ich tańce czarodziejskie, orkiestra i sposoby są nadzwyczaj podobne do tego rodzaju obrzędów lamajskich. Zresztą za swe główne zadanie uważają oni wróżbiarstwo, określenie szczęśliwych dni i szczęśliwych miejsc dla mogił oraz wyrób amuletów, dające im znaczne dochody. Przechodzą oni pewną szkołę, w której nabywają ogłady, zaznajamiają się z buddyzmem i konfucyonizmem oraz wyuczają na pamięć własnych, tajemniczych zaklęć, uroków i magii. W Seulu tworzą oni dość znaczne i wpływowe stowarzyszenie, uznane przez rząd i opłacające podatek skarbowy.

Dzięki temu pewnie ślepi pań-su zajęli wśród szamanów korejskich położenie do pewnego stopnia uprzywilejowane i uważają siebie za władców sił tajemniczych, pozwalających im rozkazywać demonom i duchom. Szamanki (mu-dań) mogą jedynie duchy błagać i ułagadzać ofiarą (kaut).

Ilość bóstw jest dość znaczną; wyżej przytoczyliśmy spis dostarczony Bishop przez dr. Landis'a z nazwami 36 bóstw, dzielących się na trzy odłamy.

Mimo to działalność szamanek jest znacznie różnorodniejszą i udział ich w w życiu Korejczyków wszystkich stanów o wiele wybitniejszy. One również mają w większych miastach swoją organizacyę, choć po

---

[1]) Bishop (Isabella L. Bird): „Korea and Her Neighbourgs", II, p. 229—231.

wsiach działają osobno. Mieszkać im w samych miastach, a szczególniej w stolicy niewolno od lat 500; zajmują one zawsze dzielnice zamiejskie. Objaśnienie źródła ich czarodziejskiej siły, ich sposoby, tańce, strój w szczegółach zaledwie różni się od guseł i ubiorów szamańskich u innych narodowości. Siła ich według pojęć korejskich pochodzi od ducha, który je opętał. Żyją samotnie, pozbawione rodziny i przyjaciół. Były przykłady, że szamankami stawały się, pod parciem potrzeby wewnętrznej, nawet kobiety zamożne z wyższych sfer, które porzucały dla szamaństwa rodzinę i stanowisko.

Niegdyś wpływ pań-su oraz mu-dań sięgał nawet cesarskiego dworu i decydował w kwestyach bardzo poważnych. Uznanie buddyzmu i konfucyonizmu za religie urzędowe, rozumie się, zmniejszyło ich znaczenie, nie wyparło jednak całkowicie. W Puń-mio, świątyni konfucyańskiej Boga Wojny (Koań-juŏń-dzan), za wrotami północno-wschodniemi, widziałem w bocznej kaplicy piękny, stary obraz jedwabny, wyobrażający starego szamana, określającego wojsku za pomocą wróżby szczęśliwe miejsce do boju. Mówiono mi, że obraz ten ma lat 300. Lecz i obecnie szamani, a szczególniej szamanki, nieraz wzywani bywają przez rząd do spełniania guseł w czasie suszy, moru lub innych nadzwyczajnych wypadków, oraz do wyzywania duchów i przynoszenia ofiar bogom domowym panującego domu.

Drobniejsze ofiary składają się z ryżu, jarzyn, owoców, ciast, słodyczy i wódki, lecz na ofiary większe

zabijają zawsze bydło rogate i świnie. Istnieje pięć wielkich, obowiązkowych w każdej prowincyi ofiar dorocznych: zimowa, wiosenna, letnia, jesienna i piąta — zakończenia roku. Za każdym razem w każdej prowincyi ginie około 100 sztuk bydła, prócz drobnych ofiar dowolnych. Cieniom przodków składają ofiary co dwa tygodnie z kilku sztuk bydła; na dworze królewskim zabijają ich co najmniej 10 szt., prócz tego w ciągu miesiąca pada sztuk kilka na cześć bożków pałacowych. Co miesiąc odbiera ofiary wódz chiński Koan-Kong, który przed 300 laty zamienił się w chmurę i jako deszcz spadł na Japończyków, wskutek czego ci zostali przez Korejczyków pobici. Wreszcie dwa razy do roku składają ofiary Konfucyuszowi i Hanenimowi, zanosząc modły o deszcz lub pogodę. Ponieważ Korejczycy nie hodują wcale owiec potrzebnych do ostatnich ofiar, kupują więc je rok rocznie od Chińczyków, sprowadzają do Seulu oraz rozsyłają na prowincyę. Wszystkie ważniejsze ofiary odbywają się wobec przedstawiciela królewskiego, modły o deszcz lub pogodę musi zanosić sam król osobiście a na prowincyi umyślnie wysłany przezeń wysoki urzędnik.

Wogóle krwawe ofiary są dość rozpowszechnione wśród Korejczyków i służą za powód do powszechnego raczenia się mięsem, rzeczą na ogół rzadką na stole krajowca.

W podaniach i niektórych obrzędach korejskich zachowały się wyraźne ślady ludzkich ofiar w zmierzch-

łej przeszłości [1]) i prawdopodobnie... kanibalizmu religijnego.

Wróżbici, szamani i szamanki, poszukiwacze szczęśliwych mogił, guślarze i znachorzy cieszą się po dziś dzień ogromnym wpływem wśród ludu, wdzierają nawet do cesarskiego pałacu, uparcie broniąc starodawnych obyczajów i wierzeń, źródeł ich dochodów... Mieszają się do polityki, intrygują i na rozkaz roznoszą szeroko po kraju żagiew rozruchów ciemnych, wrogich wszelkim ulepszeniom i postępowi. Wiadomo, iż zamordowana przed 9 laty królowa Miń, wróg zaciekły wszelkich zmian, była zagorzałą szamanistką i chętnie otaczała się zgrają rozmaitych mu-dań i pań-su. Ale po jej śmierci wpływ ich, choć osłabł, nie ustał zupełnie. W 1904 roku po wtargnięciu Japończyków do Seulu zostali na ich żądanie wypędzeni z pałacu różni wróżbici i szamani, uznani dekretem cesarskim za „źródło waśni i nieszczęść czasów ostatnich“... [2]).

W czasie mego pobytu w Seulu skarżył mi się pewien urzędnik dworu, że cesarz wydał w tym roku na gusła szamańskie 10,000 dolarów.

— Czy to nie lepiej szkołę za te pieniądze założyć?...—pytał mię, licząc na przychylną odpowiedź.

---

[1]) The China Review, Vol. XIV, p. 224. — „Bajki Korejskie“ N. Garina. Petersburg, 1904 r. str., 116 i 160 opowiadanie o kupcach, którzy rzucili dziewicę na ofiarę wzburzonemu morzu i o stonogach ludojadkach.

[2]) „Russkija Wiedomosti“ № 119 z 1904 roku.

Mimo jednak pewnego wykształcenia, znajomości języków europejskich i obycia z Europejczykami, ten sam urzędnik nie zgodził się urządzić dla mnie czarów szamańskich.

— *Tego* tak bez powodu robić nie można! Musi pan czekać, aż wezwą do kogo szamana. Wtedy zaprowadzę pana.

Daremnie ofiarowałem pieniądze: i za pieniądze nikt się tego podjąć nie chciał.

Kosmogonia korejska przedstawia mieszaninę pojęć środkowo-azyatyckich oraz północnych z japońskiemi (o lisie) i chińskiemi. Szczególniej te ostatnie za pośrednictwem piśmiennictwa wywarły silny wpływ na umysłowość korejską. Czczą więc przedewszystkiem Niebo (San-cże, chińskie Szan-di, władca nieba, mongolskie Tangri, jakuckie Tangara), [1]) jako źródło wszystkiego, co dzieje się na Ziemi. Dalej znajdują się w mitologii korejskiej: smok, feniks, żółw, bajeczne zwierzę pół jeleń—pół byk (ki-riń—symbol pokoju, szczęścia, sprawiedliwości); jest tam obok tygrysa grzywiasty lew, ptak kiń-sä o cieniu trującym, węże, uwodzące dziewczęta [2]), zaklęte w stonogi kobiety, skrzydlaci bohaterowie i t. d., cały rój dziwacznych mitów i legend, przyniesionych do Korei rozmaitymi czasy przez licznych

---

[1]) W potocznej mowie niebo po korejsku zwie się „hanari".

[2]) Własność tę przypisują Korejczycy wężom dusicielom (ku-rąń), których zresztą w Korei niema.

chińskich wychodźców. Ci wprowadzili też do niej dwa wielkie, panujące po sobie wyznania urzędowe.

W drugiej połowie IV wieku po N. Chr. dwóch mnichów buddyjskich, Szuń-dao i A-dao, przybyło z Chin do państwa Ko-gu-riö w północnej Korei i przyniosło z sobą księgi święte. Buddyzm zdobył sobie odrazu wielkie uznanie wśród sfer wyższych. Przyniósł z sobą rozwinięte piśmiennictwo, wiedzę, sztukę i rozmaite nieznane rzemiosła. Pod opieką królów korejskich zaczęły powstawać liczne klasztory, szkoły, zakwitły sztuki wyzwolone. W połowie V stulecia buddyzm przedostał się już do południowego państwa Silla i nawet na wyspę Quelpart, gdzie go obecnie niema, a jedynie jako ślady pozostały nieliczne posągi Buddy. Zapał był powszechny i z obawy, aby cała ludność nie została mnichami, musiano wydać odpowiednie przepisy krępujące. W X wieku buddyzm dosięgnął swego szczytu i został uznany za religię państwową. W owym to czasie buddyjski mnich Siol-dżon miał wynaleźć znaki „i-do“, które umożliwiły Korejczykom używanie chińskich hieroglifów i według kronikarzy korejskich dały początek obecnie znanemu, korejskiemu alfabetowi dźwiękowemu „öń-muń“. Korejska nauka i literatura miały swą kolebkę w buddyzmie. Klasztory buddyjskie długi czas korzystały z przywilejów, nadań ziemią i pieniędzmi. Większość działaczy, urzędników, nawet sławnych wodzów ówczesnych wyszła z pośród oświeconych i piśmiennych mnichów buddyjskich. Wtedy to powstały owe piękne świątynie i olbrzymie posągi (mi-

ro-ki lub siök-iń — ludzie kamienni), leżące obecnie w gruzach lub kryjące się w zaroślach.

Chociaż konfucyonizm przeniknął do Korei prawie jednocześnie z buddyzmem (w V-ym wieku), rozkwit jego nastąpił znacznie później. Dopiero w XVI stuleciu, gdy po morderczej wojnie z Chinami, stoczonej na terenie korejskim, wojska japońskie ustąpiły, konfucyonizm wziął w Korei górę nad buddyzmem. Buddyzm korejski zawsze pozostawał w ścisłych i zażyłych stosunkach z buddyzmem japońskim, którego był rodzicem i od którego nawzajem odbierał w ciężkich chwilach moralne i materyalne wsparcia. Po ostatecznem opanowaniu półwyspu przez Chiny wszystko japońskie stało się podejrzanem, buddyzm uległ prześladowaniom i konfucyonizm zajął przodujące miejsce. Mnichom buddyjskim zabroniono nawet mieszkać w stolicy i miastach warownych, zabroniono im wznosić i odnawiać miejskie klasztory i świątynie. Zakaz ten przetrwał do 1895 r. i w rezultacie świątynie buddyjskie zachowały się w Korei jedynie w głuchych, górskich ostępach, daleko od miast. Konfucyonizm, uosabiający wpływ chiński po przeprowadzeniu upartej walki z władzą królewską, zapanował wyłącznie w sferach dworskich i urzędniczych. Miała Korea w tych walkach chwile zupełnie podobne do średniowiecznych walk europejskich kościoła i tronu. Królowie Jön-sań i Koań-he z panującej obecnie dynastyi, skłaniający się ku buddyzmowi, padli ofiarą tych zatargów i zostali pozbawieni nawet tronu i pośmiertnych tytułów.

Na ludowe wierzenia konfucyonizm wywarł wpływ o wiele mniejszy od buddyzmu. Jako religia książąt, uczonych i urzędników, zasklepił się on w ciasnej sferze klas panujących i wraz z nią uległ zepsuciu i upadkowi. Jak i one, czerpie on szczodrze środki swego utrzymania z kieszeni chłopów. Prześladowany buddyzm, choć bardzo zubożały i zchłopiały, przeciwnie żyje jeszcze i zdradza nawet oznaki odrodzenia. Odrodzenie to płynie znowu z Japonii, jak wszystko lepsze, dążące do poprawy kraju, do jaśniejszej przyszłości, do reformy i rozwoju, co pojawiło się w ostatnich czasach w Korei. W siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia zreformowana sekta japońskich buddystów Siń wniosła ożywczy prąd w zamierające klasztory korejskich buddystów.

Kilku młodych, zdolnych Korejczyków wstąpiło do szkoły duchownej Siń w Kioto i następnie zajęli się krzewieniem nowej nauki w swej ojczyźnie. Obecnie mają oni już w Genzanie własną, piękną świątynię i szkołę oraz szkołę w pobliżu Seulu. W r. 1892 mnich japoński, Akamacu Kejsi, zbierał w Japonii pieniądze na założenie licznych szkół duchownych w Korei... Sądzę, iż odrodzenie się buddyzmu w Korei zależy w znacznej mierze od wyniku ogólnego ruchu, jaki powstał wśród buddystów całego świata w ostatnich czasach.

W końcu tego pobieżnego szkicu o religii Korejczyków muszę wspomnieć i o chrześcijaństwie. Nie okazało ono żadnego prawie widocznego wpływu na światopogląd ludowych warstw korejskich, liczba jego wy-

znawców również jest nieznaczna [1]), lecz losy tego Kościoła były tak do niedawna tragiczne, tak głęboko związane z dziejami tego nieszczęśliwego kraju, jego zmaganiami się z gnębiącą przemocą wewnętrzną, iż historya jego odbija do pewnego stopnia skłonności religijne Korejczyków i zdolność ich do uczuć oderwanych. Jest to jedyny może kościół na Wschodzie, który powstał bez udziału Europejczyków i nigdy nie był ani na chwilę ich placówką *handlową* lub *dyplomatyczną*. Przynieśli chrześcijaństwo do Korei Japończycy i początek jego datuje się od wojen japońskich z 1592 r. Lecz wraz z upadkiem wpływu Japończyków znikł z półwyspu i chrystyanizm, który jednocześnie w samej Japonii uległ srogim prześladowaniom. Odrodził się on dopiero w XVIII wieku, podjęty przez korejskich uczonych, którzy dla zapoznania się bliżej z nauką, o której w księgach wyczytali, wysłali do Pekinu młodego badacza, Siön-hun-i, syna tamtejszego posła korejskiego. Siön-hun-i przyjął chrzest i, nazwany Piotrem, został pierwszym katolickim misyonarzem w Korei, gdzie ochrzcił i nawrócił z czasem wielu wybitnych uczonych oraz wyższych urzędników. Okoliczność, że chrześcijanie odmawiali udziału w uroczystościach na cześć przodków, wywołała pierwszy naganny edykt urzędowy w 1784 roku. Mimo to gminy chrześcijańskie wzrastały w liczbie i organizowały się, stwarzając własną hierarchię kapłańską. W r. 1790 zwrócili się Korej-

---

[1]) 29,000, w tej liczbie 28,000 katolików,

czycy do katolickiego biskupa w Pekinie z prośbą o przyznanie i opiekę nad samopowstałemi gminami. Liczyły one wówczas do 4,000 wyznawców. Urzędnicy, choć wrogo usposobieni dla nowej nauki, nie prześladowali jej nazbyt, gdyż Wschód o wiele więcej jest i był toleranckim od Zachodu dla wszelkich spekulacyi umysłowych i religijnych. Dopiero gdy zacznie on podejrzewać w nich politycznych nieprzyjaciół, wówczas dąży do wytępienia ich z całą wschodnią bezwzględnością. Misyonarze europejscy, próbujący przedostać się do Korei, dają początek krwawym męczeństwom. W 1801 r. król korejski, wyjaśniając suzerenowi swemu, ces. chińskiemu, powody, dla których kazał ukarać śmiercią misyonarza Ciu, Chińczyka, powiada, iż chrześcijanie pragną zawładnąć jego państwem za pomocą europejskich ludzi i okrętów. Od tego czasu krwawe, masowe zabójstwa i prześladowania prawie nie ustawały, przeciwnie wzrastały w miarę zwiększania się liczby misyonarzy europejskich, tajemnie przenikających w granice państwa. Szczytu swego sięgają one w r. 1839, za panowania królowej-regentki Kim. Były to zaiste czasy okropne. Więzienia były przepełnione i krew lała się strumieniami. Biskup Imber oraz misyonarze Mauban i Chastan, pieczołowicie, z narażeniem życia ukrywani przez wiernych, sami oddają się w ręce rządu w nadziei, iż ukrócą w ten sposób wściekły gniew poszukujących ich siepaczy. Ale śmierć ich, choć osłabiła prześladowania, nie wstrzymała ich całkowicie. Z krótkiemi przerwami ciągnęły się one nieledwie do otwar-

cia granic Korei. Wstawianie się mocarstw europejskich tylko pogorszało położenie.

W 1866 roku byli zamordowani biskupi Daveluy i Berneux oraz wszyscy misyonarze europejscy. Chrześcijan krajowców zginęły tysiące; karano nawet krewnych ich pogan do szóstego pokolenia. Reszta rozbiegła się, kryjąc po górach i lasach. Dopiero traktat wymuszony w 1875 r. przez Japonię przerwał pośrednio bezprawia i okrucieństwa, otwierając cudzoziemcom dostęp do brzegów Korei.

Dzięki swej męczeńskiej przeszłości, katolicyzm, choć mały liczebnie, zapuścił głęboko korzenie w serca części ludu korejskiego, gdyż został chwilowo istotnie religią maluczkich i uciśnionych.

V.

Wyjazd z klasztoru. Góry Korejskie.

Po wczesnem śniadaniu przyszedł od przełożonego braciszek i wyprowadził nas z klasztornego zajazdu na wiodący do świątyń dziedziniec. Przez małą furtkę, wybitą w ciemnym murze, ujrzałem przedewszystkiem wązką kotlinę, złotą od jesiennego lasu, pełną różowego świtu, która zlewała się łagodnie z bladym szczytem poblizkim. Błękitne niebo płonęło w górze strzelistym blaskiem wstającego za górami słońca. W dole na złomach skał, na drzewach, na nieprzetartych jeszcze ścieżkach, na głazach, w brunatnych zacieniach budowli bielały puchy nocnej, ściętej na szron wilgoci. Pośrodku, na urwistej, podmurowanej krawędzi potoku stały cichymi rzędami szare, chińskie budowle, piętrzyły się ciężkie, rogate dachy. Wyblakłe malowidła ich wdzięcznie wygiętych okapów, pomierzchła zielono-żółto-niebieska łuska polewanych szczytów, poszczerbiona rzeźba filarów, galeryjek, wiązań, przerznięta gdzieniegdzie

ostrą smugą ocalałej purpury lub błyskiem dawnej pozłoty, zlewały się zgodnie z jesiennym krajobrazem.

Czerwona brama w niewysokim murku roztwiera się przed nami i wstępujemy na drugi z kolei wewnętrzny dziedziniec. Tu oglądamy przedewszystkiem altanę z ogromnemi, pionowemi, kamiennemi płytami we wnętrzu, pokreślonemi gęsto hieroglifami — to pamiątkowe kamienie cesarzów korejskich. Dalej wznosi się wielki pawilon cesarski na czerwonych słupach. Stąd niegdyś władcy korejscy wraz z dworem przypatrywali się uroczystościom, nie mieszając się z tłumem. Idziemy dalej wzdłuż potoku i po kamiennych schodach wstępujemy we wrota, w których na prawo i lewo stoją ogromne, jaskrawo malowane figury. Był tam Tom-ban-czo-nen z zielonemi brwiami i wąsami, z swastyką w koronie, depczący złe duchy; był Pu-pang-czo-nen z kobiecą twarzą, grający na gitarze „jan-gym"; był Saban-cza-khan z dzidą i Nam-ban-czo-nen z błękitnymi wąsami, z wężem w ręku—wszystko znani geniusze buddyjscy na tle pysznie malowanych, pawich ogonów.

Za tą bramą w głębi podwórza widniała druga brama z olbrzymim bębnem na poddaszu. Tędy wiodła droga na dziedziniec, gdzie stoi główna świątynia z 9 złoconymi Buddami. Na zadumane głowy posągów pada z wysokiego malowanego stropu kolorowa łuna czerwieni, złota, zielonych i niebieskich arabesek, padają cienie potężnych słupów, wspaniałych pni cedrowych, odartych z kory, tworząc przepiękny, barwny zmierzch. Przed ołtarzem zwieszają się trzy wielkie, kolorowe la-

tarnie i trzy długie „hak", szerokie wstęgi żółtego jedwabiu.

Następnie zwiedziliśmy cały szereg świątyń pomniejszych, malowanych gorzej i mniej kunsztownie rzeźbionych.

Wszędzie kurz, śmiecie, zaniedbanie. Na poszczerbionych cokułach świątyń suszyły się zioła jadalne i przaśne opłatki, namazane na listki sałaty. Jeden z przedsionków był zawalony chróstem na opał.

Weszliśmy do skrzydła, gdzie 1,000 Budd stoi pod ścianami na pięciu stopniach ołtarzy; na werandzie tej świątyni wisi wielki, stary gong z herbem Korei. Obejrzeliśmy drukarnię klasztorną ze stosami pierwotnych, drewnianych klisz, choć zaszczyt wynalazku metalowych liter ruchomych należy się Korei, gdyż używano ich tu już w 1403 r., wcześniej niż w Chinach i Europie. Wreszcie zajrzeliśmy do mieszkań kapłańskich. Przylegały do małej, ogrzanej świątyni, gdzie mnisi modlili się właśnie. Klęczeli rzędami, ubrani w czarne, japońskie „kirimony" i starożytne, również czarne, ażurowe, japońskie kołpaki; każdy miał zarzuconą przez jedno ramię czerwoną mantylę i w rękach różaniec. Mruczeli półgłosem modlitwy, podczas gdy młodziuchny służka, klęczący na przedzie, bił monotonnie w bęben. Pachniało kadzidłem, ziołami, woskiem drzewnym. Ten sam zapach wypełniał i obszerne, schludne pokoje mnichów, przyozdobione staremi rycinami, kwiatami i zielonemi gałązkami sośniny, wetkniętemi w ładne wazy. Ciepła, ogrzana z dołu podłoga

była wyklejona grubym, naoliwionym papierem, podobnym do pergaminu. Z rozrzuconych na podłodze książek i rzeczy wnoszę, że ich mieszkało razem po kilku. Obok mieściła się kuchnia ciemna i brudna.

Na ogół klasztor smutne robił wrażenie. We freskach, napół-zmytych, w niektórych rzeźbach zmurszałych, w starych odrzwiach, kunsztownie wykładanych drzewem, przebłyskiwały miejscami nieśmiałe cechy odrębnego smaku oraz innej sztuki, ale w całości wyglądał on raczej na zahukanego i zubożałego brata bogatych chińskich oraz wytwornych świątyń japońskich, niż na dzieło samorzutnej twórczości.

A przecie był to klasztor stosunkowo zamożny, starodawny, wspierany przez dwór, gdyż, jak już wspomniałem, opiekowali się nim cesarzowie Koriö; według podań w nim właśnie kształcił się ubogi wieśniak genzański, I-sion-ge, następnie słynny wódz i założyciel panującej obecnie dynastyi. W pobliżu klasztoru pokazują drzewa, jakoby przezeń posadzone i w skarbcu klasztornym przechowują odzież tego króla.

Do klasztoru Sök-oan-sa na wiosnę i w lecie schodzą się pielgrzymi, przyjeżdżają nawet uczeni, aby korzystać dla prac naukowych z klasztornej ciszy i odosobnienia, oraz z biblioteki i z dysput z ojcami świętymi... Nie jest jednak on ani tak odwiedzanym, ani tak bogatym, jak naprzykład klasztor Ton-do-sa w południowej prowincyi Kiön-san-do, albo klasztory Dzan-ań-sa, Phion-uń-sa lub Ju-czion-sa, również położone w górach Dyamentowych. W tych górach kryje się pono do

40 męskich i żeńskich klasztorów, w których mieszka 400 mnichów, 50 mniszek i 1,000 sług świeckich. Większość cierpi biedę, trudni się rolnictwem, hodowlą drzew owocowych, wyrobem papieru, rzemiosłami.

Mnisi i mniszki ślubują celibat, lecz w każdej chwili mogą opuścić klasztor bez przeszkody. Golą głowy i przed postrzyżeniem poddawani są próbie ognia przez trzymanie na dłoni płonącej hubki aż do jej zagaśnięcia. Według japońskiego kronikarza, Otano-Kigoro[1]), najważniejszymi klasztorami buddyjskimi w końcu XVIII stulecia były Nam-hań i Puk-hań, w stołecznej prowincyi Kiön-gyj-do, niedaleko Seulu. Założone zostały przez mnichów-żołnierzy i miały załogi do 1,500 ludzi.

— Dawniej takich klasztorów było dużo. Kiedy nieprzyjaciel kraj nachodził, okoliczni mieszkańcy chowali się z dobytkiem za ich mury. Nawet cesarzowie wraz z dworem chronili się w nich w czasie wojny!...— mówili mi Korejczycy. Na kupionej przeze mnie fotografii klasztoru Nam-hańskiego widać jedynie wysoki, złożony z głazów mur, w nim małą bramę, a nad nim parę krzywych dachów. Mieli ci mnichowie-żołnierze (sion-guń) chwilami wielkie, dziejowe znaczenie i swoich Kordeckich. W 670 roku (po N. Ch.) buddyjski mnich podnosi rokosz przeciw zwycięskim Chińczykom i przy pomocy Japończyków oswabadza od nich na

---

[1]) Pamiętnik Otano-Kigoro w tłomaczeniu P. Dmitrewskiego, str. 77.

Klasztor Sök-oan-sa.

czas jakiś część Korei. W X wieku mnisi buddyjscy pomagają znów czynnie zjednoczeniu oddzielnych państewek półwyspu w jeden związek pod berłem dynastyi Koriö [1]). Wdzięczni monarchowie otaczają ich szczególną opieką. W czasie najścia Mongołów (w 1232 r.) król wraz z dworem chroni się do klasztoru Kań-hoa na wyspie tej samej nazwy. I nawet później, już po upadku buddyzmu, korejscy królowie od czasu do czasu szukają schroniska w ich górskich warowniach, dokąd na dane hasło gromadzą się mężni, okoliczni myśliwcy na tygrysy. Do ostatnich czasów ci zapoznani buddyjscy „Kawalerowie Mieczowi“ nieśli swą krew na zawołanie ojczyzny. Jeszcze w 1866 r. odparli oni zwycięsko szturm Francuzów do tego samego klasztoru na wyspie Kań-hoa, gdzie dwór ongi schronił się przed Mongołami.

Serdecznie żegnany przez brać klasztorną i przeora, opuściłem w południe gościnny Sŏk-oan-sa.

Pogoda popsuła się. Szare mgły, tocząc się ze szczytów, dopędzały nas co chwila w drodze na podgórzu, obrzucały przejmującą wilgocią i płynęły dalej przez las obmokły i poczerniały. W wąwozie było zacisznie, ale na górze wiatr pomiatał drzewami. Po paru godzinach wędrówki wyszliśmy z gęstwiny na skraj obszernej, sfalowanej doliny. Była to ta sama okolica, którą oglądałem przed paru dniami w blaskach słońca

---

[1]) Od tej dynastyi pochodzi europejska nazwa półwyspu — portugalska „Coria“ z XVI wieku.

z przełęczy Tan-sa-koge. Jakże brzydką wydała mi się teraz pod chmurnym, nizko opadłym stropem. Bure pola, łyse wzgórza ciągnęły się długimi rzędami od gór do gór. Widnokrąg zamykały wszędzie wały szczytów, tonących w tumanach. W tej ciemnej, wielkiej jak step piwnicy, zasnutej smugami dżdżu, jedynie na południu bielała wązka szczelina wylotu między dwiema końcowemi skałami czarnych urwistych wyniosłości. Chwilami w tem okienku poprzez mgły, jak poprzez płachtę mokrego żagla, błyskało słońce. Cała płaskowyżyna wznosiła się stopniowo w tym kierunku; tam wiódł przesmyk za pierwszy zwój głównego górskiego łańcucha.

Dążyliśmy ku niemu poprzez pola, marnemi ścieżkami wzdłuż potężnej ściany gór Dyamentowych, wznoszących się nad nami co najmniej na 2,000 stóp. Ograniczały one dolinę z północo-zachodu, ich mur miedziano-granatowy urywał się właśnie na samym przesmyku. Z blizka stoki ich, porosłe czerwonym jesiennym dębnikiem, wydawały się jakby objęte pożarem. Łańcuch, zbliżający się ku nim pod kątem od strony przeciwnej, był znowu pstry, jak skóra daniela, od białych osypisk wietrzejących granitów. A wszystkie zbocza wokoło pokryte były licznemi guzowatemi wypukłościami, piętrzącemi się cudacznie, niby stosy małych kraterów.

Jest to wogóle kształt, właściwy górom Korejskim. Spotykałem go i na wybrzeżach, i w środkowej Korei, i na krańcach północno-wschodnich, i na zachodzie, i na południu. Jest tak uderzająco dziwny i odrębny,

iż głęboko zapada w pamięć. Często stoki wydają się jakby stoczone trądem albo owrzodziałe i straszą dziką nieprzystępnością, nie tyle przez swe urwiste zręby, głębokie pęknięcia lub strugi bezładnych rumowisk, co przez niezliczone szeregi niewielkich wklęśnięć, rzuconych na boki gór, jak sieć wilczych dołów. Wszystko to szczerzy się, gnie, ostro odrzyna, skaliste i poczwarnie nagie, gdyż, z wyjątkiem północnego pasa, w całej Korei *wcale niema lasów*. Na szerokościach Genzanu pojawiają się one jedynie w kształcie odosobnionych gajów i borów na dnach zacisznych dolin.

Na górach rosną co najwyżej krzaczaste zagajniki, a wyższe szczyty zawsze i wszędzie są nagie. Wątpię, aby na nich cośkolwiek rosło nawet w owych bajecznych czasach, kiedy to cała Korea, według zdania krajowców, miała być pokryta gęstą szczeciną niebotycznych puszcz. Wyniosłości Korei są na to za jałowe. W dodatku półwysep leży na drodze wiatrów, jakie w ciągu roku ląd stały Azyi zamienia z oceanem Spokojnym, na linii musonów, w zimie dmących z północy i zachodu, a w lecie z południa i wschodu. W zimie są one suche i zimne, a w lecie wilgotne i też zimne, rozumie się że względnie do temperatury mocno ogrzanego lądu. Wiadomo zaś, że nic tak nie szkodzi wysokopiennym roślinom, jak gwałtowne spadki temperatury i dokuczliwa wichura. Lasy wskutek tego mogły rosnąć i dawniej jedynie w dolinach i to nie wszędzie, gdyż są doliny bezludne, nieuprawne, gdzie zniknięcia

puszcz niepodobna objaśnić wykarczowaniem i pożarami, a jednak bezleśne.

Krajowa legenda o dawnych nieprzejrzanych, cedrowych, cyprysowych i dębowych borach prędzej wskazuje, że istotnie znaczna część ludności przyszła z okolic leśnych, mianowicie ze wschodniej Mandżuryi.

Góry Korei mało są jeszcze zbadane, ale z kierunku rzek oraz ich wielkości należy wnioskować, iż niezliczone pasma skaliste, węzły, grzbiety i łańcuchy, wypełniające półwysep, zlewają się w głębi lądu w potężny, jednolity wał, idący z północy na południe, niby kość pacierzowa krainy. Poczyna się on w Mandżuryi na wysokiej płaskowyżynie, uwieńczonej wygasłym wulkanem Päk-tu-sań (8,000 stóp nad poz. m.); stąd wypływają trzy wielkie rzeki: Sunga-gari — na północ, Amok-kan (po chińsku Jalu) — na zachód i Tu-mań-han—na wschód. Poczynając od Päk-tu-sań-skiej płaskowyżyny, wypukłość korejska stopniowo zniża się ku południowi, przybierając jednocześnie coraz wyraźniejsze cechy górskiego łańcucha, którego linia szczytowa przechodzi bliżej wschodniego brzegu półwyspu i których stoki wschodnie stromiej opadają ku morzu, niż stoki zachodnie. Ten wał górski znany jest w swej części środkowej i południowej pod nazwą gór Dyamentowych (Kym-hań-san). Na północy mają one do 5,000' wysokości, na południu zniżają się do 3,000'; tam ich linia szczytowa przechodzi środkiem lądu i dzieli go na dwie prowincye, niegdyś dwa oddzielne państewka: Silla i Päk-cżie.

Odpowiednio do charakteru stoków głównego łańcucha górskiego różnią się i wybrzeża półwyspu koreiskiego oraz spływające po nich rzeki. Wybrzeża wschodnie są strome, opoczyste, mało mają wcięć, zatok i wysp; morze tuż koło lądu posiada znaczną głębokość (koło 10 sążni). Przeciwnie, stoki zachodnie, łagodniej zbiegające ku morzu Żółtemu, ciągną się daleko pod jego falami w kształcie olbrzymich mielizn ilastych, obnażających się na setki mil kwadratowych w czasie odpływu. Większe wypukłości tworzą tam labirynt drobnych i dużych wysp, szeroką koronką okalających ląd stały i maskujących jego istotną granicę. Żeglowanie u tych brzegów jest bardzo niebezpieczne i wymaga dobrych retmanów.

Rzeki wschodnich wybrzeży są krótkie i mają raczej charakter górskich potoków, z wyjątkiem rz. Nakton-hań, płynącej na południe równolegle do końcowego cyplu głównego łańcucha.

Przeciwnie rzeki zachodnich wybrzeży są o wiele dłuższe, lepiej zasilane w wodę, w dolnym biegu są zwykle spławne i płyną w dolinach bardziej otwartych. Do ważniejszych należą: Chań-hań, nad którą stoi miasto Seul i Tä-don-hań, nad którą leży miasto Phiön-jan.

VI.

Dolina Anbion'u. Rolnictwo.

Pola, pola bez końca... Rude role i rude rżyska, przecięte licznymi jarami, w których płyną bystre potoki. Na potokach zawsze te same garbate mostki na cienkich nóżkach, nad potokami zawsze te same szare wsi, chaty zbudowane z mułu i kamienia, nakryte słomianemi strzechami.

Maleją one i zapadają się tem głębiej w wąwozy, im wyżej wznosi się ogólny poziom doliny. Wreszcie okolica wydaje się zupełnie bezludną pustynią, przez którą samotnie biegnie od miasta Anbion [1]) ubogi, opuszczony telegraf.

An-bion, stolica powiatu, pozostał daleko za nami Słynie z wyrobu papieru oraz prowadzi handel ryżem,

---

[1]) Korejczycy piszą An-pion, gdyż w korejskiem abecadle niema litery *b*, lecz *p* po *m*, *n*, *l* wymawia się jak *b;* z tego powodu pisownia An-bion została przyjęta na mapach europejskich.

grochem, bobem... Doprawdy nie wiem, skąd bierze ich nadmiar, gdyż cała okolica, choć skrzętnie uprawna, wygląda na bardzo kamienistą. Oprócz niezliczonej ilości drobnych kamieni, rozsypanych na polach, czernieją tam gęste, wielkie archipelagi głazów, całe ich stosy i smugi, wśród których wązkie, orne pola wiją się kapryśnie, jak morskie cieśniny i zatoki.

Z czasem przekonałem się naocznie i dowiedziałem, że stan taki nie jest wcale wyjątkowym, owszem powszechnym w całej Korei.

Korea jest krainą przeważnie skalistą—ogromnym, jednolitym głazem, wysuniętym, jak to wzmiankowałem już powyżej, daleko w morze i pogrążonym zachodnim swym bokiem głęboko w morskie błota, podczas gdy wschodni sterczy na trzy do pięciu tysięcy stóp nad poziom oceanu. Rysy, pęknięcia, szczerby i szczeliny, wklęśnięcia i wypukłości tej potwornej skały odpowiadają swymi rozmiarami jej wielkości, tworząc górskie łańcuchy, wąwozy i doliny.

To porównanie sięga o wiele dalej, niż zwykła literacka przenośnia. Geologiczne badania Korei wykazują przedewszystkiem wielką jednolitość jej budowy, przewagę skał archejskich: gnejsów i łubków łyszczkowych, pokrytych z wierzchu cienką powłoką warstw późniejszych, niby kurzem lub namułem, osiadłym na rozmytej płycie kamiennej.

Podróżnika - niespecyalistę uderza przedewszystkiem ogromna ilość skał wybuchowych: granitów, bazaltów, law oraz grubych częstokroć warstw i gniazd

pomeksu, piasku i pyłu wulkanicznego. Granity tworzą niepoślednie łańcuchy górskie, bazalty, wysokie opoki, lawę widać wszędzie. Czasami są to olbrzymie, samotne głazy, jakby świeżo upadłe wśród pola lub na stok pagórka; gdzieindziej kupy bezładnych pocisków, rzuconych na dolinę z wielkiej odległości; owdzie drobniejsze jej złomy, ostre i lśniące, jak szkło butelkowe, tworzą obszerne rozsypiska, długie grzędy i wały, jakby zepchnięte gwałtownie przez wielkie ciężary, podobne z układu do moren lodowcowych, choć lodowców niema w Korei, i dotychczas nie odkryto ich śladów w przeszłości.

Wogóle powierzchownia Korei w wielu miejscach wygląda, jak ogromne, świeże rumowisko, pełne spękanych ruin górskich lub spiętrzonych urwisk o niezupełnie ustalonej równowadze, wielce podobnych do wiecznie drżących wiszarów Japonii. Tymczasem Korea nie zna wcale trzęsień ziemi. Wśród mieszkańców niema nawet podań o tem zjawisku, z wyjątkiem wyspy Quelpart, gdzie w początku XI stulecia, według kronik chińskich, miało miejsce kilkudniowe kołysanie się ziemi i nagłe wzniesienie się szczytu góry Hanrla-san [1]).

---

[1]) Górzysta wyspa Quelpart, po korejsku Cże-cżju, leży o 100 mil mor. od południowego brzegu półw. Korejskiego. Prawie w jej środku wznosi się wysoka na 6,000 stóp góra Hanrla-san, zwana przez Europejczyków g. Auckland. Na jej szczycie, według opowieści krajowców, są trzy obszerne kratery, pełne obecnie wody. Mieli tam mieszkać pierwsi ludzie, oj-

O burzliwej przeszłości lądu korejskiego świadczy obecnie jedynie jej chaotyczne, skaliste zwały oraz wielka ilość wygasłych na zawsze kraterów. Jeden z nich, doskonale zachowany, widziałem nawet na łagodnej pochyłości doliny Anbiońskiej. Był to piękny cyrk, porosły darniną, samotnie wznoszący się wśród płaskich niw, niby wielka reduta. Przez pęknięcia w jego skalistym pierścieniu dostrzegłem w samym kraterze rolnika, spokojnie orzącego dno zasklepione od wieków. Z krawędzi szczytu chyliły się ufnie ku wnętrzu dwie krzywe sosny.

Z powodu obfitości kamieni gruntów ornych w Korei jest w rzeczywistości o wiele mniej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Niektóre pola są literalnie usiane nimi, choć wieśniacy wciąż zbierają je skrzętnie. Gdym po raz pierwszy zobaczył takie pole obierane z kamieni, nie rozumiałem, co to jest i przypuszczałem, że na tem miejscu ma stanąć jakiś budynek. Całe było zastawione stosami polowca. Wynoszą go następnie na miedzę, przydroże, lub zrzucają do dołów i moczarów. Są nieszczęśliwe rodziny, zmuszone rok rocznie usuwać

cowie rodzaju ludzkiego. Cała wyspa, usłana złomami bazaltu i lawy, słynie z urodzajności, pięknego klimatu, bujnej roślinności oraz pięknych, silnych, półdzikich kucyków, wywożonych nawet do Europy. Mieszkańcy używają opinii dzikich i nieobyczajnych. Znaczna ich część pochodzi od zsyłanych tu z dawien dawna zbrodniarzy. Powierzchnia Quelpartu wynosi około 1,850 kilom. kwadr., ilość mieszkańców sięga 100,000; liczba kobiet znacznie przewyższa mężczyzn.

na plecach setki stóp tego nieprzyjaciela, inaczej pola ich w krótkim czasie wyjałowiałyby do szczętu i znikły pod skorupą głazów, nieustanie wyłuskujących się ze spulchnionej gleby, jak rodzynki lub migdały z ciasta. Powtarzam, że dolina An-bion'u nie wydała mi się wcale wyjątkową, owszem, może tam nawet mniej było kamieni, niż gdzieindziej, gdyż bez przesady twierdzić mogę, że nawet na zachodniem pobrzeżu Korei nie widziałem nigdzie gruntów zupełnie wolnych od plagi kamiennej.

Poczęści z tego powodu, ale przeważnie z biedy, motyka (chomi) pozostaje dotychczas głównem narzędziem rolniczem tubylców. Jest ona prarodzicielką pługa korejskiego i przedstawia wielkie, krzywe, metr bez mała długie i ze 20 centymetrów szerokie żelezce, nasadzone pod ostrym kątem na piętę trochę dłuższej od niego rączki. Używają jej na całym Dalekim Wschodzie, w Chinach i Japonii. Nie jest ciężką, ale wymaga przy robocie przykrego pochylania się bardzo nizko nad ziemią. Doskonałą jest w uprawie ogrodowej, gdyż podcina głęboko korzenie chwastów i ułatwia ich trzebienie. Krzywizna i sprężystość jej ostrza pomaga omijać, spotykane w głębi ziemi, twarde przeszkody oraz pozwala w razie potrzeby przenikać w szczeliny między niemi. Stąd wyborna jest do karczunku i wykopywania kamieni. Pług (katagi) korejski jest w istocie rzeczy taką samą motyką, jedynie większą i zaprzężoną w wołu; pług większy dla pary wołów przedstawia już narzędzie doskonalsze i, o ile mogłem zauważyć, ściśle naśladuje

pług chiński. Do kopania ugorów, rowów i dołów Korejczycy używają już zupełnie własnego wynalazku. Czynią to za pomocą dużej łopaty (czol-ga-re), do której przywiązane są dwa sznury. Kopacz wtyka ją w ziemię, poczem stojący przed nim o kilka kroków pomocnicy ciągną ją sznurami do siebie. Pozwala to wyważyć z miejsca znaczne ciężary i w kamienistej Korei jest może odpowiednie, lecz Korejczycy wskutek przyzwyczajenia kopią tak nawet ziemie miękkie w kraju Usuryjskim.

Pomimo braku dobrych narzędzi pola w Korei są o wiele lepiej uprawne, niż w Rosyi, a nawet w Niemczech. Ustępują one jednak wiele pod tym względem polom chińskim i japońskim, gdzie robota doprowadzona jest do mistrzostwa, gdzie niwy sprawiają wrażenie wprost artystyczne szczytem swej bujności, doskonałem wyzyskaniem warunków światła, ciepła, wilgoci i gleby, szczególną pieczołowitością w obejściu z każdem niemal źdźbłem, które wydają się delikatnemi paniętami, wychowanemi w rozkoszy i wygodzie.

Niwy korejskie nie robią tego wrażenia; w ich rolach, czy to wskutek właściwości tamtejszego gruntu, czy przyczyn historycznych, nie dają się wyczuwać te miliony miłosnych dotknięć rąk czułych i pracowitych, które urobiły ziemie chińskie i japońskie w twory dziwnie posłuszne, układające się łatwo i jednakowo w skiby równiutkie według woli i potrzeb oracza. Uprawne rośliny korejskie są również jakieś... nieokrzesane, miejscami wprost zaniedbane, źle odżywiane, niedość

zabezpieczone od napaści wichrów i wody. Często spotykałem zasiewy rozmyte przez powodzie, wpół zasypane przez piach, widziałem ryż bardzo splątany, poczerniały i wbity w błoto ulewą, widziałem na zagonach chwasty i późną jesienią zboża przejrzałe na pniu.

Na południu półwyspu pola są mniejsze, staranniej uprawne i w obejściu się z roślinami łatwo wyczuć wpływy japońskie; na północy i zachodzie całkowicie panują sposoby i zwyczaje zapożyczone z Chin północnych i Mandżuryi. Przeważają też tam pola zaorane w długie, zlekka wygięte zagony, obsadzone na miedzach drzewami oraz obszerne pola ryżowe, okolone wysokiemi groblami.

Nawozów używają Korejczycy mniej, niż ich bogatsi sąsiedzi, i o wiele gorszego gatunku. W całym kraju znane są mierzwy bydlęce, nawozy ludzkie, próchnica, popiół, wapno oraz wzmacnianie roli w azot przez zasiew bobu, ale użyźniać pola ryżowe za pomocą kompostów rybich zaczęto dopiero niedawno w prowincyach południowych za przykładem kolonistów japońskich. Nawozów zielonych, stosowanych z powodzeniem już w całej Japonii, Korejczycy nie znają dotychczas.

Jeżeli mimo to urodzaje w Korei wypadają pomyślnie, a nawet świetnie, przypisać to należy wielkiej żyzności wulkanicznej gleby korejskiej, zasycanej wciąż przez gwałtownie wietrzejące gnejsy i granity oraz obfitej wilgoci długiego i ciepłego lata.

Średnia wydajność zasiewów w Korei północnej dochodzi [1]):

	sam:		sam:
Czumida (rodzaj prosa) od	120—150	zły urodz.	30
Kukurydza	80— 60	„ „	15
Ryż	50— 20	„ „	5,6
Jęczmień	30— 20	„ „	3,5
Bób	60— 20	„ „	5,6

A więc nawet w złe lata plenność zboża w Korei dorównywa prawie średniemu urodzajowi europejskiemu.

Podstawę korejskiego rolnictwa bezwarunkowo w całym kraju stanowi uprawa ryżu. Na oko pola ryżowe zajmują dwie trzecie, jeżeli nie więcej, przestrzeni uprawnych i wdzierają się na takie wysokości, na jakich nie spotyka się ich ani w Chinach, ani nawet w Japonii. Widziałem je również w szczelnie zamkniętych, górskich kotlinach, gdzie nie przepływał żaden potok i mowy być nie mogło o sztucznem zraszaniu. Ton-sà objaśnił mię, że zalewają je wody wiosenne, których dopływ, ilość i pobyt jest regulowany za pomocą całego systemu dowcipnych kanałów. Gdzieindziej widziałem rezerwoary do zbierania i przechowywania wód deszczowych i wiosennych, przeznaczonych na zasilanie pól. Istnieje zresztą w Korei gatunek ryżu górskiego (oryza montana), który wcale nie wymaga nawodnienia, zadawalając się wilgocią, jaką czerpie z po-

[1]) „Opis Korei", wyd. minist. skarbu. T. II, str. 121.

wietrza i dżdżów. Niegdyś rósł dziko, i dzikie jego osobniki dotychczas można znaleźć na wierzchołkach gór korejskich. Ma on ziarno drobne, ale twarde, oporne na wpływy atmosferyczne i dlatego zakupywany bywa do magazynów wojskowych. Gdy ryż z nizin przy sprzyjających okolicznościach przetrwać może lat pięć, ryż górski nie psuje się nawet w ciągu lat dziesięciu [1]).

Głównie jednak uprawiane są dwa inne gatunki: ryż zwykły, siewny (oryza sativa, po korejsku — tap-kok) i ryż kleisty (oryza glutinosa, po korejsku—czun-kok). Oba są błotne i wymagają jednakowej hodowli, lecz pierwszy lepiej plonuje w nizinach, podczas gdy drugi woli pola wyniosłe i stoczyste. Aby na tych polach utrzymać czas jakiś wodę na poziomie wymagalnym, Korejczycy wzorem swych nauczycieli zachodnich ścinają zbocza gór w kształcie wielkich tarasów, otoczonych niewysokim zrębem glinianym. Nie czynią tego jednak z takiem mistrzostwem, jak Japończycy. Pola ich mają kształt niezgrabny i nie są trwałe; widziałem je często napół zasypane kamieniami, żwirem, lub zrujnowane przez powodzie górskie.

Na zasiew używają krajowcy najlepszego ziarna ryżu, wybranego przy pomocy powszechnie znanego na Wschodzie sposobu. Wrzucają je do określonego procentowo roztworu zwykłej soli, poczem usuwają te, co spłynęły, a opadłe na dół sieją gęsto w ogrodzonych

---

[1]) Hamilton: „Korea", str. 124.

płotkami rozsadnikach, starannie choć niegłęboko skopanych i suto umierzwionych. Dzieje się to zwykle w miesiącu maju (w początkach *czwartego* księżyca koreiskiego). Po zasianiu rozsadniki są niezwłocznie zalane wodą na 2—3 cali głęboko; wodę od czasu do czasu spuszczają, aby ziarna zetknęły się z powietrzem. Ryż kiełkuje i puszcza pióra pod wodą. Gdy już dostał trzeciego liścia, wodę usuwają zupełnie. W miesiąc lub sześć tygodni po zasiewie rozsada gotowa jest do przesadzenia. W czerwcu pola muszą być uprawne do jej przyjęcia. Przekopane lub przeorane starannie stały one długo przedtem pod wodą i zamieniły się w błota. Rozsada pęczkami po 5 — 7 roślinek sadzi się to w błoto w odległościach metrowych. Cała rodzina zwykle bierze udział w tej robocie, pracując po kolana w bagnie. Należy się spieszyć, aby słońce nie zabiło roślinek, zanim można będzie znów pokryć je wodą. Pod wodą rozsada przychodzi do siebie, wzmacnia się i chyżo rośnie w górę. Kwitnie w końcu sierpnia lub początkach września a dojrzewa w październiku (dziewiątego korejskiego księżyca). Dojrzała niwa ryżowa w rok urodzajny ma piękny, miedziano-złoty kolor. Ciężkie kiście zbożowe zwieszają się i pokładają na siebie. W lato dżdżyste słoma ryżowa czernieje i ryż często wylega. Ziarno traci wtedy wiele na swojej wartości, smaku i wadze; przejrzysta jego perłowość mętnieje. Za długi pobyt w pokosach również obniża wartość i wydajność ziarna. Zaznaczyć muszę, że zbioru dopełniają Korejczycy o wiele gorzej, niż Japończycy, rzucają garście

na ścierniskach wprost na grunt wilgotny, nawet w wodę, kozłów, używanych w Japonii do suszenia snopów, nie widziałem nigdzie w Korei. Ryż powiązany albo składają w małe, okrągłe kopy, nakryte jednym snopem lub zwożą odrazu do wiosek, gdzie go wkrótce młócą. Dlatego to pewnie, bez względu na doskonałe warunki przyrodzone i wyborną odmianę rośliny, ryż korejski dotychczas nie dorównywa przednim gatunkom ryżu japońskiego.

Korejczycy twierdzą, że uprawa ryżu przyszła do nich z Chin, z prowincyi Haram, w czasach zamierzchłej przeszłości, coś na 2,800 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Prawdopodobnie jednak przyniesiony on został do Korei w 1122 roku przed Nar. Chr. przez niejakiego Ki-cża, naczelnika wychodźców chińskich, którzy w owym czasie tłumnie osiedlili się w północnej części półwyspu. Zdaje się, że w owej też epoce przybyły do Korei jęczmień, pszenica oraz inne zboża, gdyż przedtem znano tam jedynie odmiany południowego prosa (czumidze, po korej.—czo [1]).

Obecnie wszystkie te zboża, choć udają się wybornie, grają podrzędną wobec ryżu rolę. Jęczmień (po korejsku—pori, albo imo) ceniony jest może więcej od innych, jako pożądany przedmiot w handlu wywozowym oraz ziarno najpierw dojrzewające po wiosennym przednówku. Pszenicę (po korejsku—cchamiri, albo—cinmajegi) sieją jarą i ozimą; tę ostatnią zwykle na po-

---

[1]) A. Hamilton: „Korea", str. 123.

lach ryżowych natychmiast po jego zbiorze. Wtedy dojrzewa ona w maju roku przyszłego i uwalnia pole do następnego ryżu, dając możność dwóch zbiorów do roku z jednego miejsca. Gdym przejeżdżał w październiku, już ona wzeszła i ruń jej miejscami tworzyła bujne, wysokie grzywy. Ozimego jęczmienia nie widziałem, ale słyszałem, że go Korejczycy sieją. Na północy uprawiają oni owies (po korej.—kuimiri, albo—imajegi) głównie na sprzedaż do Władywostoku, dokąd spławiają rok rocznie do 12,000 pudów; z owsianej słomy wyrabiają słynny papier korejski. Proso ma po ryżu zapewne największe znaczenie w gospodarstwie korejskiem. Jest go kilka gatunków: proso delikatniejsze, żółte (kicangi), drobne i nizko rosnące, które jedzą i ludzie; pośledniejsze (cchapssari, finadi), czerwone, drobne, wysokie, nareszcie proso ciemne, prawie granatowe (po chiń.—gaolian, po korej.—su-su), o ziarnach wielkich jak groch i krzaczastej, grubej jak trzcina łodydze. Ta ostatnia odmiana służy za paszę dla bydła, a z jej badyli budują płoty i domy oraz używają ich na opał; z liści plotą maty.

Prócz tego sadzą Korejczycy kukurydzę (ok-siuk-ki albo ok-su-su) i znają podobno żyto, choć nie widziałem go w wioskach i nie znalazłem wcale w Seulu na rynku zbożowym.

Z jarzyn najbardziej rozpowszechnione są rozmaite gatunki grochów (uon-du) i bobu (khoni). Hamilton podaje aż 13 odmian okrągłego bobu, dwa rodzaje sza-

blastego i pięć odmian bobów mieszanych. Bodaj czy niema ich więcej; w składach seulskich widziałem ich bardzo dużo najrozmaitszego kształtu, koloru i przeznaczenia. Były tam grochy i boby, używane wyłącznie na paszę dla koni, oraz inne, z których wyrabia się olej, soja, mąka na ciastka, był pomarszczony dziwacznie „bób-dziadek“ i „bób-orzech“ z prowincyi wschodnich.

Niepośledną również rolę odgrywa na półwyspie uprawa włoszczyzny: rzodkwi, rzepy, marchwi, cebuli, czosnku oraz pieprzu tureckiego, bakłażanów, pomidorów, tykw, bań, ogórków, kawonów i t. d. Kartofle mało są znane i uprawa ich długo była przez rząd wzbroniona, gdyż, przywiezione przez misyonarzy, uważane były za roślinę chrześcijańską, przewrotową. Wcale też niema w Korei kapusty. Wzamian sadzą tutaj moc rosłej, podłużnej, chińskiej sałaty „pe-ccu“ (po korejsku), którą kwaszą i spożywają, jak kapustę.

Śmiem twierdzić, że z ogrodowizn Korejczycy zużywają najwięcej tej sałaty oraz białej, gorzkiej rzodkwi. W Seulu, na targu, niedaleko Dżon-no, widziałem góry obu i żaden obiad, który jadłem, nie obszedł się bez ryżu i kwaszonej rzodkwi; nie spotkałem ani jednej wioski, koło której nie zieleniałaby grzęda sałaty.

Na czele przemysłowych roślin korejskich należy umieścić bawełnę (syo-mi, menca, sokhajö). W bawełnę wyłącznie ubiera się cała ludność półwyspu, gdyż jedwab znacznie mniej jest tam używany, niż w Japonii i w Chinach, a wełna wcale nie jest znaną. Według

Reclus'a[1]) uprawa bawełny wprowadzona została do Korei zaledwie od 80 lat; Griffis[2]) i Hasse-Wartegg[3]) twierdzą, że hodowana była już w XVI stuleciu, w czasie drugiego najścia Japończyków. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że przedostała się tam z Chin, co potwierdza jej gatunek i sposób uprawy. Choć krzew bawełniany jest rośliną wieloletnią, lecz zarówno w Korei, jak w Chinach traktowany jest jako jednoletni. Pole skopane i starannie uprawne ludzkim nawozem oraz popiołem z bawełnianych łodyg, zasiane zostaje w końcu kwietnia, poczem gospodarz nie zagląda do niego aż do chwili zbioru, chyba że między bawełną zasiał rzepę, rzodkiew albo nasiona kunżutu. Bawełny nie pelą i nawet nie zraszają w czasie suszy. Zasiewają ją zwykle na nieużytkach, na żwirkach lub stromych pochyłościach, niezdatnych do uprawy zboża. Niewymagająca roślinka już dziesiątego dnia ukazuje się nad powierzchnią i szybko dorasta wysokości 2 i więcej stóp. Kwitnie w sierpniu. Każdy krzaczek daje około 40 torebek nasiennych, pełnych żółtawego puchu. Watę zbierają w październiku, listopadzie i później, zależnie od pogody. Widziałem w połowie tego miesiąca pola jeszcze nieobrane. Następnie krzewy zostają wyrwane i idą na opał, co też ma ważne znaczenie w bezleśnej Korei. Około pół miliona morgów zajmuje rocznie za-

---

1) „Nouvelle Géographie Universelle", VII, p. 674.
2) „Corea, the Hermit Nation", p. 152.
3) „Korea", p. 210.

siew bawełny, wszakże ilość ta z roku na rok zmniejsza się, gdyż dowóz z Japonii taniej przędzy bawełnianej i waty zabija produkcyę miejscową. Korea obecnie podobno spożywa 1,300,000 funtów własnej bawełny surowej.

Lnu wcale nie znają w Korei. W północnej części półwyspu sieją konopie (maca, sami), w południowej pokrzywę japońską (po korejsku — siö), z których wyrabiają grubą i rzadką tkaninę, noszoną w czasie upałów i w... żałobę. Pokrzywy nie sieją na polach, lecz w ogrodach wśród krzewów morwowych lub innych.

Znaczne dochody daje Korejczykom hodowla rośliny leczniczej żeń-szenia (panax ginseng, po korejsku — sam). Wartość ma wyłącznie jego korzeń. Przypisują mu własności cudowne przedłużania życia i nieledwie odmładzania starców. Jest rzeczą godną uwagi, iż te rzekome jego własności pozostają w ścisłym związku z kształtem rośliny podobnym do człowieka. Jedna z bajek korejskich opowiada, iż synowa uratowała życie teścia zupą, ugotowaną z własnego syna; dzięki cudowi bonzy dziecko ocalało, zastąpione przez korzeń żeń-szenia. W istocie jest to środek pobudzający, do którego można się przyzwyczaić, jak do opium, lub morfiny [1]). Opowiadano mi, że jego nadużycie sprowadza obłęd, a następnie śmierć. M. A. Pogio twierdzi, że wywołuje on choroby zapalne [2]), Nadzwyczaj

---

[1]) Używają zwykle spirytusowej nalewki żeń-szenia.

[2]) „Korea“, wydanie niemieckie, str. 110.

poszukiwany jest korzeń dzikiego żeń-szenia, który zdarza się jeszcze znaleźć w odludnych ostępach Mandżuryi i Korei północnej. Za taki korzeń płacą Chińczycy bajeczne sumy, do kilku tysięcy dolarów za sztukę. Do rąk prywatnych dostaje się on jedynie jako kontrabanda, gdyż uważany jest za własność dworu cesarskiego w Chinach i królewskiego w Korei. Korzeń dzikiej rośliny jest duży, długości od jednej do 4 stóp i grubości $1^1/_2$ do $2^1/_2$ cali średnicy. Korzeń uprawnego żeń-szenia o wiele mniejszy i *tysiąc razy* tańszy. Uprawą jego trudnią się przeważnie w prowincyi stołecznej Kiön-gyj-do i w południowej Kiön-sań-do. Tam często można zobaczyć otoczone płotami niewielkie morgowe plantacye tej rośliny. Są one zaorane w wysokie zagony, na paręset stóp długie i do czterech szerokie. Każda grzęda nakryta od strony południowej pochyłym, nizkim daszkiem z rogoży, gdyż żeń-szeń znosi doskonale zimno, nawet mrozy, ale nie lubi światła. Ziemia odpowiednio wybrana powinna być dobrze uprawna próchnicą z liści, zmieszaną z piaskiem. Każda roślina jest wciąż starannie okopywana, opielana i zażywiana; wykopują ją najczęściej dopiero w czwartym roku, ale często pielęgnują znacznie dłużej, do lat 10, gdyż im jest starszą, tem ceni się drożej. Po wykopaniu gotują korzenie długo w wodzie, suszą w suszarniach, ogrzewanych węglem, oczyszczają z drobnych przyrostków, zwijają każdą sztukę oddzielnie w papier i pakują do niedużych koszyczków po 10 funtów każdy. Koszyczki zrewidowane i oplombowane przez

urzędników celnych, układają się po 12 sztuk do wielkiego kosza i idą dopiero na sprzedaż. Płacą za każdy kosz od 12 do 14 tys. dolarów, zależnie od sezonu i gatunku żeń-szenia. Zwykły czerwony korzeń (hon-sam) mniej jest ceniony, niż żółtawy, skoro oba zostały wygotowane; jeszcze tańszy jest biały, niewygotowany, używany wyłącznie w samej Korei. Wywóz pierwszych dwóch gatunków jest wzbroniony dokądkolwiek, za wyjątkiem Chin.

Ilość wyprodukowanego żeń-szenia sięga w Korei rocznie 50,000 funtów. W 1897 roku urodzaj jego oceniono na 1,200,000 dolarów.

Oprócz żeń-szenia i bawełny sadzą Korejczycy w znacznej ilości tytoń (tambe), który dostał się tu z Japonii w XVI stuleciu i jest obecnie w powszechnem użyciu, palą go kobiety i mężczyźni, nawet dzieci.

Sadów w Korei mało, ale koło każdej wioski dostrzedz można gaj słodkich kasztanów (chuanniuri), a u wielu chat pojedyńcze drzewa owocowe, lub małe ich grupy. Przeważa kaki (separys kaki, po korejsku— kaam), owoc czerwony, jabłkokształtny, miękki, smaczny i zdrowy. Korejczycy sprawiedliwie szczycą się swojem kaki, które jest o wiele smaczniejsze od japońskiego. Prócz tego są tu gruszki (paje, cham-paje), jabłka (nyngimi-kemi), śliwki (ueci), brzoskwinie, morele, pistacye, orzechy i dość dobre winogrona (phodo, morgu-i), choć wogóle owoce mają w Korei smak nieszcze-

gólny, są wodniste i nie pachną[1]). To samo dzieje się z kawonami, melonami, ogórkami i dyniami, które nawet z dobrych nasion wyradzają się niezwłocznie w wielkie, wodniste, niesmaczne, pełne nasion baniska. Winogrona dojrzewają w całej nawet północnej Korei. Rośnie tu też morwa, drzewo papierowe i woskowe oraz rośliny farbiarskie: polygonium tinctorium (kolor granatowy), canthanus tinctorius (czerwony) i lithospermus erythrochizon (fijoletowy), ale uprawa ich o wiele słabiej jest rozwinięta, niż w Chinach i Japonii. Krzewu herbacianego wcale niema w Korei, chociaż jej górzystość i klimat w południowych okolicach bardzo odpowiada hodowli tej rośliny. Herbaty (ccha) używają Korejczycy mało; zastępują ją zwykle liśćmi tarniny z domieszką imbiru lub owoców czworczaka (torreya nucifera), przywożonych z Japonii. Ale mają w swych sadach im tylko właściwe drzewo owocowe, rodzaj korejskiego cedru (canangi), z którego orzeszków, zmieszanych z mąką ryżową i pyłkiem kwiatowym sosny, sporządzają smaczne łakocie.

Poza tem pielęgnują jeszcze Korejczycy przy domach w ogrodach kwiaty dla siebie i na sprzedaż, ale znacznie mniej ładne i w mniejszej ilości, niż Japończycy, a i te, wspanialsze, o które pytałem, okazywały się prawie zawsze wyhodowane z nasion japońskich.

W przeszłości — Chiny, a obecnie na każdym tu kroku Japonia... Japonia... Japonia!...

---

[1]) Na Quelparcie rosną małe pomarańcze (nyngymi).

Naogół technika rolnictwa korejskiego odpowiada wrażeniu całego układu korejskiego. Ona nie jest złą, nie jest nawet niedbałą, ale straciła tężyznę pracy, dążącej do swego udoskonalenia, pragnącej go i wierzącej w nie. Dziwny kontrast z Japonią, gdzie wszystko drga od tej wiary i potężnego napięcia!

Wieś korejska na wschodniem wybrzeżu.

VII.

Wioska Sö-klö.

Całą drogę, począwszy od An-bionu, prał nas z krótkiemi przerwami deszcz, ten specyalnie korejski deszcz „kyphan-pi“, co to nie pada z góry, lecz w kształcie drobnego tumanu leci równolegle do ziemi w podmuchach przejmującego wiatru. Aby się odeń trochę zabezpieczyć, rozpiąłem ku wielkiemu przerażeniu mojego wierzchowca parasol i osłoniłem się nim, jako tarczą. Mój ton-sà narzucił na ramiona zamiast płaszcza swą czerwoną kołdrę, a na piękny, ażurowy kapelusz włożył kołpak z naoliwionego papieru (kal-mo), który niósł dotychczas złożony za pasem, jak wachlarz. Jedynie ma-phu niczem nie okrył przeziębłych członków, może nie miał odzienia, a może nie pozwalała mu na troskę o siebie... głęboka po rodzicach żałoba. Nasunął więc tylko głębiej na twarz swój ogromny, jak kosz, kapelusz i szedł posępnie obok koni, chowając się za ich ciała przed wichurą. Ubocznemi ścieżkami przebyliśmy cały szereg falistych wzgórzy, jarów, strumie-

ni, wklęsłości i znowu wyszliśmy na wielką drogę seulską. Ale przedtem po wątłym mostku korejskim przebyliśmy piękną, szeroką rzekę, nad którą wznosiły się z lewego brzegu czarne, urwiste skały, a na prawym, na podgórzu, widniała wioska.

Znowu zjawił się tyczkowaty telegraf z rozmaicie pochylonymi słupami, jakby opartymi czołami na nikłym, pojedyńczym drucie. Na wzgórku, gdzie zbiegły się drogi, stała nieodzowna mała kapliczka z wachlarzowatym okapem i pomnikiem cnotliwego urzędnika w środku. Oczywiście, cnota kwitnie niezwykle wśród biurokracyi korejskiej!... Obok zieleniał śliczny gaj starych, potężnych drzew.

Minęliśmy kilka wiosek wtulonych w parowy, poczerniałych i obmokłych od szarugi. Były to po większej części małe i ubogie wioseczki „ton" lub „don"; większe wsie zwą się „cchoń"; sioła—„syi-goy-ri" albo „syi-kol", duże osady, prawie miasteczka — „mai-ri", miasta—„ybi" lub „koy-ri", miasta okręgowe (phal-do) —„kamĕni", „ĕnybi" [1]). Na kupionej prze zemnie mapie japońskiej do wielu nazw, które kazałem sobie przetłomaczyć, dołączone są stale końcówki „czem" [2]) (stacya pocztowa), „don" (wioska) oraz „li"—„i" lub „ni". Otóż, tłomacz objaśnił mi, że to są wszystko nazwy wsi rozmaitej wielkości. Szczegółowsze wszakże ba-

---

[1]) Słownik rosyjsko-korejski M. Puciłło, str. 114 i 136; Rosyjsko-korejski słownik A. I. Tajszina, str. 7 i 8.

[2]) Turańskie „dżam".

dania przekonały mię, że „i (li)“ albo „ni“ jest w istocie nazwą nie wsi, lecz pierwszej jednostki samorządu włościańskiego, że sadyby (don) mniejsze, niż z 30 domów, mogą się łączyć w jedną „ni“, choćby oddzielała je kilkowiorstowa odległość.

Stąd pewnie poszła i miara drogowa „li“, „i“ albo „ni“, która znaczy właściwie „od włości do włości“.

Korejski samorząd włościański ma bardzo mały zakres i prostą organizacyę. Co rok, zaraz po Nowym Roku w każdej „ni“ wybierany jest *sołtys* (dzoń-yj) przez wszystkich gospodarzy społem oraz *pisarz* (siŏ-gyj), następnie *pod-sołtys* (tu-miń), pomocnik i zastępca sołtysa, oraz płatny *woźny* (ha-ju-sa). Reszta przedstawicieli wioskowych jest niepłatna. Kilka lub kilkanaście „ni“ łączy się w gminę „miŏń“, na której czele stoi obieralny *wójt* (cżi-han) z *pisarzem* (siŏ-gyj). Do pomocy dodają im płatnego woźnego (ha-ju-sa) i listowego (miŏń-cżju). Ten ostatni może być uwolniony ze służby jedynie za znaczne przewinienie i z przyzwolenia naczelnika powiatu, co czyni ze skromnego na pozór pocztyliona *osobę* niezależną od gminy i do pewnego stopnia kontrolującą jej działanie.

Właściwie cały włościański samorząd korejski sprowadza się do roli policyi wioskowej i poborców podatkowych. Obowiązana ona przedewszystkiem przedstawić rządowi rok rocznie spis ludności i wykaz dochodów każdego mieszkańca; następnie chwyta przestępców i pilnuje wypłaty podatków, stanu dróg, mostów, kanałów, lasów, magazynów zbożowych, szkół,

kas zaliczkowych i oszczędnościowych; powinna też dbać o podniesienie poziomu rolnictwa, o stan zdrowia gminy, pomagać w klęskach członkom niemi dotkniętym, pilnować sprawiedliwego rozkładu prac obowiązkowych i t. d.

Wszystko to wygląda ogromnie pięknie w opowiadaniach urzędników, lecz w istocie nie istnieje, stoczone zarazą biurokratyzmu. Zebranie wioskowe, składające się z przedstawicieli wszystkich rodzin, zależne jest od sołtysa, którego protest wstrzymuje wszelkie postanowienie lub oddaje je do rozpatrzenia zarządu gminnego, składającego się z wójta, wszystkich sołtysów i deputowanych po dwóch z każdej wioski. Postanowienie oprotestowane przez wójta zostaje odesłane do naczelnika powiatu i gubernatora. Dwa razy do roku ci urzędnicy obowiązani są składać raporta ministrowi spraw wewnętrznych o postanowieniach samorządu wiejskiego. Rzecz prosta, że te postanowienia mogą mieć jedynie wygodę skarbu i władzy na względzie, o wygodę zaś chłopa nikt się w Korei nie troszczy.

Jako przykład przytoczę historyę tutejszych magazynów zbożowych (cchan-koi albo kot-czibi). Powstały one pono jeszcze w XVI stuleciu, po wojnie z Japończykami, w celach wojskowych. Każda gmina miała niby założyć taki magazyn, z którego wydawano w celach odnowienia ryżu pożyczki ziarnem na wiosnę ze zwrotem w jesieni za opłatą 10%. — Rozumie się, iż magazyny te z biegiem czasu znikły i ryż wpływał wprost do kieszeni urzędników. Dopiero w roku 1894,

roku reform i prób, znalazł się taki śmiały i uczciwy gubernator (z prowincyi Kan-uöń-do), który podał raport o położeniu rzeczy cesarzowi. Raport został ogłoszony w gazecie rządowej [1]) i polecono przeprowadzić reformę. Gminy uzyskały więcej wpływu na los składanego przez się zboża, lecz ponieważ nadzór nad nim pozostawiono urzędnikom państwowym, należy się spodziewać, że w wielu miejscach one już znikły, a gdzieindziej znikną niebawem.

Wsie korejskie, duże i małe, zawsze robiły na mnie wrażenie jakichś czasowych, dorywczych przytułków ludzi znękanych, spracowanych, spieszących przejść przez życie bez myśli o jutrze, wędrowników niedbających o wygody, plemion nienawykłych do życia rdzennie osiadłego, dla których dom jest jedynie... kuchnią i sypialnią. Kopulaste, obłe strzechy, zabezpieczone od wichrów sieciami słomianych sznurów, tworzą łudzącą nieraz podobiznę do jurt stepowego „surtu", szczególniej, gdy je otacza pleciony płot wiklinowy, również podobny do daurskich i solońskich płotów, tylko trochę wyższy. Płoty takie powszechne są w wioskach nadbrzeżnych, stojących na wiatrowiskach. Na tem jednak kończy się podobizna, gdyż właściwie wioska korejska i chata korejska jest dość wiernem choć zmniejszonem odtworzeniem fanzy i wsi chińskiej, jakiemi one

---

[1]) Korejsko-chińska gazeta rządowa, 11 i 21 września 1895 r.

po dziś dzień są w uboższych, kresowych posiadłościach chińskich i jakiemi prawdopodobnie były niegdyś w całem państwie.

Zwykle wieś korejska ciągnie się wzdłuż drogi po obu jej stronach i tworzy ulicę pojedyńczą prostą i dość ściśle zabudowaną. Ale są i sioła, nawet wcale duże, bezładnie rozsypane, przez które główny przejazd wije się kapryśnie, tworzy bocznice i załamy. Domy stoją zawsze zwrócone długą ścianą czołową do drogi i mają pod wystawką strzechy nieszeroką przyźbę. Na tej przyźbie lubią Korejczycy letnią porą wysiadywać, obiadować, palić fajeczki. Stąd dwoje małych, papierowych drzwi prowadzi do najlepszej w domu izby, skąd znowu przez podobne drzwiczki w przeciwległej ścianie wyjść można na podwórko. Ale główne wejście wiedzie tam przez wrota, pod obszerną, krytą szopę, gdzie nocują zazwyczaj woły i konie, gdzie stoją wozy, pługi i sprzęt rozmaity.—Do szopy przywiera dom mieszkalny, oramiający podwórko w kształcie litery U: dwa równe i zupełnie do siebie podobne, większe skrzydła łączy w głębi krótka przecznica, gdzie mieści się śpiżarnia i składy. Skrzydła frontowe zamieszkują mężczyźni domowi i przyjezdni, skrzydło tylne—kobiety i dzieci.

Pod szopą, tuż u wejścia rozpiera się, wmurowany w nizki piec, ogromny kocioł żelazny albo wielki, mocny garnek, służący do warzenia bobu, osypki i zielska dla bydła. W końcu skrzydła kobiecego jest urządzona kuchnia, zawsze prawie dość obszerna i obszyta deskami. Czasami porządek się zmienia. W zajaz-

dach kuchnia jest od ulicy i ma okno z okiennicą, odrzucaną we dnie dla wydania obiadów, jak lada. Dymniki obu ognisk przechodzą pod podłogami odpowiednich izb mieszkalnych i ogrzewają je z dołu. Kominów w Korei wcale nie znają, dym nawet w cesarskich pałacach i domach ministrów wychodzi albo wprost na ulicę przez otwór w fundamencie lub odprowadzony jest trochę w górę na wzrost człowieka przez małe kanały, sklecone z kamieni tuż przy ścianie; czasem zamiast nich stoi tam jeden duży dzban albo cała wieżyca dziurawych garnków, ustawionych na sobie. Mimo to pożary zdarzają się rzadko, gdyż większe skry wszystkie więzną w zakrętach poziomych, a mniejsze gasną przy uderzeniu o daszek wylotu. Za to w czasie palenia w szczelinach całego podmurowania błyska czerwonemi żyłami ogień, miga przez szpary potrzaskanej podłogi i dymem wypełnia izby... Wędrownik siedzi niby w klatce, na wielkiem rusztowaniu.

Budować dom zaczynają Korejczycy po chińsku od dachu, wkopują słupy, umieszczają na nich strzechę, a następnie dorabiają ściany z kamienia, z glino-pacu, ze słomy gaolianu nawet z bitej gliny, załeżnie od taniości materyału w odpowiedniej okolicy. Widziałem domy murowane z niewypalonej cegły, ale nie widziałem domów drewnianych. Z drzewa budują Korejczycy jedynie bramy świątyń i pałaców oraz małe kapliczki przy drogach. Nazewnątrz ściany budowli rzadko są otynkowane, ale wewnątrz zwykle je gładko równają, obmazują, bielą, nawet wyklejają taniemi obiciami.

Zamożniejsi wykładają również naoliwionym, mocnym papierem gliniane podłogi izb, które zawsze i wszędzie, nawet u najuboższych są prócz tego wysłane z wierzchu matami (dzari). Wchodząc, należy zrzucić obuwie, podobnie jak w mieszkaniach japońskich. Ale mieszkania japońskie są o wiele od korejskich widniejsze i nigdy nie są ogrzewane z dołu.

Wiejskie izby korejskie zawsze są ciemne. Światło dostaje się do nich jedynie przez wązkie drzwi papierowe; rzadko mają w dodatku maleńkie okna. Szyby widziałem jedynie w miastach. Szkło w Korei należy do przedmiotów zbytkownych.

Izby są zwykle wązkie od 2 do $2^1/_2$ metrów szerokości, przy długości trzykroć razy większej; nakrywa je nizki strop, tak iż wysokiego wzrostu Korejczyk musi chodzić w izbie zgarbiony. W mieszkaniach niema żadnych mebli, prócz szaf z rzeczami, znajdujących się zazwyczaj na żeńskiej połowie. Łóżek Korejczycy wcale nie znają i śpią wszyscy na podłodze, na matach, nawet zamożni. Czasem w izbie na ścianie wisi obraz w rodzaju japońskich „kakemono“, bardzo prostackiej roboty lub czernieje wydłużony napis hieroglifami słynnego wiersza, myśli wzniosłej lub uznanego zdania chińskiej mądrości.

Taką właśnie była chata w wiosce Sŏ-kiŏ-don, przed którą zatrzymaliśmy się dobrze już pod wieczór, przebywszy 60 li (4 i pół mili) drogi. Wszystkie chaty wieśniacze są bardzo do siebie podobne. Wybrany dla postoju przez naszego „ma-phu“ dom stał na uboczu,

PLAN KOREJSKIEJ ZAGRODY WIEŚNIACZEJ.



1) Brama.
2) Szopa.
3) Przyżba.
4) Skrzydło męskie.
5) Skrzydło kobiece.
6) Składy.
7) Przyżba wewnętrzna.
8) Podwórko.
9) Kuchnia dla bydła, (piec).
10) Kuchnia ludzka, (piec).
11) Żłób.
12) Naczynia kuchenne.
13) Dymniki pod podłogą.
14) Wielkie dzieże gliniane z kwaszoną kapustą, rzodkwią, soją i t. d.
15) Płot wiklinowy.

a — drzwi.
b - - okna.

na brzegu głębokiego, skalistego jaru, w którym, skacząc po ogromnych złomach, pieniła się rzeczka. Na przeciwnej stronie ciemniały wysokie bazaltowe urwiska, ubrane w rdzawe powoje. Wioska Sö-kiö wyciągnęła się opodal u drogi, wzdłuż kamienistej wyniosłości, niknącej gdzieś w nizko opadłych chmurach.

— Tam przesmyk!... Przebędziemy go jutro!... — powiedział mi ton-sà.

Ma-phu zrzucił juki i poprowadził konie do chaty przez drogę. Zacząłem ściągać moje długie, rajtarskie buty i operacya ta niezwłocznie zgromadziła koło mnie małych i dużych widzów. Robili szeptem znaczące uwagi, lecz dostrzegłem rozczarowanie, gdym zrzucił dziwne obuwie a został z nogami. Oczekiwali widocznie, że i te od tułowia odepnę i włożę do worka. Zresztą ci prości chłopi zachowali się wszyscy niezmiernie grzecznie i przyzwoicie. Ponieważ nie było jeszcze ciemno i deszcz przestał padać, zaproponowałem dzieciom, aby mi towarzyszyły w łowach na owady. Dałem im słoiczki i wyłożyłem, co należy robić. Zrozumiały w mgnieniu oka i rozsypały się ze śmiechem wśród głazów. Minąłem marne grzędy wioskowej sałaty, wtulone wśród skalnych okrzesów, i spuściłem się ku rzece. Był to szalony potok, składający się z nieprzerwanego szeregu wodospadów. Nie woda w nim płynęła, lecz piana... Huczał, jak piorunowy grzmot przeciągły, przewinięty smoczym zaiste sykiem...

Ze śladów na nadbrzeżnych złomach poznałem, że wzbierał często i wznosił się wysoko na dziesiątki stóp

nad swojem łożyskiem. Nie miałem tu co szukać w tej porze jesiennej. Dzieci przyniosły mi kilka osobników i odeszły uszczęśliwione paroma mosiężnymi „czohami“. Ton-sà z tej racyi oznajmił mi, że jutro opuścimy prowincyę Cham-giön-do (nadbrzeżną, północno-wschodnią) i że nastąpi koniec „czohom“.

— Tam, w prowincyi Kan-uöń-do (nabrzeżna, wschodnia, środkowa) zaczną się nikle!... Ta wioska jest pograniczną. Rzeczka zwie się też Sö-kiö i płynie do morza... — odpowiedział mi na pytania.

Niebardzo jednak dowierzałem jego odpowiedziom, gdyż spostrzegłem, że się często w określeniach i nazwach miejscowości plącze, naradza z ma-phu, widocznie nie wie ich dokładnie. Po drugie — podejrzewałem, że często umyślnie zwodził mię, może słuchając wydanych mu tajemnie w Genzanie rozkazów. Po trzecie, zauważyłem, że nazwy wielu gór, dolin, potoków nie były ustalone, rozmaici ludzie, pytani po drodze, odpowiadali różnie, co uczyniło mię bardzo ostrożnym w notowaniu nazw. Przytaczam obecnie jedynie sprawdzone przez kilkakrotne wywiady lub znalezione u innych podróżników.

Z zapisanych nazw na doskonałej mapie japońskiej znalazłem zaledwie kilka, a w ich liczbie nazwę „Szök-kiö-don“ — przekręconą z japońska „Sö-kiö-don“. Rzeczki w Korei rzadko posiadają jedną nazwę; zwykle mają ich wiele w różnych swych częściach, a biorą je od wiosek, gór, gajów, wąwozów i t. d. Czy więc

rzeczka zwała się istotnie Sŏ-kiŏ, jak mi powiedziano, doprawdy nie wiem.

Znów zaczął mżyć deszcz i zapędził mię do izby. W kuchni obok rozlegały się energiczne głosy i stukanie naczyń. Warzono dla nas wieczerzę. Zajrzałem przez małe okienko z werandy i obaczyłem coś podobnego do ciemnej huty albo odlewni. W obszernej izbie, położonej o wiele niżej od poziomu naszej podłogi, buchało kilka krwawych łun z otworów pieca wielkiego i tak długiego, jak długą była ściana poprzeczna domu. Na piecu widniał rząd wielkich pokryw od kotłów wmurowanych w ognisko. Buchała z nich para, a koło nich, to niknąc w mocnym cieniu, to zjawiając się w ognistej łunie, uwijały się z warząchwiami w ręku tęgie kobiety w białych szarawarach, białych, szerokich spódnicach, z ciemnemi piersiami, wyglądającemi z pod niezmiernie krótkich, białych kaftaników. Nie powiem, aby te brudne, obwisłe piersi, ręce ciemne, jak sadze, i skołtunione na głowach włosy wzbudzały zaufanie do przyrządzanych przez owe niewiasty potraw. Zszedłem do kuchni; gwar rozmów ucichł natychmiast i dostrzegłem zafrasowanie na twarzach zebranych. Nie chowały wprawdzie nagich piersi, lecz odwracały twarze od nieprzyzwoitego cudzoziemca, który odważył się wejść tam, gdzie były obce niewiasty. Naga, śniada i gładka jak bronz polerowany dziewczynka, skulona u gardzieli pieców, rzucała dalej w ogień garście słomy. Mój troskliwy ton-sà znalazł się natychmiast obok mnie i, półgębkiem dając mi wyjaśnienia co do użytku i znaczenia

rozmaitych naczyń, starał się mię nieznacznie wyciągnąć z kuchni. Naczynia były przeważnie drewniane i gliniane — ogromne dzieże, garnki nieraz wielkości człowieka. Metalu widziałem mało. Ryż, łazanki, jakieś małe ciastka — wszystko gotowano po chińsku na sitach, pod pokrywami nieustannie kipiących kotłów.

Gdym wrócił do izby, okazała się pełną gryzącego dymu, który przeniknął z dolnych kanałów. Znów więc wyszedłem i udałem się tym razem do chaty przez drogę, gdzie błyskała w dżdżystym zmroku plama czerwonej łuny. Ma-phu wraz z drugim młodym Korejczykiem mieszali drągami w wielkich kotłach gotującą się dla koni mieszankę z bobu, zielska i prosianej słomy. Pod szopą stały konie rozsiodłane, ale z potnikami na grzbietach. Gdym się ku nim zbliżył, stuliły uszy, zaczęły wrogo rzucać mordami w moją stronę i kulić do uderzenia zady, jakby starając się podtrzymać ustaloną wśród podróżników opinię, że konie koreańskie są małe, ale bardzo złe.

Zawołano mię wreszcie na wieczerzę. Była wspaniałą. Składała się z ryżu, z bobu, z kwaszonej rzodkwi z pieprzem, z jakichś mdłych, suszonych liści, trochy ryby solonej i miseczki gotowanych wnętrzności bydlęcych, mocno pachnących nawozem i czarnych, jak nawóz. Spróbowałem wszystkiego, ale zjadłem jedynie ryż i rzodkiew ku wielkiemu zdziwieniu i zgorszeniu ton-sy i gospodarza.

— Będziesz głodny! — upominali mię oni.

Istotnie byłem bardzo głodny i nie mogłem odżało-

wać, że nie wziąłem z sobą nic, nawet sucharów. Zjadłem więc, zamknąwszy oczy, wszystkie potrawy roślinne, jako względnie schludniejsze... O Boże, jakie to wszystko było ostre i gryzące!... Usta mi w mgnieniu oka opierzchły... Po skończonej wieczerzy miałem uczucie samowaru, naładowanego gorącymi węglami...

Nadomiar gdym się wyciągnął do spania na posłaniu, zrozumiałem, że tym razem nie uda mi się żadną miarą ostygnąć. Podłoga była nagrzana, jak żelazko do prasowania. Podgarnąłem pod siebie dwie maty i próbowałem usnąć, licząc, że zgaszenie w kuchni ognia wywoła rychło zniżkę temperatury. Gdzie tam!... Ton-sà zadmuchnął małą, naftową lampkę w wysokim świeczniku; suchotnik gospodarz przestał kaszlać i zachrapał, ucichł kaszel suchotnicy gospodyni w sąsiednim lamusie, ton-sà się już na drugi bok przewrócił, a ja wciąż daremnie czekałem zniżenia się temperatury, niemiłosiernie podgrzewany z dołu. Wreszcie obudziłem ton-sę i powiedziałem mu, aby kazał otworzyć lufty, gdyż mię krew zaleje. Zapalił lampę naftową i siedział długo senny i stroskany.

— Nic nie pomoże... Żadne lufty nie otwierają się... My, Korejczycy, lubimy ciepło... Niech sir położy się na mojem miejscu, ono jest chłodniejsze, gdyż gorętsze ustąpiłem tobie, panie.

Przesunąłem więc niezwłocznie moje maty i mój wojłok na to gorsze miejsce, podłożyłem pod siebie kołdrę a nakryłem się paltotem... Mimo to jeszcze mię

z dołu paliło, choć jednocześnie wilgotny, zimny, górski wiatr owiewał, przedzierając się przez otwory w papierowych drzwiach. Istotnie miejsce ton-sy było dla tych przeciągów o wiele gorsze. Szaruga lała na dworze, co się zowie, i wpadała do naszej ciupki, tu zaś nie było się gdzie przed nią schować. Spało nas tam czterech pokotem, a izba była tak wązka, że piętami tykaliśmy jednej ściany a głowami drugiej...

Usnąłem nareszcie po długiej i rozpaczliwej walce z coraz gwałtowniejszym przeciągiem i niezmiernie gorącą glinianką. Nad ranem było jeszcze zupełnie ciemno, gdy zbudził mię dziwny, miarowy łoskot; leżałem chwilkę cichutko, siląc się zrozumieć, skąd mógł pochodzić. Wyglądało to tak, jakby ogromny wąż tłukł się w kącie izby, lub ktoś... rozpakowywał nasze worki podróżne. Znów więc szturchnąłem zlekka w bok nieszczęśliwego ton-sę i spyłałem, co to znaczy. Zapalił niezwłocznie światło i wówczas ujrzałem nocującego razem z nami wędrowca, Korejczyka, jak w zupełnych ciemnościach plótł ze słomy dla siebie nowe chodaki. Daremnie ton-sà przekładał mu, że przeszkadza spać „zamorskiemu panu“, Korejczyk twierdził, że chodaki mu się podarły, że na dworze słota, a on musi ruszyć dalej o świcie. Wreszcie na usilne prośby nas obu wziął lampkę i poszedł do kuchni. Był bardzo zadowolony z rozwiązania sprawy, gdyż zobowiązaliśmy się zapłacić za światło.

VIII.

Pokarm. Rzeczka Kinnga. Klimat półwyspu.

Całą noc i cały ranek lał deszcz. W oczekiwaniu, aż się trochę przetrze, zamierzyłem narysować plan domu i poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia śpiżarni oraz innych zakątków.

Kilkunastoletni syn gospodarza, z włosami zaplecionymi w warkocz, jak u dziewczyny, zaprowadził mię przedewszystkiem na małe podwórko poza kuchnią, gdzie pod wiklinowym płotem stał na płaskich kamieniach cały szereg wielkich garnków (chanari) z kwaszoną sałatą, rzodkwią, rzepą, oraz z mocno fermentującym zaczynem brunatnego bobu, zmielonego na mąkę, z którego w ten sposób wyrabiają soję (kam-dzan-i lub tho-dzan-i). Niektóre dzieże były tej wielkości, co chłopiec. W każdym domu można je znaleźć na małem, zacisznem podwóreczku, stojące pod glinianemi pokrywami na otwartem powietrzu. Zieje od nich taki przykry i ostry zapach, że doprawdy nie wyobrażam sobie, jak go znieść mogą mieszkańcy, gdy w zimie,

chroniąc zapasy od zamarznięcia, garnki wtaczają pod dach. W lamusach i w kuchni stały podobne, ogromne, gliniane dzieże (an-bak), pełne obłuskanego już ryżu, prosa, grochu, zamknięte szczelnie pokrywami. Ten wyborny sposób zabezpieczenia zapasów od wilgoci, zepsucia oraz szkodników znany jest na całym Blizkim i Dalekim Wschodzie. W Persyi i na Kaukazie nawet więźniów po wsiach trzymano w takich olbrzymich, wkopanych w ziemię garnkach.

Zboża spożywają Korejczycy przeważnie w postaci kasz rozmaitych; mąki używają bardzo mało, chleba po wsiach nie znają [1]), ciastka mdłe i kleiste wypiekają z krochmalu. W ciągu całej podróży zaledwie dwa razy widziałem małe, ręczne żarenka bardzo pierwotnej roboty. Mąkę otrzymują Korejczycy tłukąc ziarno w tych samych drewnianych stępach, w których otłukują krupę. Jedynie w Fuzanie znalazłem jeden młyn z kieratem, zdaje się, że japoński; tymczasem w Chinach młyny takie spotykają się na każdym kroku. Z mąki, prócz małych placuszków, gotowanych na parze, przyrządzają Korejczycy również makarony (kuksjui albo mĕni) — obie potrawy żywcem wzięte od Chińczyków.

Słabe zastosowanie mąki oraz niezwykła gorycz i ostrość przypraw czyni kuchnię koreańską pokrewną japońskiej, choć skądinąd większość potraw oraz sposoby gotowania ich zapożyczone zostały całkowicie od Chińczyków. Przedewszystkiem Korejczycy narówni

---

[1]) Mają jednak nazwę dla pieczonego chleba — ttogi.

z Chińczykami jedzą wszystko, co się zjeść da, z wyjątkiem mleka i masła, których nie używają, nie lubią i któremi się brzydzą. Nie jedzą też kotów, lisów, łabędzi, czem się różnią od Chińczyków, ale psie mięso jest uważane, jak w Chinach, za przysmak; chowają Korejczycy dużo świń, kur, kaczek i spożywają je chętnie. Mięso wołowe uważane jest za zbytek, dostępny jedynie bogatym. Naogół jedzą o wiele więcej mięsa, niż Japończycy, za to mniej ryby, której nie umieją ani tak dobrze przyrządzać, ani nie znają tylu jej odmian. Podobnie jak Japończycy, lubią surową rybę z ostrym, pieprznym sosem oraz surowe mięso zwierzęce, tłuszcz i wnętrzności, których nawet gotowanych większość Japończyków nie znosi. Gryzą łakomie i zjadają Korejczycy nawet cieńsze kości.

Przypuszczam, iż w tych upodobaniach mamy do czynienia z oszczędzonym przez czas i kulturę rysem dzikich plemion myśliwskich, przybyłych na półwysep z daleka, ze Wschodniej Mandżuryi, a może aż z nad Amuru.

Poza tem są Korejczycy „ryżojadami“ w większym nawet stopniu, niż Chińczycy. Jadają oni co najmniej trzy razy na dzień i za każdym razem spożywają co najmniej $^2/_3$ funta ryżu i o połowę mniej bobu, rzodkwi, rzepy, sałaty, kukurydzy, jęczmienia, prosa oraz innych warzyw i zbóż.

Aby dać pojęcie o pożywieniu prostego ludu i podaniu strawy, opiszę jeden z obiadów, jakimi karmiono nas stale po drodze w zajazdach.

Po półgodzinnem zwykle oczekiwaniu i wielkim ruchu w kuchni wnoszono do zajmowanej przez nas izby dwa niziutkie stoliczki-tacki, zupełnie podobne do japońskich. Na nich stały drewniane i fajansowe miseczki z kwaszonem warzywem, polanem sosem z pieprzu strączkowego, każdy gatunek osobno, dalej leżała na misce kupka jakiejś kwaszonej zieleniny, kawałek solonej ryby, stos drobniutkich, solonych raczków, przejrzystych i podobnych do krewetek, albo jakieś muszelki i grzybki. Słowem — „siedem przekąsek!" Lecz gwoździem wieczerzy zawsze była góra gotowanego ryżu, czasem zupełnie białego, wyśmienitego, niekiedy czerwonego i zmieszanego z bobem, zależnie od zamożności właściciela zajazdu oraz położenia wioski. W wioskach u głównego gościńca dawano nam lepiej jeść, w głuchych wioskach, zdala od drogi, dostawaliśmy więcej bobu i rzodkwi a mniej ryżu. Zamiast łyżek podawano nam pałeczki drewniane albo kościane. Mój ton-sà zaczynał zwykle od rzodkwi, poczem dziobał po kolei we wszystkich potrawach, zajadając suto każdą przekąskę ryżem. Inne potrawy widocznie służyły jedynie za przyprawy. Gdy ich nie stało, nalewał do ryżu gorącej wody, której misę obowiązkowo podawano do stołu, i zjadał resztę jako zupę. Jadł szybko, łapczywie, ryżu nieraz kazał sobie dodawać, co czyniono bez żadnego szemrania i dopłat. Parę głośnych westchnień z czkawką były dopiero znakiem, że sobie podjadł, poczem służąca zabierała naczynia. Takie obiady kosztowały nas od 10 do 15 kopiejek, zależnie

od miejscowości. Za postoje i nocleg nic nie płaciliśmy, liczono nam jedynie „ryże“ — tak w Korei zwą każdy sutszy posiłek.

To samo mniej więcej jadali chłopi, wyrobnicy, furmani, tragarze, których w podróży spotykałem przy posiłku, co zdarzało się nieraz, gdyż obiadują oni zwykle na dworze, na stołach obstawionych ławami, albo na przyźbach domów, wreszcie na klapach odrzuconych na ulicę u okien zajazdów.

Porównanie kuchni japońskiej, chińskiej i koreiskiej raz jeszcze utwierdziło mię w przekonaniu, że Korea długi czas była tem cedzidłem, przez które nieustannie przesiąkały do Japonii rozmaite wpływy, wynalazki i obyczaje chińskie, z których Japończycy brali jednak tylko odpowiednie dla siebie i następnie udoskonaliwszy je i przerobiwszy, zwracali z powrotem Korei. Stąd tu we wszystkich gałęziach życia dają się spostrzegać dziwne nawarstwienia i trudna dla zbadania mieszanina wpływów, zupełnie zacierających samoistne cechy tubylcze.

Poszedłem raz w Seulu do najlepszej jadłodajni korejskiej i zażądałem typowej korejskiej wieczerzy. Prócz niezbędnego ryżu, kwaszonej rzodkwi, rzepy surowej oraz rozmaitych gorzko i pieprzno zaprawnych marynat z włoszczyzny, grzybów, raczków, morskich i leśnych porostów, liści, owadów, które już jadałem w rozmaitych kątach Wschodu, podano nam „starodawną potrawę“ korejską, według zapewnienia towarzyszącego mi szlachcica korejskiego. Był to istotnie ory-

ginalny bigos, składający się z bobu, fasoli, selerów, rzepy, kawałków mięsa i drobiu, w kostkę krajanych gruszek, włoskich orzechów, rodzynków, pistacyi i drobnego zielonego owocu „yn-heu“, którego „nie wolno rwać z drzewa i jeść temu, co to drzewo posadził.“ Potrawę podano nam w naczyniu podobnem do małego, ładnego samowarka, w którego odwróconej pokrywie nad parą gotowały się zmieszane przysmaki. Służący co chwila dorzucał zarzewia do małego kominka, tkwiącego wśród kipiącego naczynia, a ja starałem się wniknąć w smak tej „prawdziwie koreańskiej“ potrawy. Okazała się wcale niezłą i nawet z jej powodu zaczęło kiełkować w mym umyśle przypuszczenie o samodzielnym, zepsutym przez Japończyków i Chińczyków smaku korejskim, gdy w parę miesięcy potem w Szanhaju Chińczyk, rodem z Kantonu, obiecawszy uraczyć mię „prawdziwie kantońską“ potrawą, kazał podać jota w jotę taki sam słodki bigos i w podobnem nawet naczyniu.

Wystawny obiad korejski jest bardzo podobny do chińskiego, ale mniej urozmaicony i gorzej podany. W zmienionym jego porządku czuć Japonię, gdyż zaczyna się nie od słodyczy, lecz od ostrych i gorzkich marynat, a kończy się deserem z owoców lub orzechów. W czasie obiadu piją Korejczycy na podobieństwo Chińczyków i Japończyków wódkę ryżową własnego wyrobu, „suli“, grzaną i zimną.

W miastach w użyciu jest piwo, dostarczane przeważnie z Japonii, oraz wina i wódki zbożowe, japońskie i europejskie. Herbaty Korejczycy nie lubią, piją

ją rzadko i mało. Cukru nie używają, ale lubią bardzo miód w plastrach, oraz sycony lub w rozmaitych przetworach, ciastkach z orzechami z pszennej mąki, z pieczonego ryżu, z pestek dyni, z kasztanów itd.

Całe pół dnia przesiedzieliśmy w Sökiö, przyglądając się przez otwarte drzwi kotłującej po górach szarudze. Ponieważ jednak końca jej nie można było rychło się spodziewać, skorzystałem z chwilowej przerwy w ulewie i dałem znak do wymarszu. Ma-phu i ton-sá z niechętnem mamrotaniem objuczyli konie, i ruszyliśmy w górę, we mgły po oślizłych stokach. Nie bez wysiłków wdrapaliśmy się na niewysoką ale stromą przełęcz. Nie była główną, lecz jedną z fałd poprzecznych. Poza nią spuściliśmy się do urwistej, nadzwyczaj malowniczej doliny, po której toczyła się piękna, burzliwa jak wrzątek rzeczka Kinnga. Dookoła wznosiły się góry wysokie, opoczyste, dzikie, na szczytach nagie, na pochyłościach porosłe trawą i krzewami. Dolinę przecinały w wielu miejscach, wpoprzek, olbrzymie grzędy skalnych złomów, na które musieliśmy się wdzierać i spuszczać z nich, gdyż nie było sposobu je ominąć. Nasza wązka ścieżyna wiła się wciąż prawie gzemsem wysokiego urwiska, opadającego wprost w nurty potoku. Ponieważ była to droga uboczna, nieuczęszczana, zdziwiłem się cokolwiek, spotkawszy na jednym z zakrętów dwóch Japończyków w strojach narodowych i pod parasolami. Wydali się zmieszani mem japońskiem „o-ha-jo!“, wypytywali się o coś

pilnie mego tłomacza i kazali mu powiedzieć mi, że są zwykłymi podróżnikami, architektami z Genzanu, dokąd wracają z Seulu po skończeniu tam swych budowli. Bardzo pięknie! Ale jeden z nich wyglądał stanowczo na oficera i miał na nogach długie, europejskie buty, których nie używają nigdy zwykli śmiertelnicy japońscy.

Deszcz i mgła toczyły się po wąwozie, kołysane kapryśną wichurą. Konie ostrożnie stąpały po mokrych głazach, podbierając pod siebie nogi, jak w tańcu.

Dolina stawała się coraz węższą i dzikszą. Nagle wyjście jej przed nami zamknął wysoki, prostopadły mur ciemnego wiszaru. W pobliżu niego spuściliśmy się w łożysko rzeczułki i po wątłych, wąziuchnych, chróścianych mostkach dostaliśmy się na lewy brzeg. Mostki gięły się pod naszymi końmi i drżały od uderzeń prądu w ich żerdziane słupy. Widoczne było, że każda powódź niszczyła je i że za każdym razem budowano je znowu [1]). Zresztą tu o innych mostach, prócz takich lub wiszących wysoko od skały do skały, i mowy być nie mogło, gdyż rzeczka Kinnga, nieodrodna siostrzyca innych rzek korejskich, wcale nie mia-

---

[1]) Most po koreańsku „tari"; most kamienny—„tori-tari"; kamień — „tori". Ciekawym przyczynkiem do początków mostów w Korei jest okoliczność, iż wyraz „tortari" znaczy jednocześnie — staczać kamienie do rzeki, aby ją przejść w bród. Takich brodów z szeregiem wielkich głazów i obecnie jest bardzo dużo w Korei.

ła nadbrzeży, spływała po łożysku młodem, wcale nieprzetartem, jak po wielkich schodach, i wzbierała łatwo i wysoko od byle nawałnicy.

Wiosek również nie widziałem nigdzie, chociaż każdy szmatek zdatnej do uprawy gleby był starannie zaorany, obsiany, albo świeżo zżęty. Pola ryżowe wprawdzie już znikły, lecz widziałem czumidzę zółtą i czerwoną, gaolian, sałatę, rzodkiew, grochy i... pomimo znacznego nad poziom wzniesienia — tytoń. Dostrzegłem pola i w bocznych dolinach, wśród jarów i zagajników, wdzierające się na same nieraz wierzchołki. Spadzistość niektórych była tak wielką, że nawet ręczna uprawa wydawała mi się tam szczytem mozołu i pracowitości; spotykałem jednak następnie Korejczyków, orzących w parę wołów na takich ukosach, że kopyta górnego zwierzęcia znajdowały się ponad grzbietem dolnego. Ale to było w dolinach zachodnich, gęsto zaludnionych i ciepłych, gdzie ziemia ma wysoką wartość. Tu zaś pola przedstawiały się, jak skrawki dość luźno wkropione w obszerne zarośla i pustocie. Mówiono mi, że to korejscy chrześcijanie w czasach prześladowań, chroniąc się w niedostępnych szczelinach, zanieśli rolnictwo tak wysoko. Przez powolny, wiekowy dobór stworzyli nowe odmiany górskiego ryżu, kukurydzy, grochu, ogrodowizn oraz rozpowszechnili i udoskonalili uprawę zbóż północnych, jęczmienia, owsa, pszenicy...

I stało się prawdą niewątpliwą, że nietylko ogólna, pionowa granica rolnictwa, lecz i granica dojrzewania

ryżu posunęła się przez dotkliwe cierpienia ludu o wiele wyżej nad poziom morza na surowych opokach Korei, niż w błogosławionej Japonii. Ten sam powolny Korejczyk, który nie umie zwyciężyć własnego urzędnika, dał sobie radę z wiatrami, mrozami i śniegami ojczystych szczytów.

Klimat Korei wcale nie odpowiada jej położeniu geograficznemu. Jej północna część, leżąca na szerokości Rzymu, ma klimat południowej Rosyi; w południowych prowincyach, odpowiadających szerokością Algierowi, śniegi spadają głębokie i mrozy dochodzą — 15° C.

Wszystko się złożyło, aby Koreę nawet pod względem pogody pozbawić samoistności. Te same prądy z północy na południe, które, płynąc wśród ludów z Chin i Mandżuryi i ścierając się gwałtownie z prądami Japonii, pozbawiły Korejczyków odrębności w charakterze, w kulturze i w urządzeniach, te same prądy panują w powietrzu i sprawiają, że ten wązki i daleko w morze wysunięty półwysep ma w gruncie rzeczy *klimat lądowy* — zimę chińską, a lato japońskie; ciche, ciepłe doliny i niesłychanie zimne, wietrzne wyniosłości, cztery miesiące w roku uśnieżone. Ciepłe brzegi zachodnie są rok rocznie obrzeżone w zimie grubymi lodami, a zimniejsze wschodnie wcale nie zamarzają. Pochodzi to stąd, że olbrzymia skała morska, jaką właśnie jest Korea, stoi na wiatrowisku, na międzydrożu, po którem wciąż przeciągają ludy i wichry.

W zimie, gdy ciśnienie barometryczne Azyi dosięga swego szczytu we Wschodniej Syberyi, Mongolii i Mandżuryi, spływa stamtąd ku Chinom, Korei i Japonii zimny i suchy wiatr północno-zachodni, osuszający powietrze i potęgujący obniżenie temperatury. W lecie przeciwnie powietrze nagrzane w obszernych pustyniach Azyi środkowej unosi się do góry i, jak pompa, ciągnie ku sobie wilgotne i chłodne wiatry z oceanów. Nad Koreą w tej porze roku przepływa wiatr południowy i południowo-zachodni, którego temperatura może nawet wzrosła w przelocie nad gorącym archipelagiem Japońskim, ale którego wilgoć wcale od tego nie zmalała. Zamienia on cały kraj w nieznośną łaźnię, suto zlewaną deszczami od maja do września. W tym czasie ilość opadów atmosferycznych wynosi w Genzanie 910 m. m., w Fuzanie— 859, w Seulu—667, w Czemulpo — 562 m. m., podczas gdy za cały rok spada: w Genzanie 1.231, w Fuzanie 1.355, w Seulu 933, w Czemulpo 885 m. m. Na lato więc przypada prawie 70°/₀ opadów rocznych, stosunek zupełnie odwrotny, niż w Europie. Deszcze bywają nietyle częste, co ulewne. Weber opisuje nawałnicę w Seulu, która trwała dwie noce i dwa dni i dała w deszczomiarze 226 m. m. [1]). Nic dziwnego, że po takich ulewach głębokie, kamienne łożyska rzek korejskich wypełniają się niezwłocznie po brzegi, że w kilka godzin

---

[1]) „Opis Korei," część I, str. 175.

poziom wody wznosi się na kilkanaście stóp, że prąd powodzi zrywa mosty i groble.

Sierpień jest w Korei naogół najgorętszym miesiącem, a styczeń — najzimniejszym. Do osobliwości jej zaliczyć należy, że choć zimę ma suchą, lądową, wiosna mimo to jest morską, t. j. zimniejszą i przewleklejszą od jesieni; na wschodniej stoczystości panuje łagodniejsza zima i chłodniejsze lato, niż na zachodniej. Daje się to objaśnić charakterem przyległych tym brzegom mórz — otwartego i głębokiego na wschodzie a płytkiego i zamkniętego na zachodzie. Z tego też powodu zachodnie w zimie zamarza u miałkich brzegów, a wschodnie — nigdy. Zresztą jedynie porty południowe są zupełnie wolne od kry i kruszu lodowego, choć wieje śniegowe hasają wszędzie na morzu, nieraz do połowy wiosny.

Ponieważ większość roślin południowych łatwiej godzi się z cokolwiek ostrzejszą zimą, niż z chłodniejszem latem, stąd roślinność w zachodniej części półwyspu jest bogatszą, dojrzewają tam rzadsze i delikatniejsze owoce i ziarna.

Korea południowa ma klimat bardziej zbliżony do morskiego, niż środkowa i północna. W Fuzanie skoki temperatury są o wiele mniejsze, wilgoć i temperatura roku jednostajniejsze. Termometr w tym czasie przechodzi zaledwie 32,2° C. od najniższej temperatury, niema miesiąca z przeciętną poniżej zera, i styczeń daje średnią + 5,2° C. W Czemulpo różnica między

najniższą a najwyższą temperaturą wynosi już 48,6° C., a w Genzanie — 48,3° C.

	Genzan	*Fuzan*	*Seui*	*Czemulpo*
	stopni Celsiusza:			
Przeciętn. roczna	+11,7	+15,2	+11,5	+11,6
Przec. lata (czerw., lip., sier., wrzes.)	+22,4	+23,7	+23,1	+22,5
Przec. zimy (grud., stycz., luty, mar.)	+ 0,8	+ 6,9	— 0,7	+ 0,3
Przeciętn. najniższa	—13,1	— 4,3	—15,9	—12,9
„ najwyższa	+34,6	+31,6	+35,2	+33,8

Zima w Korei jest stosunkowo cicha i jasna, jej to pewnie zawdzięcza ten kraj nazwę „Kraju Cichego Poranku“ (Dzo-siŏn). Dzięki swej wielkiej górzystości posiada on wprawdzie niemało głębokich, zawsze cichych dolin, ale na przesmykach i wyniosłościach nieomal wiecznie szaleje wichura.

	Genzan:	*Fuzan:*	*Seul:*	*Czemulpo:*
Szerokość geograf.	39° 10'	35° 6'	37° 25'	37° 29'
Długość geograf.	127° 25'	129° 3'	126° 7'	126° 37'
po koreań.				
(Czŏn-mori) Styczeń	— 3,2	+ 4,1	— 5,6	— 3,5
(I-wori) Luty	— 0,6	+ 5,8	— 1,6	— 2,0
(Sam-wori) Marzec	+ 4,6	+ 9,3	+ 4,0	+ 4,9
(Sa-uori) Kwiecień	+10,5	+12,9	+11,2	+10,2
(O-wori) Maj	+16,5	+17,1	+17,3	+15,8
(No-wori) Czerwiec	+20.4	+20,6	+21,1	+19,8
(Czi-wori) Lipiec	+23,6	+24,5	+25,0	+24,1
(Paru-ori) Sierpień	+25,4	+26,6	+26,4	+25,9
(Ku-wori) Wrzesień	+20,0	+23,1	+19,8	+20,3

	Genzan:	Fuzan:	Seul:	Czemulpo:
Szerokość geograf.	39° 10'	35° 6'	37° 25'	37° 29'
Długość geograf. po korej.	127° 25'	129° 3'	126° 7'	126° 37'
(Si-wari) Paździer.	+13,7	+17,2	+13,0	+14,1
(Ton-kitari) Listopad	+ 7,7	+12,3	+ 6,2	+ 7,6
(Sotari) Grudzień	+ 2,3	+ 8,5	+ 0,6	+ 1,9

Uwaga. Według obserwacyi za lata od 1888 po 1890 oprócz października 1889 roku (Wojeikoff: „Meteorol. Zeitschrift“. Berlin, 1887). Tab. I.

Przeciętna roczna	+10,6	+11,8	—	+ 9,4
Najniższa	—10,0 (9 stycz.)	— 6,2 (26 grud.)	—	—16,2 (15 stycz.)
Najwyższa	+31,7 (13 lipca)	+31,2 (10 sierp.)	—	+31,7 (11 sierp.)

Uwaga. Według Gotsche'go, Tab. III.

Zajmujące wskazówki klimatyczne podaje starodawny, rolniczy kalendarz korejski; dzieli on rok cały na piętnastodniowe okresy następujących nazw i znaczenia:

1)	Ton-cżi	—	Stan słońca zimowy, początek	20 grudnia
2)	Sio-hań	—	Niewielki mróz „	4 stycznia
3)	Tä-hań	—	Wielki mróz „	19 stycznia
4)	Nöp-cziuń	—	Początek wiosny „	3 lutego
5)	U-siu	—	Obfitość deszczu „	17 lutego
6)	Kiön-czip	—	Koniec snu zim. (zwierząt)	4 marca
7)	Cziuń-buń	—	Porównanie wiosenne „	18 marca
8)	Cziön-miön		Jasna pogoda „	4 kwiet.
9)	Kok-u	—	Deszcz dla nasion „	18 kwiet.
10)	Nöp-ha	—	Początek lata „	3 maja
11)	Sio-mań	—	Nasiona pęcznieją „	18 maja

12)	Man-cźiun—	Przesadzanie ryżu	początek	4	czerwca
13)	Ha-cźi —	Stan słońca letni	„	19	czerwca
14)	Sio-siŏ —	Umiarkowane gorąco	„	5	lipca
15)	Tă-sio —	Wielkie gorąco	„	21	lipca
16)	Nŏp-cziu —	Początek jesieni	„	5	sierpnia
17)	Cziŏ-siŏ —	Gorąca wolnieją	„	21	sierpnia
18)	Păk-no —	Rosy obfite	„	6	wrześn.
19)	Cziu-buń —	Porównanie jesienne	„	21	wrześn.
20)	Hań-no —	Zimna rosa	„	6	paździer.
21)	Sań-gań —	Szron spada	„	21	paździer.
22)	Nŏn-ton —	Początek zimy	„	5	listopad.
23)	Sio-siŏl —	Niewielki śnieg	„	20	listopad.
24)	Tă-siŏl —	Wielki śnieg	„	5	grudnia.

Doba koreańska dzieli się na 12 części dwugodzinnych. Pierwsza od 11 w nocy do 1-ej zwie się ca-si, 2) od 1 do 3—cchiuk-si, 3) od 3 do 5—in-si, 4) od 5 do 7— me-si, 5) od 7 do 9—cin-si, 6) od 9 do 11 dnia — sa-si, 7) od 11 do 1 po połud. — o-si, 8) od 1 do 3— mi-si, 9) od 3 do 5 — sin-si, 10) od 5 do 7—ju-si, 11) od 7 do 9—siur-si, 12) od 9 do 11 w nocy — chaje-si.

IX.

Wąwozy. Legenda. Przełęcz.

Słońce wyjrzało na chwilę z za chmur i czarny wąwóz ze spienioną rzeką na dnie, ubrany czerwoną, żółtą i blado-zieloną roślinnością jesienną, zagrał pysznemi barwami. Możeby mię nawet zachwycił, gdybym nie widział przedtem w Japonii krajobrazów podobnych, a o wiele wspanialszych.

Biedny kraj, pokrzywdzony pod wszystkimi względami!

— Słuchajcie, ton-să, czy wy znacie obce strony? Czy bywaliście za granicą?

— Nie, panie, znam tylko moją ziemię, Koreę... A pana ojczyzna czy daleko stąd? Czy pan jest cokolwiek Rosyaninem?!

— Pole... Pole!.. — powtórzył kilkakrotnie. — Nie znam takiego narodu... Nigdy o nim nie słyszałem!..

Wyłożyłem mu małą lekcyę geografii. Słuchał uważnie i nawet przytakiwał.

— Orso!... Orccha!.. Yes!..

Wreszcie wygłosił z niezmierną powagą:

— Anglicy są bogatym i potężnym ludem, ale i w Korei ładnie, kiedy zakwitną kwiaty i zazielenią się pola...

Umilkłem, strapiony tym nieoczekiwanym wnioskiem.

Wązką ścieżyną, wijącą się tuż nad przepaścią, omijaliśmy ogromny garb góry, wyginający się w pałąk wąwóz i rzeczułkę. Po drugiej stronie wznosiły się wysokie i zębate urwiska; omszone ich głazy nawisły nad pędzącą w dole wodą, jak arki. Zrozumiałem powód, dla którego przeprawiliśmy się na prawy brzeg rzeki — po tamtej nie byłoby przejścia, a w czasie wylewu dolina staje się zapewne nie do przebycia. Ponieważ ładunku mieliśmy mało, ma-phu skracał sobie drogę ubocznemi ścieżkami. Nie gniewałem się o to, gdyż miałem sposobność zajrzeć w zupełnie głuche, nieodwiedzane jeszcze przez nikogo kąty Korei.

Znowu spuściliśmy się w łożysko potoku i przebyliśmy go po całym szeregu mostków, rzuconych z ławicy na ławicę. Widać opodal, na lewym brzegu, wioskę z ładną świątynią na wierzchołku góry, dołem wije się mała rzeczułka Sam-be, a wieś zwie się Sam-ban. Znalazłem ją na jednej z map, nawet dość dobrze oznaczoną na zachód od wielkiej, Genzańsko-Seulskiej drogi, na wschodnim stoku głównego łańcucha górskiego, niedaleko od jego grzbietu. Ale nie znalazłem ani śladu rzeczki Kinnga i Sam-be oraz ani śladu naszej drogi.

O wiosce Sam-ban opowiedziano mi już w Seulu następującą legendę:

„Bardzo dawno, lat więcej niż 150 temu, rządził w Korei król Ją-mią-dzo [1]). Właściwie nie był on królem, lecz ojcem królewskim (tä-uäń-guń) małoletniego, panującego Tha-dżio. Był to bardzo srogi król (narai). Gdy zachorował i, radząc się rozmaitych lekarzy, dowiedział się od jednego, że może się wyleczyć, spożywając codzień piersi młodej dziewczyny i chłopięce wnętrzności, kazał sobie je dostarczać do dworu. Tego już lud nie mógł wytrzymać, powstał, króla wypędził i, doścignąwszy uciekającego w miejscowości Hau-bulang, o 200 (? 280) „i“ od Seulu, tam, gdzie zaczynają się wąwozy, wojsko jego zniósł i samego zamordował. Lecz zamordował go dalej już za górami o 50 „i“ od Haubulang we wsi Sam-ban. Tam leży ukamienowany pod kupą głazów, tam stoi obecnie Tä-uäń-guń'ska świątynia. (Seul, 1903 r.).

Starałem się wykryć historyczne podścielisko tej legendy i z zestawienia dat i nazwisk pozwalam sobie wnioskować, iż urosła ona na tle następującego, prawdziwego zdarzenia:

„...Po śmierci Kią-dzon'a, który nie zostawił potomstwa, wstąpił na tron korejski w 1723 r. brat nieboszczyka, Ją-dzo, wbrew życzeniu znacznej części szlachty korejskiej. Stąd wynikły okrutne prześlado-

---

[1]) „Ją-dzo“, gdyż „mią“ jest cząsteczką, dodawaną często do imion w znaczeniu: zwan.

wania licznych przeciwników królewskich, intrygi i rozterki. Przedwczesny zgon starszego syna zmusił Jądzo do przeznaczenia na następcę tronu swego drugiego syna Dzan-hőń. Książę odznaczał się wybitnemi zdolnościami, szlachetnością i wzniosłością charakteru. On pod wielu względami nie podzielał zapatrywań ojca, opierał mu się i został z jego rozkazu zamordowany. [1]) Aby jednak krew królewska nie została przelaną, zamknięto go w drewnianem pudle i zamorzono głodem. Nazawsze pozostanie tajemnicą dramat, jaki rozegrał się między ojcem a synem. Ją-dzo tłomaczył swój postępek koniecznością usunięcia od władzy człowieka, który marzył niby o zawojowaniu przez Koreę Chin i wypędzeniu z Pekinu Mandżurów. Ale mogła to być baśń stworzona dla uspokojenia poruszonego niezwykłą zbrodnią dworu pekińskiego, który traktował Koreę, jako swego wasala.

Król synobójca przekształcił się z biegiem czasu w ludożercę-dzieciobójcę.

Oba podania są wielce charakterystyczne dla korejskich stosunków państwowych.

Myli się jednak pierwsza legenda, kończąc panowanie okrutnego Ją-dzo powstaniem ludowem, ucieczką i ukamienowaniem. Ją-dzo panował szczęśliwie, umarł spokojnie i nawet pochowany jest nie w Sam-ban, lecz w miasteczku Jan-cżiu o 25 wiorst (50 „i“) od Seulu,

---

[1]) Rażące podobieństwo z Piotrem Wielkim i jego synem Aleksym.

mimo którego przejeżdżałem następnie, gdyż leży ono na tej samej drodze Genzańskiej.

Nie dziwię się jednak tym niedokładnościom, gdyż legendę opowiadał mi jeden ze szlachciców korejskich (jań-bań), którym Jądzo dał się dobrze we znaki. Przecież to on, szukając u prostego ludu poparcia w walce z możnowładztwem, złagodził niektóre męki i kary, zabronił piętnowania rozpalonem żelazem i opalania ogniem skazańców, zakazał wypędzania z granic państwa rodzin więźniów stanu, a co najgorsze, zmniejszył daninę z niewolników do jednej sztuki tkaniny rocznie i zabronił ściągać jej z niewolnic [1]. Tego było w swoim czasie aż nadto dosyć, aby go posądzić nietylko w Korei o... ludożerstwo.

Kiedy przejeżdżałem mimo wsi Sam-ban, nie znałem związanej z nią legendy i nie starałem się zwiedzić kaplicy. Zatrzymaliśmy się na wypoczynek o milę dalej, w małej wioseczce, wśród otoczonej malowniczemi skałami kotlinki. Stąd już widać było o jakie półtory mili (geograficz. [2]) przełęcz, zasnutą długimi fałdami wyniosłości. Droga ku niej wiodła z początku brzegiem strumyka, a następnie krętym i stromym, gliniastym suchodołem wśród złomów i zarośli. Wejście było przykre ale niebardzo wysokie. Myślę, iż

---

[1]) Dmitrewskij: „Zapiski Kigoro", str. 250—252.

[2]) Mówiąc o milach, mam zawsze na myśli mile geograficzne.

wznosiło się nie więcej, jak na 800 stóp nad łożyskiem potoku.

Było tu cieplej i zaciszniej. Nad drogą zwieszały się miejscami piękne krzewy i drzewa liściaste, ale gdyśmy stanęli na przesmyku, znowu ogarnęła nas wichura lodowa. Na szczęście deszcz przestał padać i na stokach zachodnich zamajaczyły blade plamy słoneczne. Klucze gęsi leciały popod chmurami, kierując się na południe. Ma-phu pokrzykiwał na konie w dole pod nami, drapiąc się powoli w górę krętym jarem. Usiedliśmy pod wielkiem drzewem ofiarnem, obwieszonem szmatkami i sznureczkami. Stało w pobliżu rozdroża, gdzie nasza ścieżyna łączyła się z szeroką, torną drogą, wybiegającą niespodzianie z przepaści od wschodu. Ton-sà nie mógł czy nie chciał mi objaśnić, co to za droga; przypuszczam, że nie była to główna droga Seulska, gdyż nie towarzyszył jej telegraf. Spotkałem go znowu dopiero koło samej stolicy.

Grzbiet przełęczy miał kształt wielkiego garbu, zsuwającego się równie spadzisto w obie strony. Grunt gliniasty suto porastała wysoka, górska trawa, szeleszcząca niemiłosiernie w podmuchach wiatru. Byliśmy co najmniej na wysokości 5,000 stóp. Wokoło wszędzie, gdzie okiem zajrzeć wznosiły się jałowe, bezleśne szczyty. Zamykały one widnokrąg nużącym brzydkim pierścieniem, pozbawionym rozległego widoku i wszelkiego czaru.

Zejście odbyliśmy w znacznie dogodniejszych warunkach, gdyż pilnowaliśmy się szerokiej drogi. Zresztą innej tam nie było. Zaraz za grzbietem przechodziła ona przez wielki wyłom w starożytnym murze, który biegł po zboczu wpoprzek doliny. W głębi widać było zrujnowane budowle, cały rząd białych i malowanych ścian, nakrytych rogatymi dachami.

— Co to?

— To Pel-czang.

— Świątynia ?

— Nie!

— Twierdza?

— Nie!

— Więc cóż tu było?

— Tu mieszkali urzędnicy! — odpowiedział po długim namyśle ton-sà.

Ale na opowiedzenie, co robili ci urzędnicy i po co tu siedzieli, nie starczyło już niby... jego angielszczyzny.

Od Pelczangu idąc wciąż w dół, dostaliśmy się do małej rzeczułki, która już należała do wodozbioru zachodniego. Minęliśmy ubogą wioszczynę bez pól, bez stert zboża, otoczoną jedynie ogrodami sałaty i wyszliśmy na obszerną, trawiastą dolinę.

Wieczór zbliżał się, słońce na króciuchną chwilkę ukazało się w wylocie doliny, w czerwonem zarzewiu zachodu i rzuciło posępną, miedzianą łunę na żółte, kołyszące się trawy bez końca i półkole sza-

rych szczytów, okalających je z trzech stron. Czwarta tonęła pod słońcem we mgle i świetle zorzy.

Zatrzymaliśmy się w marnej, górskiej wioseczce, pełnej dymu, gdyż gotowano właśnie wieczerzę. Podgrzewane z dołu przy tej sposobności domy wyglądały, jak długi szereg węglarskich mielerzy.

X.

Czho-sej. Tygrysy. Zwierzyna i myśliwstwo koreańskie.

Różowy świt pogodnego dnia oblał ślicznem swem światłem płowe góry i żółtą, trawiastą dolinę, wśród której stała nasza wioszczyna. Poranek był zimny, ale cichy, zgodnie z przydomkiem „Kraju Cichego Poranku". Przyciśnięte stężałem powietrzem dymy tłukły się nizko po ulicach osady, znowu podobnej z racyi gotującego się śniadania do ogromnej węglarni. Gruby lód namarzł podczas nocy na kałużach i w rowach przydrożnych. Mokry od niedawnych deszczów gościniec stężał na stal i dzwonił pod kopytami naszych koni. Długo szedłem piechotą, aby się rozgrzać, gdyż ani ciało moje, ani ubiór nie były przygotowane do tak nagłego i nizkiego spadku temperatury. Byliśmy pewnie na wysokości jakich 3 — 4 tysięcy stóp. Z obu stron drogi stały bez ruchu żółte, wysokie i twarde jak trzciny osoki z białemi kitami. Przewyższały one

nawet mego ton-sę, rosłego mężczyznę. Dopiero gdym wsiadł na konia, otworzył się przede mną rozległy widnokrąg.

Od przełęczy, gdzie górskie łańcuchy splatały się w węzeł, szły na południe dwa długie odnóża kopulastych, pogarbionych, skalistych szczytów, odchylając się od siebie pod nieznacznym kątem. Między niemi zalegla wązka dolina, mająca najwyżej jedną lub półtory mili szerokości. Ujście jej ginęło w dali, w błękitnej mgle, zatkanej zygzakami bladych wiszarów i siwych obłoków. Łożysko doliny od gór do gór wyściełały wysokie, gęste, skędzierzawione, pożółkłe trawy. Nasza drużyna wiła się wśród nich białą, nikłą taśmą. Miejscami na uwałach płaskich pagórków czerniały samotne drzewa zgarbione i sękate; pod drzewami bielały wielkie kupy ofiarnych kamieni. Gdyby nie dziwaczny kształt gór korejskich, miałbym wrażenie, że przebywam jedną z licznych stepowych dolin Mongolii. To samo pustkowie i ten sam pogwar szeleszczących w wietrze miliardów badyli, podobny do cichego szmeru morza.

— Ccho-sej! The grasy field! (trawiaste pole)— powtórzył ton-sà, widząc z jaką uwagą rozglądam się wkoło.

— Wcale nie widzę wiosek!

— Są... na dole, ale mało!

— Jakto: na dole?

— Tak, sir! Zaraz zobaczysz, koło rzeczułek...

— Dlaczegoż mało? Ziemia zdaje się urodzajna?...

Koreańczyk potrząsł głową.

— Błoto, wiatr, zimno, śniegi i... tygrysy! — dodał ciszej. — Tutaj czasem w lecie drogą przejść nie można, gdy *oni* gdzie się usadowią!... Daleko trzeba okrążać górami. Ludzie z wiosek na własne pola boją się chodzić i nikt tu nie zagląda...

Patrząc na ogromne przestrzenie szumiących oczeretów, pod którymi silny drapieżnik, po krętych drożynach mógł się z łatwością przeczołgać, ale których przebycie wydało mi się niepodobieństwem dla człowieka, zrozumiałem, iż jedynie pożar albo powódź mogły wypłoszyć stamtąd straszydła. Ustrzedz się od nich bardzo trudno nawet doświadczonemu i dobrze uzbrojonemu podróżnikowi, gdyż barwa tygrysia łudząco naśladuje brudno-żółte tło starych trzcin, przeciętych czarnemi smugami cieni. Czai się on niezmiernie przebiegle i lubi napadać znienacka.

Tygrysy żyją w całej Korei, ale za ich państwo i kolebkę należy uważać leśne puszcze północne. Tam one głównie plenią się i dorastają niebywałej wielkości i siły; stamtąd rozbiegają się szlakami górskich szczytów po całym półwyspie. A ponieważ w tym dziwnym kraju nadzwyczaj zaludnione, doskonale uprawne i kwitnące doliny sąsiadują z zupełnie dzikiemi, nieprzystępnemi, dziewiczemi wyniosłościami, więc potężni szkodnicy mają gdzie zakładać swoje ostoje. Często barłogi drapieżników znajdowano o parę godzin drogi od ludnej wsi lub miasta. J. B. Bishop opo-

wiada o leopardzie zabitym w murach Seulu, oraz o chłopcu i dziecku porwanych przez tygrysa w dzień jej przyjazdu w mieście Genzanie [1]).

Tygrysy korejskie mają po 5 do 7 stóp długości bez ogona, nie ustępują wielkością bengalskim [2]), a przewyższają je dzikością i odwagą. Nocami wchodzą do wiosek, porywają bydło, psy, świnie, napadają na śpiących na przyźbach ludzi, jeśli ogień wygasł lub zapomniano rozpalić go w pobliżu.

M. Pogio wspomina o wypadkach, kiedy tygrysy wdzierały się do wnętrza zamkniętych chat, rozgrzebawszy słomiane ich strzechy [3]). Podróżnik P. Dełotkiewicz spotykał wsie opustoszałe, gdzie połowę ludności wyżarły tygrysy [4]).

Krajowcy boją się tygrysów (po korej. pomi, horan-i) niezmiernie, oddając im cześć jako wcieleniom okropnych potęg, wierzowcom i sługom Władców Gór (San-silliong [5]), unikają mówienia o nich i nazywania.

---

[1]) „Korea and Her Neighbors", str. 73.

[2]) Zdarzają się wśród nich osobniki, których skóra mierzy 3 metry 66 ctm. długości bez ogona (Pogio), a 3-metrowe skóry nie należą wcale do rzadkości.

[3]) M. Pogio: „Korea", tłom. niem. Ursyna-Pruszyńskiego, 1895, str. 174.

[4]) „Opis Korei", wydawnictwo ministeryum skarbu. Cz. II, str. 163.

[5]) W Indyach krajowcy z południowych podgórzy Himalajów również uważają tygrysa za wierzchowca Geniuszów Gór.

Mój ma-phu, gdyśmy szli przez pustkowia, już na parę godzin przed zachodem słońca stanowczo sprzeciwiał się dalszej podróży, podając tysiączne wykrętne i błahe do tego powody, wyjąwszy *najgłówniejszego* (tygrysów); przez miejscowości zaludnione przeciwnie przeciągał drogę do późnej nocy. Potem dopiero dowiedziałem się o przyczynach tych niezrozumiałych dla mnie wybiegów. Biedaczysko bał się w tygrysich posiadłościach powiedzieć prawdę.

Według Korejczyków tygrys szczędzi jedynie *pijanych*, którymi się brzydzi. Jest więc jedynym, jak się zdaje, anti-alkoholikiem w tym kraju. Dla walki ze szczególnie dokuczliwymi tygrysami rząd organizuje zbiorowe obławy, które zresztą nigdy się nie udają. i są bardziej jeszcze nienawidzone przez mieszkańców, niż napady tygrysów, gdyż służą jedynie za źródło wyzysku i nadużyć miejscowym urzędnikom. Wolą Korejczycy sami urządzać potrzaski, kopać doły na tropach tygrysich, wreszcie w kilku z dzidami i krzemiennemi flintami wychodzić na ciężki bój. Istnieje w Korei całe obszerne stowarzyszenie myśliwców tygrysich, coś w rodzaju kasty powszechnej i zjednoczonej w całym kraju, posiadającej własnych, obieralnych zwierzchników, kasę, własne bóstwa, gusła, zabobony i tajemnice. Do nich zwraca się ludność z prośbą o obronę od potworów i są oni słusznie szanowani, jak sam święty Jerzy. Cieszą się nawet wpływem politycznym i w wojnach odgrywają rolę śmiałych i zapalczywych żołnierzy. Rząd wzywał ich nieraz w cięż-

kich chwilach i służyli mu, choć są przezeń uciskani na równi z resztą ludu. Francuzów podczas najazdu na półwysep w 1866 r. i Amerykanów w 1871 wprawiła w zdumienie zapamiętała waleczność tych w skóry odzianych obrońców ojczyzny.

Zima jest ulubioną przez Korejczyków porą do polowania na tygrysy. W tym celu grono myśliwców, uzbrojonych w dzidy i rusznice, puszcza się w pościg, upatrzywszy dzień, gdy na głębokich śniegach narosła na tyle już śreń, że utrzymać może myśliwca na łyżwach, a zwierz jeszcze się załamuje. Wyśledziwszy tygrysa, gonią go po śnieżnym tropie, wywabiają na grzązkie zadmy i, gdy uwięźnie zziajany, wściekły a bezsilny, kłują go oszczepami. Biada jednak, jeśli zwierz w pościgu trafi na miejsce płytsze lub twardsze i ze ściganego zmieni się w napastnika. Płaczą znowu wówczas we wsiach osierocone niewiasty korejskie. Niedarmo myśliwcy, idąc na tygrysa, jedzą kości, mięso i serce nieprzyjaciela, aby dorównywać mu w odwadze!

Bardziej jednak nad polowanie doręczne rozpowszechnione są wśród Korejczyków rozmaite tygrysie pułapki, choć przebiegły zwierz niezawsze daje się w nie zwabić. Znane są powszechnie chińskie sidła w kształcie wąziutkiego korytarza kolistego, utworzonego z dwóch koncentrycznych ogrodzeń z wysokich pali. Do środkowego, całkiem zawartego wsadzają psa albo prosię, które wyciem lub kwikiem zwabiają

tygrysa; zewnętrzne ogrodzenie ma wązkie drzwiczki, otwierające się do wnętrza.

Tygrys, wszedłszy do korytarzyka i szukając wyjącej ze strachu ofiary, krąży gorączkowo wokoło i, mijając drzwi, zamyka je, za każdym razem, nie mogąc dla ciasnoty obrócić się, aby wyskoczyć nazewnątrz, nie domyślając się spiąć na łapy i górą przekręcić. Nad ranem przybywają myśliwcy i zabijają go z łatwością oszczepem przez szparę w ogrodzeniu.

— Ale my polujemy na nie tylko pół roku, drugie pół roku one polują na nas! —powtarzają Korejczycy naiwnie o sobie i tygrysach lekceważące przysłowie chińskie.

Sądzę jednak, że polowanie Korejczyków trwa o wiele krócej i że tygrysom zarówno jak i innym dwu i czworonogim drapieżnikom powodzi się w Korei wcale nieźle.

Bezpiecznie podróżować można wszędzie w tym kraju jedynie w miesiącach grudniu i styczniu, podczas rui tygrysiej, kiedy zapamiętałe samce upędzają się za samicami i biją wściekle między sobą, a rozromansowane samice nie myślą wcale o jadle. Za to zaraz potem, a szczególniej w kwietniu i maju, kiedy się kocą, zaczynają dokuczać ludności mocniej lub słabiej, zależnie od roku, stanu pogody i obfitości zwierzyny w okolicy. Gniazda zakładają zwykle w szczelinach skał i pieczarach na południowych stokach, w miejscach zacisznych, gdzie ciepło słoneczne ogrzewa nowo narodzone kocięta i nic ich nie płoszy.

Futro tygrysów korejskich oraz mandżurskich jest o wiele piękniejsze, gęstsze i trwalsze od bengalskich i wyżej się ceni. Ich pazury, zęby, kości i serce są poszukiwane przez chińskich i miejscowych znachorów i lekarzy jako środki lecznicze i magiczne. Stąd polowanie na tygrysy daje znaczne zyski i prowadzone jest z coraz większą zaciekłością i powodzeniem, dzięki pojawiającej się w handlu udoskonalonej broni palnej. Dostarczają jej oraz naboi i żywności myśliwcom kupcy chińscy i japońscy w portach otwartych, odliczając sobie za to setne procenta. Sklepy w tych miastach istotnie pełne są skór tygrysich i można kupić bardzo dobrą za 25 dolarów (korejskich) i wcale niezłą za 15 dolarów.

Można tam dostać i innych skór: leopardzich, niedźwiedzich, rysich, lisich, wydrzych, sobolich, kunich, antylopich, jelenich, zajęczych... Można kupić pyszne „panty“ (młode, zasuszone poroża jelenie), kły dzika, skrzydła orle, żywych sokołów, przyuczonych do polowania na bażanty i przepiórki, wreszcie samej zwierzyny — kaczek, gęsi, bażantów, jarząbków, dzikich gołębi lub ich piskląt i wypiorów wszystkich gatunków, zależnie od pory roku.

Szczególnie obfity wybór futer i zdobyczy myśliwskiej widziałem w sklepach i na targu w Genzanie, co tłomaczy się bliskością tego portu od mateczników zwierzyny korejskiej — bezludnych i zalesionych wyniosłości pogranicza Mandżuryi.

Stamtąd ona grzbietami nieprzystępnych łańcuchów

górskich rozchodzi się po całej Korei, tak że nawet na południowych jej kończynach można spotkać wśród opok i wąwozów nietylko tygrysa, leoparda i niedźwiedzia (komi), lecz i łagodne stworzenia — koziorożce, jelenie, piżmowce oraz inne pomniejsze, mocno prześladowane przez człowieka i swych drapieżnych współbraci.

Bez schronisk bezpiecznych i legowisk północnych dawno by one wyginęły; zaś ich przenikanie w samo serce uprawnych gęsto zaludnionych okolic umożliwiają powyższe pasma dzikich, nieprzebytych skał, które niby żyły rozchodzą się po całym półwyspie. Tam z kolei sąsiedztwo człowieka, prowadzącego dla własnej obrony i zysku nieubłaganą walkę z tygrysem, zabezpiecza cokolwiek i zwierzęta od tego głównego ich wroga; zapewne też z tego powodu gromadki małych, południowo-korejskich małpek gnieżdżą się wyłącznie w pobliżu sadyb ludzkich.

Chociaż życie zwierzęce Korei, pozostając w ciągłych i ścisłych stosunkach z fauną Mandżuryi, przedstawia tylko jej rozgałęzienie, posiada jednak kilka ciekawych, właściwych sobie zboczeń i osobliwości. W Korei np. wcale niema i prawdopodobnie nigdy nie było wilków, choć jest ich bardzo dużo w przyległej Mandżuryi Wschodniej. Następnie ma Korea własną odmianę czarnych orłów [1]), dropi (otis Dybowskii), żółto-

---

[1]) Widziałem te ptaki w powietrzu, ale w muzeach wiem jedynie o egzemplarzach w Tokio i we Lwowie u prof. B. Dybowskiego.

nogą i żółtodziobą kukułkę, wołającą przeciągle „kri", ciemno-burego słowika z szaremi nóżkami, śpiewającego i w locie [1]). Wśród lisów zdarzają się głęboko północne, czarno-bure odmiany, a w starodawnych podróżach są wzmianki o aligatorach, których obecnie nie zostało ani śladu w pamięci ludu. Do osobliwości korejskich należy też mała ilość, nawet miejscami zupełny brak komarów, muszek, gzów, bąków dokuczliwych i licznych w sąsiednich lasach mandżurskich, a nawet w Japonii. Za to są w Korei pszczoły, których nie posiada wcale Japonia. Widziałem ich tam wszystkiego dwa ule w Wyższej Szkole rolniczej w Sapporo, podczas gdy nieledwie w każdej wiosce korejskiej znajdowałem choć kilka roi, a około niektórych domów nawet małe pasieki.

Słyną z piękności barw i rzadkich gatunków korejskie motyle oraz żuki, a jest ich moc niezmierna. W czasie mojej podróży, choć pora już była spóźniona, widziałem w okolicach Seulu, krążące nad polami, jaskrawe motyle, wielkie chrząszcze, przelatując przez drogę, nieraz uderzały mię w twarz lub spadały na konia. Głęboko pod kupami kamieni żyją tu wielkie krategusy o świetnej, złocistej barwie. Dziwna rzecz, że owady korejskie wogólności bliższe są owadom japońskim, niż chińskim. Z 301 znanych gatunków ptaków ma Korea 279 wspólnych z Japonią i Chinami,

---

[1]) Oba wspomniane gatunki zostały odkryte przez polskiego ornitologa A. Jankowskiego.

oraz 249 z Mandżuryą; z 253 gatunków tęgopokrywych ma 147 wspólnych z Japonią, a tylko 82 z Mandżuryą.

Ponieważ chrząszcze w swem gatunkowaniu przedstawiają najczulszy na wpływy środowiska materyał biologiczny i najwierniejsze jego odbicie, należałoby stąd wnosić o wielkiem podobieństwie warunków życiowych w Japonii i w Korei oraz o długiem i ścisłem połączeniu obu krajów w odległej przeszłości.

Morza korejskie obfitują w ryby; szczególniej dużo tu sledzi i łososi. U wschodnich, głębszych brzegów pasą się liczne stada wielorybów (koraje). Nie wyzyskują jednak Korejczycy tych bogactw w należytym stopniu, gdyż ich żeglarstwo i rybołówstwo wskutek odpędzenia ludności od brzegów bardzo podupadło i zaczyna się zaledwie teraz odradzać. Za to tłumnie przyjeżdżają tu Japończycy dla połowu ryb, morskiej kapusty i trepangów. Dwa towarzystwa, rosyjskie i japońskie, polują rok cały na wieloryby korejskie, posuwając się za stadami tych ssaków w zimie ku południowi, a w lecie na północ. Wieloryby korejskie należą do drobniejszych gatunków, zwanych przez wielorybników „pasiatymi" od zmarszczek, w jakie składa się ich wielki, biało-perłowy brzuch. Większa odmiana, „niebieska", nie ma fałdzistego brzucha, jest rzadszą i ceni się o wiele wyżej. Wielki wieloryb biegunowy nigdy nie pojawia się w tych wodach.

Kręci się u brzegów Korei dużo rekinów, drętw i wielkich, jak małe wieloryby, zębatych łupieżców,

które jak wojsko przeciągają bardzo licznymi nieraz zastępami, pożerając i płosząc po drodze stada ryb i morskich ssaków. Wieloryby uciekają od nich, jak szalone, i giną na długo u brzegów.

Niewątpliwie, że Korea ze względu na rozmaitość swej zwierzyny ma prawo do nazwy kraju łowieckiego, ale co do ilości osobników ustępuje o wiele nietylko takim gniazdowiskom zwierzęcym, jak Ceylon, lecz nawet przyległej wschodniej i północnej Mandżuryi. Grubego zwierza odnaleźć dość trudno, gdyż ma wszędzie moc nieprzystępnych kryjówek, tygrys stale znika, gdy go szukają; łatwo jedynie o bażanty, które trzymają się w pobliżu zbóż, oraz o kaczki i gęsi, w czasie wiosennego i jesiennego przelotu chętnie sadowiące się na nieobsianych albo już obranych, błotnych polach ryżowych. Prócz tego w pobliżu wiosek lata mnóstwo dzikich gołębi, a w zbożach kryje się tysiące przepiórek.

Ptactwo łowią Korejczycy w wielkiej ilości za pomocą sieci, stryczków, potrzasków oraz sokołów przyuczonych specyalnie. Te ostatnie z powodu złej tresury zwykle rozszarpują zdobycz, tak że myśliwy musi wciąż się za nimi upędzać, co czyni polowanie bardzo nużącem.

Grubego zwierza, łącznie z tygrysem, łapią krajowcy najchętniej za pomocą maskowanych ziemią i liśćmi dołów.

XI.

Hau-bulang. Szkoła w wiosce Phenang-mu-sej. Oświata.

O dziesięć „i“ (5 wiorst) od noclegu minęliśmy małą, górską wioseczkę, otoczoną marnemi polami niezżętej jeszcze czumidzy i grzędami wpół-zwarzonej sałaty. W zacieniach szop dostrzegłem wiązki suszącego się tytoniu, a nieopodal wieśniacy zwozili skoszony groch, ładując go do wielkich, sznurowych sakw, przewieszonych na obręczach przez grzbiety wołów. Zwierzętom nogi tylko i rogate łby wyglądały z pod kopic nałożonych na nie grochowin. Zimny zrana dzień rozgrzał się; chmury znikły i niebo zajaśniało wysokie, błękitne i promienne; sinawe góry mdlały w oddali w gorących oparach, a wokoło, jak okiem sięgnąć, po same wręby doliny, po spękane stocza wiszarów, przelewały się w długich falach żółte, skłębione wichrem oczerety. Droga wśród nich to biegła prosto, jak strzała, to nikła za niespodzianym zakrętem lub zapa-

dała się w niewidzialnym wądole, aby znów wypłynąć, jako biała pręga na płaskim garbie odległego pagórka.

Gdy znikła nam z przed oczu wioszczyna, kraj wydał się zupełnem pustkowiem; jedynie wicher świstał i stukały kopyta naszych koni po twardej drodze. Wtem przed nami otworzył się niespodzianie głęboki jar z napół zamarzłą rzeczułką; konie poczęły ostrożnie schodzić po wąziutkim gzemsie opoczystej drożyny, pokrytej miejscami w przysłoniach siwym szronem.

Rzeczułkę przebyliśmy w bród, poczem znowu wdarliśmy się na trawiastą płaskowyżynę i znowu po paru godzinach jazdy wśród szumiących osok dotarliśmy do nowego wąwozu. Na dnie, w ślicznym, sosnowym gaju, nad rzeczką Ten-hań, rozłożyła się duża wieś Hau-bulang, gdzie w pobliżu miał według podań zginąć król-ludożerca. Parów rzeki tworzy tu dość obszerną kotlinę, pełną uprawnych pól i ogrodów; w dali widać liczne sioła po obu brzegach rzeczki, w ramach pól sałaty, której jaskrawa zieloność ostro i wesoło odrzynała się od srebrnej wody na buro-żółtym, jesiennym krajobrazie.

Od wsi Hau-bulang czas jakiś dążyliśmy podgórzem zachodniego łańcucha doliny wzdłuż krawędzi wąwozu lewego brzegu rzeki Ten-hań. Miejscowość mocno sfalowaną porastały karłowate krzewy i wciąż te same, gęste, wysokie osoki. W paru miejscach spostrzegłem obszerne łysiny, które wydały mi się świeżo zżętemi rżyskami. Omyliłem się jednak: pól wcale nie było na górnem piętrze płaskowyżyny, a halizny

utworzyły się przez wykoszenie traw na opał. Parę „i" dalej kilku wieśniaków zajętych było żęciem oczeretów i ładowaniem ich we wspomniane powyżej, dowcipne bycze juki, umożliwiające zwózkę snopów i siana z najstromszych pochyłości.

Całą drogę dokuczał nam silny, zimny wiatr północno-zachodni. Okolica zwolna zaludniała się, zjawiały się wioski. O trzy mile (40 i) od noclegu zatrzymaliśmy się na obiad w dużem siole, otoczonem szerokim kobiercem pól zoranych i zasianych. Ale obok widać też było niwy tylko co zżęte, zastawione kopicami snopów. Ryżowych pól jeszcze tu niema, wieśniacy sieją wyłącznie proso gorszego gatunku, owies, jęczmień, grochy, uprawiają tytoń, sałatę i rzodkiew. Śniegu oczekiwali lada dzień, a spadają tu one obficie i leżą długo. Widziałem we wsi coś podobnego do sanek, widocznie sporządzano je do rychłego użytku. Ma-phu nazwał wieś dziwacznie — Phenang-musej.

Dowiedziałem się, że istnieje w niej szkoła sielska (sëdani), i poszedłem ją zwiedzić. Mieściła się w głębi brudnego podwórka, w wewnętrznem skrzydle domu. Odszukanie jej ułatwił mi straszny, rozlegający się wewnątrz hałas; dziesiątek dziecięcych głosów wykrzykiwał rozmaite dźwięki. Gdym otworzył małe, prowadzące do wnętrza drzwiczki, uderzył mię przedewszystkiem ostry, przykry zaduch. Głosy umilkły, jakby kto nożem uciął. Z początku nic nie rozróżniałem, oślepiony przejściem z jasnego dnia w głęboki

mrok. Szkoła miała tak małe okienko, że ćwiczono się tam raczej w kocich sposobach widzenia, niż w naukach [1]). Dopiero po dłuższym czasie rozpoznałem gromadkę biało ubranych, brudnych chłopaków z włosami zaplecionymi w warkoczyk, siedzących na matach pod ścianami. Naprzeciw drzwi, na małem wzniesieniu umieścił się nauczyciel (sy-syn-i, sĕn-saĕn-i — z chińskiego) w wielorogim, włosiennym berecie, przed nim na niziutkim stoliczku leżał papier, pędzelki i stała tuszownica chińska do pisania. Był widocznie, nie mniej niż jego uczniowie, zdumiony i zaciekawiony mojem pojawieniem się. Włożył więc przedewszystkiem na nos ogromne okulary w szyldkretowej oprawie... Bądź co bądź dodaje to powagi!... Tak uzbrojony zagadnął mego ton-sę. Tymczasem zbliżyłem się do dzieci i spróbowałem zajrzeć do ich książek i kajetów. Nie broniły mi tego, ale gdym poprosił, aby dalej czytały swe lekcye, uparły się i nie posłuchały nawet nauczyciela. Jeden tylko chłopaczek zaczął coś bąkać, wskazując ogromną wskazówką na rząd wielkich hieroglifów. Była to pewnie owa słynna książka „tysiąca znaków“, podwalina wszelkiej nauki chińskiej. Z boku każdego hieroglifu na prawo stał napis korejski jego wymowy, a na lewo jego znaczenie korejskie. Rozumie się, że dzieci uczą się przedewszystkiem czytać po korejsku, co wcale nie jest rzeczą trudną, gdyż

---

[1]) Inne szkoły ludowe, które widziałem później, zupełnie były do tej podobne.

alfabet korejski „ŏ-muń" ma wszystkiego 44 litery (25 samogłosek i 19 spółgłosek). Tem tylko różni się od europejskiego, że dzieci uczą się nie poszczególnych liter, lecz odrazu sylab. Litery korejskie są łatwe, przedstawiają kombinacye kresek i kółek, pokrewne cokolwiek i japońskiemu alfabetowi dźwiękowemu („katakana" i „hiragana"). Piszą Korejczycy po chińsku z góry na dół; stronicę również po chińsku zaczynają od prawej strony, a książkę od końca.

Ale umiejętność pisania i czytania po korejsku uważane są jedynie za środek pomocniczy do poznania pisma chińskiego, od którego zaczyna się prawdziwa nauka. Trzeba wyuczyć się „tysiąca znaków", z których żaden nie powtarza się, aby pójść dalej w zgłębieniu chińskich klasyków i ich hieroglifów. Dzieci, nawet dorośli czytają zawsze głośno i śpiewnie, jak to czyni po dziś dzień wielu Japończyków. Często widziałem w ogrodach samotnych czytelników, mruczących rytmicznie odczytywane wyrazy. Obecnie, gdy wpływy chińskie upadły i nauka europejska, śladem handlarzy i żołnierzy europejskich, wtargnęła nieśmiało do Korei, zaczęła się szkoła korejska zmieniać, a język korejski i piśmienność nabierać powagi. Od 1894 r. nawet chińska gazeta rządowa „Dzo-bo [1]) wychodzi

---

[1]) Do 1894 roku gazeta ta właściwie nie wychodziła, lecz na wzór gazety Pekińskiej robiono jedynie odpisy z rządowego oryginału, który zwał się „Dzo-bo" i był sprawozdaniem Izby Pośrednictwa (Synczon-uŏń), wygotowanem dla cesarza i ministrów.

w mieszanym chińsko-korejskim języku. Upadły dawne szkoły, oparte na wiedzy chińskiej i urządzone według chińskiej modły, z nieskończenie długim szeregiem lat, poświęcanych zgłębianiu literatury i filozofii chińskiej [1]). Straciły znaczenie urzędowe, wspaniałe egzaminy, dające prawo zgodnie z prawodawstwem chińskiem do stopnia naukowego i służby państwowej. Zresztą te egzaminy już dawno utraciły wszelką powagę, porażone ogólnym rakiem życia korejskiego— sprzedajnością i nepotyzmem. Pierwszy wyłom w tej twierdzy chińskiego wykształcenia zrobiło prawo „ym", bez egzaminów dopuszczające do urzędów potomków ludzi zasłużonych krajowi; przez tę furteczkę weszły wpływy i przekupstwo, niszcząc zupełnie u osobników z warstw ubogich chęć do pracy i nadzieję polepszenia przez naukę swego losu. Doszło do tego, że król Chiŏn-dzon (1834 r.) otwarcie zaczął kupczyć dyplomami, a ministrowie, rozumie się, utrzymali i nadal ten wielce korzystny dla nich zwyczaj. To odstręczyło wszystkie lepsze jednostki od współubiegania się na

---

[1]) O konfucyonizmie, który niegdyś detronizował królów korejskich, taką znajdujemy wzmiankę w nowych czasach: „Minister oświaty prosił rozmaite departamenty, aby wyznaczały na lepsze miejsca studentów szkoły Konfucyusza. Minister wojny odpowiedział, że jego departament nie potrzebuje usług tych ludzi, gdyż wiedza konfucyońska jest w nim mało używana. Stąd departament ze smutkiem zawiadamia, że nie może naznaczać osób poleconych". (The Korean Repository, 1897 y. Feb. p. 79).

polu naukowem. Wiedza czysta uciekła do klasztorów buddyjskich, do bibliotek i pracowni prywatnych miłośników.

Dopiero rewolucya w Japonii, niezwykły rozwój tego kraju, konieczność otwarcia granic dla handlu wszechświatowego, wymuszona przez tę samą Japonię, wreszcie zwycięska jej wojna z Chinami wstrząsnęły Koreą i obudziły w lepszej części jej inteligencyi świadomość własnej niedoli i pragnienie poprawy. Pod wpływem Japonii ocknęła się dawna cześć dla nauki.

„Obecny, przychylny dla wykształcenia pogląd pojawił się w Korei pod wpływem wojny chińsko-japońskiej“ — przyznaje otwarcie Horace N. Allen, konsul generalny Stanów Zjednoczonych [1]). W Seulu od 1894 r. powstał cały szereg szkół, prowadzonych przez nauczycieli europejskich oraz japońskich, wzorowanych przeważnie na zakładach amerykańskich i angielskich. Założona jeszcze w 1886 r. szkoła metodystów amerykańskich pod nazwą „Pai-Czai“ (Sala kształcenia pożytecznych ludzi) zostaje w 1895 roku uznana za szkołę cesarską i otrzymuje zapomogę rządową — dolara miesięcznie od ucznia. Prócz języków angielskiego i korejskiego, hieroglifów chińskich, uczą tam: geografii, arytmetyki, historyi, algebry, rysunków, fizyki, Nowego Testamentu oraz rzemiosł i mustry wojskowej. Kurs trwa trzy lata; uczniowie noszą mundury; od czasu do czasu urządzane są w szkole publiczne rozprawy,

---

[1]) „The Korean Repository“, October 1898 r., str. 388.

Wieśniacy korejscy, obtłukujący zboże z ości i plewy.

aby przygotować chłopców do życia zbiorowego i działalności politycznej. Liczba uczniów z 50 w roku 1895 urosła do 176 w r. 1897.

W tym też czasie powstała w Seulu szkoła rządowa, normalna, czyli seminaryum nauczycielskie (saböm-hak-kiö) i dziewięć szkół początkowych (siö-hak-kiö). Uważam za zbyteczne mówić o wielkiej ich doniosłości. Pierwszym dyrektorem szkoły normalnej był Amerykanin, H. B. Hulbert.

Wciąż wzrastające stosunki handlowe z Europejczykami oraz ponowne nieszczęście Korei, czyniące ją areną intryg wielkiej polityki wschodniej, stworzyły duże zapotrzebowanie korejskich tłomaczy w biurach, kantorach, kopalniach, na budujących się fabrykach i kolejach żelaznych. Rozmaite państwa zaczęły zakładać na wyścigi swe szkoły. W ten sposób powstały: szkoła angielska (początek w 1883 r., rozszerz. w 1894), japońska (1891), rosyjska (1896), chińska, francuska (1896), wreszcie niemiecka (1898).

We wszystkich szkołach wykładają przedmioty ogólne, geografię, historyę, arytmetykę, fizykę... ale głównie usiłują sobie wyrobić z uczniów dobrych tłomaczów. Ogólną ich wadą jest, że zmuszają rząd korejski do łożenia znacznych stosunkowo sum na ich utrzymanie, co nadwerężа nadmiernie bardzo skromny budżet ministeryum oświaty. Budżet ten w roku 1897 wynosił 47,000 dolarów (jen), w 1900 roku, choć wzrósł do 120,000 dol., wynosił zaledwie 2% ogólnych wydat-

ków skarbu. Z tej sumy na utrzymanie samego ministeryum idzie z górą 23,000 dol., na studentów, kształcących się za granicą, około 13,000 dol. (dawniej dochodziło do 40,000 dol.); następnie 6 tysięcy pochłania obserwatoryum astronomiczne oraz komitet kalendarzowy, układający rok rocznie rządowy kalendarz na wzór chińskiego; 6 tysięcy seulska szkoła lekarska (otwarta w 1899 r.) i kilka tysięcy kolegium Konfucyusza, ocalałe z dawnych czasów seminaryum duchowne [1]).

Budżet szczegółowy szkół, ułożony na rok 1900, przedstawiał się tak według danych urzędowych:

Utrzymanie szkół korejskich w Seulu . . .	25,511	dol.
„ szkoły rysyjskiej	1,224	„
„ „ francuskiej	1,224	„
„ „ angielskiej	2,348	„
„ „ niemieckiej	1,224	„
„ „ japońskiej	1,179	„
„ „ chińskiej	1,179	„
Pensya nauczycieli krajowych	23,410	„
„ „ cudzoziemskich	30,770	„
Zapomogi szkołom rządowym	22,260	„
„ „ prywatnym	7,240	„
„ „ japońskim	2,640	„

---

[1]) Budżet podany przez Hamiltona na rok 1903 notuje: wydatek na administracyę— 24,822 dol.; na kalendarz— 6,000; szkoły seulskie — 89,969; szkoły prowincyonalne — 22,580; zapomogi szkołom prywatnym — 5,430; studenci zagranicą — 15,920, razem — 164,943 dol. („Korea“, str. 100).

Szkoły żeńska i lekarska nie zostały włączone do budżetu tego roku; wykaz ich znajdujemy raz tylko w 1899 r.: pierwsza dostała 3,750 dol., druga 6,030 dol. Dodam, że żadna z powyższych sum nie dochodzi w całości do miejsc przeznaczenia, wszystkie tają po drodze; jedynie szkoły cudzoziemskie dostają, co im obiecano, rozumie się, dzięki naciskowi zewnętrznemu.

Najkosztowniejszą i najwspanialej urządzoną jest szkoła angielska, pobierająca od rządu od 1894 r. około 10,000 dol. zapomogi. Najlepiej zorganizowaną i stosunkowo najtańszą jest szkoła japońska, która dostawała 3,000 dol. zapomogi, ale wydawała najpilniejszym uczniom 10 dol. miesięcznie stypendyum, najlepszych zaś wysyłała na swój koszt do Japonii[1]). Kształciło się w szkołach wyższych w Seulu w r. 1898 około 800 młodzieży[2]); wątpię, aby liczba ich obecnie o wiele wzrosła, gdyż rok 1898 był porą największego ożywienia szkolnego. W 1903 r. oglądałem dwie szkoły, francuską i rosyjską, w pobliżu ulicy Ministeryalnej; były to małe, dość schludne domki, stoją-

[1]) J. B. Bishop mówi o 77 młodych Korejczykach, kształcących się w 1897 roku w Japonii, ale byli to według jej słów „stypendyści rządowi", ogólna ich liczba była więc pewnie wyższą. „Korea and Her Neighbors", p. 391.

[2]) W Pain-Czai — 176; w Normalnej — 65; w rosyjskiej — 88; w francuskiej — 100; w angielskiej — 120; w japońskiej — 180; w niemieckiej — 66. („The Korean Repository", October, 1898-y., pp. 388—392 „Our schools").

ce w różnych końcach obszernego, murem otoczonego podwórza. Miały wewnątrz urządzenie proste, ale europejskie, ładne, duże, szklane okna i ganki. Uczniów nie zastałem, gdyż było święto, dzień urodzin 7-letniego księcia Jang-cziu-nau. Z tej racyi przed bramą pałacu w południe zebrały się tłumy młodzieży szkolnej (hato) z chorągwiami pod wodzą nauczycieli (kam-dok), śpiewając pieśni patryotyczne. Mogło ich tam być z jakie półtora tysiąca — cokolwiek za mało dla 220-tysiącznego miasta. Były to jednak wyłącznie dzieci z klas niższych, ze szkół początkowych, studentów nie zauważyłem.

Szkół elementarnych w Seulu jest 9, a w nich do tysiąca uczniów. Na prowincyi takich szkół wszystkiego 21; każda pobiera miesięcznie od rządu 30 dolarów zapomogi. Poza tem istnieją szkoły misyonarskie najrozmaitszych wyznań. Najliczniejsze i najlepiej prowadzone są szkoły metodystów, u których w 15 szkołach niedzielnych uczyło się w 1897 r. 900 uczniów. Jedyna w Korei wyższa szkoła żeńska, „Ewa Haktang“, została również przez nich założona. Oprócz misyonarskich niema wcale w Korei szkół żeńskich, gdyż posyłanie dziewcząt do jakichkolwiek zakładów publicznych sprzeciwia się obyczajom korejskim. Kobiety odbierają dotychczas wyłącznie wychowanie domowe [1]).

---

[1]) We wrześniowym zeszycie „Korean Repository“, z r. 1899 (str. 355) znalazłem wzmiankę, że pewna liczba korejskich pań organizowała towarzystwo popierania kształcenia żeńskiego.

Charakterystyczną cechą średnich szkół korejskich jest zupełny brak podziału zajęć wśród nauczycieli. Etaty są bardzo nieliczne, nauczyciele dzielą się nie według przedmiotów, lecz według klas; każdy z nich musi wykładać *wszystkie* lub prawie wszystkie przedmioty powierzonym mu uczniom. Szkoła normalna np. składa się z dyrektora (hak-kio-dzan), dwóch starszych nauczycieli (kio-goań), jednego młodszego (pu-gio-goań), trzech nauczycieli przygotowawczych (kio-uöń) i sekretarza (siö-gyj). Nauczyciele europejscy porozumiewają się ze swymi uczniami zapomocą tłomaczów przysięgłych. Nawet oni pobierają dość skromne wynagrodzenie, najwyżej od 2 — 3 tysięcy dolarów. Japończycy biorą do 100 dol. miesięcznie, nauczyciele krajowi — około 50 dol., a nauczyciele szkół początkowych — najwyżej 15—20 dol. miesięcznie.

Jak widzimy, małe, nadzwyczaj małe są wydatki państwa korejskiego na oświatę i nadomiar lwią ich część pochłaniają szkoły wyższe i cudzoziemskie. Reforma szkolna nie tknęła bynajmniej szkoły elementarnej. Jakże więc poczyna sobie lud prosty i skąd bierze się znaczny stosunkowo wśród niego procent ludzi piśmiennych [1])?

---

[1]) Autor artykułu „Hejis a farmer", pisze, że wśród wieśniaków korejskich jest 60% analfabetów, a włącznie z kobietami 85%, że ilość ich najmniejsza jest w prowincyi stołecznej Kiön-gyj-do i sąsiedniej Choan-hä-do, a najwięcej—w mało kulturalnej części półwysp., na północy. („The Korean Reposit". 1898 r. p. 230).

Lud uczy się sam. W każdej nieledwie większej wsi odnaleźć można ciemną, brudną dziurę, podobną do już opisanej przeze mnie, gdzie gromadzą się dzieci wieśniaków, zapłaciwszy ubogiemu, jak oni sami, nauczycielowi po 50 phun (10 kop.) miesięcznie od ucznia. Wieśniacy również „oporządzają" szkołę, wyścielają ją matami, wyklejają taniem obiciem, kupują potrzebne książki, tusz, papier, pędzelki; prócz tego karmią i odziewają nauczyciela, zazwyczaj chłopa z pochodzenia, równie skromnego i mało wymagającego, jak oni. Płacą i uczą się; wciąż uczą się cierpliwie „tysiąca" trudnych „znaków", bez cienia wyrachowania, bez widomego nawet pożytku i nadziei, że one wywiodą ich z czasem z obecnej ich niedoli... Nauka daje im wyłącznie drobne wprawdzie, ale czysto umysłowe rozkosze i trochę ogłady. Poza tem — nic!.. Jest więc niepoprawnym idealistą ten lud potulny, gnębiony bezkarnie od wieków przez swoich i obcych.

XII.

Phön-gań. Pań-su. Dożynki. Wieśniacy i ich zwierzęta domowe.

Dziesięć „i" (5 wiorst) od Phenanng-musej zaczęły się pola ryżowe i okolica odrazu się zaludniła. W parowie płynie na południe rzeczka, którą nazwano mi Poke. Stronami majaczą wioski i ciemnieją w ramach wysokich grobli nawodnione rżyska. Na wodzie klekoce wysoka, pionowa turbina, poruszająca tłuczkę ryżową; jest to bądź co bądź krok naprzód do niezgrabnych „mul-bań-a".

Dalej na dolinie spotkaliśmy kilku żołnierzy korejskich w mundurach podobnych bardzo do japońskich z ładownicami przez piersi i szybko strzelnymi karabinami na ramionach, w oddali jechał konno oficer i tragarze nieśli jakieś paki. Wszyscy bardzo mi się pilnie przyglądali.

Pola zawalone głazami; często ścieżka ginie wśród nich i konie z trudnością wyszukują między złomami

miejsca na postawienie nogi. Pola ryżowe zwolna wypierają z dna dolin wszelkie inne, wypędzają prosa, pszenice, grochy, boby, jęczmienie na zbocza przyległych gór.

Wjeżdżamy do powiatowego miasteczka Phŏń-gań[1]), różniącego się od wiosek jedynie rozmiarami. Na ulicach roi się dużo ludzi, odświętnie ubranych kobiet z zasłonami na głowach. Okazuje się, że w miasteczku uroczystość. Około jednego z okazalszych domów kupi się cały tłum biało ubranych wieśniaków, w czarnych włosiennych kapeluszach. Dostrzegam przed wejściem wielki namiot z szarego płótna, w którym odbywa się jakaś ceremonia. Zsiadam z konia wbrew nawoływaniom ton-sy, który chce mię od tego powstrzymać. Tłum rozstępuje się i widzę „pań-su" w żółtej, zgrzebnej odzieży, płóciennym berecie, jak schylony nad snopem ryżu, rusza go pałeczką i mruczy zaklęcia. Pomagają mu dwaj młodzi wieśniacy, również uzbrojeni w kije. Gromada starych i młodych wypełnia namiot, przyźbę domu, wygląda z izby. „Pań-su" miał zatknięty za beretem arkusz drukowanego papieru i z powierzchowności oraz ruchów podobny był nieco do mnicha buddyjskiego. Ubranie jego przypominało żałobny strój korejski. Nie zważał na mnie i nie prze-

---

[1]) Wioska ta, oznaczona dość dobrze na mapie w wydaniu ministeryum finansów, nosi tam nazwę Phiŏń-gań, ale zapisana przeze mnie nazwa Phŏń-gań — zgadza się z nazwą na mapie japońskiej.

rywał guseł, nawet gdym go fotografował. Wieśniacy natychmiast zaprosili mię i ton-sę do izby, gdzie na wysokich, chińskich stolikach stały stosy jedzenia, ciastek, orzechów, cukierków. Stąd zaprowadzono nas do drugiego pokoju, w którym na matach, paląc fajeczki, zasiadali pod ścianami poważni brodaci chłopi. Podano nam po czarce ciepłej wódki ryżowej (suli) roboty domowej, słabej, mętnej i białej, postawiono przed nami małe, japońskie stoliczki-tace zastawione miseczkami z łakociami. Były to przeważnie ciastka z krochmalu rozmaicie zabarwione i zaprawne; miały smak obrzydliwy; z trudnością przełknąłem jeden. Izba niezwłocznie zapełniła się ciekawymi, ale wszyscy zachowywali się bardzo grzecznie i poważnie. Wyszedłem, aby śledzić za czarami, lecz „pań-su" już porzucił snopek i zwrócił na mnie swe ślepe oczy. „Pań-su" słyną z nieżyczliwości dla wszelkich „nowinek", i cudzoziemców. Ton-sà ciągnął mię za rękaw, abym szedł. Wydał mi się zaniepokojony mem zachowaniem i gdym się zbliżył do malowanej jaskrawo lektyki i jakichś barwnych przyrządów oraz lalek, które grały widocznie rolę w ceremonii, powiedział mi cicho.

— Idźmy!... Niech sir idzie!... Ludzie pijani... Może się stać co złego!... W dodatku do noclegu daleko i droga prowadzi pustemi polami!... Ma-phu niezgodzi się jechać, a tu zostać nie możemy!..

Miałem, co prawda, wielką do tego ochotę, ale spojrzawszy uważnie po skupionych i poważnych twarzach wieśniaków, zrozumiałem, że im przeszkadzam

i że gdybym nawet został, nie pozwolą mi nic zobaczyć, siadłem więc na konia, którego mi skwapliwie podano. Tłomacz objaśnił mi, że zanosiło się na tęgą pijatykę, gdyż świętowano dożynki ryżowe, a rok był urodzajny! Droga szła istotnie pustemi, ale starannie uprawnemi polami, psutemi jedynie przez ogromne bryły lawy, rozrzucone suto i wszędzie, wynurzające się z głębi roli niby łby podziemnych potworów lub tworzące ławice długie i bezładne. Z trudnością przebywaliśmy je lub omijali, gdzie się dało. Szeroki gościniec skurczył się znowu do wązkiej ścieżyny. Słońce zachodziło, góry strzegące dolin pociemniały mocno, a sfalowane jej dno zalśniło się miedzianym blaskiem. Ziemia stygła, wiatr ustał. Bez ruchu zamarły w ognistej zorzy białe kity oczeretów, których obszerne zarośla znowu pojawiły się u drogi. Daleko na wyniosłości zaczerniała sylwetka naszego jucznego konia, którego ma-phu puścił naprzód luzem, po za nim bielały figury kilku spóźnionych, jak my, podróżnych. Drogi korejskie, we dnie bardzo ożywione, puścieją ku wieczorowi, gdyż zaczynają na nich grasować łotrzykowie, srogie duchy i sroższe jeszcze tygrysy.

Już słońce znikło za górami, gdyśmy wjechali na szeroką, pełną gwaru i ruchu ulicę bogatej wsi Huon. Wieśniacy wracali z pól, prowadząc woły, obładowane pługami i niosąc narzędzia. Inni odwiewali przed domami świeżo omłócone zboże, sypiąc omłóciny na krawędź dowcipnie urządzonych płaszczyzn pochyłych, po których na jedną stronę staczało się ziarno, a na

drugą plewy i śmiecie. Ponieważ nie było wiatru, młodzi chłopcy tworzyli go sztucznie, machając wielkimi wachlarzami z piór i skóry. Gdzieindziej cały rój młodzieży kręcił wesoło młynek, parobcy rzucali łopatami groch na sita oddzielcze. Wszędzie brzmiały śmiechy i wesołe głosy; z podmurowań domów buchały obiecujące, białe dymy, czerwone łuny świeciły w kuchniach i z końca w koniec rozlegały się piskliwe nawoływania dzieci, wabiących towarzyszów, aby przyszli przyjrzeć się przejezdnemu „Jangin“ (Europejczykowi), którego pocichu zwano też „Jang-ak-kuj“ (zamorskim djabłem). Kaczki, gęsi ciągnęły poważnie rzędami na nocleg, kur już nie było widać, tylko świnie i psy uwijały się jeszcze po ulicy, podniecone ogólnym ruchem. Wspaniałe woły korejskie szły poważnie za oraczami lub leżały przed drzwiami domów, czekając wieczerzy, podczas gdy ich gospodarze zasiedli już gromadkami na przyźbach, paląc fajeczki, gwarząc i spoglądając ciekawie na małą naszą karawanę, przeciągającą przed nimi.

Korejczycy są wogóle ciekawi, a wieśniak korejski jest wprost żądny wszelkich nowin i widowisk. Rok cały przykuty do roli, którą skrzętnie uprawia, nie ma czasu na dalsze wycieczki i zna świat i jego zdarzenia jedynie z opowiadań wróżbitów (pok-ca) i przekupniów wędrownych (pu-sań). Oto, co mówi o trudach i wczasach korejskiego wieśniaka autor ciekawej rozprawki „On jest wieśniakiem“ [1]): „Pierwszą cechą, uderzają-

[1]) „The Korean Repository“, June 1898 r., str. 230.

cą cudzoziemców w korejskim wieśniaku, jest jego pilność. Nie posiadając żadnych narzędzi, oszczędzających mu pracy, liczyć jedynie musi na swoją siłę i swego wspólnika, wołu. Czas obecny (połowa czerwca) jest porą przesadzenia ryżu; w tym celu opuszcza on dom o wschodzie słońca i pracuje ciężko do zmroku, stojąc przez cały dzień bosy i nagi w wodzie, z boleśnie zgiętemi plecami, oblepiając mułem kępki ryżu w błotnistym szlamie. W ciągu dnia pomagają mu w tej robocie żona i synowa, równie zręczne w przesadzaniu ziarn i pieleniu szlamów, jak mężczyźni. Głównymi zbiorami, którym poświęcają swój czas, są: ryż, jęczmień, pszenica, bób i zwyczajne warzywa; na hodowli tych zbóż upływa im rok cały. Podczas zimowych miesięcy staje się Korejczyk rękodzielnikiem i wyrabia: maty, sandały, parawaniki, poszycia lub zbiera na zboczach wzgórzy drzewo i chróst, które wysyła, po zatrzymaniu pewnej części na własny użytek, wielkiemi partyami do najbliższych miast. Dwa miesiące w roku uważane są jako „czas próżniaczy";—pierwszy i szósty miesiąc. W ciągu tych miesięcy jest swobodniejszy, można go znaleźć w domu, gotowego słuchać każdego, kto zajrzy".

Korejczycy nie znają wcale niedzielnego, regularnego wypoczynku. Przerwę w ich pracy czynią jedynie uroczystości noworoczne, następnie dni ofiarne na cześć przodków własnych i domu panującego, święta bogów miejscowych i okręgowych, obrządki rodzinne — wesela, pogrzeby, urodziny, zmiana lub nadanie

imienia... Przeciętnie świętują o wiele mniej, niż wieśniacy europejscy, nawet po doliczeniu do wczasów godzin spędzanych co jakiś czas na sąsiednim jarmarku. Jarmarki wprowadzone zostały w Korei przed 600 laty i uzyskały wielkie rozpowszechnienie; w każdem miasteczku, nawet w niektórych większych wsiach co pięć dni odbywają się targi, gromadnie odwiedzane przez chłopów. Mają one ogromne znaczenie handlowe, gdyż dotychczas większość przedmiotów użytku wieśniaczego wyrabiają w chwilach wolnych sami włościanie i włościanki. Ciągną więc tłumy biało ubranych chłopów, niosąc na plecach, a kobiety na głowach, rozmaite przedmioty i wyroby lub prowadząc woły zaprzężone do ciężkich wozów albo objuczone chróstem, ziarnem, sianem, rybą, owocami, konopiami, matami i t. d. Pędzą na sprzedaż woły, konie, świnie; niosą w koszach drób — kury, gęsi, kaczki, a w workach upolowaną zwierzynę. Słusznie Korejczycy chlubią się swem bydłem rogatem; stanowczo mają najlepszą jego odmianę na Dalekim Wschodzie. Wspaniałe osobniki, szerokie, rosłe, na krótkich nogach, z wielkiem, obwisłem podgardlem, przypominają angielskie woły Durham i dorastają 1 metra 46 — 50 centym. wysokości. Ważą nieraz z górą 700 funtów, są bardzo mocne i rzeźkie. Z łatwością ciągną na dwukołowcu 1,600 funtów i nieocenione są w drodze, przy przeprawach przez bystre rzeki, grząskie błota, strome góry... Koń jeszcze się czasem potyka i pada, wół korejski nigdy... Używane wierzchem, chodzą

szybkim krokiem, wcale nie wolniejszym od końskiego. Niektóre osobniki z osady rogów, z szerokiego, kędzierzawego łba, z dzikiego spojrzenia i dość długiej sierści wydały mi się uderzająco podobnymi do jakuckich mieszańców bawolich, zwanych tam „chińskiem bydłem“ (kytaj süösü). Nie wątpię, że i w bydle korejskiem płynie dużo krwi bawolej, której one zawdzięczają swą siłę i dorodność. Na wzrost ich wpływa bezwątpienia ta okoliczność, że Korejczycy wcale nie spożywają nabiału, nie wyrabiają ani masła, ani sera, cielęta więc ssą mleko do syta i długo. Obchodzą się krajowcy z bydłem rogatem dobrze, pasą w nocy na trawie, a w zimie oraz w czasie robót dają gotowaną trzęsionkę ze słomy i zielska z bobami, których wół dostaje dziennie koło 5 funtów (suchych). Dużo bydła korejskiego rok rocznie idzie do Japonii i Kraju Usuryjskiego, gdzie jest chętnie nabywane ze względu na większą odporność na karbunkuł i inne epizootye, niszczące nieustannie stada bydła rosyjskiego. W Korei niema stad specyalnie hodowanych dla handlu, ale każdy zamożniejszy wieśniak karmi opasy i cielęta. Nie widząc hurtów na pastwiskach, wielu podróżników wnioskowało, że w Korei bydła mało, lecz wniosek ten uważam za mylny, zarówno jak mniemanie o braku bydła w Chinach. Stanowczo więcej go tu i tam, niż w wielu miejscowościach Rosyi. Mięso, skóry i łój skwapliwie są skupowane do Japonii, gdzie bydła o wiele mniej i gdzie zmiana kuchni w kierunku zwierzojadztwa, wprowadzona niedawno fabrykacya mydła,

wielu smarów oraz wyrobów skórzanych na wzór europejskich niezmiernie zwiększyły zapotrzebowanie produktów zootechnicznych. Nizkich koników korejskich, stosunkowo mniej używanych do robót polowych, widać niemało na drogach, objuczonych towarami lub niosących jeźdźców. Są mocne, wytrwałe i zgrabne, ale dzikie. Korejczycy, którzy przejęli od Chińczyków poszanowanie dla wołu, konia traktują niedbale, często okrutnie, zachowując względem niego obyczaje koczowników z nad Amuru i stepów buryackich. Nie pozwalają im kłaść się, rzadko w drodze poją i wcale nie starają się zabezpieczyć od słoty i zimna. Słyną w Korei konie ze stadnin rządowych z miejscowości Ul-sań, na południowo-wschodniem wybrzeżu w prowincyi Kiŏn-sań-do, oraz na wyspie Quelpart i małej wysepce Grinto, u zachodniego wybrzeża, niedaleko miasta On-cziń, w prowincyi Choanhă-do. Mieszkańcy tej wysepki trudnią się wyłącznie pasterstwem koni.

Konie trzymają głównie ma-phu (woźnice towarów); niedawno dużo koni miały wsie pocztowe, obowiązane wozić urzędników; obecnie z upadkiem dawnych poczt i stamtąd konie przeszły częścią do ma-phu, częścią zostały sprzedane dla wojska. Mało bardzo widziałem w Korei osłów, a jeszcze mniej mułów, tak lubionych, pięknych i rozpowszechnionych w Chinach i Mandżuryi.

Świnie korejskie są nieduże, rzadko ważące wyżej nad 30 funtów, zawsze czarne, obrosłe ostrą szczeciną,

niezgrabne, lecz bardzo ruchliwe. Mr. Malcolm C. Fenwick mówi, iż z wielkiem niedowierzaniem wziął się do hodowli „czarnych świń korejskich", lecz osiągnął niezwykłe rezultaty i przyznaje, że Korejczycy słusznie uważają wieprzowinę europejską za niesmaczną. Wieprzowina korejska jest wyborna. On twierdzi, że wieśniak korejski, nawet przy obecnej swej biedzie, może wypasać w ciągu 8 miesięcy do 300 funtów wieprzowiny [1]), Zawsze widziałem w wioskach korejskich dużo tej trzody, która też jest przedmiotem handlu i nawet wywozu.

Wogóle i drobiu i zwierząt domowych o wiele jest tu więcej, niż we wsiach japońskich, choć mniej naogół, niż w chińskich. Nie widziałem wcale w Korei kóz, owiec, indyków; za to dużo wszędzie wałęsa się psów, często marnych i oparszywiałych, lecz doskonałych stróżów, nieznoszących zapachu Europejczyka. Korejczycy chętnie jedzą psie mięso, i psy oprawne widać często wiszące w miejskich jatkach w jednym rzędzie z wieprzowiną i wołowiną. Zresztą ta ostatnia jest droga, gdyż bicie bydła rogatego skrępowane jest rozmaitymi przepisami, które uczyniły handel tem mięsem przywilejem urzędników i szlachty.

Z drobiu bardzo poważana jest kaczka, która wraz z gęsią uważana jest za symbol wierności małżeńskiej i, jak u Chińczyków, musi znajdować się w liczbie podarunków weselnych. Ubodzy zastępują ją ptakiem papierowym.

---

[1]) „The Korean Repository", r. 1898, str. 291.

Bardzo smaczne i nośne są kury korejskie, specyalnie karmione gryką. Ten pokarm nietylko zwiększa ilość jajek, lecz i polepsza ich smak. W miastach i po wsiach dużo półdzikich gołębi popielatych. Kotów widziałem w Korei bardzo mało.

Poza tem mają Korejczycy jeszcze pszczoły, które dają doskonały miód, ale z któremi nie umieją się obchodzić. Wszystkie ule, jakie widziałem, były albo wypróchniałymi pniami, nakrytymi kamieniem płaskim, albo poprostu wielkimi garnkami, wywróconymi dnem do góry. Z każdego ula mają od 3 do 8 misek miodu, wartującego 3 do 8 kop. (30—80 phun) każda. Mają też Korejczycy jedwabnika, którego wykarmiają na morwie i dębie, ale jedwabnictwo słabo jest rozwinięte. Nitka jedwabna, mocna ale gruba, podobna do mandżurskiej; tkaniny prostackie, wcale prawie nie obracają się w handlu, tkane są wyłącznie w domu i dla własnego użytku. Najlepszego jedwabiu-surowca dostarczają okolice Seulu i południowe prowincye.

XIII.

Cmentarze i pogrzeby.

Od wsi Huon do Seulu pozostało 250 „i“; byliśmy więc w połowie drogi. Dzikie wąwozy górskie, wązkie ścieżyny, puste doliny, wsie oblegane przez tygrysów, były za nami. Z każdym krokiem posuwaliśmy się w głąb okolic coraz ludniejszych, bogatszych i lepiej uprawnych. Gdyby nie liczne zwały kamieni i łańcuchy siwych, nieprzystępnych opok w oddali, miałbym wrażenie, że podróżuję po najpiękniejszych miejscowościach Chin północnych. Też same pola, zaorane w długie, wysokie skiby, też same wioski wśród gajów. Jedynie ilość pól ryżowych była tu większą i wciąż rosła w miarę naszego posuwania się na zachód i południe.

Pogoda była piękna, noce zimne, ale dni ciepłe, słoneczne, w południe upalne, choć mieliśmy już 28 października. O półtorej mili od noclegu, po przebyciu małej przełęczy, wyszliśmy nad rzeczułkę, obsadzoną

pięknemi, staremi drzewami. Z obu stron na podgórzach zarośniętych sosnowymi laskami widać było kurhany wspaniałych mogił, całe ich szeregi. Niektóre, starannie okopane od północy półkolistym wałem, wznosiły się samotnie albo w towarzystwie 2—3 pomniejszych. Prowadziła ku nim zwykle droga szeroka, zdobna wrotami drewnianemi i stały zazwyczaj przed nimi małe kamienie (tu-di) bogów-opiekunów mogiły lub słupy kamienne z napisami i kamienne figury ludzkie. Zwiedziłem jedną mogiłę na prawo od drogi. Zajmowała obszerną przestrzeń i przyległy, ładny las sosnowy należał do niej, dzięki czemu zapewne ocalał. Przed kopcem stała nizka, ale dość duża płyta kamienna, przed nią — mniejsza kwadratowa, z obu stron wysokie, rzeźbione słupy kamienne. Cmentarzy w Korei zachodniej, jak nasiał. Nietylko każda wieś, ale każdy ród, często każda rodzina ma własny cmentarz. Co prawda większość ich leży daleko w górach i jedynie bogatsi grzebią swych nieboszczyków, tak jak Chińczycy, wśród pól uprawnych, według wskazówek „pań su", wznosząc wysokie kopce mogilne, półkoliste okopy i nagrobki. Wieśniacy nie mają na to czasu i pieniędzy. I oni jednak starają się o przyzwoite zachowanie cmentarzy, gdyż „powodzenie żyjących zależy bardzo od przychylności umarłych"; przychylność zaś umarłych zdobywa się przyzwoitym pogrzebem i pieczą o ich mogiłach.

Jak grzebali swych przodków starożytni Korejczycy — nie wiadomo. Słabą, ale doniosłą wzmiankę

w tym przedmiocie znalazłem jedynie w króciutkiej uwadze niewiadomego autora: „Niektórzy pisarze wspominają o obyczaju pewnych tunguskich plemion głodzenia, zjadania lub palenia starców żywcem. Francusko-korejski słownik wykazuje, że zwyczaj ten do niedawna istniał w Korei. Griffis mówi o nim (str. 83 [1]): „Przypuszczenie, że Korejczycy powstali ze zlewu plemion południowych z plemionami północnemi, przybyłemi z nad Amuru, ma cechy prawdopodobieństwa, przeto panowanie u nich zwyczaju zabijania starców, właściwego licznym plemionom turańskim, nie przedstawiałoby nic nadzwyczajnego [2]). Za takie pozostałości starodawnych obyczajów należy uważać wyrzucanie nieboszczyków wprost na otwarte powietrze, pod lekkiem pokryciem ze słomy, co jest dotychczas w użyciu w okolicach Kuń-sań (Półn. Cziölla).

Palenie ciał, powszechne za panowania dynastyi Silla i Koriö, zostało wzbronione z upadkiem buddyzmu i obecnie utrzymuje się tylko wśród mnichów buddyj-

---

[1]) „The China Review", Vol. XIV, str. 224. „Human Sacrifices in Corea".

[2]) Obyczaj ten istniał również do niedawna wśród Czukczów; ostatnie takie zabójstwo miało miejsce w latach 70 zeszłego stulecia i zostało opisane przez Augustynowicza. Przy mnie został zabity przez syna na własne żądanie bogaty Czukcza z tundry zachodniej (Małej). Wśród Jakutów i Tunguzów podania o zabójstwie starców zachowały się bardzo żywo („12 lat w kraju Jakutów", str. 296).

skich. Panujące teraz obrzędy pogrzebowe, całkowicie zapożyczone z Chin, są surowo przestrzegane w całym kraju i obowiązują pod grozą kary sądowej. Rozwijają się one logicznie na tle dwóch zasad: czci dla rodziców i wiary w nieśmiertelność duszy.

Według pojęć korejskich, człowiek ma trzy dusze [1]). Po śmierci, jedna z nich wciela się w pozostającą w domu „tabliczkę“ nieboszczyka (uj-phă), druga zamieszkuje w jego mogile pod opieką ducha gór, wcielonego w nagrobny kamień (tu-di), trzecia udaje się w świat nieznany „dziesięciu sędziów“, skazujących ją zgodnie z jej życiem na ziemi do kraju wiecznego szczęścia lub do jednej z dzielnic piekielnych. Wiodą ją przed oblicze tych sędziów „sa-dza“, wysłańcy z podziemnego państwa. Zgodnie z pojęciem, że te dusze są zupełnie do zmarłego podobne, obrzędy pogrzebowe mają na celu dostarczenie im wszystkich rzeczy potrzebnych w długiej podróży i następnem życiu, a uczucia synowskie i cześć dla nieboszczyka znajdują wyraz w lamentach, głośnym płaczu, poście i ciężkiej żałobie dzieci oraz bliższych krewnych (w linii męskiej).

Aby duszę zatrzymać jak najdłużej w ciele, starają się w domu konającego i w pobliżu uniknąć wszelkich dźwięków. Umierającego mężczyzny doglądają wyłącznie mężczyźni. Z początkiem konania przenoszą

---

[1]) Wierzenia Jakutów w „trzy ludzkie dusze“ i związek ich z „trzema częściami cienia“. („12 lat w kraju Jakutów“, str. 382).

choręgo na szeroką deskę, pokrytą matami, a pod głowę kładą mu poduszkę. Twarz konającego powinna być obróconą na południe. Po skonaniu natychmiast zatykają mu usta watą, aby zatrzymać resztki zostającego w ciele „oddechu", który ma własność zabijania wszystkiego, co żyje w pobliżu. Przedtem wszelako obecni próbują pałeczkami otworzyć zamknięte szczęki zmarłego, aby przekonać się, czy śmierć nastąpiła istotnie. Jeżeli zmarł ojciec rodziny, to syn najstarszy zamyka mu oczy. On również, jeżeli kochał ojca, obowiązany był przygotować dlań zawczasu piękną odzież pośmiertną. Do mniej powszechnych zwyczajów pogrzebowych należy „tan-dżi":

„Gdy śmierć od choroby lub starości grozi ukochanej osobie, Korejczyk w rozpaczy gryzie zębami lub rozcina nożem palec i krwią swą karmi umierającego. Bardzo często palec zostaje całkowicie odcięty. Jest to jeden z najwyższych czynów krańcowej żałości. Jakie jest pochodzenie tego zwyczaju, powiedzieć nie umiem, lecz taką opowiadano mi o nim legendę: Przed laty matka leżała konająca, podczas gdy jej nieletnie dziecię, nieświadome zbliżającego się nieszczęścia, bawiło się w otwartych drzwiach. Gwałtowny podmuch wiatru przyciął drzwiami rękę malca i brzydko rozciął mu palec. W strapieniu dzieciak popełznął do swej umierającej matki i wsunął zraniony palec w jej usta. Smak krwi dziecięcej przywołał ją do życia. Zaczęła przychodzić do siebie i ostatecznie całkowicie wyzdrowiała. Tak więc niebiosa posłały wiatr dla nauczenia Korej-

czyków nowego sposobu wyrażenia najwyższej żałości!...“ — kończy autor, Europejczyk, swoją wzmiankę o tym obyczaju [1]). Należy raczej widzieć w nim odbicie chińskiego przesądu, że krew ludzka może wrócić zdrowie a nawet życie umierającym i powtórzenie zmienionej legendy o cnotliwej córce, która dla uratowania życia rodzicom wytoczyła krew własną.

Natychmiast po zgonie wnoszą do pokoju, gdzie ciało leży na desce, mały stolik z trzema misami ryżu, trzema miskami grochowego kisielu i trzema czarami wódki ryżowej (suli), obok kładą trzy pary słomianych sandałów, trzy łokcie tkaniny perkalowej, tyleż łokci płótna, trzy arkusze papieru i płaszcz... dla trzech dusz nieboszczyka. Następnie wywołują trzykroć imię jego i jadło wyrzucają za drzwi a rzeczy palą na dworze. Zabierają je dusze oraz wysłannicy podziemni, odprowadzający jedną z nich „do dziesięciu sędziów“. Jednocześnie sługa wynosi odzież nieboszczyka na dach i, ująwszy ją jedną ręką za kołnierz, a drugą rozsuwając fałdy, zwraca się na północ, dokąd odchodzą wszystkie dusze, z trzykrotnem wezwaniem imienia nieboszczyka, w nadziei, że dusza jego powróci do ciała. Po zejściu na dół sługa tem ubraniem pokrywa zmarłego. Tymczasem w podwórzu naprzeciw wejścia pospiesznie, obyczajem chińskim, budują altanę z mat, wysłaną matami, gdzie umieszczają stół z jedzeniem dla dusz nieboszczyka. Wybierają z najbliższych krewnych prze-

---

[1]) „The Korean Repository“, June 1897 r., str. 228.

wodniczącego dla mężczyzn i przewodniczkę pogrzebu dla kobiet. Wtedy dopiero przystępują do obmywania i obłóczenia ciała. Ale przedtem obecni, wyjąwszy przewodniczącego, wychodzą na podwórze i stają u południowej strony namiotu twarzą na północ z głośnym krzykiem i płaczem.

Nieboszczyka rozbierają, zaczesują mu włosy po korejsku do góry i związują w pęczek na czubku, poczem ciało obmywają wodą pachnącą i wycierają ręcznikiem. Obcinają mu paznokcie na rękach i nogach a zrzynki z każdego palca chowają starannie do osobnych, małych woreczków; do osobnego również woreczka składają wyczeski włosów, a wszystko następnie umieszczają w trumnie, gdyż dla uniknięcia przyszłych powikłań żywych z umarłymi nic nie powinno pozostać na ziemi z chowanego nieboszczyka. Wodę od mycia wylewają, grzebienie, ręczniki wyrzucają do osobnego dołu na podwórzu.

Do ubierania przenoszą zmarłego na inną deskę, pokrytą matami i kołdrą. Wdziewają mu na gołe ciało watowaną odzież, a na nogi watowane pończochy i czarne trzewiki z grubą podeszwą papierową, poczem przewijają go przez pół powijakiem jedwabnym oraz płóciennym, a z wierzchu oblekają w perkalową lub jedwabną, powłóczystą odzież, ściągniętą pasem. Pas kobiet i urzędników zawsze jest koloru czerwonego.

Ten, co ubierał nieboszczyka, po umyciu rąk, umieszcza na stoliku obok ciała kawałek mięsa, trochę zupy i papier z tkliwym i pochwalnym życiorysem

Pogrzeb na cmentarzu (czang-sa-ci-neo).

zmarłego; następnie wylewa trochę wódki na wschodniej stronie, poczem zaczyna się karmienie nieboszczyka kaszą jaglaną. Bogaci Korejczycy do kaszy dodają trochę pereł i kawałek nefrytu w celu zabezpieczenia ciała „od szybkiego gnicia“. Przewodniczący pogrzebowi zrzuca odzienie z lewego ramienia, umywa ręce i z płaczem podchodzi do nieboszczyka to ze wschodniej, to z zachodniej strony, wreszcie staje naprzeciw i napełnia mu otwarte przemocą usta kaszą z perłami. Aby kasza nie wypadła, zawiązują natychmiast usta białą chusteczką perkalową a oczy czarną przepaską, uszy zatykają mu watą, twarz pokrywają muślinem i zarzucają na głowę czarną chustkę jedwabną, której końce ściągają z tyłu na węzeł. Ręce również obwiązują czarną chustą i całe ciało pokrywają kołdrą.

Całą noc palą się wkoło nieboszczyka świece, stoi krzesło ze złożonemi na niem jego rzeczami; na stole są przygotowane: wódka, miednica z wodą, zmienianą dwa razy dziennie, grzebyk, ręczniki, świeca, pudło z tymiankiem i kadzielnica. Wszystko czeka na duszę nieboszczyka, której wizerunek leży na odzieży w postaci białej, jedwabnej wstęgi, długiej 3 — 4 łokci. Stoi tam prócz tego pudło z papierami, palonymi wciąż podczas ceremonii, a z prawej strony wysoki drążek z czerwoną chorągiewką, na której białemi literami wypisane są: imię, nazwisko, miejsce urodzenia i godność zmarłego.

Dla odstraszenia złych duchów, drążek kończy się ostremi widełkami.

Nazajutrz wdziewają na trupa jeszcze jedno wierzchnie ubranie, które może być kolorowe; kobiety ubierają w spódnicę i długą szatę pasem przepasaną. Nieboszczyk następnie jeszcze raz zostaje przeniesiony na inną deskę, pod głowę mu kładą już nie poduszkę, lecz pozostałe, własne jego ubranie. Pasy i zawiązki na trupie na chwilę rozwiązują znowu w oczekiwaniu, czy życie nie wróci doń czasami. Zjawiają się czterej opowiadacze, którzy żałosnym głosem kreślą bieg życia i zasługi zmarłego. Palą jednocześnie tymianek i papier, oblany spirytusem.

Trzeciego dnia ciało wkładają do trumny, zbitej z grubych desek, u bogatych ładnie lakierowanej, ozdobionej i wybitej wewnątrz jedwabiem. Ubodzy malują ją na czarno i wyklejają papierem. Dno grobu jest grubo wysypane miałem węglowym i pokryte papierem, na który kładą następnie deskę z siedmioma dziurkami, wyobrażającemi gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy— jedyny ślad dawnych wierzeń korejskich w ich spółczesnych obrzędach pogrzebowych [1]). Dno wyściełają kołdrą, w głowach kładą poduszkę, poczem synowie nieboszczyka przy pomocy młodszych braci i sług, umywszy ręce, przenoszą ciało do trumny i umieszczają w niej po rogach woreczki z zrzynkami paznokci,

---

[1]) J. B. Bishop mówi, że ubieranie zwłok nieboszczyka dopełniało się na „desce gwiaździstej", którą zapewne wkładano następnie do trumny, gdyż Korejczycy mówili o trumnie „deska gwiaździsta". („Korea" and Her Neighbors", str. 287.

z włosami i zębami, które jeszcze przy życiu wypadły nieboszczykowi. Pustą przestrzeń między ciałem i ścianami trumny wypełniają pozostałą odzieżą zmarłego oraz watą, wszystko nakrywają dwoma pokrowcami, zwanymi „niebiosami" i zamykają wieko.

Szczelnie zabita, obmazana smołą, woskiem i lakiem trumna stoi zwykle czas jakiś na dworze, głową zwrócona na południe. Pogrzebanie winno nastąpić u wieśniaków po 3 dniach, u zamożniejszych po 9 dniach; członków domu panującego chowają po 9 miesiącach. Zwykle jednak nawet ubodzy ociągają się z pogrzebem do tygodnia, a zamożni Korejczycy trzymają zmarłych po 3 miesiące i więcej.

Pośpiech w grzebaniu uważany jest za wielce nieprzyzwoity. Trumna stoi na podwórzu, za parawanem, obok niej w porze zwykłego posiłku stawiają strawę, którą lubił nieboszczyk, kwiaty i owoce, a co rano służba zmienia wodę i ręczniki.

Nareszcie miejsce szczęśliwe na mogiłę i dzień pogrzebania zostały wybrane przez wróżbitę (pań-su). Dół przygotowują zawczasu z rozmaitemi ceremoniami. Przedewszystkiem na północ od oznaczonego miejsca wkopuje się wysoki na stopę kamień „tu-di", przedstawiający ducha-stróża mogiły. Następnie zrana w dniu przeznaczonym na kopanie dołu, po spełnieniu obowiązkowych lamentów u ciała przychodzi przewodniczący pogrzebowi w towarzystwie krewnych i wróżbitów na wyznaczone miejsce i wtyka w ziemię znowu *siedem* (ilość gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy) gałązek

śliwowych: gałązkę w głowie, gałązkę w nogach, gałązkę pośrodku i 4 gałązki po rogach. Poczem koło środkowej gałązki słudzy stawiają misy z jadłem i wódką ryżową [1]). Następnie idą do stojącego koło kamienia „tu-di" stołu i klękają, palą tymianek, kropią ziemię wódką i spalają papierki w wielkiej miednicy, wciąż bijąc czołem. Wreszcie przewodniczący też klęka u wytkniętej mogiły z gorzkim płaczem i dwakroć czołem uderza. Słudzy przystępują wówczas do wykopania dołu, który jest zazwyczaj dość głęboki i wysypany na dnie piaskiem i wapnem.

Przeniesienie ciała do grobu odbywa się też w dzień szczęśliwy, wybrany przez wróżbitów. W wigilię, przed

---

[1]) M. A. Pogio mówi, że częste umywanie rąk i kadzenie tymiankiem rzuca się w oczy przy pogrzebach korejskich. Jako potrawy ofiarne wymienia: jedno danie mięsne, jedno jarzyny gotowanej, jedno świeżej ryby, misa octu, koło pięciu czar rozmaitego rodzaju zup, półmisek wieprzowiny, półmisek majonezu z ryb i bażanta, misa morskiej kapusty (nazwa błędnie podana „mao", należy „moeogi" — *przyp. aut.)*, kilka koszów z owocami, czara araku („suli",—wódki ryżowej). Cebula i czosnek są usunięte z potraw ofiarnych. Na stole stoją: kadzielnica, pudło z tymiankiem, świeca, czara z arakiem i łyżka. Spełnienie ofiary polega na zawinięciu części pokarmu w papier i spaleniu ich. („Korea", niem. tłom., str. 155). Resztę pokarmu zjadają słudzy, wróżbici, goście, domownicy. U biednych, rozumie się, że dań o wiele mniej i składają się przeważnie z jarzyn. Zdziwiła mię okoliczność, że w spisie Pogio nie znalazłem ryżu; nie zdążyłem sprawdzić, czy to przeoczenie, czy obyczaj.

wieczorem ciało wraz z trumną zostaje umieszczone w kaplicy przodków, a u biednych wewnątrz domu, w kącie, przeznaczonym na ołtarz przodków. Płacz i dzikie krzyki towarzyszą o świcie wynoszeniu trumny na cmentarz. Obecni na klęczkach biją czołem o ziemię dwakroć przed wschodem i dwakroć po wschodzie słońca. Kobiety odchodzą, tragarze wynoszą trumnę i ustawiają ją na wielkich nosidłach. Trumnę przykrywają oponą czarnego, niebieskiego albo czerwonego koloru. Na trumnie kładą kapelusz nieboszczyka oraz chorągiew z napisem jego imienia i godności. Cały czas palą się świeczniki, wonności, tymianek, spełniają ofiary z jedzenia i wódki. Obecni modlą się żarliwie i biją czołem. Nareszcie trumna rusza, niesiona przez gromadę (czasem do 30) tragarzy i poprzedzona tłumem, dźwigającym znaczki, latarnie, łopaty z napisami, gałązki sosnowe... Na czele orszaku idą ludzie, odziani w skóry zwierząt, z przerażającemi maskami na twarzach; mają oni straszyć po drodze złe duchy; dalej niosą skrzynię z rzeczami nieboszczyka... Z obu stron idą inni z pochodniami i wciąż palą papierki, wyobrażające monetę chińską. Za urzędnikami niosą konia z bambusu i papieru, który też zostaje spalony na grobie i z którego popiół sypie się do mogiły. W końcu orszaku, za trumną postępują pieszo w głębokiej żałobie synowie i bliżsi krewni, dalej jadą konno lub w lektykach dalsi krewni albo znajomi.

Po przybyciu na miejsce trumnę umieszczają na macie z południowej strony mogiły tak, aby niebosz-

czyk miał twarz zwróconą na północ. Zaczynają się zwykłe ofiary z wódki i jedzenia; przewodniczący pogrzebu rzuca się z wielkim płaczem na ziemię. Jęki i szlochania ustają z chwilą spuszczenia trumny do grobu i wznawiają dopiero po pokryciu jej chorągwią z napisem i po opuszczeniu przez przewodniczącego do grobu kawałka czarnego jedwabiu; poczem obecni klękają przed kamieniem mogilnym, przed którym rozstawiono uprzednio misy z jedzeniem, owocami i wódką. Rzecznicy żałobni myją ręce, palą tymianek i błagają kamień na kolanach, aby nieustannie ochraniał pochowanego tu nieboszczyka. Trumna zostaje zasypana mieszaniną wapna, miału węglowego i białego, sproszkowanego kamienia. Zasypywaniu trumny towarzyszy nieustanne bicie w bęben i gongi. Nad mogiłą wznoszą zwykle okrągły, dość wysoki kurhan. Po ukończeniu tego spełniają ofiarę z wódki, którą wylewają na pagórek, i suszonej ryby, którą rozdają sługom i kopaczom.

Orszak pogrzebowy wraca do domu, niosąc z powrotem skrzynię z odzieżą nieboszczyka, która pozostaje w domu przez cały czas żałoby i przed którą odbywają się często modły i ofiary. Powracających krewnych i gości spotyka z płaczem na progu domu przewodniczący pogrzebu. Obecni modlą się i spalają dużo papieru, następnie wchodzą 2 albo 3 szamanki (mu-dań) z muzyką i w przebraniu zaczynają udawać nieboszczyka, opowiadając w pierwszej osobie rozmaite, znane

szczegóły z jego życia [1]). Gości podejmują prostymi pokarmami.

Dwie dusze nieboszczyka zostały już więc należycie umieszczone: jedna odeszła do nieznanego świata, druga zamieszkała w mogile pod opieką ducha cmentarnego. Dla trzeciej duszy przygotowano w tym czasie podłużną, na stopę długą deseczkę, 4 palce szeroką i na palec głęboką z kasztanowego drzewa (u biednych z grubej tektury), ściętego w takiem miejscu, gdzie nie dolata „szczekanie psa i pianie koguta". Malują ją na czarno lub biało i wypisują hieroglifami imię nieboszczyka. Z boku deseczka ma dziurki, przez które dusza może wejść do jej środka. Towarzyszy ona ciału do grobu, poczem wraca do domu i zostaje umieszczona w ołtarzu przodków. Przed nią w odpowiednie uroczystości stawiają ofiary z kwiatów, jedzenia, owoców i wódki. Cześć oddają jej tylko do czwartego pokolenia, poczem tabliczka zostaje zakopaną w grobie właściciela. Zaduszki odbywają się nazajutrz po pogrzebie, następnie co 10 dni oraz na nowiu i pełni księżyca w ciągu dwóch, trzech lat po śmierci rodziców. W trzy miesiące od zgonu obchodzą domownicy uroczyste zaduszki za wszystkich krewnych. Polegają one na wspólnej modlitwie, odwiedzaniu mogiły i ofiarach.

Cały ten przewlekły, nużący, kosztowny i kłopotliwy obrządek, żywcem do najdrobniejszych szczegółów został zapożyczony z Chin, lecz widać, że doskonale

---

[1]) J. B. Bishop: „Korea and Her Neighbors", str. 290.

odpowiadał uczuciom i poglądom korejskich szamanistów, gdyż spełniany jest z niemniejszą, niż w ojczyźnie swej, skrupulatnością. Korejczycy święcie wierzą, że dusza zmarłego zupełnie podobna jest do nieboszczyka, podziela jego słabostki i upodobania: je, pije, gniewa się lub cieszy, jeździ konno, używa oręża i odzieży, zdolna jest słyszeć oraz współczuć skargom, smutkom i radościom pozostałych przy życiu... Wiara w ludzkie potrzeby i namiętności tej duszy sięga tak daleko, że dawniej, grzebiąc królów korejskich, zakopywano wraz z nimi żywcem dwie niewolnice, które z czasem dopiero zastąpiono kobiecemi figurami kamiennemi.

Dusze zmarłych kupią się koło żywych, tworząc jakby odłam rodziny i rodu, wymagający większej nawet pieczy i uwagi, niż żywi, gdyż mogą szkodzić wszystkim, a same zabezpieczone są od zemsty. Stąd płynie pilne obchodzenie wszelkiego rodzaju zaduszek, troskliwa opieka nad rodzinnymi grobami, które bądź co bądź zajmują dużo miejsc urodzajnych w upośledzonej w orną ziemię Korei. Stąd pochodzi ciągły niepokój Korejczyka, aby ktoś nie skrzywdził jego nieboszczyków, gdyż obowiązek zemsty leży na nim pod grozą wielkich nieszczęść. Naruszenie granic cmentarnych, pochowanie obcego człowieka w pobliżu rodzicielskiej lub krewniaczej mogiły wywołuje zacięte i krwawe walki, w których udział biorą nieraz całe rody i które tworzą 50% spraw rozstrzyganych przez

sądy [1]). Wszelkie niepowodzenie, przygoda, nieszczęście tłomaczą się obrazą lub niezadowoleniem umarłych, których tłumy całe (tŏk-ha-bi), krążą wciąż po ziemi, zazdrośnie śledząc żyjących. Największą odpowiedzialność ma się wobec rodziców, gdyż ciężar gniewu dalszych krewnych rozdziela się na większą ilość członków. Bezdzietny lub tknięty jaką klęską Korejczyk przedewszystkiem sięga do źródła swych cierpień i często z wielkimi kosztami przedsiębierze pielgrzymki do odległych grobów, bogate spala przed nimi ofiary, albo nawet przedsiębierze przeniesienie zwłok do miejsc szczęśliwszych i dogodniejszych. W tym celu przedewszystkiem wykopuje się ciało; skoro ono poczerniało w trumnie lub zmieniło położenie, to znaczy, iż stała mu się jakaś krzywda, grożąca wielkiemi nieszczęściami, a nawet zgubą całemu rodowi. Zwracają się o poradę do wróżbity i zwykle przenoszą ciało w inne wskazane przezeń miejsce, powtarzając w przybliżeniu obrzęd pogrzebowy. Z kolei szczęśliwy wybór miejsca na rodzicielską mogiłę zapewnia według podań i pojęć Korejczyków wszelkie powodzenie, daje zwycięstwo nad wrogami i przeciwnościami, majątek, zaszczyty i nawet prowadzi... do tronu.

---

[1]) „The Korean Repository", 1898 r., str. 233 Naruszenie granic cmentarnych pochodzi stąd, że mało już zostało dogodnych na grobowce miejsc na południowych stokach gór; często powodem tego są też wróżbici (pań-su).

Stąd powstał w Korei osobny zawód „poszukiwaczy mogił“, którzy życie całe trawią na rozmaitych próbach i obliczeniach, jak nasi gracze, i którzy zazdrośnie kryją przed innymi swe sposoby i odkrycia.

Należy przypuszczać, że długa i uciążliwa żałoba jest wyrazem solidarności krewniaczej. Każda krzywda rodowa, a tembardziej śmierć członka rodu, musi być pomszczona lub okupiona. Zanim to nastąpi, najbliżsi krewni, niegdyś zapewne cały ród, uważani są za występnych i obyczaj nakłada na nich kary, pobudzające do spełnienia obowiązku [1]). Dotychczas w Korei człowiek w żałobie i zbrodniarz noszą to samo miano, oznaczone tym samym hieroglifem.

— Nie mogę panu powiedzieć, kto to — zbrodniarz, czy człowiek w żałobie. Obaj jednakowo się piszą i jednakowo wyglądają... — mówił mi tłomacz, gdym mu dał do odczytania podpis korejski na fotografii. Istotnie widziałem, że więźniowie korejscy noszą odzież zgrzebną, żałobną i wielkie pokutnicze kapelusze, zasłaniające im twarze, chowają się również za wachlarze lub zasłonę i nie wolno im tak, jak pogrążonym w żałobie, rozmawiać. Ludzie, którzy utracili rodziców, zachowują się naogół tak, jak zachowywali się dawniej

---

[1]) Miało to miejsce i u innych ludów: Arabowie nie strzygli włosów i brody, inne ludy nie umywały się, nie jadły mięsa, nie łączyły z kobietami, dopóki nie dopełniły krwawej zemsty.

w Japonii zabójcy, kryjący się przed zemstą rodową. W czasie trzechletniej żałoby, po ojcu i matce, z których dwa lata należą do głębokiej, a rok do pół-żałoby, dzieciom nie wolno zajmować się żadną pracą, chodzić gdziekolwiek lub przyjmować gości, zdradzać jakiekolwiek zajęcie światem zewnętrznym; nie wolno zabijać żywych stworzeń nawet szkodliwych, nawet pasorzytów, gnieżdżących się w ich brudnej odzieży [1]). Noszą zgrzebne łachmany i nie strzygą bród, nie jedzą mięsa, ryby, czosnku... Są uważani za umarłych dla świata. Żony na ten czas opuszczają mężów lub zamykają im swe łożnice, dziewice nie wychodzą za mąż.

Dzieci spłodzone w czasie żałoby podlegają ogólnej pogardzie, uważane są za nieprawe i mogą być sprzedane przez rodziców lub krewnych w niewolę. Pierwszego dnia po śmierci głowy rodziny wszyscy domownicy nic nie jedzą, dzieci poszczą surowo 3 dni.

Wszyscy krewni nieboszczyka podlegają żałobie, której trwanie i głębokość zależy od stopnia pokrewieństwa, ale pokrewieństwo rozważane jest jedynie w *męskiej linii.* Mąż po żonie i żona po mężu zachowują również żałobę *trzy lata.* Obecnie bieda i osłabienie więzi rodowej zmusza lud prosty do zaniechania wielu ograniczeń żałobnych, na których spełnienie łożył przed tem cały ród; zamożniejsi ponoszą bez szemrania ciężkie, majątkowe straty, a urzędnicy po-

---

[1]) M. A. Pogio: „Korea“, tłom. niem., str. 155—158.

rzucają służbę, ale prawo, choć pozbawia ich pensyi, zalicza im do służby lata żałoby i po skończeniu jej są obowiązkowo znowu przyjęci na miejsce. Obecnie trwanie żałoby zostało skrócone w wielu wypadkach dla urzędników do dni 30 po rodzicach i 5 — po dalszych krewnych. Czy napięcie uczuć rodzinnych odpowiada ich wyrazowi, sądzić trudno; pozornie w życiu potocznem nie różnią się one zupełnie od uczuć europejskich. Utwierdziło mię to w przekonaniu, że pogrzeb jest wyrazem dawnych uczuć rodowych. Wysoko rozwinięte, chińskie pojęcia krewniacze, które znalazły swój wyraz w żałobie i czci przodków, podziałały, jak drożdże, na zabobonne i niewyćwiczone umysły korejskich szamanistów i rodowców, spowiły je mocno i na długo.

XIV.

Ród. Małżeństwo. Położenie kobiety.

O rodach korejskich wiadomo bardzo mało, tyle tylko, że istnieją, że zwą się „ilcĕgi" [1]), że wywodzą się w linii męskiej. Każdy ród ma imię rodowe „siŏn", wszyscy, noszący wspólne imię rodowe, uważani są za krewnych i nie żenią się między sobą. Wsi koreiskie są zamieszkane zwykle wyłącznie przez współrodowców, z wyjątkiem innorodek żon. Znanych jest 50 imion rodowych; trzecia ich część jest chińskiego pochodzenia, reszta prawdopodobnie mandżurskiego, gdyż składają się z jednej sylaby, zaledwie kilka jest trzy, cztero, nawet pięcio sylabowych, a te z tej racyi oraz

---

[1]) Krewni — cchin-hao, ching-handa; rodzice — oponi, pumu; ojciec — abaĕ (abunim, pucchi-ni, caĕ-abi, tajĕ-cchini); matka — amaĕ (omo-nimi, ceomi, moc-chini, moni-mi); rodzić — nan-ta; początek — kynyn, ottymi (poczynać— piroso); dziecko — orinahyj, ahyj, ayj; syn — atyri, casigi; córka — nesigistari.

z okoliczności, iż spotykają się wyłącznie na południu półwyspu, Hulbert zalicza je do malajskich. Oto kilka rodów, które zasłynęły w ciągu ostatniego wieku: I (Li, Ni), do którego należy obecnie panująca dynastya: Kim, Pak, CCho, Ań, Cżion, Min, Juń, Dzo, So... Niektóre rody są bardzo liczne. Ród Miń, który wysunął się naprzód w ostatnich czasach, dzięki pochodzącej zeń nieboszczce królowej, zamordowanej w r. 1895, trząsł całym krajem i nawet po jej śmierci zatrzymał w swych rękach do 1,000 urzędów. Ród Kim rządził państwem przy trzech królach poprzedniej dynastyi. Walki zamożnych rodów często pogrążały Koreę w głęboki zamęt. Członkowie rodów, bez względu na swe położenie (do jednego rodu bowiem mogą należeć i chłopi, i mieszczanie, i szlachta), popierają się zawsze. Zwyczaj każe bronić współrodowca bez względu na to, czy ma on racyę, czy nie i zabrania skarżyć go do sądu; sprawiedliwość wymierzają sobie sami współrodowcy, na mocy wyroku naczelnika rodu. Członkowie rodu nawet majątkowo odpowiadają za siebie, z czego korzysta rząd i z bogatych pobiera zaległe na biedakach podatki, chociażby ci wcale się nie znali i mieszkali nawet w innej okolicy. Prywatne należności mogą być otrzymane też w podobny sposób. Za to niema prawie możności odebrania od współrodowca pożyczki, nawet rzeczy ukradzionej. Naczelnicy rodów, zwykle należący do warstw wyższych, prowadzą tablice genealogiczne (cok-po) swych rodów, gdzie ściśle wypisane jest pochodzenie, zasługi, miejsce urodzenia pierwsze-

go przodka, należenie jego do pewnej warstwy ludowej, jego zajęcie, jego najbliższe potomstwo i dalsze rozgałęzienie rodu... Istnieją rody bardzo starożytne; z rodu Oan (co znaczy „król“) pochodzili panujący starożytnego domu Koriö. Ród Kim (złoto) wyprowadza swe pochodzenie od „złotego jaja“, znalezionego nad brzegiem rzeczki przez królewską parę, panującą niegdyś w jednem z południowych państw półwyspu.

Kobieta, wychodząc za mąż, nie przestaje mimo to należeć do swego rodu, ale pokrewieństwo w żeńskiej linii znika już w drugim stopniu i zwalnia zupełnie od żałoby. Wyżej stawiane jest nawet swojactwo, które uznaje małżeństwa w czwartym zaledwie stopniu, i mleczne braterstwo, pozwalające na nie dopiero w trzecim. Po matce mlecznej (mamce) prawo obowiązuje do noszenia *dwu-letniej* żałoby.

Naczelnikami rodów są zwykle nie najstarsi, lecz najbogatsi i najmożniejsi jego członkowie. W rodzinie władza należy całkowicie do ojca, matki a w razie ich śmierci do starszych braci lub stryjów, naznaczonych zwykle opiekunami przez radę familijną, składającą się z najstarszych członków rodziny. Postanowienia głowy rodziny są obowiązujące i nieodwołalne dla wszystkich jej członków. Rodzice mają prawo wygnać i karać cieleśnie nawet dorosłe swe dzieci. Korejczycy jednak słyną jako łagodni rodzice, a dzieci ich jako posłuszni i pieczołowici podwładni. Są sobie wzajem potrzebni: dzieci, jako siła robocza, rodzice, jako posiadacze ziemi i narzędzi. Obejście się niewolników z własnemi

dziećmi jest o wiele gorsze, gdyż te bywają im zwykle odbierane, skoro stają się zdatne do jakiejkolwiek pracy [1]). Dawniej rodzice mogli sprzedawać w niewolę dzieci obojga płci. Obecnie, zdaje się, że stosuje się to otwarcie wyłącznie do córek; sprzedaż synów maskowana jest usynowieniem. Zgodnie z panującymi w prawodawstwie korejskiem poglądami Konfuciusza, każdy powinien mieć męskiego potomka, któryby troszczył się o oddawanie mu czci pośmiertnej. Ludziom bezdzietnym dozwolone było w tym celu usynowianie krewnych w młodszej o jeden stopień linii męskiej. Prawo zabraniało usynowienia rodzonych i stryjecznych braci oraz ich wnuków. Jeżeli kto miał syna żonatego, który umarł bezdzietnie, to musiał usynowiać dziecko w jego imieniu, z tego też powodu wzbraniało prawo usynowienia stryjecznych *wnuków*, którzy mogli być przyjęci przez synów usynowiacza. Z tych postanowień widać, że prawodawca jakby żądał możności rzeczywistego ojcostwa i przyznawał je względem bratanków rozmaitego stopnia. Usynowienie następowało za zezwoleniem wszystkich męskich członków rodziny, niekiedy wbrew życzeniu rodziców dziecka. Spisywano postanowienie i wciągano je w regestra Ministeryum Obrzędów; obecnie wystarcza postanowienie rady familijnej. Od tej chwili usynowiony uważany był

---

[1]) W. E. Griffis. „Corea, without, and within", II wydanie 1885 r., str. 143. Niewolnictwo trwa dotąd, choć urzędownie zostało zniesione przed dziesięciu laty.

Dzieci korejskie.

jako rodzone dziecko usynowiacza i dziedziczył po nim majątek oraz przywileje. Rozwiązanie usynowienia było bardzo utrudnione i następowało jedynie za zezwoleniem rządu. Usynowiano zwykle niemowlęta. Jeżeli przybrani rodzice mieli córkę, to ją wydawali za przybranego syna [1]). Ale istnieje o wiele prostsza forma usynowienia, przy której usynowiony nie traci ani swego nazwiska, ani swych praw rodzinnych i majątkowych, ogranicza się na prostem ustąpieniu dziecka przez rodziców innym ludziom na wychowanie."

Naczytawszy się opisów o dziwacznem zachowaniu korejskich rodziców i dzieci, o niezwykłej czołobitności ostatnich i surowości pierwszych, o klękaniach przed ojcami na ulicy w błocie i kurzu — byłem przyjemnie zdziwiony widokiem stosunków prostych, miłych i serdecznych, nieróżniących się prawie niczem od europejskich. Małe dzieci są pieszczone, a pewien bogaty Korejczyk z Seulu przedstawił mi syna, studenta, ładnego chłopaka, o obejściu pełnem niewymuszonego wdzięku i jawnej poufałości z ojcem. Nie mogę tego powiedzieć o córkach. Tych starszych po nad lat dziesięć prawie nie widziałem. Zaskoczone znienacka, dorosłe dziewczęta nawet po wsiach uciekają i chronią się pospiesznie przed wzrokiem mężczyzn do wnętrza domów albo zarzucają na głowy zasłony. Młode mężatki nie ukazują się nikomu i miałyby sobie za ubliżenie, gdyby padło na nie spojrzenie innego

[1]) M. A. Pogio. „Korea", str. 128, tłom. niem.

mężczyzny, prócz męża. Gdym zwiedzał w Seulu dom pewnego ukształconego Korejczyka, zanim weszliśmy na dziedziniec wewnętrzny, usunięto stamtąd wszystkie kobiety, pokoje żeńskie były zupełnie puste i tylko porzucone na ziemi roboty, meble, rzeczy i błyskotki świadczyły o ich obecności. Urzędnik, który mię oprowadzał po stolicy, dobrze już zaczerpnął z europejskiej cywilizacyi, mieszkał lat kilka we Władywostoku, gdzie kształcił się w budownictwie pod kierunkiem inżynierów, mimo to gdym go poprosił, aby przedstawił mię swej żonie, zmieszał się bardzo i choć wprost nie odmówił, a nawet obiecał to zrobić, dwukrotnie mię zwiódł: to nie zastaliśmy jej w domu, gdyż były imieniny matki, to za drugim razem „właśnie przysłano po nią lektykę i zabrano do chorej krewnej". A przecież była to godzina wyznaczona przez niego samego na moją wizytę, lecz po twarzy poznałem, że nie mógł przezwyciężyć głęboko zakorzenionego przesądu, którego złamanie, jak się okazało, mogło wystawić go wraz z żoną na pośmiewisko sąsiadów. Nawet władza nie ma prawa wejść w obecności kobiet do żeńskiej połowy domu i przestępca, który się tam ukrył, nie zostaje ujęty [1]). Z tego powodu o mało raz nie przyszło do grubej awantury: we wsi Szimpo na północno-wschodnim brzegu Korei, szukając szkoły, weszliśmy przez nieświadomość na jakieś podwórko, gdzie znajdowały się same kobiety. Tłum towarzyszących nam Korej-

---

[1]) Ten sam obyczaj istniał do niedawna w Japonii.

czyków zaczął się burzyć i jeden z nich, łżąc, zastąpił nam drogę; z trudnością dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Na gościńcach i ulicach spostrzedz można wprawdzie dużo kobiet, ale są to zwykle niewiasty stare i brzydkie, ubogie i zapracowane. Na polach widziałem nieraz pracujące i młode wieśniaczki, lecz pilnie odwracały głowy przy naszem zbliżeniu lub nawet uchodziły w dal. Pochodzi to może stąd, że w Korei dziewczyna lub wdowa — wogóle kobieta niezamężna — nawet gwałtem porwana, jeśli spędziła w sypialni mężczyzny choć jedną noc, staje się prawnie jego nałożnicą i nawet rodzice nie mogą żądać jej powrotu. Prawo to było powodem częstych nadużyć, które i obecnie nie ustały w głuchych kątach, wywołując poważne nieraz zwady i krwawe bójki [1]). Starodawne prawo, zabraniające powtórnego małżeństwa wdowom stanu szlacheckiego, w połączeniu z okolicznością, że w braku potomstwa one dziedziczyły po mężu cały majątek, powodowało często umyślnie przez krewnych nieboszczyka urządzane zasadzki. Zgwałcona we śnie lub pochwycona w drodze i uprowadzona kobieta stawała się własnością uwodziciela i z tej niewoli tylko śmierć albo przymusowe małżeństwo oswobodzić ją mogło. Stąd pochodziły liczne dawniej samobójstwa wdów [2]); prawo,

---

[1]) „Korean Repository“, 1898 r., str. 234.

[2]) Samobójstwa dopełniają kobiety w Korei przez przebicie sztyletem krtani podobnie jak w Japonii; mężczyzni rozpruwają sobie brzuch (japoński harakiri).

wzbraniające powtórnego małżeństwa szlachciankom, zostało zniesione dopiero w 1894 roku; lud prosty nigdy nie podlegał tym ograniczeniom i takie małżeństwa zawsze tam były na porządku dziennym.

Korejki są ciche, skromne, bardzo pracowite i troskliwe matki. Czas upływa im w ciągłem zajęciu. Wieśniaczki prócz robót polowych tkają, szyją, plotą maty, opierają domowników, doglądają bydła, kwaszą, solą, suszą i zaprawiają na zimę zapasy, obtłukują ziarno na krupy i mąkę i spełniają cały szereg drobnych ale przykrych nieraz posług koło męża i domowników. Obyczaje korejskie nie uznają samoistności kobiet, one muszą koniecznie mieć opiekuna mężczyznę: ojca, męża, brata, wreszcie syna. Wychowane od dzieciństwa w tych poglądach, patrzą na nie jak na nieuniknione przeznaczenie swojej płci i przechodzą przez życie ostrożnie, jak cienie, kryjąc się za kulisami rodziny i rodu. Ciężkie, nudne, jednostajne, półwięzienne istnienie korejskiej dziewczyny, po śmierci rodziców staje się w rodzinie brata nieznośnem, prawie niewolniczem. Małżeństwo cokolwiek polepsza jej byt i daje pewne prawa przynajmniej nad własnemi dziećmi i własnością domową.

Chociaż prawo z 1894 r. zabrania wczesnych małżeństw i określa wiek młodzieńców w 20 roku, a dziewcząt w 16, ale widziałem bardzo wielu chłopców nie starszych nad lat 12 z włosami zaczesanymi do góry i zawiązanymi w pęczek na ciemieniu — znak pełnoletności i małżeństwa. Nawet spotykałem małych ucz-

niów, ślęczących nad początkami „tysiąca znaków", już żonatych od lat paru. Częściej starsi wiekiem chłopcy dostają małoletnie żony, ale zdarza się i odwrotnie, że rodzina wydaje dorosłe kobiety za małych chłopaków, co wywołuje zwykle rozmaite zatargi i naruszenia wierności małżeńskiej... Podobno wczesne małżeństwa nie istniały w dawnej Korei i rozpowszechniły się dopiero za obecnie panującej dynastyi. Wszelako tak się już wżarły w obyczaje, że prawodawstwo jest teraz wobec nich bezsilne, co powtarza się zresztą i w wielu innych dziedzinach życia korejskiego.... Wszędzie łatwo zaszczepić zło, lecz o wiele trudniej je wyplenić!

Od chwili ślubu małżonek, chłopaczek często bardzo mały, traci prawo do zabawy i towarzystwa rówieśników. Winien od tej pory obcować z dorosłymi i zachowywać się jak dorosły. Rozumie się, że wybór małżonki dla syna w tym wieku całkowicie zależał od rodziców; korzystają oni z tego prawa nawet względem dzieci dorosłych i oblubieńcy widzą się zazwyczaj po po raz pierwszy na własnem weselu.

Sprawa załatwia się zazwyczaj bez ich wiedzy między rodzicami bezpośrednio lub za pośrednictwem swatów zawodowych. Skoro matka młodego lub swat obejrzał oblubienicę i warunki majątkowe okazały się odpowiednie, co gra w małżeństwie korejskiem pierwszorzędną rolę, ojciec młodzieńca pisze list na czerwonym papierze (znak radości) do ojca dziewczyny, pełen komplimentów, życzeń, zapytań o zdrowie, a jednocześnie

podaje szczegółowo swe imię, nazwisko, określa należenie do rodu oraz oznacza miejsce zamieszkania. Wymienia w końcu ilu ma synów i dodaje, że jeden z nich jest jeszcze kawalerem, chociaż mógłby się ożenić i że on, ojciec, dowiedział się od przyjaciół, że w takiej to rodzinie jest na wydaniu dziewczyna. Odpowiedź rodziców panny ma znaczenie stanowcze, wyrażenie zgody na małżeństwo równa się jego zawarciu i w razie śmierci narzeczonego przed istotnym ślubem dziewica uważana jest za wdowę i dawnymi czasy wyjść za mąż powtórnie nie mogła.

Za jedną z najważniejszych rzeczy przy zawarciu małżeństwa uważa się umiejętny wybór szczęśliwego dnia na wesele. Dlatego lata pana młodego i panny młodej dodają się razem, odszukuje się gwiazda odpowiednia sumie liczb. Dzień gwiazdy jest dniem przeznaczonym dla obrzędu. Rozumie się, że w wyborze tego dnia oraz dnia wysłania podarunków czynny biorą udział ślepi wróżbici (pań-su). Sam obrzęd polega na zamianie podarunków: pan młody posyła przyszłej żonie stroje oraz sztukę materyi, z której narzeczona powinna własnoręcznie uszyć mu ubranie, w jakie on ubiera się po raz pierwszy na własne wesele [1]). Podarunki odnoszą do domu narzeczonej przyjaciele pana młodego, w drodze czekają już krewni narzeczonej,

---

[1]) Zwyczaj rozpowszechniony nietylko wśród Japończyków, lecz również wśród ainów Sachalinu i Jesso oraz plemion nadamurskich: Gilaków, Goldów, Daurów i t. d.

wszczyna się walka nieraz bardzo poważna, gdyż od wyniku jej zależy przyszłe powodzenie strony zwycięskiej. Po wysłaniu podarunków pan młody, który dotychczas nosił włosy zaplecione w jeden warkocz, zaczesuje je po męsku, do góry. Tylko małżeństwo daje Korejczykom prawo pełnoletności. Dorosły, nawet stary mężczyzna kawaler lub kobieta niezamężna, uważani są za niepełnoletnich, pogrzeb ich odbywa się bez szczególnych ceremonii, ciało zakopuje się poprostu bez trumny, owinięte w maty i żałoby się po nich nie obchodzi, jak po małych dzieciach. W dniu zaczesania włosów odwiedza narzeczony swych krewnych i znajomych, a wieczorem zbiera ich u siebie na ucztę.

W dzień wesela znajomi pana młodego w bogatych szatach udają się wraz nim o godzinie określonej przez wróżbitów do domu panny młodej. Pan młody jedzie konno albo krytym wózkiem dwukołowym. Przed nim dwóch ludzi niesie biały parasol i żywą, dziką kaczkę — symbol wierności małżeńskiej, owiniętą w czerwoną chustę. Tę kaczkę, albo tekturową jej podobiznę, po przybyciu do domu panny młodej, umieszczają na wierzchu misy z ryżem, poczem niezwłocznie wychodzą.

Tymczasem przed głównemi wrotami ojciec pana młodego i cała świta zsiada z koni, pan młody czyni to ostatni; poczem wszyscy rozbierają się z szat uroczystych, zdejmują wspaniałe kapelusze i w zwykłym stroju wchodzą do domu panny młodej, gdzie wita ich jej ojciec. Pierwszy wchodzi oblubieniec

i znajduje w głównej sali albo w umyślnie rozbitym namiocie swą przyszłą małżonkę, którą często widzi po raz pierwszy. Kiedy wszyscy weselnicy się zbiorą, młodych sadzają obok siebie na bogato przybranem wzniesieniu; tam oni czynią ofiarę z kaczki albo jastrzębia i kłaniają się sobie dwa razy głęboko, poczem młoda kłania się cztery razy z kolei teściowi i jednocześnie wszyscy kłaniają się sobie. Przed panem młodym umieszczają misę z owocami jujuby, a przed panną młodą suszonego bażanta; przyjaciółki panny młodej napełniają wódką ryżową małą czarkę z tykwy, oplecioną czerwonemi i błękitnemi nićmi, zwaną „czarą radości"; pije z niej oblubienica i podaje oblubieńcowi. Po wypiciu przezeń reszty ślub uważa się za dopełniony [1]). Spisuje się akt na czerwonym papierze i podpisuje przez nowożeńców. Jeżeli małżonka nie umie pisać, to kładzie poprostu rękę, którą oprowadzają wokoło tuszem. Dokument rozcina się na dwie połowy i części wręczają się mężowi i żonie; ci chowają je pilnie, gdyż nawet w razie rozwodu tylko mąż posiadający obie połowy dokumentu ma prawo ożenić się po raz drugi. Niekiedy pan młody daje teściowi dodatkowe zobowiązanie na piśmie, że dochowa wierności jego córce.

Panna młoda oddala się niezwłocznie na żeńską połowę domu, a pan młody ucztuje z gośćmi. Często

---

1) Podobny akt z małemi zmianami jest kluczem zaślubin japońskich.

ci w czasie zabawy rzucają się nań i próbują go uprowadzić do domu, lecz wówczas zjawia się teść i wykupuje zięcia. Goście odchodzą, odprawiają służbę pana młodego, obdarowawszy ją uprzednio. Pan młody idzie do przygotowanej dla siebie komnaty, dokąd po niejakim czasie matka i starsza krewna przyprowadzają pannę młodą i natychmiast odchodzą. Młodzi ludzie zaledwie wtedy mogą się sobie dobrze przyjrzeć i zamienić słów kilka, gdyż w czasie całej ceremonii nie wolno im mówić z sobą, zwyczaj wymaga nawet, żeby tej pierwszej nocy żona unikała rozmowy z mężem.

Wogóle według pojęć korejskich żona nigdy nie powinna dużo rozmawiać z mężem, jeszcze mniej z teściem, z szwagrami wcale, a tylko z teściową i to z wielkim bardzo szacunkiem.

Wczesne i przymusowe zaślubienie kobiety nieznanej czyni zupełnie zrozumiałem zdanie, wypowiedziane do I. B. Bishop'a przez pewnego Korejczyka:

„Żenimy się z żonami, lecz kochamy się w nałożnicach“ [1]).

Nazajutrz młoda mężatka zaplata włosy już nie w jeden, lecz w dwa warkocze i to uczesanie zachowuje na całe życie. Jednocześnie traci imię, nadane jej w dzieciństwie. Odtąd nawet właśni rodzice nazywają ją nieokreślonem mianem powiatu lub miejscowości, dokąd wyszła zamąż, a krewni męża — imieniem tego

---

[1]) „Korea and Her Neighbors“, str. 343.

powiatu, gdzie mieszkała, jako panna i skąd ją wzięto... Inni nazywają ją poprostu „pani (kobieta) takiego to“ lub „dom takiego to“, wreszcie po urodzeniu syna otrzymuje nazwę „matki takiego to“. Skoro zaś w jakiej sprawie sądowej okaże się potrzeba ściślejszego określenia jej osoby, urzędnik daje jej chwilowe, przygodne nazwisko. Wchodzi ona niby we wszystkie prawa męża i podziela jego majątek, staje się szlachcianką, skoro wyszła za szlachcica, i bogatą, jeżeli była biedną, mąż powinien utrzymywać ją przyzwoicie, ale... wszystko to w istocie zależy od charakteru, dobrej woli oraz miłości tego męża. On jest właściwie źródłem jedynem jej bytu i nawet od niego zależą jej lata, gdyż młodziuchna siostrzenica, wychodząc za mąż za starszego brata męża swej rodzonej ciotki, staje się wskutek tego jej *starszą siostrą* [1]). Żona prawna uważana jest za zwierzchniczkę wszystkich żeńskich członków rodziny i matkę dzieci nałożnic, jeżeli mąż z czasem je sobie weźmie, gdyż prawo pozwala na to i wierność małżeńska obowiązuje tylko kobiety.

— Żona moja nie śmie mi nic powiedzieć za moje zabawy ze śpiewaczkami (ki-sań)... Ona powinna się cieszyć, że mi jest wesoło — mówił mi pewien Korejczyk.

Następnie opowiedział ze zgorszeniem i przerażeniem, jak w Europie był świadkiem, że żona, przyłapawszy męża na miłostkach ze sprzedajnemi dziewczę-

---

[1]) Niewątpliwy ślad rodziny swoistej.

tami, uderzyła go w twarz, a następnie strzeliła doń z rewolweru.

— I cóż!?... Nic z tego dobrego nie było!... Zabiła go, a potem siebie... Bez żadnej korzyści... U nas nigdy tego nie bywa... My możemy trzymać, ile kto chce kobiet, na ile nas stać!...

— A kobiety?

— Kobiety co innego!... Na mężczyźnie nie zostaje nawet śladu, a kobieta ma dziecko!...

Dlatego to zapewne niewierną żonę mieli prawo Korejczycy jeszcze bardzo niedawno odprowadzić do urzędnika, który karał ją okrutną chłostą, a nawet za zgodą męża oddawał w niewolę lub sprzedawał jako nałożnicę służbie biurowej lub straży. W starożytności skazywano je na śmierć. Skoro żona, doprowadzona do ostateczności złem obejściem męża, uciekła od niego, mógł ją poddać publicznej chłoście i zmusić do powrotu.

Łagodni Korejczycy srodze biją żony. Pewna filozofia wschodnia o miłosnych własnościach bata tkwi mocno w umysłach mężów korejskich. Sfery wyższe, unikając gwałtów osobistych, szeroko stosują rozwód. Za powód do rozwodu służy: niewiara małżeńska, zazdrość, bezdzietność, swarliwość, choroby. O rozwód może się starać wyłącznie mąż, nie ma on wszakże prawa bez zgody żony ożenić się powtórnie za jej życia.

Przedstawia to pewną, bardzo słabą broń w ręku kobiety. O wiele skuteczniejszą rzeczą są dzieci i przywiązanie męża. To ostatnie umieją Korejki zaskarbić

sobie dzięki swej wielkiej słodyczy i powściągliwości, w których dorównywają prawie Japonkom [1]).

Korejki namiętnie kochają dzieci: są one jedynem niemal źródłem ich szczęścia. Pojawieniu się dziecięcia towarzyszą rozmaite obrzędy i gusła. Kobieta ciężarna powinna wystrzegać się wielu rzeczy, a szczególniej ludzi w żałobie, dlatego wychodzi ona z domu jak najmniej. Skoro tylko poczuje, że zbliża się chwila rozwiązania, przenosi się do osobnej izdebki, gdzie podłoga wysłana jest miękką słomą ryżową. Przy połogu są obecne jedna albo dwie jej krewne, które myją nowonarodzonego ciepłą wodą i wyrzucają za drzwi jedzenie dla zapewnienia mu szczęścia. Data przyjścia na świat dziecka, starannie zapisana, zostaje niezwłocznie oddana wróżbicie dla określenia jego przyszłości. Położnica odżywia się z początku tylko ciepłą wodą z miodem oraz jakiemś niezwykle gorzkiem lekarstwem, wyrobionem z żółci niedźwiedziej. Trzeciego dnia słoma zo-

---

[1]) Podanie o słynnym moście Hijo-bul-hijo w Kiön-cziu, starożytnej stolicy państwa Silla, wyraża tkliwy i subtelny nieraz stosunek synów do matek. Miał on być tak nazwany dlatego, że pewna niewiasta, matka siedmiu synów, prowadziła życie rozwiązłe i w tem miejscu nocą przechodziła przez strumień do swoich miłostek. Jej synowie, po naradzie, zbudowali w tem miejscu most. To zawstydziło niewiastę i poprawiło ją, ale most otrzymał nazwę „obowiązkowy i nieobowiązkowy", bo synowie tylko względem matki dopełnili obowiązku, zapominając o obowiązkach względem zmarłego ojca. („Jo-dżi Söng-nam". Korea Ropositorn, 1897. Novemb., str. 414).

staje wyrzucona i podłoga zaściela się matą. Przez cały czas niedomagania karmią położnicę ryżem i zupą z morskich wodorostów (kapusty). W ciągu pierwszych 7 do 10 dni nikt ze znajomych nie powinien nawet wchodzić do domu położnicy. Pierwsze trzy dni niemowlę karmią ryżem, następnie już piersią matczyną. Korejka długo karmi dziecko, a jeśli ma tylko jedno, daje mu pierś nawet do lat 12.

Po niejakim czasie położnicę i nowonarodzonego odwiedzają znajomi i ofiarują im drobne podarunki. Dziecięciu, jeżeli to był chłopak, dają wkrótce *pierwsze* imię, dziewczynka musi nań czekać znacznie dłużej.

Korejczycy mają około sześciu osobistych, wciąż zmieniających się imion [1]):

1) Pierwsze imię — ä-miön, imię dziecinne w rodzaju: perełka, cnota, piękność, tygrys, prosię, pies, żaba, oko królewskie, wreszcie — smok z dodatkiem — złoty, dobry, cichy itd.

2) Piöl-miön — przezwisko nadawane w późniejszym wieku, zależnie od charakteru osobnika, jego powierzchowności lub jakiego wypadku, np.: „kret"—krótkonogi, „orzeł" — straszny itd.

3) Koań-miön — imię właściwe, rodowe, które otrzymuje chłopak w dzień ślubu jako znak pełnoletności. Pod tem imieniem jest on wciągnięty do spisu ludności. Główną jego częścią składową jest „hań-iol-dza", czyli znak rodowy. Dźwięk ten powinno zawie-

---

[1]) „Kor. Repository", 1895, str. 426.

rać każde imię, gdyż on określa należenie do pewnego rodu. Głowa rodu zawczasu układa szereg takich imion rodowych, zawierających dźwięk niezbędny. Nadaniu koań-miöń towarzyszą zabawy, uczty i ceremonie z udziałem przyjaciół i krewnych.

4) Dza-ho—imię rodzinne, poufałe, używane przez najbliższych przyjaciół i krewnych w stosunku do równych wiekiem lub młodszych.

5) Piöl-ho — imię wyróżniające, z jakiem zwracają się młodzi do starszych, gdyż im nie wolno używać ani rodowego, ani poufałego. Nazywają więc starszego brata albo stryja „ojcem takiego to“, jeżeli ma synów, jeśli zaś jest bezdzietny, to „piöl-ho“ wyznacza mu rada familijna.

6) Czin-ho — imię chwalebne, nadawane po śmierci za zasługi społeczne.

Do lat 8 — 10 dziewczynki i chłopcy chowają się razem i często nagie tłumnie biegają po ulicach, lecz potem rozdzielają ich według płci i zaczynają traktować odmiennie. Dziewczęta zostają zamknięte na żeńskiej połowie domu, skąd wychodzą dopiero jako stare, zwiędłe niewiasty; tam uczą je szyć, trochę pisać i czytać i gospodarstwa domowego. Wmawiają w nie, że rzeczą hańbiącą są zabawy i rozmowy nawet z braćmi, że powinny kryć się przed mężczyznami, gdyż spojrzenie obcego poniża i plugawi kobietę, a dotknięcie na zawsze ją kala. Chłopcy zamieszkują na męskiej połowie domu, zaczynają chodzić do szkoły, obcować wyłącznie z mężczyznami lub chłopcami ró-

wieśnikami, nie bywają w żeńskiej połowie domu i mają wpojone przekonanie, że wstyd mężczyźnie obcować z kobietami, wstyd okazywać swe uczucia dla nich i wogóle zwracać na nie zbytnią uwagę. Stąd to płynie, że mąż nigdy nie wtajemnicza żony w swe interesa, unika z nią rozmów przydługich, że z góry traktuje matkę, nigdy nie przyznaje się do miłości dla kobiety i uważa za rzecz śmieszną i poniżającą płakać na grobie małżonki.

XV.

Dalej na południe i zachód. Odzież koreiska.

Zwolna, przebywając niewysokie przełęcze, przedostajemy się z kotliny w kotlinę. Niektóre uprawne są, jak ogrody, i zadrzewione pięknymi gajami starych drzew. Wiosek, jak nasiał. Na polach i drogach coraz ludniej. Zbliżamy się do granicy najgęściej zamieszkanej, stołecznej prowincyi Kiön-gyj-do.

Wązka dolina, zasłana głazami, wkoło nagie wzgórza z kępkami lasów sosnowych i liściastych, rzeczułka płynie wzdłuż wschodniego zbocza, w dali na małej wyniosłości stare, napół rozwalone domy szlachty koreiskiej (jan-bań). Ocalał tylko dach, ściany opadły i wiatr hula swobodnie śród słupów drewnianego rusztowania.

— A gdzież właściciele?

— W Seulu. Ziemię dzierżawią chłopi.

Na burych rżyskach widać białe figury pracowni-

Seul. Krochmalenie tkanin.

ków, znoszących snopy na własnych barkach. Idą wolno, mocno zgarbieni i często wypoczywają, przykucnąwszy z fajeczkami w zębach w cieniu swych wielkich jak stogi nosz, ustawionych rzędem wśród drogi na wysokich „cżi-ga", do malbretów podobnych, trójnogich nosidłach. Słońce pali, jak u nas w lecie. Znowu widać wioskę u drogi. Tonie w obłokach złotego kurzu i niezliczonej ilości niedużych, żółtych, napół rozebranych brogów. Na ulicy młócą zawzięcie zboże: cała ona zasłana snopami, kupami omłotu i warstwami suszącego się ziarna na wielkich płachtach i matach. Ledwie można bokiem przejechać. Cepy stukają wesoło, ziarno szemrze, sypane strugą przez kobiety z wysoko wzniesionych nad głowami sit dla odwiania. Rozłakomione konie machają łbami i, wydzierając nam z rąk tręzle, cicho, zdradziecko stąpają po grubem ścielisku plewy, kierując się nieznacznie w stronę ponętnych stożków złotawych. Ale wieśniacy pilne na wszystko dają baczenie, ma-phu zaś, wiedząc, co go czeka, zapomniał o ciężkiej swej żałobie i żywo pokrzykuje na konie. Wioskę nazwano mi Podel-koge. Wokoło dużo pól ryżowych. Za wioską, na podgórzu, dziesiątek dębów czy wiązów stanął pojedyńczym rzędem w pięknem półkolu, a wśród nich—dwie kapliczki. Mała przełęcz. Za przełęczą zamknięta dolina, pełna pól ryżowych, błyskających od wody, okolona błękitnemi od skwaru górami. Na bladych ich wiszarach ciemnieją gdzieniegdzie zarośla sośniny. Nad niemi, w słonecznem przestworzu zatacza potężne kręgi czarny orzeł korej-

ski z rozpostartemi bez ruchu skrzydłami. Mamy letni wprost upał, ale w nocy musiało być zimno, gdyż w zarosłej trzciną sadzawce woda ścięta lodem. Okolica poprzerzynana kanałami, w których wszędzie mruczy woda. Małe mostki kamienne wiodą przez nie. Spotykamy cały orszak kupców, a może bogatych podróżnych, jadących w odwiedziny do dalekich krewnych lub grobów rodzicielskich. Siedzą na grzbietach koni, na deskach, położonych na jukach wierzchowców i kołyszą się sennie w takt ich chodu. Towarzyszy im malec w różowej świtce na ładnym mule.

Przechodzą żwawym krokiem tragarze, niosąc czarne pudełko szczelnie zamkniętej lektyki, ale przez małe, otwarte na przodzie okienko dostrzegłem twarz młodej i ładnej kobiety. Towarzyszący lektyce rosły Korejczyk obrzucił nas ostrem spojrzeniem. Znowu niewysoka przełęcz kamienista; za nią pod wielkim dębem mały szałas, słomą kryty, w nim fetysz i pęki zbóż. Przebyliśmy 45 „i“ od noclegu i zatrzymujemy się na popas. Wieś zwie się Niąg-dam, jest dość duża i widocznie zamożna. Dostrzegam na ulicy jakieś zbiorowisko i, zsiadłszy z konia, idę ku niemu. Stoi tam na ziemi lektyka, dwie kobiety klęczą obok i wkładają do niej poduszki i węzełki, mężczyźni szykują drążki, tłum dzieci czeka cierpliwie na jakieś widowisko. Po chwili z sąsiedniej chaty wychodzi w towarzystwie kobiet młoda Korejka w żółtym, jedwabnym kaftaniku i buraczkowej, również jedwabnej spódnicy; jest mężatką, gdyż włosy ma zaplecione

w dwa warkocze, jest śmiałą i postępową, gdyż nie chowa się, spostrzegłszy cudzoziemca. Powiadają mi, że to jest młoda mężatka, która opuszcza po krótkim pobycie rodziców, aby wrócić do męża. Proszę, aby pozwoliła się odfotografować, zgadza się z miłym uśmiechem... Oho! Musi być bardzo postępowa, gdyż ma zęby plombowane złotem, co żadną miarą nie mogło się obyć bez dotknięcia Japończyka, gdyż innych dentystów tu niema. Prawowierna Korejka woli umrzeć, niż znieść taką hańbę; nawet w ciężkiej chorobie lekarz może badać tylko pulsy na ręce i nodze kobiety, wysuniętych z pod grubej zasłony i pokrytych jedwabną tkaniną. Gdy młoda kobieta wsiadła do lektyki, długo jeszcze schylały się ku niej różne niewiasty, szepcząc i podając jej rozmaite drobiazgi, zanim zatrzaśnięto drzwiczki. Raz jeszcze odchyliła zasłonę. Wreszcie lektykarze schwycili za drążki, podnieśli pudło i ruszyli posuwistym krokiem. W czarnem, do trumny podobnem pudle rozległ się stłumiony płacz, ale nikt na to nie zważał, ogólna ciekawość wyłącznie już zwróciła się na mnie. Młody, wykwintnie ubrany brat odjeżdżającej prosił, abym mu pokazał aparat i „wszystko, co mam ciekawego...“ Pokazałem mu kompas, lornetkę, pióro z atramentem... Oglądał pilnie i zwracał z grzecznym ukłonem. Wówczas poprosiłem go z kolei, aby mi pokazał, co nosi u pasa w małym, ładnie wyszytym woreczku (cumoni) z zielonego jedwabiu. Wyjął z pewną dumą małe lusterko, grzebyk szyldkretowy, deszczułkę do gładzenia brwi i jeszcze jakieś

drobiazgi toaletowe. W drugim woreczku miał fajeczkę, tytoń i zapałki. Był żonaty i należał pewnie do jan-baniów (szlachty), włosy zaczesywał w pęczek na czubku głowy, przewiązywał kolorową wstążką i przykrywał przejrzystym, czarnym kołpakiem.

Długi czas nakrycie głowy było jedną z głównych oznak należenia do rozmaitych stanów. Przed reformą 1894 r. włosienne kapelusze w kształcie cylindra z prostymi, wielkimi brzegami (kat) miała prawo nosić wyłącznie szlachta. Obecnie są one w powszechnem użyciu, ale jeszcze w 1895 r. rzeźnicy seulscy podali petycyę z prośbą o rozszerzenie i na nich prawa noszenia opaski do podtrzymywania włosów (mangon) i kapelusza włosiennego (kuani albo kat [1]). Ograniczenia tyczyły się również i innych części odzieży. Szerokie rękawy były własnością klasy uprzywilejowanej, miała ona wyłącznie prawo do zwierzchniego chałata z rozporkiem, do używania ubrania z jedwabiu kolorowego; do czarnych, sukiennych lub skórzanych butów z ostrymi nosami. Studenci, nauczyciele, uczeni mieli prawo

---

[1]) „The Korean Repository", 1898, str. 127. „Mangon", czyli opaska na głowę, jest to rodzaj mycki okrągłej z dziurą po środku, przez którą wystaje obowiązkowy u dorosłych mężczyzn kok włosów (koan rei albo sianthuj). Takiej mycki nie zdejmują Korejczycy nawet w mieszkaniu. Wychodząc na ulicę, na taką myckę wkładają kapelusz, który przywiązują wstążkami pod brodę. Biedacy, których nie stać na „mangon", podwiązują głowę chustą, albo kładą poprostu wianek z trawy.

nosić wielorogie, włosienne berety; i dziś często je dostrzedz można na ulicach, ale inteligentny Korejczyk, spytany przeze mnie, czy wszyscy, co je noszą, należą do ciała naukowego, roześmiał się:

— Tak było dawniej! Dziś wielu z nich może zaledwo czytać umie... Wkładają berety i okulary, aby dobrze o nich myślano.

Okulary, duże, okrągłe, w szyldkretowej oprawie, istotnie w wielkiej są modzie. Urzędnik, który mię prowadził do grobowca zabitej królowej, ten sam, co przedtem żartował z okularów, przed wdaniem się w rozmowę z oficerami straży włożył na nos olbrzymie szkła, proste, rozumie się, gdyż widział doskonale. Podobno używanie okularów rozpowszechniło się w Korei dopiero około połowy ubiegłego stulecia.

Poza tem krój ubrania (osi) wszystkich warstw narodu korejskiego jest obecnie jednakowy. Składa się on ze spodni (letnich — padi, zimowych — po-sok-oj, wogóle — koyi) suto fałdowanych u bioder i zwężających się ku kostce. Kobiece spodnie z rozporkiem — tan-sokoj, zwierzchnie — poti, wogóle — ne-sokoj), są trochę węższe i od kolana ściśle obejmują łydki. W pasie ściągają się one wszytą wewnątrz tasiemką.

Mężczyźni nawet w lecie noszą watowane nabrzuszniki, za to w czasie pracy obnażają się nieraz zupełnie, pozostając jedynie w krótkich i wązkich spodeńkach. Barki okrywają Korejczycy kurteczką z rękawami (szjang-sok-koi), zapinaną, a raczej zawiązywaną pod szyją. U mężczyzn sięga ona poniżej dołka,

ale u kobiet (czagori) jest tak krótką, że nie zakrywa piersi. Koszuli Korejczycy nie znają. Spodnie i kurtkę (czagori) wdziewają wprost na gołe ciało. Zwierzchnie ubranie, które Korejczyk nosi przeważnie na ulicy lub idąc w odwiedziny, ma kształt długiego chałata za kolana, z wykładanym kołnierzem i szerokimi rękawami [1]. Kobiety wkładają obszerne spódnice (czhuma), ściągane tasiemkami w pół ciała, ale zachodzące brzegiem aż pod pachy. U kobiet z ludu sięgają one zaledwie

---

[1]) *Uwaga.* Rozróżniają Korejczycy 14 rodzajów chałatów:

1) Zwykły, biały męzki—czemagi.

2) Zwykły żeński — czamoi.

3) Zwierzchni, z workowatymi rękawami, bez rozporków z boków—turi-magi.

4) Zwierzchni z workowatymi rękawami i rozporkami z boku od pasa—tiung-czumagi.

5) Z rękawami wązkimi—turao-si.

6) Z rękawami wązkimi z rozporkami z boku od pasa—czaon-si.

7) Wdziewany jedynie przy wejściu do pokoju, gdzie stoi nieboszczyk—czeun-si.

8) Zwykły, codzienny—cemogi.

9) Odświętny, wystawny—kuan-bogi, lub piun-czumagi.

10) Szlachecki, żeński z wązkimi rąkawami—szjang-o-szi.

11) Zwierzchni, z workowatymi rękawami, nadziewany na czamogi—ta-bogi.

12) Żałobny—sam-bogi.

13) Kolorowy, żeński, szlachecki z szerokimi rękawami—tiung-o-szi.

14) czarny—tomogi.

kolan, ale u zamożnych i uprzywilejowanych spadają do ziemi. Jest to strój bardzo niezgrabny, szczególniej z powodu swej sztywności, gdyż Korejczycy mocno krochmalą swe białe, bawełniane tkaniny, używane przez wszystkich bez wyjątku, jako podstawa ubrania. Lud prosty, nawet zamożne średnie warstwy nie noszą nic innego. Jedynie ludzie bogaci, dworzanie i urzędnicy narzucają na kurtki i spodnie, zastępujące bieliznę, zamiast perkalowego chałata, takiegoż kroju jedwabny. Są tacy, co i kurtki i spodnie noszą jedwabne, ale tych mało.

Jedwabne szaty zawsze są kolorowe: jasno-żółte, różowe, wiśniowe, jasno-zielone, bronzowe, niebieskie, fjoletowe. Mężczyźni noszą zwykle barwy ciemniejsze, dygnitarze ubierają się w kolor niebieski i fjoletowy. Dzieci, dziewczęta oraz młode mężatki, nawet z prostego ludu, noszą kaftany różowe lub ciemno-żółte, oliwkowe; kobiety do lat trzydziestu mogą ubierać się fijoletowo, ale starsze używają wyłącznie koloru białego. Wychodząc na ulicę, kobiety zamożniejsze, szczególniej młode, zarzucają na głowę długie okrycie (czang-ot), mające zresztą rękawy; może ono być wdziane na ręce, ale służy zarazem do ukrycia twarzy i figury.

Na nogi wdziewają mężczyźni przedewszystkiem płócienne cholewki, następnie krótkie, barchanowe skarpetki (posień) i chodaki plecione ze szpagatu (szek-hri, albo meki-ri), łyka lub słomy. Zamożni noszą ostro-dziobe, chińskie buty (szuj-e-ti) na grubej podeszwie. Kobiety z ludu chodzą boso lub noszą

krótkie skarpetki i podobne chodaki. W lecie ulubionem obuwiem chłopów korejskich są słomiane podeszwy (ccho-czimi), podobne do japońskich, przymocowane do stopy sznurkami, wdzianymi na palce.

Teraźniejszy ubiór korejski wzorowany jest na chińskim z czasów dynastyi Min (1368—1644 r.; po korejsku — Miön), jaki był przedtem — nie wiadomo. Niektóre plemiona odziewały się zapewne w skóry zwierzęce, czego ślady pozostały na północy i na niektórych wyspach. Korejczycy w drodze śpią w kurtce i spodniach, ale zrzucają zwierzchnie ubrania, których w zimie noszą po kilka par jedno na drugiem. W domu śpią nago kobiety i mężczyźni, podobnie jak Chińczycy.

Zimą chałaty i spodnie są watowane. Na północy noszą futra. Kołdry (niburi) są w dość powszechnem użyciu; głowy wspierają we śnie na wałkach z drzewa lub plecionych z bambusu. Podściełają pod siebie cieniuchne materace lub gruby papier poprostu. Korejczycy wcale nie używają klejnotów i metalowych upiększeń — rezultat rządowego zakazu z przed 400 lat.

Biały kolor ubrania zmusza ich do częstego prania. W tym celu prują większe sztuki i wybijają w wodzie bieżącej wałkami, poczem suszą i, wyciągnąwszy mocno na deskach, obficie krochmalą. Najsztywniejsze perkale europejskie jeszcze są dla Korejczyków za wiotkie i za mało błyszczące.

W szyciu ubrań pomagają sobie Korejczycy pewne-

go rodzaju klejem, który łączy brzegi tkanin równie mocno, jak nitka.

Rolę pewną w ubiorze Korejczyków odgrywają wachlarze (pucche), których istnieje 7 rozmaitych odmian: 1) biały — pajeksen; 2) czerwony — ikon-sen; 3) niebieski—cchen-sen; 4) czarny—chyk-sen; 5) stukający—stak-sen; 6) o 50 pręcikach—suintaje-pucche; 7) okrągły — mi-sen. Wielkie wachlarze w kształcie łopat cesarz rozdaje dygnitarzom, jako zaszczytną oznakę.

W czasie deszczu używają Korejczycy płaszczów ze słomy, powszechnie znanych na całym Wschodzie, lub z naoliwionego, wybornego papieru, mocnego, jak cerata, a o wiele milszego w noszeniu, miękkiego i lekkiego. Papier ten wyrabiają z łyka drzewa papierowego (brussonetia papyrifera) oraz z kory morwowej.

XVI.

Kilka kartek z dziennika.

28 października.

Na drugim końcu wioski Niąg-dam stał piękny słup drogowy (10 „i"), w kształcie człowieka, z wyszczerzonymi zębami, w szlacheckim kołpaku (tan-gŏń) na głowie. Obok leżała podłużna kupa kamieni, nakryta słomianą matą w rodzaju strzechy. Być może, że są to gruzy kapliczki przydrożnej. Ton-sà kręci głową z tajemniczą miną; on nie mówi mi złych rzeczy, aby uchronić mię od nieszczęścia. Dalej na pochyłości po drugiej stronie drogi widnieje rząd płaskich, prostopadłych kamieni, jakie stawiają w Japonii zamiast nagrobków. Ton-sà dowodzi, że są to pamiątkowe kamienie „cnotliwych wójtów"!

Przed nami wązka, doskonale uprawna dolina. Zrasza ją rzeczka, którą nazwano mi „Cchorąn". Na drodze dużo ludzi z noszami i szeregi jucznych koni. Wśród pól małe gaiki drzew. Nie dalej, jak o 6 „i"

od Niąg-dam widać wioskę pod skałą. Przy drodze dwa wielkie kopce mogilne. O dwa „i" dalej znowu wioska otoczona polami tytoniu i sałaty. Od zebranego tytoniu sterczą tylko badyle, ale sałata jeszcze się trzyma, przymrozki niewiele jej zaszkodziły. Oczy z przyjemnością wypoczywają krócióchną chwilkę na jej żywej zieleni, poczem prześlizgują się po brunatnym krajobrazie jesiennym i wznoszą ku jaśniejącemu złotem błękitnemu niebu. Mijamy ogromny, ciężki wóz korejski, naładowany chróstem. Całe góry tego chróstu ciemnieją w wiosce, do której się zbliżamy. Wita nas u wjazdu znak „dziesięciu i" wesoło uśmiechnięty i w kapeluszu „kat", cokolwiek zsuniętym na bakier. Dolina zwęża się do 200 sążni. Spotykamy cały orszak białych Korejczyków i trzy palankiny. Jeden z nich stoi pusty wśród drogi, leży w nim tylko wyszyta poduszka i czerwona kołdra w tygrysie pręgi; koło drugiego stoi mężczyzna w zielonych jedwabiach, a trzeci unoszą pospiesznie czterej rośli tragarze. W nim siedzi kobieta i przygląda nam się uważnie przez wązką szparę w zaciągniętej na okienko żółtej zasłonie. Na polach czernieją stożki wyzbieranych kamieni. Droga polepsza się nagle, staje się szeroką i ubitą, zdatną do komunikacyi kołowej. Dużo ludzi pracuje w polu, w dali dymi się wioska. Od zachodu przyszła duża rzeczka, którą ma-phu nazywa Po-mo-gi. W wiosce przydrożnej młócą zawzięcie ryż, zajęli całą ulicę, ani przejechać.

Stąd wychodzimy nad brzeg jakiegoś wodozbioru,

obrośniętego ślicznemi wierzbami i trzciną. Myślałem, że to szeroka, cicha rzeka, lecz tymczasem był to wązki, długi staw, utworzony przez zatamowanie strumienia. Opodal oracze orzą rżyska parami wołów. Skiby kładą stromo, brózdy ryją głęboko, po kolano. Za każdym oraczem idzie chłop z motyką, rozbija bryły i równa skiby. Wioska. Dużo oberży. Na odrzuconych klapach okien kuchennych bieleją naczynia, goreją stosy złotych „kaki", wabią oczy pęczki rudego tytoniu.

Mieszkańcy wylegli i przyglądają się nam; dwaj starcy z siwemi brodami, wsparci na kijach, wyszli aż na środek ulicy. Przechodzimy małą przełęcz i wstępujemy do kotliny, otoczonej szczelnie nagiemi górami; boki niektórych zorane, hen, po same szczyty; grunt nieszczególny, piaskowaty. Zwolna dolina zwęża się do 50 sążni; całą prawie wypełnia łożysko rzeczki. Minąwszy ciasny przesmyk, ujrzeliśmy znów obszerną dolinę i zaraz niedaleko dwie wsie. Nad rzeczką klekoce turbina. W przejeździe przez wioskę wpadamy na pucołowatego malca z olbrzymią rzodkwią w ręce, w kurteczce czerwonej sięgającej mu prawie do brzuszka; z początku śmieje się do spędzającego go z drogi ma-phu, lecz nagle spostrzega mnie, uśmiech mu się wydłuża i przechodzi w płacz, pełen bezdennego przerażenia. Jegomość w fijoletowej kurcie i wielkich, jak oczy sowy, okularach patrzy na nas z jawną niechęcią.

Słońce skryło się za krawędź gór, dolinę powlokły długie ich cienie, ale na niebie lśni się jeszcze dzień. W zaroślach żółtej czumidzy, wybujałej po-

wyżej człowieka i wśród badylów tęgiego, jak krzaki, gaolianu z granatowem ziarnem, brzęczą sierpy i słychać głosy, ale żeńców nie widać, tylko zboże kołysze się z szelestem, pochyla i wali. Drogą ciągnie sznur białych figur ku dymiącej się na widnokręgu wiosce. Jedzie karawana kupców, którą wyminęliśmy rano. Dognali nas, gdyż moje nieustanne zbaczania i wypytywania bardzo wstrzymują nasz pochód. Mijamy dwóch wracających z pola oraczy: jeden pędzi przed sobą parę wielkich, siwych wołów z prostymi, krótkimi rogami, drugi niesie na plecach rozebraną sochę.

Cienie gęstnieją, w powietrzu czuć zimną wilgoć, z pól ryżowych wznosi się leciuchny opar i miesza z dymami wiosek. Za chwilę słońce zgaśnie, lecz nagle znalazło szparę w skałach i zalało całą dolinę potokiem czerwonego światła. Przeciwległe, skołubiaste wiszary zapłonęły jak stosy zarzewia, dołem tłuką się różowe mgły, wśród których niewyraźnie majaczą gaje niezżętego gaolianu, szare, płaskie wioski i biali przechodnie. Chłopi tłumnie ruszyli z pól do domów, ale jakiś pracowity siewca u drogi ani myśli rzucać roboty i prószy pilnie do brózdy ziarno porosłej pszenicy, zmieszanej z ziemią i tukiem; drugi idzie za nim i zagrzebuje posiew gracą, zadeptuje nogami.

Czuję zmęczenie, zrobiliśmy dziś 95 „i“ (około 7 mil), i z przyjemnością wjeżdżam do wielkiej, zakopconej, dymiącej się wsi Sreul, nad rzeczką Tare, gdzie mamy nocować.

29 października.

Zatrzymałem się chwilę przed kapliczką, aby ją naszkicować w notesie. Śliczny poranek. Szczyty liliowych gór płoną różowo, a dołem wkoło wiszą mgły. Pola, wioski, drzewa i wody ledwie z pod nich przeświecają. Cicho bulkoce daleka rzeczułka; garbaty mostek zaznacza się nad nią niby rys, zrobiony ołówkiem. W jasnem przestworzu zjawiło się na wzgórku czarne pudło zamkniętej szczelnie lektyki i znikło; biali tragarze unoszą je pospiesznie, jakby uchodzili przed pościgiem. Coraz słabiej pobrzękują dzwonki oddalającej się ode mnie karawany, coraz ciszej stukają kopyta koni po zamarzłej drodze. Brunatne, oszroniałe w czasie nocy skiby drzemią, drzemie kurz na pustej jeszcze drodze... Za nami od spowitej w sine dymy wsi rozległo się wołanie, lecz urwało i zamarło bez echa; ostrożnie, jak brzęknięcie komara, zadźwięczało gdzieś w ustroniu żelazo. Spokojnie. Wietrzyk trawki nawet nie muśnie. Teraz rozumiem, co to jest „Kraina Cichego Poranku" (Czo-sen)!

Dziwna kraina pracowicie uprawnych głębokich, cichych dolin wśród wysokich, jałowych, wietrznych skał!...

Dosiadłem konia, ale notatnika wedle zwyczaju z rąk nie wypuszczam. Jeśli nie mogę zdążyć opisać przedmiotu albo krajobrazu, kreślę pospiesznie ich zarys. Książeczka moja wygląda niby japońskie, ludowe wydanie. Znów niewysoka przełęcz, a za nią nowa

dolina. Wysoka, do końskiego zębu podobna „czumidze"; snopy na polach, koło nich skaczą i podlatują sroki. Kraj łagodnie sfalowany, pocięty szachownicą pól ryżowych i wszędzie zazdrośnie strzeżony przez łańcuch gór zębatych. Pojedyncze, stare drzewa, krzywe sosny, rozłożyste dęby, jeszcze okryte czerwonem listowiem, czarne ilmy, o cienkich, żylastych gałązkach, wspaniałe, słodkie kasztany... Czasem tworzą małe gaiki albo szeregiem ciągną się wzdłuż drogi, jak żołnierze weterani. Wśród pól tu i owdzie okrągłe, kopcowate mogiły. Wioski uciekły z środka doliny, gdzie uprawne każde ździebełko ziemi; mieszczą się po obu stronach na chyliznach gór. Wyleciał z pod urwiska płowy sokół i nizko krąży nad niwami. Ryż jeszcze miejscami nie zżęty. Ludzi nie widać. Minęliśmy tylko gromadkę ratajów, grzejących się u ognia w oczekiwaniu, aż puści stężała ziemia. Włożone w jarzma woły stały, żując, opodal, a dym ogniska słał się nizko po roli i mieszał z dymami dalekiej wioski. Nikłe słońce ledwie wybłysło z za szczytów. Góry zastąpiły nam drogę, zostawiając jedynie wązkie przejście.

Obszerna dolina otwiera się za przesmykiem na południo-zachód. Drogi znagła zaroiły się. Widać śród nich dużo wędrownych przekupniów (pu-sań) w żółtych, bambusowych kapeluszach-cylindrach. W oddali dostrzegam dziwną górę, samotną i ostrą, jak głowa cukru, z bukietem drzew sosnowych na czubku. Niedaleko piękna dolinka, obrosła wokoło sosnowym las-

kiem. Znowu karawany koni gniadych i siwych, ciężko objuczonych; z pod juk zwieszają się i kołyszą, jak chwasty upiększeń, małe, twarde miotełki ryżowe, używane zamiast zgrzebeł. Niewysoka przełęcz, laskiem ilmowym porosła. Pod nią zaraz wieś, rzeczka, wieś, rzeczka, wieś i znowu wieś. Mijamy nizką przełęcz i niespodzianie błyska w dole tuż pod nami duże jezioro. Nie znalazłem tego jeziora na żadnej mapie i nie odszukałem o niem nigdzie nawet wzmianki.

— Chan-ioul-kan!... — powiedział mi ton-sà.—Sto dziesięć „i" od Seulu!

Na wschodnim jego brzegu wznosi się wprost z wody stroma opoka, zachodni jest płaski, kamienisty i widocznie często zalewany przez wodę. Z jeziora wypływa niegłęboka, ale bardzo bystra i dość szeroka rzeka, zawraca na zachód i ginie wśród stromych, wysokich gór. Od wschodu prawie pod kątem prostym wpada do jeziora inna rzeczka, równie bystra, ale mniejsza.

Przeprawiamy się przez pierwszą rzekę na promie; za przewóz trzech ludzi i dwóch koni biorą od nas 50 phun (10 kop.); przecinamy kamienistą ławicę i przechodzimy marny, drżący mostek na drugiej, węższej odnodze rzeki, poczem porzucamy piękną dolinę jeziora i przez małą przełęcz dostajemy się do sąsiedniej. W dolinie gaje dębowe, na podgórzach zarośla sosnowe. Wioska. U wjazdu ołtarz z kamieni i duża wiązka drągów i tyczek, obwieszonych słomianymi sznurami i gałgankami. Droga wiedzie przez słabo zale-

Droga z Seulu do wsi Jąg-san w miejscowości San-gaj.

siony wzgórek, ponad którym wyżej kędzierzawią się zagajniki dębiny. Piękna mogiła, której strzegą dwie stare sosny. Przełęcz, rzeczułka w jarze pod zachodniemi górami. Mała kotlina wśród kopcowatych gór. Na przełęczy ołtarz z kamienia. Wszędzie pola uprane. W dole parę chałup, niedaleko kamienistego łożyska potoku. Dolina zawraca na wschód, skąd płynie strumyk. Zawracamy i my, dążąc w górę jego biegu. Rzeczka zwie się Tąng-czak. Niedaleko u drogi gaj ogromnych, drzewiastych jałowców. Okolica bardzo ludna, wybornie uprawna; oddzielne domki i małe wioseczki kryją się wśród zarośli. Widocznie mieszkańcy już nie obawiają się tygrysów i zbójców. Sieć dróg i drożyn rozwidla się w rozmaitych kierunkach. Podczas gdy w gaju zbierałem owady, moi ludzie zniknęli za wzgórkiem. Nie znalazłem ich na drodze, a we wsi o 4 „i" dalej powiedziano mi, że ludzie moi zostali w tyle. Wracam, spotyka mię przerażony ton-sà.

— Co się stało?!...

— Nie wiedząc, że sir życzy sobie zatrzymać się tutaj, przygotowaliśmy już wszystko w innej *sul-magi* (oberży).

Powiedział mi, że duża wieś, którą porzuciliśmy, zwie się Phut-kczang i znajduje się o 80 „i" od Seulu. W pół dnia zrobiliśmy 50 „i" ($3\frac{1}{2}$ mili).

Po obiedzie ruszamy dalej. Przed nami otwiera się obszerna dolina, cała w polach ryżowych. Moc wiosek przylepionych do podgórzy po obu jej stro-

nach; zdarzają się wszakże sadyby i pośród pól. Wszędzie na ulicach suszy się na matach świeżo omłócony ryż lub pszenica, leżą kupy plewy i sterty słomy. Pachnie ziarnem. Wieśniacy i wieśniaczki mają twarze zadowolone, gdyż rok był urodzajny, buziaki dzieciaków okrąglą się i rumienią. Dostrzegam większą staranność w uprawie roli, miedze pól w wielu miejscach obsadzone drzewami, w brózdach zielenią się smugi ozimej pszenicy. Niwy czumidzy, grochu, jęczmienia wdzierają się wysoko na pochyłości, w dole głównie ryż. Krajobraz przybiera zupełnie chiński charakter. Pod rozłożystym dębem widzę niedaleko trzy duże mogiły z kamiennemi figurami i płytami przed każdą. Opodal w lasku sosnowym znowu mogiły. Drogi równe, gładkie, dość szerokie i nieraz wysadzone drzewami. Stronami jednak ciągną się wciąż guzowate, strome góry korejskie, porosłe rzadką sośniną. Ale dzięki wzrastającej obfitości drzew okolica wygląda coraz wdzięczniej, staje się rozmaitszą i każe zapominać o dzikich, nieużytych skałach.

Zresztą zdarzają się niespodzianki; piękna droga nagle znika, napół rozmyta przez rzeczułkę. Jedziemy czas jakiś szlakiem grubego, białego piasku, widocznie naniesionego przez rzeczkę, gdyż wyściela on jej dno. Piasek zasypuje pola, białe jego strugi spływają z gór sąsiednich, niszcząc po drodze roślinność. W dali przed nami widać białe, mocno poszczerbione szczyty: to granitowe wiszary Sam-kgyk-san'ia, wznoszące się już nad doliną Seulu na 800 bez mała metrów. Spotykane

wsie, robią wrażenie, jakgdyby składały się wyłącznie z zajazdów. U wszystkich domów klapy kuchenne odrzucone, bieleją na nich łyżki i miski, a w głębi widać leżące wiktuały. Na ulicach ruch, w szopach konie łapczywie jedzą obrok, kwiczą i biją się. Na drogach dużo przechodniów, a około dróg i dalej wszędzie dużo mogił. Niektóre okopane półkolistym wałem, upiększone słupami kamiennymi i figurami, ocienione staremi drzewami. Inne nagie, zaniedbane, stoją na słonecznej spiekocie, podobne do brzydkich osypisk gór korejskich. Wiatr zwiał z nich ziemię i z niektórych sterczą rogi trumien. Należy przypuszczać, że synowie nieboszczyków pomarli, wynieśli się z okolicy lub podpadli w ostateczną nędzę.

Wydostajemy się na wyborny, szeroki gościniec, najlepszą drogę, jaką widziałem dotychczas w Korei. W wielu miejscach ocieniają go szpalery pięknych, rozłożystych kasztanów, dębów, ilm. Pierwsze są jeszcze w pełni zieleni, gdy ilmy już zupełnie straciły liście. Obszerne pola ryżowe w znacznej części zalane są wodą, ale za to niema jej prawie w rzeczułkach. Ledwie się sączy, nie stać jej nawet pewnie na obracanie tłuczek ryżowych, gdyż coraz częściej widzę kobiety depczące pedały niezgrabnych, domowych krupiarni. Zbliżamy się do Sam-kgyk-sania — wieńczą ją trzy potężne, jak wieżyce ostre szczyty, od których wzięła swą nazwę. [1]) Słońce chowa się właśnie za nimi i zło-

[1]) Sam—trzy, kgyk — wysoki, sań—góra. Na mapach

cisto-różowa dolina, z szmaragdowemi plamami gajów, blednie nagle. Droga wije się pod samą górę, okrąża ją... Po drugiej stronie doliny widać podobne, wietrzejące, siwe granity, jeszcze złote od bijących górą promieni słońca. Okrążamy Sam-kgyk-sań i wstępujemy w zacieniony wąwóz, pełen spływających z gór skalnych piargów, piasków i namułów. Prawdziwe kamienne, białe wietrzelisko, kocieł, skąd wody wiosenne roznoszą daleko po okolicy bielące ją prochy. Szeroka droga niknie miejscami pod zwałami osypisk. Konie brną po pęciny. Mijamy zmęczonego tragarza, który wyciągnął się u drogi i z trudem wdycha powietrze, obok stoi na podpórkach ciężka nosza. W wąwozie zmrok przejrzysty i chłód. Niema tu nic: ani pól, ani chat, ani krzewów; nawet zioła, trawy nigdzie nie widać, widocznie nic się nie ostoi na tych potokach białych, ruchomych piachów. Ale cokolwiek dalej, gdzie jest nadzieja je wstrzymać, już dostrzegam małe pola ryżowe, ogrodzone płotami z wikliny. Za chwilę jesteśmy u wylotu i znowu przed nami obszerna, brunatna płaszczyzna, pokrajana połyskującemi polami ryżowemi, ciemnemi rolami, zieleniejącą w brózdach oziminą. Okalają ją te same szczerbate wiszary granitów, biało-złote w pobliżu, biało-błękitne w oddali... Nad nimi wiszą białe, skłębione obłoki i czeredy białych ludzi dążą ku nim po białej drodze. Zieleń nielicznych

---

i w książkach europejskich używają niewłaściwej pisowni Sam-gak-sań.

gajów wydaje się czarną i niknie w białych tumanach. Doprawdy to jakaś bajeczna kraina „Białego Snu“, oblana kredowo-mglistem słońcem. Podróż przeciągnęła się i część drogi odbyliśmy przy nikłym blasku młodego miesiąca. Gościniec wyludnił się, kopyta koni samotnie wydzwaniały wątłego marsza na ubitej ziemi. Wielkie, połamane cienie gór i skał, drobne, czochrate cienie gajów, zmieszane z płytkiemi zygzakami podcieni grobli ryżowych, odbitych w lśniących czarno-srebrnych wodach, na tle białych płaszczyzn i wzgórz tworzyły mozajkę niedościgłej fantastyczności. A bliżej i dalej ze mroku nocy wysuwały się mleczne, od blasku miesięcznego niewyraźne, niby w powietrzu zawisłe strome opoki, pojedyńcze urwiska lub całe zwarte ich szeregi...

Zanocowaliśmy we wsi Pisangori o 50 „i“ od Seulu. Jutro będziemy w stolicy.

30 października.

W tej wiosce co dom, to oberża i wszystkie wydały mi się pełne. Rano — wrzawa: podróżnemu w domu naprzeciwko ukradli w nocy złodzieje 2,000 phun (4 ruble). Strwożony ton-sà wciąż ogląda nasze pakunki.

Chłopak, który nam usługiwał, bardzo się do mnie zalecał, czyścił mi nieproszony ubranie, raz wraz zapytywał, czy czego nie potrzebuję; pierwszy to raz w całej tej drodze spotkałem się z taką nieprzyjemną na-

tarczywością, gdyż Korejczycy naogół są uprzejmi i gościnni, ale bez służalstwa. Przed wyjazdem chłopak upomniał się o naddatek. Był to jedyny napiwek, jaki dałem w Korei, gdzie wcale nie znają tego zwyczaju. Tutaj widocznie dotarli Europejczycy i według swej modły przeistoczyli grzeczność i usłużność w towar sprzedajny.

Dzień zapowiadał się gorący. Słońce lało potoki światła na szeroką, gładką, jak kreda, białą drogę, na bielejące wdali skały, na łyse pagórki i kraty niezliczonych grobli wśród pól ryżowych. Wszędzie błyszczała woda. Aż oczy bolały od tej białości i blasku. Nadomiar wiatr podnosił obłoki kurzu. Przydrożne drzewa osędziały odeń, jak od szronu. Co parę wiorst—wioski. Mrowie ludzi idzie drogą i tłum ten coraz wzrasta. Jadą i wiozą towary na koniach, wołach, osłach, ale najwięcej niosą je na sobie. Kobiety niosą na głowach ogromne dzbany i dzieże gliniane z ziarnem lub płynem, kosze z owocami, węzły odzieży, pakuł, waty; mężczyźni dźwigają na plecach wiązki chróstu, snopy, sprzęty rozmaite, wreszcie ciężkie wory ryżu, dochodzące do 100 funtów wagi... Tragarze zawodowi idą długimi szeregami, jeden za drugim, ciężko postękując. Nogi ich grzęzną głęboko w piasku lub biją mocno o twardą drogę... Nigdy nie mogłem bez głębokiego wzruszenia słuchać tych jęków... Raz, pamiętam, wieczorem dochodził taki sznur tragarzy do wioski, gdzie widocznie miał wypoczywać... Jeden z nich, słabszy, został daleko w tyle; czekali nań towarzysze, porzuciwszy

swe nosze, nawet niektórzy wracali, aby go głosem i radami zachęcić. Młody, nieszczęśliwy chłopak miał twarz skamieniałą od cierpienia i siną od wysiłku, krwią nabiegłe jego oczy patrzyły z jakąś rozpaczą na odległą jeszcze wioskę...

Dużo wsi, dużo lasków sosnowych, dużo pięknych mogił. Droga ubita, jak szosa, pięknie utrzymana i okopana rowami. Mijamy wspaniałą świątynię, otoczoną białym murem i wielką ilością mogił. Dużo wolnych koni wraca z Seulu. Wśród przechodniów często zdarzają się żołnierze, parę razy widziałem nawet policyanta. Wysokie akwaduki, miejscami sypane z ziemi, miejscami drewniane, odprowadzają wodę na pola... Wszędzie ona bulkocze i pluska, a mimo to kraj wydaje się spalonym i spękanym od suszy. Czarujące wrażenie sprawiają kawałki drogi, wysadzone szpalerami starych drzew. — Zjawiają się oddzielne, bogate folwarczki, dwory kryte dachówką, otoczone pięknymi sadami, z ładnemi zabudowaniami gospodarskiemi, czego dotychczas nie widziałem wcale. Płaska przełęcz. Ma-phu wskazuje mi dymy, wijące się za białemi górami, i mówi, że to Seul. Tłum przechodniów wzrasta. Przejechali jacyś dygnitarze ubrani w jedwabie. Przed nimi biegli laufrzy. Dużo lektyk, w nich nie same już kobiety: często dostrzegam obrzękłą twarz korejskiego urzędnika lub okulary modnisia. Niektórzy jadą na osłach... Gwar, śmiech... Przechodnie zamieniają z sobą żarty, wypytują o coś ton-sę, który, staranniej ubrany, zachowuje wyniosłe milczenie. Boli go

noga: starł ją sobie, między palcami porobiły mu się wrzody... Daremnie moczył ją codzień na noclegach w gorącej wodzie i smarował wziętą u mnie waseliną; rany zwiększały się, ból wzrastał, twarz mu chudła i czerniała, z utęsknieniem wyglądał końca podróży, ale nie skarżył się i nie zaniedbywał swych obowiązków...

Mijamy śliczny kanał wartko płynącej wody, obsadzony z obu stron pysznymi kasztanami. W wioskach, na ulicach przekupnie sprzedają pieczone kasztany; całą garść można dostać za grosz; równie tanie są wyborne „kaki" korejskie; kupiłem kilka i podzieliłem się z nimi z ma-phu i ton-są. Ton-sà odwdzięczył mi się i w następnej wiosce, jak każe przyzwoitość, kupił kasztanów... Widzę pewną tkliwość w jego obejściu się ze mną, jakąś dyskretną uprzejmość... Choć chroma, stara się iść w pobliżu mego konia i nieproszony daje objaśnienia, wskazując na ciekawe przedmioty... Czyżby miał zamiar prosić mię o napiwek?

Białe góry, biała droga, białe tłumy ludzi, białe chmury na niebie i tumany białego kurzu w powietrzu. Głazy ogromne u gościńca, który nagle przegradza wysoki cypel górski. Wdzieramy się na ten cypel po stromej drodze, przerąbanej wśród opok. Malownicza, skalista kotlina, otoczona skołubiastemi urwiskami. Na samej przełęczy wąwóz, na którego ścianach widnieją wielkie napisy chińskie; stoi tam zwykły ołtarz z kamieni, koło niego wiszą szmatki ofiarne i sznureczki, poniżej, na złomach tulą się liche chałupki, ubogie

Przeprawa promem przez rzekę Chań-hań pod Seulem we wsi Jąg-san.

sklepiki i stragany z owocami, z jadłem, z drobiazgami... To już przedmieścia. Spuszczamy się na dół po równie stromej pochyłości, potem jedziemy długo ujeżdżoną, wyborną drogą wśród pól uprawnych i rozrzuconych domków ku ciemnej przełęczy. Szczytem gór okolicznych wije się szara, zębata ściana i wielki otwór miejskiej bramy czernieje wysoko wśród skalnych garbów, pod wyniosłym dachem chińskim.

— Seul!... Chan-siŏn! [1]) — woła wesoło ma-phu.

Tłum przechodniów zmienia się poprostu w ciżbę; widzę już tylko potok czarnych „kat", wielkich, jak koszyki, żałobnych kapeluszy, kolorowych, żeńskich narzutek, białych chust, garbów i węzłów, lub wielkich noszy, poważnie kołyszących się w tłumie, jak słonie. Wzdłuż drogi u domów stragany, u drzwi, co krok niełedwie wysokie tyczki z wiechą lub starym, dnem do góry wywróconym, okrągłymi, długim koszykiem — znak, że tu można wypocząć i pokrzepić się „su-li" (wódką ryżową).

Nareszcie jesteśmy u ostatniej przełęczy i drapiemy się wraz z tłumem ku ciemnym, jak pieczara i jak pieczara głębokim wrotom. Potężny, ale porządnie już nadpsuty mur biegnie grzebieniem okolicznych wyniosłości. I mur i brama zwykłej architektury chińskiej, budowane z niepalonej cegły i poszyte granitem. Bramę bardzo pięknie zdobią gęste, poczerwieniałe po-

---

[1]) Albo Chań-jan — warownia rzeki Chań.

woje. Za bramą szare, płaskie, zakurzone miasto, okolone bladymi, zębatymi wierzchołkami.

Długo jechaliśmy po ulicach, rojących się białym, ruchliwym tłumem chłopów, przekupniów, obładowanych chróstem i warzywem wołów, stękających pod noszami tragarzy, żołnierzy, jeźdźców w jedwabiach i jeźdźców w skromnych perkalach, kobiet zakwefionych i kobiet bez zasłon, dość brzydkich i starych, aby twarz swą mogły bez lęku pokazać, brudnych, półnagich dzieci, wyrostków uczniów w rogatych beretach... Wreszcie wydostaliśmy się na główną ulicę. Dostrzegłem w oddali jakąś basztę czerwoną, śpiczastą, szarą wieżycę kościoła katolickiego i... tramwaj elektryczny. Miasto szare, brzydkie i brudne zagrało weselszemi barwami. W sklepach czyściej i ładniej, a na ulicach jeszcze rojniej...

Aby dostać się do poleconego mi hotelu „Imperial“, musieliśmy przebyć całe miasto. Wreszcie wśród tłumu gapiów stanęliśmy na małym placyku, przed główną bramą cesarskiego pałacu, gdzie mieszczą się na rogu dwa najlepsze hotele europejskie.

Monsieur Moulis, który był długo kucharzem we Władywostoku, powitał mię łamaną ruszczyzną...

— Dam panu taki pokój, z którego wciąż pan będzie widział cesarza!...

— Owszem... A czy będę mógł się wykąpać?

— Dlaczego nie... To jest dobrze, ale moja łazienka będzie, ale nie jest, więc może pan pójdzie do łaźni, do japońskiego... quartier...

Kręcił się po pokoju i gadał, gadał bez końca.

— Pan pewnie pójdzie zaraz do ministra?... To stąd niedaleko!... Właśnie pani ministrowa była przed chwilą... O ja ich wszystkie dobrze znać... ami!... Wciąż im coś piekę... Wczoraj zrobiłem majonez!... Pani ministrowa mówi: monsieur Moulis... Pan poseł też przychodzi i pan pułkownik. Ja im zawsze opowiadam, co usłyszę w mieście na targu albo w moim zakładzie. Chodzą... O monsieur Moulis dużo wie!... A pan słyszał: nasza marynarz w Czemulpo bardzo głowę Japończykom porozbijał... Dzielna marynarz! Ich było dwudziestu, a Japończyka parę sto... Nasza zuch... zawsze bije dobrze!... O ja znać ich!... Nasza bije dobrze... Japończyk hołota!... Phi!... Będzie wojna!... Japończyk weźmie w skórę!... Nasza bardzo dobrze bije, nasza...

Mrugał okiem, strzepywał palcami i, korzystając z aliansu, przyswajał sobie zasługi i cnoty obu narodowości.

Zmęczony ton-sà czekał cierpliwie zapłaty, ma-phu stał w korytarzu.

— Siadaj, siadaj, towarzyszu!... — zwróciłem się do ton-sy.

Monsieur Moulis spojrzał na mnie zdziwiony.

— To pański tłomacz? On też może zostać u mnie... może mieszkać z moimi „boy".

Z trudnością dałem nareszcie poznać panu Moulis, że życzyłbym sobie pozostać sam z mymi ludźmi.

Rachunek z ma-phu nie zajął długiego czasu, ale

gdym ton-sie podał całą kwotę pieniędzy bez potrącenia pobranego już zadatku, zwrócił mi resztę, mówiąc, żem się omylił.

— Widzisz, towarzyszu, noga cię boli, zraniłeś ją sobie z mego powodu, pewnie będziesz musiał zabawić dni parę w Seulu, aby ją wyleczyć...

— O, nie! Jutro zaraz ruszę z powrotem. Tam czekają na mnie... Ale dziękuję panu; skoro znajdujesz, że zarobiłem te pieniądze, to je wezmę... Więc jesteś ze mnie zadowolony?...

— Owszem, jestem zadowolony... Zapewne byłoby lepiej, gdybyś umiał więcej po angielsku...

— Bardzobym chciał się nauczyć, ale niema od kogo.

Ani myślał odchodzić. Usiadł na ziemi i choć umilkł, gdyż monsieur znowu się we drzwiach ukazał, ale miłym, przywiązanym wzrokiem wciąż wodził za mną.

— Jesteś dobry, sir!—powiedział cicho, gdy wreszcie udało się mi znowu wyprawić Francuza.

— Już pójdę!... Good bye!...

— Good bye!...

Uścisnęliśmy się za ręce. Stał chwilkę z opuszczoną głową, ruszył ustami, lecz widać nie znalazł odpowiednich wyrazów angielskich. Więc tylko ujął mię raz jeszcze niezgrabnie za rękę.

— Good bye! Good bye!

XVII.

Zaludnienie. Podział na prowincye.

Statystykę Korei powierzył rząd od niepamiętnych czasów specyalnym urzędnikom miejscowym „ăcżŏn“ oraz zarządom prowincyonalnym, które obowiązane były co trzy lata dostarczać spisu ludności i wykazu ziem ornych. Stąd pochodzi, że do tej pory nie wiadomo nawet w przybliżeniu, jaka jest ilość mieszkańców półwyspu, ani jaki jego obszar uprawny. W 1897 roku rząd postanowił przeprowadzić spis ludności według modły europejskiej, lecz ponieważ znowu powierzył go tym samym „ăcżŏn“ i władzom prowincyonalnym, te z budującą jednomyślnością podały cyfry poprzednie, wynoszące 5,198,248 głów płci obojej, co przedstawia liczbę o *jedną trzecią* mniej wykazującą, niż spis z przed *trzystu lat* [1]).

Przyczyną niezwykłego zmniejszenia się spisów ludności była okoliczność, że administracya miejscowa

---

„Korea Reposit.“ 1898, str. 30.

od niepamiętnych czasów wypłacała podatki do skarbu według podanych przez siebie cyfr ludności, ponad to wszelki nadmiar zostawał w jej kieszeniach. Dziwić się więc prędzej należy, że mieszkańcy nie znikli całkowicie z raportów urzędniczych.

Obliczenia prywatne rozmaitych podróżników i badaczy niezależnych wahają się między $7^1/_2$ milionami (Ch. Dallet) a 28,000,000, podanymi przez samych Korejczyków w książce „Mań-guk-cżion-bio", wydanej nakładem rządu w 1885 roku [1]).

Najwiarogodniejszemi wydają mi się cyfry podane przez panią I. B. Bishop, W. Griffis'a, oraz dostarczone przez źródła japońskie, nietylko dlatego, że to są autorowie, którzy dali najlepsze, najpoważniejsze opisy Korei, lecz i wskutek tego, że wszystkie poznane przeze mnie miejscowości Korei wydawały mi się co najmniej równie gęsto zaludnione, jak najludniejsze okolice Galicyi i Królestwa. Jeżeli weźmiemy przeciętne *minimum* powyższych okolic — 100 głów na kilometr

---

[1]) Davelny (Nouv. Ann. des Voyages, 1849, p. 306) — 7,342,361 głów (spis z roku 1763); Ch. Dallet (Histoire de l'Eglise de Coréa, 1874 r.) — 7,500,000 gł. (z r. 1844); W. E. Griffis („Corea — The Hermit Nation)—12,000,000 gł.; C. Gottsche (Verh. d. Ges. f. Erdk. zu Berlin XIII p. 260) —10,520,000 gł.; Japan Daily Herald (1885 r. Febr. 9.) — 10,518,937 gł.; Webel („Podróż do Korei" po rosyjsku 1889 r., str. 161) — 16,000,000; H. N. Allen (A true story of Korea. Korean Rep. 1892 pp. 372) — 16,000,000; I. B. Bishop (Korea and H. Neighb.) 12,000,000 gł.

kwadratowy i pomnożymy przez obszar Korei (223,523 kil. kw. według Strelbickiego) z potrąceniem należnych 50% na puste, nieużyte jej łańcuchy górskie oraz lasy północne, to otrzymamy właśnie około wymienionych powyżej 12,000,000 mieszkańców. Najgęściej zamieszkana jest środkowa część półwyspu, następnie jego kraje południowe. Ku północy zaludnienie słabnie — na wschodzie więcej, na zachodzie mniej i wreszcie u granicy Mandżuryi przedstawia nieliczne osady, rozsiane grupami wśród zupełnie pustych zapadlin, jarów, lasów i szczytów.

Gęstość zaludnienia rozmaitych części Korei, wyrażona przez iloraz z liczby mieszkańców na przestrzeni danej prowincyi, ma bardzo małą wartość socyologiczną, gdyż nie daje najmniejszego pojęcia o rozmieszczeniu się ludności na tutejszych obszarach. Dzięki charakterowi gór korejskich, doliny zaludnione nieraz, jak Belgia, sąsiadują bezpośrednio z obszernymi szmatami pustyń prawie syberyjskich. Zaludnienie w Korei może więc być rozpatrywane jedynie względnie do obszaru ziemi, zawartej w istotnych granicach rolnictwa.

W końcu XIV wieku, z wstąpieniem na tron obecnie panującej dynastyi, Korea podzielona została na 8 prowincyi (do). Ponieważ jednak wszystkie one mają jasno zaznaczone granice naturalne, a niektóre z nich niegdyś tworzyły udzielne państewka, należy przypuszczać, że podział taki istniał i przedtem.

W 1895 r. był wprowadzony nowy podział na 23 okręgi (pu), obejmujące 337 powiatów (kuń), lecz

wkrótce potem przywrócono dawne granice z wprowadzeniem poddziałów tylko w pięciu prowincyach na: północne (puk) i południowe (nam); ma więc Korea ogółem 13 prowincyi, składających się z 341 powiatów (pu, mok) lub okręgów (kuń).

Oba podziały prowincyi Cham-giön-do i północna Phiön-ań-do przylegają do mandżurskiej granicy i wypełniają północną część półwyspu. Głównem miastem północnej Cham-giön-do jest Kiön-siön, piękne, otoczone murami, mające z górą 15,000 mieszkańców i słynące z wyrobu naczyń miedzianych; leży w dolinie zeczek Cha-san-do i Tok-san-cziön (Oco-ken-muri) o 3 kilometry od morza Japońskiego i 150 od granicy rosyjskiej. Głównem miastem południowej Cham-giön-do jest Cham-hyn, niegdyś stolica całej prowincyi, a dawniej jeszcze w VIII stuleciu niezależnego państwa Bo-haj; leży ono w odległości paru kilometrów od morza nad rzeczką Siön-cziön-hań, spławną zaledwie dla płytkich galarów. Handluje przeważnie żelazem, futrami i złotem; mieszkańców ma z górą 30,000; zbudowane według chińskiej modły i otoczone grubym i wysokim murem. Stąd do Genzanu niecałe 100 kilometrów. Wzdłuż wybrzeża, od pogranicznego z Rosyą miasteczka Kiön-hyń idzie niezła, jak na Koreę, droga, która w Genzanie zawraca w głąb lądu, kierując się ku Seulowi.

Północna Phiön-ań-do zajmuje zachodnie pobrzeże Korei; jej główne miasto Jąg-piąg (Yöng-pyöng po an-

Południowe przedmieście Seulu.

gielsku) leży w górach daleko od morza i stołecznego traktu.

Dużo większe znaczenie strategiczne i handlowe ma powiatowe miasto pograniczne Yj-cźiu (Wi-dżu po chińsku) u ujścia rzeki Amnok-kan (Jalu po chińsku). Odegrało ono w chińsko-japońskiej i japońsko-rosyjskiej wojnie ważną rolę, jako klucz całej rzeki. Przed otwarciem granic Korei Yj-cźiu długi czas było głównem miastem, pośredniczącem w handlu między Koreą i Chinami; wywożono stąd przeważnie żeń-szeń, złoto, skóry, futra, a przywożono tkaniny jedwabne i bawełniane. Ma około 10,000 mieszkańców. Z Yjcźiu idzie najlepsza w Korei droga do Seulu przez Phiŏn-jań, stolicę południowej Phiŏn-ań-do, głównego niegdyś miasta całej prowincyi Phiŏn-ań, a jeszcze dawniej stolica państwa Kogu-riŏ (od IV do VII stulecia). Miało ono przed wojną chińsko-japońską 60,000 mieszkańców i 12,000 domów, leży nad dużą i spławną rzeką Tä-don-hań o 100 kilometrów od jej ujścia. Otwarte dla handlu europejskiego posiadało misye europejskie oraz konsulat japoński, było połączone telegrafem ze stolicą. Od czasu zbombardowania miasta w 1894 roku i wybuchłej następnie cholery, mocno podupadło. Obecnie znowu zostało zajęte przez Japończyków. W starej części Phiŏn-janiu oraz okolicach zasługują na uwagę liczne pamiątki historyczne. Między innemi mogiła legendowego Ki-dza, emigranta z Chin, założyciela państwa Kŏ-gu-riŏ (na 1100 lat przed Nar. Chr.). Na mogile, zbudowanej w stylu chińskim i opatrzonej chińskim napisem, stoją

figury prawodawców i wojowników, oraz... baranów, zwierząt obecnie nieznanych w Korei. Sześćdziesiąt „i" od Phiŏn-janiu na górze Ko-riŭng znajduje się cały szereg ciekawych grot stalaktytowych Kasu, gdzie w czasie napadów nieprzyjacielskich kryli się mieszkańcy [1]). Południowa Phiŏn-ań-do wypełnia całkowicie prawie najwęższą szyję półwyspu korejskiego, oddzielającą północną część państwa od środkowej i południowej. Zalega zachodni brzeg, podczas gdy na wschodnim, za grzbietem gór Dyamentowych, wązkim skrawkiem aż za Genzan ciągnie się prowincya Chamgiŏn-do.

Do Phiŏn-ań-do z południa przylega prowincya środkowej Korei, Choan-hä-do, do której należą i liczne wyspy morza Żółtego; główne miasto Chäj-cżiu leży w głębi lądu, ma 15,000 mieszkańców. Dalej ku południowi na brzegu głębokiego wcięcia morza Żółtego leży stołeczna prowincya Kiŏn-gyj-do. Zarząd prowincyi mieści się w mieście Su-uŏń, o 40 kilometrów od Seulu, który wyjęty z prowincyi, tworzy samodzielną jednostkę administracyjną. Seul, albo Seur, co znaczy wielkie miasto, urzędownie zwie się Chań-siŏn lub Chań-jan — twierdzą z nad rzeki Chań. Został stolicą w XIV wieku przy założycielu obecnie panującej dynastyi, który przeniósł tu swój dwór z Kä-ciŏn'a (Son-do). Seul liczy 220,630 mieszkańców, a okalający go mur

„Korean Repository", 1898, str. 252.

kamienny ma długości 20 kilometrów; zawiera 45,398 domów, dwa cesarskie pałace, „Stary“ (Ton-goań) i „Nowy“ (Kioń-bo-guń), świątynię Konfucyusza, świątynię Nieba, świątynię Boga Wojny (Koan-uöń-dzan), świątynię ku czci zamordowanego przez ojca księcia Dzan-hön (pradziada panującego obecnie cesarza), świątynię Juk-sań-guń na cześć matki króla Iön-dzon i wiele innych pomniejszych świątyń oraz grobowców. Z pałaców należy wymienić jeszcze Nam-biöl-gun, gdzie zatrzymywali się niegdyś posłowie chińscy i dokąd przyjeżdżał do nich król korejski na znak swej zależności wasalnej, oraz „Arkę Niezależności“ (Ton-nip-muń), wybudowaną w 1895 roku w tem samem miejscu na drodze pekińskiej, gdzie dawniej król korejski winien był spotykać posłów cesarza chińskiego. Seul jest ogniskiem władzy państwowej i jako stolica ma własną administracyę, na której czele stoi „phan-juń“ z prawami gubernatora.

Przez miasto płynie błotnista rzeczka, wpadająca do rzeki Chań, która znajduje się w odległości 4—5 kilometrów od miasta i ma przewóz pod wsią Jąg-san; niedaleko przecina rzekę most kolejowy.

Na wschód od stołecznej prowincyi Kiön-gyj-do, za grzbietem głównego łańcucha górskiego wyciągnęła się prowincya Kan-uöń-do, ze stolicą Cziun-cziön, niewielką, 8-tysięczną zaledwie mieściną; kraj piękny, żyzny i rolniczy, który wchodził niegdyś w skład państwa Silla, przewodniczącego od VI do IX stulecia całej Korei.

Drugą połowę tego państwa tworzyły obecne prowincye — północna i południowa Kiöń-san-do. Słynna stolica Silli, Kiön-cżiu (starożytna „So-ja-bol"), znajdowała się w północnej prowincyi, niedaleko południowowschodniego wybrzeża półwyspu; w XVI stuleciu miasto zostało zburzone przez Japończyków; obecnie jest to małe miasteczko powiatowe. Główne miasta prowincyi: Tä-gu (północnej) i Cżin-cżiu (południowej) nie przedstawiają nic ciekawego. Tä-gu wsławiło się wielokrotnie straszliwemi rzeziami chrześcijan. Na południowem wybrzeżu tej prowincyi znajdują się dwa ważne porty korejskie: Fuzan i Mo-sam-po (Mosań-pho).

Naprzeciw obu tych prowincyi, na wybrzeżu zachodniem, oddzielone wysokim łańcuchem górskim, który tu przecina środek półwyspu, leżą cztery prowincye: północna i południowa Cziun-cziön-do oraz północna i południowa Cziölla-do, tworzyły niegdyś niezależne państewko Päk-cżia (po chińsku Bo-dzi); stolica pierwszej Cziun-cżiu, stolica drugiej — Kon-cżiu, są zwykłemi mieścinami korejskiemi, otoczonemi murami. Główne miasto południowej Cziölla-do — Koan-cżiu oraz północnej — Czion-cżiu ledwie że zasługują na wzmiankę. Pierwsza prowincya posiada piękny handlowy port Mok-po (Mok-pho), druga ma również ożywiony port handlowy Kuń-sań; oba otwarte dla handlu zagranicznego.

Liczne wyspy, leżące wzdłuż brzegów Korei, należą nominalnie do przyległych im prowincyi, choć cie-

szą się względną autonomią i zaludnione są przez oryginalne, nieraz od lądowych odmienne szczepy, które zachowały wiele cech starodawnych. Zasługują na uwagę mieszkańcy wysp Lindsay (An-miń-do) w zatoce Shoal (36° 30' szer. geogr. i 126° 20' dł. wsch.), w prowincyi Cziun-cziŏn-do, których uważają za resztki aborygenów korejskich. Zwą oni siebie Czou-hou i mówią odrębnem narzeczem. Z wysp jedynie Quelpart (Cżie-cżiu) posiada oddzielny zarząd, rezydujący w mieście Cżie-cżiu (25,000 mieszkańców, 1,200 domów).

Przytaczam ciekawe bądź co bądź dla przyszłych badaczy rezultaty rządowego spisu [1]) z roku 1897 z zastrzeżeniem, że ogólna ilość ludności powinna być wszędzie zwiększona co najmniej dwa i pół razy i że ilość domów prawdopodobnie odpowiada 5 do 8 głów na każdy. Pani Bishop pisze, że w 70 wziętych na chybił trafił domach korejskich znalazła przeciętnie 8 dusz w każdym. Osobiście nie widziałem ani jednego domu, gdzieby mniej było, niż pięcioro osób, a w wielu domach było o wiele więcej, gdyż biedni krewni, szczególniej nie mające się gdzie podziać stare kobiety lub wdowy, zawsze mieszkają przy rodzinach.

---

[1]) „The Korean Repository". 1898 r., str. 29. Za ukrywanie przed spisem grozi prawo korejskie ciężkiemi karami; niezapisany jest jakby pozbawiony praw, nie może dostać paszportu, świadectwa, nie ma prawa dochodzić swych krzywd sądownie i zabójstwo jego uchodzi bezkarnie.

Uderzająca w spisie przewyżka płci męskiej pochodzi stąd, że kobiety starannie kryją się przed urzędnikami, że krewni obecność ich tają, co im łatwo

Podział administracyjny.

Nazwa prowincyi (do)	Ilość powiatów	Ilość ziemi ornej w kiöl.[1])	Mężczyzn	Kobiet	Razem	Ilość domów	Ilość dusz w domach
Seul (miasto) . .	„	-„ „	115.447	104.368	219.815	45.350	4+
Kiön-gyj-do . .	28	71.905	352.863	291.367	644.230	167.230	3+
Półc.Cziun-cziön-do	17	42.274	147.330	132.372	279.702	72.313	3+
Połud. „ „	37	87.917	215.058	171.869	386.927	114.793	3+
Półc. Cziolla-do .	36	106.263	189.780	150.342	340.122	97.815	3+
Połd. „ „ .	33	145.980	199.791	166.299	366.090	104.918	3+
Półc. Kiön-san-do	41	118.739	306.854	242.959	549.813	149.592	3+
Połd. „ „	30	93.329	261.499	199.533	461.032	126.972	3+
Choan-hä-do . .	24	87.476	184.456	151.059	335.515	93.550	3+
Połud. Phiön-ań-do	24	62.736	198.331	168.910	367.241	96.406	3+
Północ. „ „	21	40.120	198.987	158.205	357.192	86.888	4+
Kan-uöń-do . . .	26	20.756	142.203	111.897	254.100	75.853	3+
Połd. Cham-giön-do	14	56.742	208.068	177.384	385.452	59.074	6+
Północ. „ „	10	43.122	148.900	101.897	250.797	41.187	6+
Razem	340	977.351	2.869.767	2.328.481	5.198.028	1.332.501	3+

[1]) Kiöl jest oryginalną ale nieścisłą miarą polową; dzieli się ona na 100 pu; jedno pu ma 1000 siök, jeden siök ma 10.000

przychodzi, gdyż nie lękają się, iżby ktoś ośmielił się zwyczaj złamać i wszedł wykaz ich sprawdzać na żeńską połowę domu, co też bardzo jest na rękę przebiegłym „ačžŏn".

---

pha. Pha jest obszarem pola, zdolnym wykarmić garść źbeł ryżowych, siŏk daje snop ryżu, pu — ładunek ryżu i słomy, który w stanie unieść człowiek (120 — 140 funt.). Statut Tačžiŏn-thon-phiŏn ustanawia sześć klas kiŏl podatkowych, zależnych od urodzajności gleby: I klasa = 5.654,4 sąż. kwad., II klasa = 6.651,3 sąż. kwadr., III klasa — 8.064,9 sąż. kwadr., IV klasa = 9.267,2 sąż. kwadr., V klasa = 14.096 sąż. kwadr., VI klasa = 22.617,6 sąż. kwadr.

XVIII.

Władanie ziemią, przemysł i handel.

W Korei, podobnie jak w innych państwach Wschodnich, ziemia uważana jest za własność cesarza. W rzeczywistości jednak pozostaje we władaniu prywatnem. Każdy Korejczyk może posiąść ziemię w trojaki sposób: przez kupno od poprzedniego właściciela, drogą dziedziczenia, wreszcie przez zajęcie i uprawę gruntów wolnych, dziewiczych, gdzie niema ani mogił, ani budynków. Każdy, kto władał ziemią bezspornie lat 5, staje się jej prawym właścicielem; na brzegu morza prawo wymaga 10-letniej dawności. Pierwsze trzy lata po zajęciu gruntów nieuprawnych rolnik wolny jest od wszelkich podatków, płaci je dopiero z czwartego żniwa. Wówczas wciągają jego dział do ksiąg podatkowych pod osobny numer, gdzie szczegółowo wymienione są pomiary, charakter gleby i jej położenie, ale niema imienia właściciela. Przy sprzedaży spisywano umowę, do której zwykle dołączano poprzednie umowy, jeżeli grunta zmieniały już właścicieli. Żadnej rządowe



Garncarz-przekupień (tho-gi-czlang-sa).

właścicieli nie prowadzono do 1895 r., kiedy ogłoszono nowe prawo, nakazujące miejscowej władzy ułożenie odpowiednich spisów i notowanie w nich wszelkich zmian. Własność drobna w Korei przeważa; nawet więksi właściciele nie uprawiają ziemi sami, lecz oddają ją w dzierżawę za nieznaczny czynsz lub połowę zbioru w razie, jeżeli prócz ziemi dostarczają chłopu nasion [1]).

Wskutek systematycznego fałszowania wykazów urzędowych przez biurokratów miejscowych, niepodobna prawie określić przeciętnych rozmiarów własności ziemskiej. W północnej Korei ma ona sięgać 5 prawie *kiöl* na rodzinę [2]), w południowej rzecz wątpliwa, aby wynosiła połowę tej ilości. Wartość gospodarstwa, według autora artykułu „On jest rolnikiem“, waha się od 500 do [3]) 4,000 dolarów (korejskich). M. Pogio [4]) uważa, iż w wielu miejscowościach obszar pojedyńczej, chłopskiej własności nie przewyższa 2 hektarów. Określić dochód przeciętnego wieśniaka korejskiego jeszcze trudniej. Wiemy tylko, że płaci on w bogatych prowincyach południowych z jednego *kiöl* od 3 do 6 dolarów [5]) podatku, a w północnych, biednych od 0,40 dol. do 3; prócz tego pobierane jest *podymne* (z każdego opalane-

---

[1]) J. B. Bishop, ibid., str. 78. Na kiöl pierwszej klasy wysiewają Korejczycy $458^1/_2$ funa *ryżu*.

[2]) „Opis Korei“, cz. II, str. 119.

[3]) Korean Repository, 1898, str. 234.

[4]) „Korea“, tłomaczenie niemieckie, str. 64.

[5]) *dolar* korejski = japońskiemu *jenowi, jen* = 98 kop.

go domu — 0,60 dol.), akcyza z tytoniu, z żeń-szenia, z sitowia używanego na maty, z jadalnych porostów morskich, z soli, osełek, z ryby, z mięsa, z drzewa i t. d. oraz 200 phun (40 kop.) z każdego kiöl na utrzymanie miejscowych urzędników. Są to pobory bezpośrednie i prawne, w istocie jednak płaci chłop korejski o wiele więcej, płaci tyle, ile z niego mogą urzędnicy wydusić...

Ważną rolę w gospodarstwie ludowem odgrywa po dziś dzień w Korei drobny przemysł domowy, dostarczający wieśniakowi tamtejszemu wszystkich rzeczy potrzebnych. Fabryk do ostatnich czasów w Korei nie było. Nietylko wyroby drewniane i skórnicze, napoje spirytusowe, farby oraz wszelkiego rodzaju tkaniny wyrabiali chłopi dla siebie i na sprzedaż po wsiach, lecz nawet odlewy metalowe, papier, przedmioty garncarskie i porcełanowe są dziełem drobnych rzemieślników, napół na ziemi osiadłych.

Papier odgrywa na Wschodzie bardzo ważną rolę w gospodarstwie domowem. Wyrabiają zeń najrozmaitsze przedmioty, poczynając od wachlarzy, kończąc na parasolach, płaszczach deszczowych, spódnicach kobiecych, kufrach i... posadzkach. Papier cienki, ale mocny, zastępuje szkło w oknach, skręcony służy jako szpagat lub sznury, a mocne i grube gatunki jego używane są na worki i płachty. Papier korejski uważany jest za najlepszy w tym zakątku świata i ceni się wysoko nawet w Japonii i Chinach. Właściwie jest to tkanina specyalnie przyrządzona, składająca się z długich i moc-

nych włókien roślinnych sklejonych w pewien sposób; niektóre gatunki są tak wytrwałe, że można na nich, jak na kobiercach, przenosić leżących albo siedzących ludzi. Najlepsze gatunki papieru wyrabiane są z kory morwowej i z drzewa papierowego (brussonetia papyrifere). Z młodych wici tych roślin, wydłużonych za pomocą szczególnej hodowli, zdarta jest przez wyparzenie kora i następnie zamieniona w ciasto wskutek długiego przemywania i tłuczenia. Do niego dodają soku klejkiego roślin z rodziny Actinidia colomixta lub proszku rośliny „czuań-guń" (levisticum) i wylewają do form bambusowych. Grubsze gatunki wyrabiane są przez sklejanie kilku arkuszy, następnie zbijanie ich gładko drewnianymi wałkami na wzór wojłoku. Papier nieprzemakalny skleja się sokiem paprociowym i nasyca oliwą z nasion pachnotki (perilla) lub sokiem „kaki". Nieraz miałem możność ocenić w drodze wyborne przymioty tego brunatno-żółtego papieru, używanego na nieprzemakalne pokrowce oraz płaszcze deszczowe. Przewyższa on o wiele naszą ceratę i gutaperkę, gdyż nie ustępując im w mocy, posiada obok tego przyjemną miękkość i przewiewność [1]. Posadzki papierowe należą do przedmiotów zbytku, ale u średnio zamożnych nawet chłopów podłogi są nieraz wyklejone grubym i moc-

---

[1]) Japończycy używają podobnego papieru, nasyconego sokiem „kaki", do owijania konserw; świeże masło, mięso i ryba, przesyłane w koszach nasyconych sokiem „kaki", nawet w gorąco trudniej ulegają zepsuciu.

nym, jak pergamin, papierem, wybornie zmywającym się i bardzo miłym w dotknięciu. Istnieją w miastach i klasztorach buddyjskich małe papiernie, ale większość papieru, szczególniej dla własnego użytku, wyrabiają chłopi sposobami domowymi.

Najwięcej stosunkowo wyspecyalizowało się korejskie giserstwo i garncarstwo. Korejczycy posiadają wyborne gatunki rudy żelaznej i miedzianej. Dzięki temu ich wyroby żelazne cieszą się zasłużoną zupełnie sławą; szczególniej są cenione, nawet przez Chińczyków i pogranicznych Rosjan, ich kotły z lanego żelaza. Rudę pławią w niewielkich piecach 1½ metra wysokości, zaopatrzonych w miech. Z miedzi wyrabiają rondle, naczynia kuchenne i pieniądze. Gdym w Seulu oglądał sklepy z rozmaitymi wyrobami, pokazywano mi, jako wyrób specyalnie korejski, żelazne szkatułki, ozdobione płasko rzeźbionym deseniem. Były brzydkie, niezgrabne, ale żądano za nie bajecznych pieniędzy.

Srebrnictwo i złotnictwo wcale nie istnieje w Korei, choć mają niezłe gatunki srebronośnych rud i wielką obfitość złota. Rozsypane ono jest po całym półwyspie, ale słyną przeważnie kopalnie północne. Wszystkiego otwarto ich w Korei zaledwie 169; płuczą złoto Korejczycy w bardzo pierwotny sposób i wyrabiają jedynie bogatsze pokłady oraz bliższe powierzchni ziemi. Złoto całkowicie uchodzi za granicę do Chin i Japonii, wywóz jego wciąż wzrasta. W ciągu trzech lat (1890—92) w czasie największego zastoju w tej gałęzi wywieziono złota na sumę 2,298,918 dol.; w ostatniem trzechleciu

(1900—1902) wywieziono za 13,690,507 dol., z tej ilości do Chin za 764,625 dol., do Japonii za 12,926,881 dol. Ilość złota wywiezionego do Japonii, niegdyś równająca się wywozowi do Chin, przewyższyła go obecnie prawie szesnaście razy. Ogromny skok w produkcyi złota należy przypisać towarzystwom amerykańskim i japońskim, które zaczęły stosować w tym przemyśle spółczesne sposoby górnicze. Ceny złota korejskiego wahały się około 2 dol. za gram, zależnie od roku i miejscowości, skąd metal pochodził. Chińczycy oddawali pierwszeństwo złotu z prowincyi Cham-giön-do.

Kopanie złota było niegdyś surowo pod karą śmierci wzbronione w całem państwie i prowadzono je potajemnie; od 1894 roku wolno go poszukiwać każdemu za opłatą 2,6 gram złota miesięcznie od robotnika (bez względu na ilość dobytego). Ponieważ jednak wszelkie stosunki z urzędnikami prowadzą zawsze do licznych udręczeń i nieustannego wyzysku, wolą więc chłopi korejscy po dziś dzień obchodzić prawo i kopać złoto ukradkiem.

Garncarstwo i wyrób porcelany stały niegdyś bardzo wysoko w Korei i były wzorem i źródłem słynnych po dziś dzień wyrobów japońskich. Mieli je zaszczepić w państwie „Wschodzącego Słońca“ emigranci korejscy w początkach I-go wieku po Nar. Chr. Śliczne okazy starożytnych wyrobów należą do niezmiernej rzadkości i odnajdują się jedynie w dawnych grobowcach. Te, które widziałem, pokryte były bladą, zielonawo albo niebieskawo-szarą polewą bez wzorów lub z bladym,

dyskretnym rysunkiem. Powiadają, że słynna porcelana saska wzorowała się w swoim czasie na naczyniach korejskich, przywiezionych do Europy, jako japońskie. Obecnie porcelana korejska należy do najgorszej i najbrzydszej na Wschodzie. Garncarstwo stoi równie nizko. Garncarze wędrują od wsi do wsi i, znalazłszy odpowiednią glinę, zakładają warsztat, wykopują dół, w którym umieszczają bardzo pierwotne koło garncarskie, obracane nogą przez siedzącego na brzegu dołu majstra. Obok stawiają równie pierwotny piec do wypalania naczyń i skromny szałas dla siebie. Fabryka rychło jest gotowa i działa, dopóki nie nasyci potrzeb okolicznych, poczem rzemieślnicy wędrują dalej.

W podobny sposób dzieje się i w innych rzemiosłach;—stolarze, garbarze, bednarze, sitarze często noszą na plecach ładunki gotowych wyrobów. Zawijają do wsi, starając się trafić na jarmark, lub na żądanie ludności zatrzymują się gdziekolwiek czas dłuższy. Prócz tego w każdej większej osadzie są znane powszechnie rodziny wieśniacze, u których rzemiosła i potrzebne do nich narzędzia przechodziły dziedzicznie z ojca na syna w szeregu pokoleń, i do których zwykli zwracać się z zamówieniami sąsiedzi w braku czasu lub umiejętności.

Nad morzem widziałem jeszcze jeden przemysł włościański, pomocniczy, mianowicie warzenie soli. Na nizkiem wybrzeżu, zalewanem przez przypływ, urządzone są wielkie płaskości, otoczone groblami. Wypełniają je cienką warstwą wody, która poczęści paruje pod słoń-

cem, poczęści wsiąka w ziemię. Zbogacony w ten sposób w sól grunt zostaje zlekka spulchniony przez bronowanie wołami i zalany powtórnie. Powtarza się to dopóty, aż szlam stanie się szarawo-biały, naówczas zbierają go i na warstwie słomy oraz chrustu (jak na sieci) płuczą strumieniem wody morskiej. Zebraną w ten sposób w wielkie doły solankę czerpią kubłami i odparowywują w płaskich naczyniach żelaznych nad ogniem. Sól korejska jest zła, czarna i gorzka, o wiele gorsza od otrzymywanej w podobny sposób soli japońskiej.

Rozumie się, że i ten nędzny i ciężki zarobek jest równie suto opodatkowany, jak inne, mianowicie 4 worki soli z kotła rocznie [1]).

Przemysł leśny nie istnieje z braku lasów; tam zaś, gdzie one są, zostały albo sprzedane przez rząd cudzoziemcom, albo nie mogą być wyzyskiwane należycie przez mieszkańców z powodu złej komunikacyi i wielkiej ilości tygrysów. Dlatego to, słabo rozwinięty w północnej Korei, spław drzewa budulcowego wcale nie jest obłożony daniną, natomiast za zbieranie chróstu na opał oraz wypalanie lichych węgli opłacają w całym kraju stały podatek.

Prócz złota, srebra, miedzi i żelaza posiada Korea dużo cennych kruszców i minerałów, których ilość nie została dotychczas jednak ani należycie zbadana, ani określona. Przeszkadzały temu zgodnie rząd, urzędnicy

---

[1]) Worek=15 tou, tou=26 litrom (kwartom). Worek (miara) zwie się „kok", japońskie „koku".

i lud w obawie przed najściem chciwych i łupieskich cudzoziemców. Wiadomo mimo to, że prócz 169 kopalń złota jest w Korei 20 żył srebronośnego błyszczu ołowianego, 40 kopalń żelaza, 24 pokłady miedzi, 3 kopalnie cyny, 2 kopalnie merkuryuszu, 3 kopalnie manganu, dużo ładnego marmuru, wapna zdatnego na cement, 19 kopalń węgla kamiennego oraz historyczne świadectwo chińskich kronik, że była w Korei nafta, płyn „szi-ju", używany w medycynie oraz do oświetlania i fabrykacyi czarnej farby.

Zanim jednak Korea zacznie z tych skarbów należycie korzystać, jedynem jej bogactwem pozostaną wytwory rolnicze: ryż, bób, groch, żeń-szeń, proso oraz inne zboża i płody. Hodowla ich i handel niemi zostaną na długo główną osią gospodarstwa narodowego.

Powierzchnia Korei, podzielonej na nieskończoną ilość zamkniętych górami dolin, bardzo sprzyjała utrwaleniu się w niej gospodarstwa naturalnego na modłę chińską, z przewagą drobnej własności ziemskiej i przemysłu domowego. Obrzydliwe drogi, częste i niespodziane wylewy rzeczułek górskich, pasy pustych łańcuchów skalistych zamieszkanych przez tygrysy i opryszków, wreszcie ucisk i chciwość urzędników zmuszały każdą dolinę, każdą wioskę nieledwie dążyć do zadowolenia wszystkich swych potrzeb własnemi siłami, do ukrywania, o ile się da, swej zamożności i umiejętności. Handel rozwinął się cokolwiek jedynie na wybrzeżach, w dolinach nielicznych, spławnych rzek oraz w pobliżu stolicy i większych miast, przedstawiających

rynki zbytu dla przyległych okolic. Po zatem reszta kraju zadowalała się towarami, dostarczanymi jej przez handlarzy wędrownych (pu-sań) oraz miejscowymi jarmarkami, na których wymieniała z sąsiadami zbywające produkta na przedmioty potrzebne. Obieg pieniędzy był nadzwyczaj słaby i utrudniony ich niedogodną formą. Instytucyi kredytowych, weksli, przekazów, wierzytelności nie znano w Korei do ostatnich czasów i po dziś dzień nie znają w głębi kraju.

Pierwsze banki w Korei założyli Japończycy, następnie w 1897 roku otworzył w Czemulpo swą filię „Hong-kong and Shanghai Bankig Corporation", potem „Bank rosyjsko-korejski", który potrwał zaledwie trzy miesiące, i dwa banki korejskie „Cżion-siön" i „Chan-siön", które wydawały pożyczki na zastaw towarów po 12—24% *) rocznie. Banki te założone przy współudziale doradcy ministeryalnego K. Aleksiejewa, podtrzymywane przez rząd i wpływy wrogie Japończykom oraz innym „cudzoziemcom", były raczej iustytucyam politycznemi niż finansowemi i mocno zadłużone u skarbu wlokły nędzny, nieciekawy żywot. Gdym był w Seulu pokazywano mi placyk, na którym miał niby stanąć przyszły „Bank narodowy", ale nic tam jeszcze nie

---

*) Banki japońskie pobierają od drobnych handlarzy od 10 do 18%, wogóle stopa procentowa na Wschodzie jest dość wysoka; japońskie banki starają się wzorować na angielskich; za przechowanie towarów przybyłych z Japonii banki pobierają 30% miesięcznie.

było prócz kupy kamieni. Przypuszczam, że suma przeznaczona na jego budowę została dawno wyasygnowana, ale... rzecz wątpliwa, aby mógł powstać bez gruntownej zmiany stosunków państwowych.

Kredyt tubylczy odpowiada zupełnie całokształtowi życia gospodarczego w Korei, jest więc przedewszystkiem drobnym i miejscowym. Wszędzie istnieją liczne towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowe (kie). Pewna ilość osób składa razem pieniądze, które wypożycza sąsiadom na 10 miesięcy, ze spłatą w miesiąc $^1/_{10}$ części długu z doliczeniem należnych procentów. Stopa procentowa ogromnie wysoka; dla najpewniejszych dłużników sięga 20%, zwykle zaś przenosi 50% [1]) i dochodzi nawet 100%. Chrześcijanie, którzy postanowili pod wpływem misyonarzy brać tylko 20%, wywołują powszechne zdziwienie, gdyż według krajowców „darmo dają pieniądze" [2]). Pieniądze w Korei, skoro są potrzebne, są *bardzo* potrzebne, ale potrzeby takie wypadają stosunkowo rzadko. Wieśniacy do niedawna wybornie obchodzili się bez nich i zaledwie ostatnimi czasy z zamianą wypłaty podatków produktami na pieniądze zwiększył się ogólny obieg monety.

Handel w Korei był zawsze zamienny, moneta grała rolę dodatku, ułatwiającego zrównoważenie rozmaitych wartości oraz narzędzi wymiany dla ilości ułamkowych lub bardzo drobnych, doskonale zastosowanych

---

[1]) Korean Repository, 1895, p. 47.

[2]) M. A. Pogio: „Korea", tłomaczenie niemieckie, str. 233.

do małego rynku handlowego i jego potrzeb; była towarem zawsze cennym, gdyż łatwo dającym się przerobić w przedmioty użyteczne (naczynia mosiężne), miała drobny podział ($^1/_5$ kop.) i wielką stosunkowo wagę (712 gramów za 1 rubla). Srebrne i złote sztabki były w Korei w znacznie mniejszem użyciu, niż w Chinach i Japonii. Rząd przy swych zakupach i wypłatach posiłkował się głównie ryżem, perkalem i papierem, którymi też pobierał podatki.

Zupełny brak urządzeń kredytowych nie dowodzi bynajmniej umysłowej niższości Korejczyków: poprostu nie były im one potrzebne; owszem, gdy zachodziła istotna konieczność, zdobywali się na bardzo sprytne pomysły. Stowarzyszenie tutejszych oberżystów od bardzo dawna np. uprawia rodzaj przekazów, bardzo dogodnych dla podróżnych: zapłaciwszy na początku jednemu z nich pewną kwotę, można następnie za okazaniem kwitu korzystać całą drogę nietylko z noclegu, ale nawet brać gotówkę w zakresie wypłaconej sumy.

We wsiach i miasteczkach korejskich uderza podróżnika wielka ilość sklepików; są to zawsze, jak dwie krople wody do siebie podobne, liche kramy, gdzie można dostać wszystkiego: tytoniu, fajeczek, sandałów słomianych, trochę tanich tkanin, rozmaitych drobiazgów—szpilek, grzebyków, lusterek, gwoździ, prócz tego stoi tam w workach ryż, groch, bób, proso, wiszą strączki pieprzu tureckiego, leżą owoce — „kaki", gruszki, słodkie kasztany, orzechy i t. d. Można tam dostać świeżej i suszonej ryby, kapusty morskiej, soli,

farb, narzędzi żelaznych... Ale wszystko znajduje się w bardzo niedużej ilości; stąd pewnie pochodzi znaczna ilość sklepów, gdyż korejskie prawo handlowe nikomu nie zabrania zakładania takich małych, mieszanych kramików, gdy wielkie sklepy hurtowne wolno otwierać tylko członkom odpowiednich stowarzyszeń kupieckich. Stowarzyszenia te, podobne do europejskich cechów średniowiecznych, powstały prawdopodobnie w celu wzajemnej obrony członków od wyzysku i gwałtów, jakich dopuszczali się zawsze jań-banlowie oraz urzędnicy względem warstw podrzędniejszych. Cieszą się one po dziś dzień wielkim wpływem i powagą. Każda gałąź handlu zajmuje zwykle w większych miastach osobne targowisko, gdzie ma rzędy sklepowe, często nakryte wspólnym dachem, otoczone murem i zawierane na noc ciężkiemi wrotami. Kupcy najmują do współki obsługę i stróżów nocnych. Podział przedmiotów handlu jest przeprowadzony bardzo skrupulatnie; bławatnicy białych perkalów tworzą np. stowarzyszenie oddzielne od bławatników perkalów kolorowych, oddzielnie stowarzyszeni są kupcy jedwabiów gładkich, oddzielnie wzorzystych, oddzielnie hurtownicy muślinów, używanych na odzież letnią, oddzielnie kupcy gotowego ubrania, kupcy obuwia—oddzielnie od handlujących słomianymi sandałami itd. Kto chce połączyć kilka handlów, musi należeć do kilku towarzystw.

Na czele każdego stowarzyszenia stoi naczelnik obieralny „jön-uj“, który prowadzi jego interesy, usuwa wynikające trudności, załatwia sprawy z rządem,

zawiaduje kasą oraz sądzi osobiście drobniejsze zatargi między stowarzyszeniami, a ważniejsze rozbiera przy współudziale swych pomocników oraz urzędnika wyznaczonego przez departament przemysłu i handlu; dawniej, przed reformą wszystkim stowarzyszeniom handlowym półwyspu przewodniczył osobny, naznaczany przez rząd dygnitarz „pań-sa". Stowarzyszenia w czynnościach swych wzorują się na chińskich gildyach kupieckich, naznaczają ceny na przedmioty swego handlu, poniżej których sprzedawać nikomu nie wolno i układają się zbiorowo z innemi stowarzyszeniami. Główne zarządy większości stowarzyszeń mieszczą się w Seulu. Płacą one rządowi podatek za wszystkich swych członków, za to mają prawo konfiskowania towarów kupcom, którzy samowolnie otworzyli większe sklepy, nie zapisawszy się do odpowiedniego stowarzyszenia. Aby zostać członkiem, potrzeba uzyskać na to przyzwolenie naczelnika stowarzyszonych oraz zapłacić jednorazowo 20 dolarów wpisowego. Naczelnik wydaje naówczas patent na członka, pozwalający kupczyć określonym towarem w całym kraju. Bez takiego pozwolenia wolno handlować każdemu wszelkimi towarami we wszelkich ilościach jedynie w ciągu 10 dni w roku—od 25 grudnia do 5 stycznia (według kalendarza korejskiego), potem wolno otwierać tylko kramy, dla których towary trzeba nabywać u hurtowników stowarzyszonych; więc inni kupcy są właściwie ich drobnymi agentami.

Podobną rolę względem hurtowników odgrywają

i „pu-sań"—wędrowni przekupnie. Ale ci sami są zorganizowani w potężne i szeroko rozgałęzione stowarzyszenie (pu-sań-choe). Poznać ich łatwo po wielkich kapeluszach-cylindrach z cieniutkich, nieczernionych włókienek bambusu. Tworzą oni jakby odrębną kastę, mówiącą odrębnym językiem i rządzącą się własnemi prawami. W razie niezgody lub pokrzywdzenia nie zwracają się nigdy do sędziów krajowych, lecz sami sobie wymierzają sprawiedliwość. Za ciężkie przewinienia główny ich naczelnik ma nawet prawo ukarać swych podwładnych śmiercią. Słyną z uczciwości kupieckiej, wzorowej dyscypliny i wielkiej solidarności. Nikt nie śmie skrzywdzić „pu-sania", albo nie zapłacić mu długu, ponieważ wie, że to mu nie ujdzie bezkarnie. Jedynie dzięki temu mogą „pu-sanie" przenikać ze swymi towarami do najgłuchszych zakątków Korei przez miejscowości puste lub oblegane przez rabusiów. Są rośli, silni i zręczni. Zwykle chodzą parami lub małemi towarzystwami, zdążając z jarmarku na jarmak. Widziałem też wędrowne rodziny „pu-saniów". Na przodzie szedł zwykle mężczyzna ze skrzynią na plecach, za nim wlokła się kobieta, wiodąc dziecko za rękę lub niosąc je na plecach, prócz tego miała niezbędnie węzeł z rzeczami na głowie. Nie należy mieszać „*po*-saniów" (tragarzy) z „*pu*-saniami" (kramarzami). Nie mają oni z sobą nic wspólnego [1]). Pierwsi są to biedni wyrobnicy, niepo-

---

[1]) Twierdzenie W. Wilkinsona („The Corean Governement", str. 33), że tragarze i kramarze należą do jednego sto-

siadający zazwyczaj nic prócz lichych noszy drewnianych. Drudzy cieszą się stosunkowym dobrobytem i wielkim wpływem; urzędnicy miejscowi liczą się z nimi; ich naczelnik, „toban-su“, jest dygnitarzem i znaczną osobą w Seulu; rząd nieraz zwraca się do nich w potrzebie, gdy mu brak wojska, albo należy przygotować drogi dla podróży cesarskiej, dla przejazdu jakiego znakomitego cudzoziemca lub trzeba ująć jakiego ważnego przestępcę. „Pu-saniowie“ uchodzą za gorących patryotów, duszą i ciałem oddanych panującej dynastyi i nienawidzących cudzoziemców. Organizacya ich powstała prawdopodobnie bardzo dawno i musiała pozostawać w związku z rozpowszechnieniem w kraju bawełny i tkanin bawełnianych. Na uroczystościach, zebraniach, pochodach „pu-sanie“ zatykają za kapelusze, jako znak szczególny, kawałki białej waty. Jeżeli domysł ten ma słuszność, toby należało przypuszczać, że organizacya „pu-saniów“ szła z południa, z Cziolla — gniazda kupiectwa korejskiego, skąd rozpowszechniła się wraz z bawełną, wypierając zwolna skóry oraz tkaniny pokrzywne i konopne, co dzieje się i teraz w północnej Korei za pośrednictwem tych samych „pusaniów“.

Po dziś dzień więc cały handel wewnętrzny pozostaje w rękach hurtowników i przekupniów wędrownych. Są to organizacye tak silne i doskonałe, tak dobrze przy-

---

warzyszenia, jest bezwarunkowo mylnem; przeczyli stanowczo temu wszyscy pytani przeze mnie Korejczycy.

stosowane do warunków produkcyi miejscowej, komunikacyi i obyczajów, że ciężką walkę będzie miał z nimi do przebycia nowy handel europejski, wdzierający się do półwyspu przez zdobyte dlań w 1876 r. przez Japończyków porty otwarte. Ma on wprawdzie silny oręż w taniości, dobroci i wyborze swych towarów, ma popleczników w rodzących się potrzebach i reformach życia, lecz reformom, o ironio, stawia przeszkody dyplomacya *europejska* a taniość nie może zwalczyć braku gościńców i obrzydliwej, drogiej komunikacyi, która zwiększa ceny tak dalece, że stopa korejska (pół metra) szarego shirtingu, kosztująca w Genzanie 40 do 45 phun (8—9 kop.), sprzedaje się w Cham-hynie około 50 phun, w Puk-cziönie od 55 do 60, a w Kap-sanie (o 300 kilom. od Genzanu) kosztuje już 70 do 75 phun, t. j. wzrasta o 70% *). Z Genzanu do Seulu (500 „i"— 250 kilom.) zapłaciłem za każdego konia 70 jan, co wyniesie prawie 8 kop. za kilometr. Najmowałem konie wprawdzie w szczególnych warunkach, przed wojną, w czasie bardzo naprężonych stosunków, więc kosztowały drogo, lecz powiedziano mi, że cena najniższa jest zaledwie dwa razy mniejszą, że dość trudno dostać konia z przewodnikiem za 50 jan. Alftan podaje, że pud (16,6 kilogr.)—wiorsta (1 kilometr) kosztuje najmniej *kopiejkę*. J. B. Bishop wzmiankuje, że utrzymanie konia wynosiło w dni podróży 1 dolar z głowy i pół dol.

---

*) Ch. Cambell; Proceed. R. G. Soc. XIV, 1892 y. p. 147, cytowane według „Opis Korei", część II, str. 212.

Wyrób pałeczek do prania bielizny (tandymi-tang-maj).

w dni wypoczynku. Najniższe ceny wymienia Hesse-Wartegg — 1/5 albo 1/3 kop. od puda-wiorsty w razie, gdy konie były najęte nie dziennie, lecz dla dostawy określonego towaru na odległość określoną, przyczem połowa zapłaty uiszczała się z góry. Wyznaję, że nie słyszałem o tak nizkich frachtach w Korei i przypuszczam, że najprawdopodobniejszym jest podany przez Łubieńcowa—2 1/2 do 5 kop. od wiorsty i juki (83 kilogr.) *). Tragarze biorą o połowę mniej, ale poruszają się pięć razy wolniej. Przewóz towarów na wołach zabiera dwa, do trzech razy tyle czasu, co końmi.

Pomimo to towary zagraniczne oraz popyt na miejscowe produkty przesiąkają zwolna nawet w głąb kraju, wywołując ogromne zmiany w gospodarce miejscowej, otwierając nowe pola zarobku dla znękanego wieśniactwa, budząc umarłe w niem już nadzieje i potrzeby. I znowu, jako pionierzy i przewodnicy na tych nowych drogach, zjawiają się Japończycy, których korzyści handlowe szczęśliwie złączyła historya z duchowem i materyalnem odrodzeniem Korejczyków. Ogromnie są ciekawe sposoby, jakich użyli oni dla stworzenia rynku korejskiego i zawładnięcia nim.

Wiek XVII był wogóle na całym Wschodzie wie-

---

*) A. G. Łubieńcow „Chamgjönska i Phiön-ańska prowincye Korei". Zapiski Amur. Od C. R. Tow. Geograf. Część IV, str. 45 (r. 1897).

kiem zwycięstwa, despotyzmu i, co za tem idzie, posępnego zasklepienia się w własnych granicach. Nawet Japonia w owym czasie hołduje zasadzie: „nie chcę znać nikogo i nikomu nie pozwolę się poznać". Ale najbezwzględniej przeprowadziła ją Korea, słusznie zasługując na nazwę „Państwa Pustelnika". Stosunki z zwierzchniczemi Chinami i z zdobywczą Japonią sprowadzone zostały do krótkich i ograniczonych poselstw dorocznych z wymianą podarunków i towarów, dopełnianych przez towarzyszących poselstwom kupców. Pilnie strzeżeni i obezwładnieni najrozmaitszymi przepisami, kupcy korejscy byli raczej nadzorcami nad rządowym ładunkiem żeń-szenia, tkanin bawełnianych i papieru, wywożonych w owe czasy głównie do Chin. Musieli zdawać szczegółowe sprawozdanie urzędnikom z swych obrotów, zysków, nawet ze znajomości [1]). Stosunki z Japonią polegały na zamianie 33,000 sztuk tkaniny bawełnianej, 1,500 pikuli [2]) ryżu i 70 pikuli bobu; za to udzielny książę wyspy Cusima dostarczał 323 pikuli miedzi, 57 pikuli drzewa farbiarskiego, 34 pikuli pieprzu, 14 pikuli ałunu i 154 pikuli wosku. Japończycy mieli stałą faktoryę w Fuzanie, gdzie wolno im było raz lub dwa razy miesięcznie urządzać w ciągu kilku godzin jarmarki dla handlu z krajowcami [3]). Chińczycy mieli

---

[1]) Podobny charakter nosił w owe czasy handel zagraniczny i w Rosyi. Patrz „Poselstwo Ruskie", Kubala.

[2]) Pikul=60 kilogramów.

[3]) Pogio; ibid. 239.

prawo urządzać takie jarmarki w m. Wicżiu i Kiŏn-uŏń trzy razy do roku. Z czasem jednak, pod naciskiem wciąż rosnącej kontroli urzędniczej i te stosunki zmalały, prawie znikły lub zniepprawiły się, zamieniwszy w przemytnictwo. Kolonia japońska w Fuzanie bardzo podupadła, stała się letnią stacyą rybacką. W. Broughton w 1797 roku nie znalazł Japończyków w Fuzanie.

W Japonii jednak szybko dojrzewały reformy, które w połowie ubiegłego stulecia zakończyły się rewolucyą. W Korei tymczasem nic nie dojrzewało; przeciwnie, w 1844 r. pojawienie się tam misyonarzy europejskich wywołało obostrzenie prawideł dla przejścia granicy i pobytu cudzoziemców. W 1866 r. napad Francuzów na Koreę wywołał prawo, zabraniające pod karą śmierci handlu towarami europejskimi, które już zaczynały dostawać się na półwysep za pośrednictwem Chińczyków i Japończyków. Rybakom, którzy spotykali się na morzu z cudzoziemskimi statkami, również pod grozą śmierci wzbronione były wszelkie z przybyszami stosunki, nawet rozmowa. W 1875 r. statek japoński został powitany strzałami z wyspy Kan-hoa. Japończycy skorzystali z tego i postanowili uregulować ostatecznie swe stosunki z Koreą. Ale dopiero 26 lutego 1876 r. zdołali wymusić na rządzie korejskim przez wysłanie floty wojennej otwarcie kilku portów dla swego budzącego się przemysłu i handlu. Były to bardzo marne prawa i tyczyły się jedynie trzech portów (Fuzan, Czemulpo, Genzan) oraz przyległych im okolic w obrębie 5 kilome-

trów. Pobory, ucisk i zła wola urzędników miejscowych, zabraniających krajowcom pod rozmaitymi pozorami sprzedawać cokolwiek przybyszom, uniemożliwiały zupełnie zdrowy rozwój handlu, spychając go znowu do rzędu tolerowanej kontrabandy, opłacanej nieustannie łapówkami i dogodnej jedynie dla urzędników. „W miejscowościach rolniczych—mówi o tych czasach kronikarz rosyjski [1]) — zakazywano mieszkańcom, pod pretekstem głodu, sprzedaży ryżu i roślin strączkowych, tak że częstokroć plony (niezebrane) gniły na polu. W razie zaś ogólnego pozwolenia przyczepki miejscowych urzędników były tak liczne, że Korejczycy potajemnie dostarczali częściami swój towar do składów japońskich. W 1888 roku zakaz wywozu ogłoszony został nieprawnie na 28 dni przed terminem, gdy zaś zniesiono go na stanowcze żądanie posła japońskiego, gubernator prowincyi Cham-giŏn-do mimo to przetrzymał dwa miesiące wywóz ryżu z Genzanu. Kosztowało to rząd korejski 100,000 dol. odszkodowania, lecz urzędnicy dopięli swego, gdyż chodziło im o skupienie za bezcen zapasów, nagromadzonych u włościan i przekupniów krajowych, aby je potem z wielkim zyskiem odprzedać za granicę“ [2]).

„Wywóz również podlegał wciąż rozmaitym krępującym rozporządzeniom — mówi ten sam kronikarz ro-

---

[1]) „Opis Korei“, cz. II, str. 244.
[2]) „Opis Korei“, cz. II, str. 261.

syjski — oddano np. kilku kupcom korejskim monopol na wyłączny handel w portach otwartych, wskutek czego ceny towarów niezmiernie podskoczyły w górę. Urzędnicy nigdy nie zapominali o sobie i według Astona w Genzanie już po otwarciu go dla handlu japońskiego od 1 maja 1880 r. niżsi urzędnicy i tłomacze pobierali podatek od najmarniejszego kupna, co dawało im znaczne zyski“ [1]).

Nawet później, już w 1893 r., miejscowa władza w Czemulpo kazała stawać i wyładowywać się dżonkom korejskim, przybyłym z ryżem, bobem, skórami, o półtorej wiorsty od portu około wsi Mań-siök-tou i tylko stanowczy opór kupców zniósł ten rozkaz bezcelowy i uciążliwy dla wszystkich [2]). Wbrew traktatom towary zagraniczne muszą prócz cła opłacać się na licznych, prowincyonalnych rogatkach celnych wewnątrz kraju, co wynosi 300 phun (60 kop.) na sztukę perkalu [3]). Czasem jakiś urzędnik pomysłowy ustanawia samodzielnie taką rogatkę w podwładnem mu mieście. Plagą kupców są też maklerzy portowi, którzy pobierają znaczne procenty i bez których nie obchodzi się żadna sprzedaż. Prócz pośredników prywatnych, przyznanych jedynie przez obyczaj, rząd korejski naznaczył w 1890 r. maklerów rządowych, z których jeden za-

---

[1]) „Opis Korei“, cz. II, str. 244.

[2]) „Repport on the Trade of Corea for the year 1895“, str. 4—6, cytowane według „Opis Korei“.

[3]) Tamże.

mieszkiwał w Fuzanie, a drugi na wyspie Quelpart; pobierali oni od prywatnych pośredników bez względu na udział ich w kupnie $^{3}/_{5}$ ich zarobku, co odrazu zwiększyło komisowe o 30%. Takich spraw, ograniczeń, nadużyć możnaby przytoczyć niezliczone przykłady.

Poczynając od 1876 r., Japończycy musieli cały czas staczać zażarte walki z biurokracyą korejską; dobrze zrozumiany interes własny połączył ich ściśle i na długo z postępową partyą patryotów miejscowych. W rezultacie wywalczyli oni dla siebie cały szereg ulg i zmian ogólnych, korzystnych jednocześnie dla ludu korejskiego oraz innych państw, które zawarły traktaty handlowe w następującym porządku: Stany Zjednoczone (22 maja 1882 r.), Chiny (? września 1882 r.), Anglia i Niemcy (26 listop. 1883 r.), Włochy (26 czerwca 1884 r.), Rosya (7 lipca 1884 r.), Francya (4 lipca 1886 r.), nakoniec Austro-Węgry (23 czerwca 1892 r.). Traktaty różniły się jedynie w szczegółach, określały cło przywozowe zależnie od gatunku i wartości towarów w rozmiarze 5, $7^{1}/_{2}$, 10 i 20 procentów; a cło wywozowe naznaczały dla wszystkich przedmiotów w ilości 5% wartości. Złoto oraz rzeczy podróżnych wolne od cła. Przywóz opium i wywóz żeń-szenia (czerwonego) były stanowczo wzbronione. Opłata portowa miała wynosić 30 centów od tonny pojemności statku. Oprócz Fuzanu, Genzanu i Czemulpo otwarto cały szereg portów i miast, których liczba stopniowo dosięgła 12 [1])

---

[1]) Patrz wyżej rozdział: „Wybrzeża“.

miejscowości. Tam wolno cudzoziemcom kupować i dzierżawić ziemię w granicach pięciu kilometrów oraz wyjeżdzać bez pasportów na odległość 50 kilometrów, podróżować za pasportami wolno po całej Korei. Parowce oraz żaglowce cudzoziemskie mogły odwiedzać porty korejskie bez przeszkody w ilości nieograniczonej, a do innych portów zawijać, skoro były wynajęte przez kupców korejskich.

Japończycy umiejętnie skorzystali ze zdobytych ustępstw. Stosunek ich handlowy z Koreą określił się już od wieków; potrzebowali oni przedewszystkiem: ryżu, bobu, grochu, bawełny surowej, ryby i rybiego kompostu, kapusty morskiej, trepangów, skór bydlęcych i kości, wreszcie złota; mogli wzamian ofiarować Korejczykom fabrykaty z początku cudze, przeważnie angielskie, następnie swoje, w miarę rozwoju przemysłu własnego.

Lecz straszny, 300-letni ucisk urzędniczy zabił wszystko w Korei. Potrzeby większości ludu zeszły do zera, rolnicy produkowali tyle tylko, ile potrzeba im było na własny użytek i opłacenie podatków. Należało stworzyć te potrzeby, wyprzeć domowe wyroby przez towar tani i dobry, a jednocześnie rozszerzyć produkcyę rolną. Trudności potęgowały się wskutek braku komunikacyi odpowiednich dla szerszego handlu, obyczajów kupieckich, niezwykle słabego w kraju obiegu pieniężnego oraz z powodu zupełnego nieistnienia jakichkolwiek zapasów wśród ludu korejskiego. Aby rolnik mógł obsiać większe przestrzenie i wyprodukować nadmiar ryżu

lub innego zboża, potrzeba mu było dostarczyć przedewszystkiem nasion i środków na kupno lub dzierżawę ziemi. Trzeba było zorganizować kredyt, agentury, dostawy oraz zmienić system monetarny i podatkowy. Większość tych rzeczy została dokonana albo zapoczątkowana poważnie w niespełna lat 30.

Japonia może się nie obawiać czyjegokolwiek współzawodnictwa handlowego w Korei, mógł jej tam grozić jedynie oręż zdobywczy lub gwałt fizyczny. Ale byłoby to przedewszystkiem straszną klęską ekonomiczną dla samego półwyspu. Japonia z jej pięćsetmilionowym (jen [1]) obrotem zewnętrznym zaledwie nieznacznie odczuwały utratę 14 — 15-milionowego obrotu z Koreą, ale w Korei przerwa lub utrudnienie stosunków z Japonią nawet na krótko wywołałyby silne wstrząśnienie ekonomiczne i wstrzymały na długo zapoczątkowany jej rozwój.

Uważne zbadanie tablic statystycznych zagranicznego handlu Korei z ostatnich lat szesnastu przekonywa nas, że wywóz korejski wzrasta szybciej od dowozu i że za główny rynek służy Korei Japonia. W 1886 r. wywóz (504,225 dol.) przedstawiał 16% ogólnego obrotu (2,978,410 dol.); w 1902 dał on (8,460,340 dol.) 38% całego ruchu (22,283,650 dol.) [2]); największy wzrost przypadł na ryż i grochy oraz zboża, które wy-

---

[1]) Jen = dolar. korejskiemu=98 kop. (przed wojną).
[2]) Bez złota.

Wóz korejski (sure albo ccha).

łącznie idą do Japonii. W roku 1902 wartość ich (5,648,230 dol.) wynosiła 66% ogólnego wywozu (8,406;250 dol. [1]), ilość zaś podskoczyła z 3,325,260 kilogr. (1886 r.) do 99,643,572 kilogr. (1902 r.), to jest zwiększyła się prawie *trzydzieści* razy. Jęczmienia, pszenicy, prosa w 1886 r. nie było wcale na rynku korejskim; obecnie (1902 r.) sprzedają ich rocznie:

Ryżu	50,560,426	kilogr.
Grochu, bobu i wytłoków bob. . .	43,513,440	„
Pszenicy	5,700,533	„
Jęczmienia	143,840	„
Prosa	85,333	„

Prócz tego Korea wywozi do Japonii sporo ryby suszonej, solonej i świeżej, rybiego kompostu (na sumę 100—140 tysięcy dol.) oraz kapusty morskiej, trepangów, skór bydlęcych, łoju, kości itd. Żeń-szeń (biały i czerwony) wyłącznie prawie idzie do Chin. Do ważnych przedmiotów wywozu należy również złoto, którego zaregestrowano na komorach 1902 roku na sumę 5,064,106 dol., ale w istocie wywożą go z Korei o wiele więcej granicą lądową oraz mimo komór. Inne państwa nic prawie nie wywożą z Korei, z wyjątkiem Rosyi, która na potrzeby wojska zakupuje rocznie do 3,000 sztuk bydła wartości około 100,000 rb. oraz owsa za 8 do 12 tysięcy rb. Dowóz towarów z Rosyi, choć wzrasta powolnie, nie przekracza dotychczas 150,000

---

[1]) Bez złota.

rubli rocznie; ma on wyłącznie pograniczne, miejscowe znaczenie i żadnego wpływu na stosunki gospodarcze Korei dotąd nie wywiera.

Chociaż dowóz towarów zagranicznych stale przewyższa wywóz korejski na znaczną sumę, skoro jednak dodamy doń ilość wywożonego za granicę piasku złotego, to okaże się w ostatnich latach pewna zwyżka na korzyść Korei. Pokrywa więc Korea swe zakupy zewnętrzne zupełnie [1]).

Powtarzamy, że ilość wywożonego złota o wiele jest większa od przytoczonej, dzięki znanej powszechnie niechęci Korejczyków do wszelkich stosunków z urzędnikami; przewyżka złota pojawiła się dopiero w 1897 r., kiedy zaczęły pracować kopalnie amerykańskie i japońskie, nie lękające się regestracyi.

Rok	Przewyżka dowozu nad wywozem	Wartość notow. na komorach złota	Różnica
1892	2,154,746	852,751	—1,301,995
1893	2,182,039	918,659	—1,263,380
1894	3,520,348	934,075	—2,586,273
1895	5,606,405	1,352,929	—4,253,476
1896	1,802,624	1,390,412	— 412,212
1897	1,093,419	2,034,079	+ 940,660
1901	4,706,460	4,993,351	+ 286,891
1902	5,417,260	5,046,106	— 353,154

[1]) Cyfry do 1897 r. wzięte z „Opis Korei", cz. III, str. 179 i 185; lata 1901—2 patrz Hamilton, s. 305.

Z początku Japonia prowadziła handel towarami europejskimi, przeważnie angielskimi, ale w miarę jak zapoznawała się z rynkiem, zaczęła wyrabiać własne, odpowiednie dlań przedmioty i w 1896 r. agent han. francuski w swem sprawozdaniu daje im pierwsze miejsce na rynku korejskim [1]). Porty Fuzan i Genzan są zasilane wyłącznie prawie przez Japończyków, a Czemulpo jest portem najbardziej europejskim. Tam 1891 roku stosunek towarów układał się w następującym porządku [2]):

Towary angielskie . .	54%
„ japońskie . .	24 „
„ chińskie . . .	13 „
„ niemieckie . .	6 „
„ amerykańskie .	2 „
„ rosyjsk. i franc.	1 „

Z rodzaju towarów [3]) naczelne miejsce otrzymują tkaniny (angielskie i amerykańskie za 2,077,480 dol., japońskie za 1,457,150 dol.), następnie za poważną sumę 989,330 dol. sprzedaje Japonia do Korei nici (bawełnianych), z których Korejczycy tkają swe perkale domowe. Dalej również wyłącznie z Japonii idą tkaniny z pokrzywy (grass-cloth) (573,100 dol.); tkaniny jedwabne (864,440 dol.) poczęści z Chin, poczęści z Japonii; nafta (779,880 dol.) z Ameryki; worki i sznu-

---

[1]) „Moniteur officiel du commerce", 31 Mars, 1898, cytow. według „Opis Korei".

[2]) „Decennial Reports" App. II, str. XXXV.

[3]) Przytaczam cyfry za r. 1902.

ry (314,080 d.) z Japonii; papierosy i cygara (202,730 dol.) z Japonii; bawełna surowa oraz wata (161,460 d.) z Chin i Japonii; saké i samszu (wódki) (159,240 d.) z Chin i Japonii; cukier (150,390 d.) z Honkongu i Formozy; zapałki (181,100 dol.) z Japonii; farby (83,610 d.) z Japonii. Reszta towarów, jako to: galanterya (1,886,420 d.), metale (592,660 dol.), maszyny (146,080 d.), materyały kolejowe (461,120 d.), przybory górnicze (466,590 dol.), konserwy i suchary (191,540 dol.), mąka (74,330 d.), nasiona (93,370 d.), papier (76,540 d.), sól (79,930 d.), broń i amunicya (95,560 d.) oraz inne pomniejsze pochodzą z rozmaitych miejscowości.

Ciekawą, dość poważną rubrykę zajmuje ryż z Saigonu 4,578,986 kilogr. za 406,750 dol. — Z powodu tego ryżu dał mi na Jang-tse-kiangu następujące objaśnienie jeden z dyrektorów tamtejszego, japońskiego towarzystwa żeglugi parowej: [1])

— Widzi pan, Korejczycy posiadają ziarno od naszego nie gorsze, ale go nie umieją obrabiać, uprawę mają gorszą i sprzęt mniej staranny. Otóż my wyprzedajemy własne, wyborowe ziarno do Europy i Amery-

---

[1]) O prawdzie tej wskazówki przekonałem się następnie z objaśnienia p. A. Hamiltona na str. 306, dołączonego do wykazu importu korejskiego za lata 1901 i 1902, skąd wziąłem przytoczone powyżej cyfry. W wykazie tym nie znalazłem dwóch przedmiotów poważnego handlu: węgla i koksu (około 100,000 dol.) oraz porcelany i fajansu (około 50,000 dol.); oba towary idą z Japonii.

ki, a sprowadzamy natomiast gorszy ryż korejski, zaś Korejczycy sprowadzają dla siebie jeszcze gorszy i jeszcze tańszy ryż z Chin i Siamu! — To samo dzieje się z maszynami, tkaninami, bronią... My dużo jeszcze tych rzeczy sprowadzamy dla siebie z Europy i Ameryki, chociaż sporo już wyrabiamy na sprzedaż do Chin i Korei... Nasze wyroby są o wiele gorsze, ale i o wiele tańsze... Korejczycy są ubodzy, ceny nasze są dla nich dostępniejsze... My zaś uczymy się w ten sposób, gdyż aby robić rzeczy doskonałe, potrzeba zacząć od wyrobów mniej doskonałych"...

Wiele ciekawych rzeczy opowiedział mi o Korei, Formozie i Japonii ten miły i ukształcony Japończyk w czasie naszej wspólnej podróży do Hankau. O trafności jego poglądów oraz prawdziwości podanych faktów wiele razy przekonałem się następnie przy bliższem, książkowem zbadaniu sprawy, wielokrotnie też korzystałem z jego wskazówek.

Ale są wyroby, w których Japończycy odrazu dorównali Europejczykom, ich farby anilinowe według zdania generalnego konsula angielskiego bynajmniej nie ustępują *berlińskim* [1]).

Rozpatrzymy teraz sposoby, jakich użyli Japończycy dla stworzenia ożywionych stosunków łączących ich

---

[1]) „Opis Korei", część II, str. 297. Okrzyczana falsyfikacya japońska towarów europejskich wcale nie jest ani gorsza, ani większa od falsyfikacyi dokonywanych w samej Europie, naprz. w Niemczech.

obecnie z Koreą. W stowarzyszeniach kupców korejskich, w urządzeniach społecznych, w powszechnej biedzie i niewoli ludu, w ślepym i niedołężnym rządzie, wreszcie w samej przyrodzie kraju mieli nieprzezwyciężone napozór przeszkody. Ale nic ich to nie zraziło, gdyż widzieli przezornie w przyszłości wielkie dla siebie zyski oraz rozumieli, że każde inne państwo, które utrwali się na tym półwyspie, zapanuje nad ościennemi morzami i nad ich ojczyzną.

Urządzili przedewszystkiem wyborną komunikacyę morską między swoją ziemią i otwartemi portami Korei. Czyściuchne, wygodne, eleganckie parowce trzech towarzystw japońskich „Nippon Jusen Kajsza", „Osaka Shosen Kajsza" i „Hori Company" z regularnością zegarka odwiedzały porty. Ponieważ były najtańsze, miały nalepszą tu na Wschodzie obsługę i doskonałą kuchnię europejską, wszyscy przejezdni, nawet większość Rosyan korzystała wyłącznie z ich usług. Parowce innych narodowości odwiedzały Koreę dorywczo, a Towarzystwo Wschodniej Drogi Żel. Chińskiej miało taryfy droższe od japońskich i było wiecznie w takiej niezgodzie z własnym rozkładem, że statki chodziły zawsze prawie puste i bez ładunku. Jednocześnie urządzili Japończycy wszędzie, gdzie tylko uzyskali na to pozwolenie pocztę i telegraf, których sprawność powszechnie jest znana i nie ustępuje w sprawności i dyskrecyi nawet poczcie angielskiej. Następnie założyli wszędzie, gdzie się tylko dało, agentury przewozowe, filie banków, towarzystwa ubezpieczeniowe (na towary),

składy, przystanie, hotele. Nie omieszkały z tego korzystać i inne ludy [1]). W rezultacie w 1886 roku odwiedziło Koreę z ogólnej liczby 557 statków o pojemności 161,901 ton, było 153 parowców i 353 żaglowców i dżonek japońskich (72%), w 1902 roku z 5,462 statków o ogólnej pojemności 1,241,434 tonów do Japonii należało 1,516 żaglowców (61,123 ton. pojem.) i 1905 parowców (878,193 ton. pojem.) (62%).

Dla zogniskowania i popierania handlu japońskiego w Korei zostało założone z współudziałem japońskiego ministeryum rolnictwa i zapomogą rządową 10,000 dol. rocznie „Towarzystwo poznania warunków i opieki nad japońsko-korejskim handlem“, które ma główne siedlisko w Czemulpo a oddziały w Seulu, Fuzanie i Genzanie. Składka miesięczna członka wynosi 20 sen (kop.), towarzystwo ma już 500 z górą członków i oddział własny w Osaka. Podzieliło ono całą Koreę na

---

[1]) Słyszałem wprawdzie skargi, że towarzystwa i banki japońskie odmawiają ubezpieczeń i pożyczek na towary cudzoziemskie, że każą płacić za nie wyższe frachty, że nie biorą tych towarów na składy, że parowce japońskie w razie nagromadzenia ładunków oddają pierwszeństwo Japończykom i często wprost nie biorą cudzoziemskich poruczeń. Nie wiem o ile skargi te są uzasadnione; co do mnie, ilekroć miałem do czynienia z powyższemi urządzeniami, zachowywały się one zawsze niezmiernie poprawnie. Niemile uderzyła mię tylko ta okoliczność, że Japończycy nie dopuszczają wcale do swoich statków samodzielnych korejskich i chińskich pracowników oraz nie pozwalają korzystać im ze swoich przystani.

16 okręgów, agenci każdego z nich poddani są władzy osobnych inspektorów, którzy dostarczają im wskazówek i środków. Towarzystwa przewozowe obowiązane są okazywać im pomoc. Każdy kupiec japoński otrzymuje od towarzystwa bezpłatnie wszelkie informacye i opiekę w razie potrzeby. Okręgi połączone są z sobą własną pocztą i mają możność przesyłania wszędzie przekazów pieniężnych. Nawet nieprzyjaciele Japończyków przyznają, że organizacya ta działa wybornie [1]). Dzięki jej fabrykanci japońscy otrzymują ścisłe i dokładne wiadomości o charakterze komunikacyi, kształtach i gatunku używanych towarów, cenach, gwarancyach wierzytelności itd. Za pośrednictwem tego towarzystwa wysyłają oni do najrozmaitszych miejscowości swe próbki a następnie odbierają zamówienia. Dlatego towary japońskie zwalczają z łatwością wszelką konkurencyę, gdyż są zawsze dobrze i odpowiednio dla przewozu opakowane, mają wymiary zastosowane do potrzeb ludności oraz kształt i barwy, zadowalające smak krajowy. Szerokość tkanin zastosowana została do kroju ubrania, wielkość całych sztuk do wielkości pojedyńczego kupna, robota tkacka i własność nitki — do sposobu prania krajowego [2]).

Japońscy agenci zbożowi z dawien dawna wyjeżdżają co wiosna w głąb kraju i rozdają miejscowym rolnikom pożyczki pod zasiew z warunkiem, aby poło-

---

[1]) „Opis Korei", część II, str. 265.

[2]) Patrz „Opis Korei", część II, str. 286, 288, 290.

wa zbioru została im sprzedana. W jesieni ci sami agenci często werbowani z pośród miejscowych kupców korejskich objeżdżają powierzone sobie okolice i robią zakupy. „Ponieważ zaliczki, wydawane przez Japończyków, są zawsze niższe od wartości sprzedanego ziarna, więc w latach urodzaju cieszą się oni wielkimi zyskami, a w nieurodzaj tracą stosunkowo niewiele. Korejczycy w obu wypadkach są też zadowoleni, gdyż mają możność, przy nieznacznem powiększeniu zachodu, zarobić trochę grosza" — mówi o tych stosunkach surowy sędzia handlu japońskiego. Drobni przekupnie japońscy przedostają się również zwolna w głąb kraju, pchając przed sobą swój leciuchny, dwukołowy wózek, naładowany rozmaitymi drobiazgami; z powrotem przywożą woreczki ryżu, korzonki żeńszenia, nasienie sezamu, złoto...

Jednocześnie Japończycy przeprowadzili dwie koleje: z Seulu do Czemulpo [1]) i z Fuzanu do Seulu, trzecią, z Seulu do Wi-dżu na Phiön-jang, budują obecnie oraz wytykają czwartą z Seulu do Genzanu. Szczególniej wielkie ma znaczenie kolej z Fuzanu, która przecina najżyzniejsze i najludniejsze okolice Korei oraz odnóża gór bogatych w pokłady mineralne miedzi, żelaza, złota itd.

Zapewne, że wszystko to już daje poczęści i obiecuje w przyszłości Japończykom ogromne zyski, lecz

---

1) Prawie gotową kupili od amerykanów.

aby oni mogli swe zdobycze handlowe w Korei rozszerzyć i umocnić, muszą zajść w samem społeczeństwie korejskiem wielkie zmiany, musi ono uzyskać więcej swobód, sprawiedliwości, podnieść poziom oświaty i prawomyślności, o czem Japończycy dobrze wiedzą i do czego świadomie dążą. Szczęśliwy lud, którego natychmiastowe korzyści gospodarcze historya połączyła z duchowym dorobkiem sąsiadów, ale stokroć szczęśliwszy ten, który to w porę zrozumiał...

XIX.

Społeczeństwo.

W. E. Griffis twierdzi, że naród korejski powstał ze zlewu plemion nadamurskich z emigrantami chińskimi [1]). Hulbert dowodzi, że południowo-korejskie plemiona były pochodzenia malajskiego. Badania językowe wykazały, że mowa korejska należy do języków turańskich, jest pokrewna narzeczom drawidaskim. [2]) Zawiera ona mnóstwo wyrazów i zwrotów chińskich, posiada prócz tego wyrazy tunguskie, mandżurskie, mongolskie, nawet chińskie a w południowej Korei—japońskie. Większa lub mniejsza domieszka tych wyrazów oraz odmienna cokolwiek wymowa tworzą kilka gwar, nie tak jednak różnych, aby utrudniały porozumienie się ludności rozmaitych okolic. Antropometryczne bada-

---

[1]) „Corea Without and Within", II edition 1885 y p. 15.

[2]) „Korean Repository". 1895, pp. 255—264.

nia Korejczyków zostały zapoczątkowane przez lekarzy japońskich, lecz są jeszcze zbyt nieliczne, aby mogły określić ich pokrewieństwo rasowe oraz zróżniczkować ludność półwyspu. Sami Korejczycy zachowali po dziś dzień pewne poczucie odrębności pochodzenia w tych grupach, które niegdyś tworzyły państwa samodzielne. Ciekawe są charakterystyki, jakie sobie sami dają. Mieszkańcy Korei północnej (niegdyś państwo Ko-gu-riŏ) oraz wschodniego wybrzeża (prow. Kan-uŏń-do, niegdyś państwo Bochaj) są uważani za ludzi zdolnych, śmiałych, ale obdarzonych duchem niespokojnym, burzliwym, skłonnym do buntów i nieposłuszeństwa; mają opinię tajnych wrogów dynastyi, obecnie panującej. Mieszkańcy prowincyi Choan-hŏ-do słyną z umysłu ograniczonego, ciężkiego; stołecznej prowincyi Kiŏn-gyj-do mają być lekkomyślni, próżni i miłujący zabawy; w prow. Cziolla-do (niegdyś państwo Päkcżie) uchodzą za przewrotnych, bezczelnych i nieuczciwych, za byle co gotowych sprzedać i zdradzić każdego; najgorszą opinię mają mieszkańcy Quelpartu, który dotychczas służy za miejsce wygnania, uchodzą oni za gwałtowników i rozpustników.— Za najlepszych uważani są mieszkańcy prow. Kiŏn-sań-do (niegdyś państwo Sil-la), z usposobienia spokojni, oszczędni, czciciele starych obyczajów, miłośnicy nauki i sztuki.

Naogół, choć Korejczycy mają mniej wyrobienia obyczajowego od Japończyków i mniej poloru od Chińczyków, przewyższają o wiele łagodnością i to-

warzyskością Europejczyków. Panowanie nad sobą i wyrozumiałość są uważane za przymioty szczególniej pożądane; za to ciągły ucisk i srogie prześladowania zepchnęły na miejsce podrzędne prawdomówność, uczciwość i sumienność. Nawet pobieżna znajomość życia korejskiego przekonywa, że tu ludzie, obdarzeni temi cnotami, skazani są na zagładę lub przynajmniej na ciężkie życie.

Od niepamiętnych czasów istniał wśród narodu korejskiego podział na stany. O pochodzeniu ich pierwotnem wiadomo bardzo mało. W. E.Griffis mówi, że w północnej Korei w pań. Ko-gu-riŏ między I i VII w. (po Nar. Chr.) istniały trzy stany: szlachta, jej wolni wasale i niewolnicy. Ten podział rozpowszechnił się z czasem w całej Korei, został zmieniony i rozwinięty z zastosowaniem do nowych potrzeb i nowych warunków rządzenia.

W roku wydania edyktu, znoszącego stany (1894 r.), było ich w Korei *pięć*: 1) szlachta rodowa, 2) szlachta drobna (prowincyonalna), 3) stan średni, 4) chłopi, 5) niewolnicy. Ale każdy z tych stanów, zgodnie z prawem upodobnienia, naśladując ogólną budowę państwa, rozpadał się z kolei na poddziały o rozmaitych prawach i obowiązkach.

Niewolnicy (kuan-no) mieli powstać z jeńców wojennych. Rozróżniano następnie niewolników *z urodzenia* (cżiŏn-i) i *z wypadku* (pan-bi). Do ostatnich należeli ludzie, którzy się sami zaprzedali w niewolę, zostali sprzedani przez rodziców, albo utracili wolność

mocą wyroku sądowego za winę własną lub blizkich krewnych, wreszcie podrzutki, wychowani przez ludzi zamożnych, jako osoby, których wolności nie można było dowieść. Potomstwo niewolników z wypadku korzystało już z wolności, i oni sami mogli wykupić się, kiedy chcieli, nawet wbrew woli swego pana, za pewną, prawem określoną sumę, nie przenoszącą zwykle 300 rubli [1]). Z prawa wykupu nie korzystali jedynie *niewolnicy z wyroku* (koań-gi). Większość ich były to żony i córki przestępców politycznych lub wielkich zbrodniarzy, ukaranych śmiercią, wreszcie kobiety obwinione o cudzołóstwo, kradzież, zabójstwo albo obrazę wyższego urzędnika. Mężczyzn niewolników z wyroku, było bardzo mało, gdyż za poważniejsze przestępstwa skazywano ich zwykle na śmierć, a za mniejsze— na wygnanie; na wygnanie również skazywano krewniaków zbrodniarzy, podczas, gdy kobiety dostawały się do niewoli i były odsyłane do biur rozmaitych stołecznych i prowincyonalnych, jako służące i nałożnice niższych urzędników, oficerów, żołnierzy lub sprzedawano je osobom prywatnym. Dobrowolnie zaprzedawały się w niewolę również zazwyczaj kobiety; zwano je „dza-mä". Niewolnice uzyskiwały wolność przez wyjście za mąż za ludzi wolnych [2]), ale na zamążpójście musiały dostać pozwolenie swego pana.

Do niewolników z wypadku należy zaliczyć służbę

---

[1]) M. A. Pogio: „Korea" (tłom. niem.), str. 97.
[2]) „Korea Repository", 1895, str. 370—372.

pałacową cesarza, która wyłącznie składa się z kobiet i eunuchów. Mężczyżni, nie należący do rodziny cesarza, nie mają wstępu za mury pałacu [1]). Mieszka tam za to kilkaset dziewcząt, wybranych z najpiękniejszych w kraju. Pozostają tam one całe życie, spełniając rozmaite posługi, a między innemi zadowalają przelotne kaprysy książąt krwi oraz samego panującego, skoro pożądania ich wybiegną poza kres licznych uznanych żon i nałożnic [2]). Niewolnice pałacowe zwano „nă-iń"; niektóre z nich otrzymywały wykształcenie staranne. Te, które nie zostały kupione, ani gwałtem wzięte, lecz w dzieciństwie dobrowolnie oddane do pałacu przez rodziców, mogły go z pozwolenia monarchy porzucić i nawet wyjść za mąż, ale działo się to zazwyczaj bardzo rzadko. Liczba eunuchów pałacowych zależy od ilości służby kobiecej, zostającej pod ich pośrednim nadzorem; zwykle bywa ich tam około stu; mają też oni swoje niewolnice, które uważane są za ich nałożnice i dzielą z nimi łoże [3]). Eunuchowie kupują sobie małe dzieci, już okastrowane lub które kastrują sami, aby te usynowić i przeciągnąć w ten

---

[1]) Tamże, str. 371.

[2]) Oprócz głównej żony ma monarcha korejski 8 nałożnic wyższego rzędu; następcy tronu prócz żony wolno mieć 4 nałożnice, korzystające z honorów dworskich. Obsługuje cesarza 27 służebnic wyższych; następca tronu ma ich 9.

[3]) Podobnie nienaturalny stosunek zachodzi często wśród „braci i sióstr" skopców rosyjskich.

sposób swój wpływ na dworze. Są oni powszechnie nienawidzeni za okrucieństwo, przewrotność i chciwość oraz intrygi, jakie wciąż prowadzą, korzystając z ciągłego obcowania z monarchą. Cała ta organizacya służby pałacowej, nałożnic i eunuchów wzorowana jest na dworze pekińskim.

Niewolnicy z urodzenia (cżion-i) nie mieli prawa wykupu dowolnego i dzieci ich były własnością pana. Większość ich uprawiała ziemię. Dzielili się na rządowych i prywatnych. Niewolnicy rządowi byli właściwie wieczystymi, przywiązanymi do roli dzierżawcami, obowiązanymi oddawać część zbiorów do skarbu, za co zwalniano ich od podatków. Niewielka więc zachodziła różnica między ubogim, wolnym dzierżawcą, płacącym uciążliwe podatki a niewolnikiem rządowym. Położenie niewolników prywatnych było o wiele gorsze, gdyż właściciele żądali od nich plonu całkowitego. Mimo to, niejeden z nich doszedł do dobrobytu. W czasach wielkiego ucisku wielu chłopów wolnych zaprzedawało się w niewolę do możnych panów, aby uniknąć grabieży urzędniczej i prześladowań. Podróżnicy świadczą zgodnie, że niewola w Korei była lekką, z niewolnikami obchodzono się dobrze, utrzymanie mieli zadowalające, zaś panowie korejscy chętnie zamieniali zależność osobistą na czynsz. Ale tyczyło się to wyłącznie niewoli mężczyzn oraz niewolników sielskich. Położenie niewolników domowych, a szczególniej niewolnic, było bardzo ciężkie; właściciele tworzyli z nich swój harem, a następnie handlowali otwarcie ich

Zbrodniarz (czo-in); na tabliczce napisano czoj-si-ha — zbrodniczy nauczyciel ze wschodu.

ciałem, sprzedawali ich dzieci, wyzyskiwali okrutnie i bezkarnie ich pracę. Stąd cena niewolnic bywała większą; były one więcej poszukiwane od niewolników. Niewolnica nawet po wyjściu za mąż musiała pozostawać w domu swego pana, jeżeli on sobie tego życzył. Cena pięknych, dobrze wychowanych i ukształconych niewolnic sięgała niekiedy 15,000 jenów [1]).

W 1894 r. pod naciskiem Japonii niewolnictwo w Korei zostało urzędownie zniesione. Ale w istocie przetrwało po dziś dzień. Było ono jeszcze w 1897 r. przedmiotem publicznych rozpraw w „Klubie Niezależnych" w Seulu. Sprawozdawca podaje, że wiceprezes klubu, szlachetny Juon-jąg przed przyjściem na to zebranie wyzwolił swoich trzydziestu niewolników, spaliwszy dowody ich niewoli, poczem na zebraniu gorąco przemawiał za *dobrowolnem* oswobodzeniem wszystkich. Przeciwnicy dowodzili, że niewolnictwo jest tylko formą usługi, że bez służby obejść się niepodobna [2]).

Cokolwiek wyżej od niewolników, gdyż korzystają z swobody osobistej, stoi siedem niższych klas ludu

---

[1]) „Korean Repository", 1895, str. 372.

[2]) Tamże, 1897, November.

Niewolnicy w Korei pod wielu względami przypominają chłopów pańszczyźnianych rosyjskich przed 1863 rokiem, którzy też mogli być sprzedawani bez ziemi i osobno mężowie, żony i dzieci. Niewolnicy domowi są to w istocie rosyj. „dworowyje" z przed czterdziestu laty.

prostego, ustanowionych zgodnie z nauką Konfucyusza przed pięciuset laty przez ministra Uang-Hui. Należeli do nich: 1) pachołkowie sądowi, którzy biją ludzi, 2) komedyanci i wędrowni śpiewacy (kuang-tai), 3) rzeźnicy (pak-czäng), 4) koszykarze (käci-czäng) „ponieważ obdzieranie drzewa z kory równa się obdzieraniu zwierząt ze skóry", 5) czarownice (mu-dań), 6) tancerki rządowe (ki-sań), 7) szewcy, szyjący skórzane obuwie (kä-pät-czi) [1].

Ludzie ci, wolni osobiście, podlegali rozmaitym ograniczeniom towarzyskim, nie mieli prawa nosić kapelusza, wchodzić do domów, siadać koło ludzi innych stanów. Gdy pewnego razu nawrócony rzeźnik Päk wszedł do kościoła, misyonarze mieli z tego powodu wiele kłopotu, wierni przestali chodzić do świątyni. „Wielka przykrość spotkała nas w kościele— tłomaczył się jeden z nich ze swej nieobecności — lepiej, abyś pan o niej wiedział. Przychodziliśmy chwalić Stwórcę i czcić Zbawiciela. Odrzuciliśmy wiele zwyczajów korejskich, pozwoliliśmy robotnikom zajmować obok nas miejsca w świątyni. Jednakże nie możemy wyrzec się wszystkich zwyczajów i dopuścić, aby *rzeźnik* razem z nami znajdował się w kościele i siadał obok nas. Nie mamy zamiaru opuszczenia Chrystusa, jednakże wybudujemy sobie inny kościół i zbierać się będziemy gdzieindziej, gdyż tutaj już przychodzić nie możemy".

---

[1]) „Korean Repository", 1898 r. Apriel, p. 129.

Dla charakterystyki położenia tej grupy pozwolę sobie przytoczyć petycyę podaną do ministra spraw wewnętrznych przez rzeźników z Koan-cză-kŏl w Seulu:

„My, słudzy pokorni, od 500 lat trudnimy się rzezią zwierząt, co jest naszym zarobkiem. Przez ten czas zawsze wiernie spełnialiśmy nasze zadanie oraz prace przez rząd nam nakazane z okazyi dorocznych ofiar; pracowaliśmy dla rządu bezpłatnie i chętnie, a jednak obchodzono się z nami, jak z najniższą klasą z siedmiu pogardzanych i kiedy tym siedmiu dozwolono nosić *szerokie rękawy, kapelusz i mangon* (mycka włosiana na głowę), nam to wzbronione. Wszyscy gardzą nami i najlichszy urzędnik sądowy w prowincyi lub okręgu częstokroć przychodzi do nas, żąda pieniędzy i zabiera je. Jeżeli odmawiamy mu, bije nas po twarzy, drze nam ubranie i obrzuca nas okropnemi słowami. Więzi nas, zmuszając do pracy, za którą nigdy grosza nie dostajemy, lecz jedynie szydercze, obelżywe wyrazy. Na domiar złego, *biją nas nawet chłopcy nie wyżsi nad trzy stopy*.

Czyż na całym świecie znaleźć można równie, jak my, upośledzonych ludzi? Kuang-tai (błazen), chociaż jeszcze niżej od nas stoi, nosi *kapelusz, mangon* i *pas*, ubiera się jak wszyscy ludzie, my jedni, korni pana ministra słudzy, czynić tego nie możemy, dlatego smutek przenika nas aż do szpiku kości. Na klęczkach wysłuchaliśmy wieści, że wasza ekscelencya zamierza obalić dawne zwyczaje, wprowadzić nowe prawa, co od wielu lat było nadzieją i pragnieniem po-

kornych sług W. Eks.; teraz znów na klęczkach błagamy o wydanie osobnego dekretu do rozpowszechnienia we wszystkich prowincyach i w urzędach sądowych, że Wasza Ekscelencya przyjęła naszą petycyę, że wolno nam już będzie nosić *kapelusz* i *mangon;* że odtąd słudzy sądowi nie będą źle obchodzić się z nami".

Rzeźnicy następującą otrzymali odpowiedź:

„Życzenia wasze będą spełnione. Noście *kapelusz* i *mangon,* ubierajcie się, jak inni ludzie prostego stanu. Pamiętajcie jednak, że tylko z pozoru do innych podobni jesteście i dbajcie o duchowy swój rozwój. Jeżeli was urzędnik sądowy będzie gnębił, bądźcie ostrożni, nie sprzeczajcie się z nim, lecz pokażcie dekret". W tymże roku, w jedenastym miesiącu rzeźnicy z prowincyi Kan-uŏń-do wysłali znów do ministra spraw wewnętrznych petycyę następującej treści: „Nowe prawo wprowadzone we wszystkich prowincyach z wyjątkiem prow. Kang-uŏń-do, gdzie panują rozruchy Tong-chak'ów. Nie mogliśmy więc dotąd nosić ani *kapelusza,* ani *mangon,* i nie zmieniło się nasze smutne położenie. Proszą zatem pokorne sługi Waszej Ekscelencyi, aby wysłano rozkazy z Cźiun-cźiu (siedliska gubernatora prowincyi Kang-uŏń-do) do każdego urzędu sądowego, że nowe prawo obowiązuje tak tu, jak i w innych prowincyach".

W odpowiedzi zawiadomiono rzeźników, że ponieważ wydano już dekret, więc niech siedzą cicho. W roku następnym, w trzecim miesiącu, rzeźnicy znowu podali prośbę: „Wszystkie niższe klasy ludzi zapisane

są w narodowych archiwach, ale my nie zostaliśmy do nich zaliczeni. Jesteśmy więc od czasu, kiedy wolno nam nosić *kapelusz* i *mangon* tylko pozornie podobni do reszty obywateli, ale nie w rzeczywistości. Błagamy więc Waszą Ekscelencyę, aby nas zapisano do szeregów ludności pospolitej". Odpowiedź: „Ponieważ wszyscy mieszkańcy kraju są naszymi poddanymi, wasza prośba nie może być odrzuconą, a wasze żale będą uwzględnione" [1]).

Większość ludu korejskiego składa się z *wieśniaków* (sian-nom). W istocie są to i byli zawsze niewolnicy państwowi, wyzyskiwani niemiłosiernie przez urzędników i szlachtę. W ciągu długich wieków pełnili oni służbę wojskową, płacili podatki, spełniali najrozmaitsze żądania i roboty z polecenia każdego, kto

---

[1]) („Korea Repository", r. 1898, Apriel, str. 127). Dla wyjaśnienia niektórych punktów tych próśb dodam, że rzeźnicy obowiązani są wykonywać bezpłatnie rzeź zwierząt ofiarnych, których liczba w każdej prowincyi dochodzi do 1,000 i więcej sztuk rocznie, za to wolni są oni od podatków; każdy zaś, kto nie płaci podatków, nie jest wciągnięty do ksiąg ludności. Nazwę chłopca (nomi) nosi każdy mężczyzna kawaler, który bez względu na wiek uważany jest za niepełnoletniego, nie ma on prawa używać kapelusza i jest przez żonatych traktowany lekceważąco, sam jednak musi ich traktować z szacunkiem. Za poufałe obejście się „chłopców" z żonatymi, ci mają prawo surowo ich karać i biją nawet po twarzy. Jedynie do rzeźników nawet żonatych mogą „chłopcy" odzywać się lekceważąco, z czego, rozumie się, stale korzystają.

miał najmniejszy cień władzy, pod grozą sądu, egzekucyi i ciężkich kar, których im nie szczędzono nigdy. Niezgłębioną ich cierpliwość rząd poddawał najrozmaitszym próbom, przeprowadzał najrozmaitsze zakazy i wydawał najdziwaczniejsze prawa, a za najsłabszy opór karał surowo i bezwzględnie. Według praw korejskich za *bunt* uważane jest nietylko *nieposłuszeństwo* rozkazom królewskim, lecz również *nieposłuszeństwo władzy miejscowej*, a nawet prosta krytyka jej rozporządzeń. *Bunt* karano śmiercią, dożywotniem wygnaniem i konfiskatą majątku [1]). Od czasu do czasu jednak wybuchały istotne zaburzenia, zwykle tłumione okrutnie i krwawo. Zresztą uległość wieśniaka korejskiego nie ma zdaje się granic. Autor artykułu „He is farmer" dowodzi, że zaburzenia te ograniczały się zwykle do krzyków, wywijania kijami i wzywania 5,000 potęg na głowy krzywdzicieli [2]), lecz historya świadczy, że przybierały one niekiedy charakter poważnych powstań, jak, naprzykład, zaburzenia w okolicach Seulu w 1882 r. wywołane suszą i wyzyskane przeciw Japończykom przez partyę konserwatywną, albo powstanie w Kobu (1893 r.), z którego skorzystali tong-chak'owie. Z powodu grubej ciemnoty i zabobonności wieśniaków korejskich zaburzenia te wybuchały prawie zawsze nie w porę i dawały się z łatwością zwracać władzy w inną stronę. Gniew ludu skierowywano przeciw chrześcija-

---

[1]) „Opis Korei", część II, str. 395.
[2]) „Korean Repository", 1898 r., str. 231.

nom i cudzoziemcom, buddystom i Japończykom oraz naruszycielom „starych obyczajów", podczas gdy główne narzędzia ich uciemiężenia—szlachta i urzędnicy uchodzili cało. Prawo z 1894 r. zniosło niewolnictwo, zniszczyło przywileje szlachty i urzędników, wprowadziło równość wszystkich wobec prawa, ale... zdaje się, że lud prosty z darowanych mu swobód zachował jedynie prawo noszenia kapeluszy, „man-gon" oraz szerokich rękawów, poza tem urzędnicy i szlachta postępują, jak dawniej... Wyrobił sobie jednak lud korejski pewną z jego potulnym charakterem zgodną formę biernego oporu, do której ucieka się w razie niezwykłych nadużyć. W Korei nadzwyczaj rozpowszechnione są stowarzyszenia (kie) zawodowe, spożywcze i wzajemnej pomocy; są nawet pogrzebowe (sian-bo-kie), weselne (pu-cźio-kie), dostarczające środków do świętowania Nowego Roku (sie-cźioń-kie), pożyczkowe (päk-ha-kie), wreszcie postrzyżynowe (pu-cźio-kie), ułatwiające materyalnie obchód uroczystości obrzędowej zaplatania włosów chłopcom po dojściu do pełnoletności, albo egzaminowe — dające na podróż do stolicy i złożenia tam egzaminu państwowego itd. Wszystkie prawie rzemiosła i zawody zorganizowane są w cechy [1]), jest ich w Korei bez liku, wspomagają się wzajem i występują bardzo solidarnie.

W razie nadużyć niezwykłych lub wielkiej srogości

---

[1]) O gildyach kupieckich już mówiliśmy wyżej. Rozdział XVIII.

jakiego urzędnika stowarzyszenia pokrzywdzone urządzają *bezrobocie*. Znikają więc z okolicy kramarze wędrowni, kupcy zamykają sklepy lub woźnice (maphu) przestają wozić towary, wreszcie towarzystwa pogrzebowe nie chcą grzebać itd. Wzburzenie powszechne wzrasta i rząd zazwyczaj ustępuje, cofa wydane rozporządzenia lub usuwa do czasu niezręcznych zdzierców. Ale lud korejski, dotknięty dziwną niemocą państwową, nie umie nigdy wyzyskać swego zwycięstwa lub nawet go utrwalić... Po niejakim czasie wraca dawny porządek, a często nawet usunięty krzywdziciel... I znowu dzieją się haniebne nadużycia aż do nowego wybuchu... Inaczej zresztą i być nie może, gdyż całość społeczeństwa korejskiego tak odpowiada sobie we wszystkich swych częściach, że tylko jakiś potężny czynnik zewnętrzny może zmienić ten stosunek i wywieść lepsze siły narodu z błędnego koła urzędniczych sfer, pochłaniających całą inteligencyę wskutek braku zawodów niezależnych.

Za jedną z przyczyn nieszczęść ludu korejskiego zupełnie słusznie uważają zdawien dawna szlachtę i urzędników.

Pierwotnie istniała tylko *szlachta*. Siedziała ona w miastach i twierdzach, skąd rządziła krajem w imieniu króla. Rozpadała się na *dwa działy* (jań-bań): jeden z pochodzenia wojenny zwał się *zachodnim* (siöbań), drugi cywilny czyli *wschodni* (ton-bań) powstał z naznaczonych przez rząd wykształconych urzędników. Tak stały rzeczy w XIV stuleciu, w początkach

panowania obecnej dynastyi. „Jań-bań'stwo było dziedziczne. Początkowo przechodziło wyłącznie na dzieci *prawe*, ale z czasem ilość nieprawych potomków szlacheckich spłodzonych z nałożnicami wzrosła do tego stopnia, że utworzyli oni znaczną siłę polityczną i wywalczyli sobie takie same prawa. Ukaz w r. 1857 zrównał zupełnie prawe i nieprawe dzieci szlachty.

Jań-baniowie tworzyli potężne rody, podtrzymujące się wzajem w potrzebie i w walce o wpływy i posady. Ród Kim trząsł Koreą za trzech królów w ubiegłem stuleciu; ród Min, z którego pochodziła zamordowana królowa, posiadał z górą 1,000 urzędów. Jań-baniowie korzystali z wielu przywilejów. Przedewszystkiem nie płacili podatków i nie podlegali powinności służby wojskowej. Następnie osoba ich była nietykalna, nawet wejście na dziedziniec szlacheckiego dworu bez zezwolenia gospodarza uważane było za przestępstwo. Jedynie kobiety wszystkich stanów miały tam dostęp swobodny. Jań-bań mógł być aresztowany tylko za zezwoleniem królewskiem; jedynie w razie występku, pociągającego za sobą karę śmierci (zdrada stanu), władze miejscowe miały prawo zamknąć jań-bania w więzieniu, następnie donieść o tem królowi i prosić go o pozwolenie.

W sądzie jań-bań dawał odpowiedzi stojący, podczas gdy świadkowie lub obwinieni innych stanów musieli klęczeć. Jań-bań zajmował w hotelu najlepsze

miejsce [1]; na przejezdnego jań-bania nie wolno było patrzeć natrętnie, a tembardziej zaczepiać go rozmową. Człowiek z podrzędniejszego stanu powinien był odpowiadać mu z głębokim szacunkiem. Niewolno było palić w obecności jań-bania. Człek prosty, jadąc konno, gdy spotykał jań-bania lub przejeżdżał mimo jego domu, obowiązany był zsiąść z konia i minąć go piechotą. Za niespełnienie któregokolwiek z tych prawideł pachołkowie jań-bania karali doraźnie krnąbrnych. Jańbaniom towarzyszyła w drodze świta, której ilość odpowiadała ich stanowisku i zamożności. Masztalerz prowadził za cugle wierzchowca jań-bania reszta szła wokoło piechotą, cały pochód poruszał się wolno. Nie widziałem już takich pochodów nigdzie, prócz w Seulu; tu przed bramą pałacu cesarskiego przejeżdżali jeszcze wspaniali, starzy dworacy, generałowie i wyżsi urzędnicy, konno, na białych wierzchowcach, osiodłanych w czerwone siodła, pod czerwonymi i żółtymi parasolami, w otoczeniu licznej, bogato ubranej świty.

Pozbawiały szlachectwa: wyrok sądowy, małżeństwo nieodpowiednie, zajęcie niestosowne. Za udział w buncie lub spisku przeciw królowi tracił prawa szlacheckie nietylko skazaniec, lecz i dzieci jego i krewni do czwartego nieraz stopnia. Małżeństwo z wdową lub niewolnicą pozbawiało szlachectwa dzieci spłodzone

---

[1] J. Bishop twierdzi, że jań-baniowie nigdy nie płacili za postój w hotelach.

z tego małżeństwa. Wreszcie zajęcie handlem albo rzemiosłem groziło jego utratą, gdyż jań-bań mógł tylko trudnić się rolnictwem (nie osobiście, lecz za pomocą niewolników), służyć jako wojskowy lub urzędnik. Pod tym względem obyczaje i prawodawstwo szlachty korejskiej nie różniło się zbytnio od podobnych urządzeń innych ludów i w innych częściach świata. Wyjątek przedstawiały jedynie wdowy, dzięki wschodniemu poglądowi na nie, jako własność nieboszczyka. Ponadto zawierały jednak szlacheckie statuty korejskie takie paragrafy, których nie miał żaden inny naród, prócz Rosyi [1]. Przedewszystkiem przyznawały one wszelkie *przywileje szlacheckie urzędnikom,* następnie *obowiązywały jań'baniów do służby państwowej.* Rodziny, które w ciągu paru pokoleń nie piastowały urzędu, traciły przywileje [2]. Wskutek tego z biegiem czasu szlachta i biurokracya zlały się w jedno. Jań-banowie opuścili gospodarstwa wiejskie i przenieśli się gromadnie do miast i stolicy. Ziemia przeszła stopniowo na własność albo w wieczystą dzierżawę chłopów (siannom) i naród korejski rozpadł się na dwa nierówne odłamy: rządzonych i rządzących, pracujących i piszących, opodatkowanych i poborców. Stan średni (cżjun-

---

[1]) Tabela o rangach Piotra Wielkiego i ukazy o służbie obowiązkowej szlachty tegoż cesarza oraz Katarzyny II. Znalazłem w obyczajach oraz rozwoju korejskiej biurokracyi dużo rażących podobieństw do biurokracyi rosyjskiej, godnych bliższej uwagi socyologa.

[2]) „Opis Korei", cz. I, str. 350 i 356.

in albo cżjun-sarami) był zawsze bardzo niewpływowy i nieliczny; należały doń rodziny, uprawiające zwykle dziedzicznie zawody wyzwolone: lekarze, astrologowie i astronomowie, artyści, prawnicy, rachmistrze (rządowi), nadzorcy zegarów (państwowych), archiwiści, wreszcie drobni urzędnicy prowincyonalni: pisarze, sekretarze itd. Fałszywa zasada, przeszczepiona z Chin do Korei, wyniszczonej morderczemi wojnami XIV stulecia i najściem Mongołów, wydała wysoce trujące owoce. Oderwani od związku z ludem, pozbawieni możności innej pracy, prócz biurowej, jań-baniowie, aby nie umrzeć z głodu, musieli dążyć nieustannie do zwiększenia ilości posad urzędniczych i swoich dochodów. Walka o nie rozmaitych rodów jań-bańskich raz wraz wtrącała państwo w odmęt intryg i zamieszek. Bezrząd, nadużycia, gwałty wżerały się coraz głębiej w obyczaje sfer rządzących. Zwycięzca spieszył utrwalić swe położenie za jakąbądź cenę i skorzystać ze sposobności, aby napełnić puste kieszenie swoje i swoich popleczników. Najuczciwszy człowiek musiał ukrywać nadużycia współrodowców i krewniaków, gdyż bez ich pomocy zostawał natychmiast zrzucony z posady, wtrącony nieraz do więzienia lub wygnany daleko... przez silniejszych i bezwzględniejszych przeciwników. Ten zwyczaj popierania swoich oraz solidarność *wszystkich* urzędników państwa przeciw innym stanom nigdzie może tak jaskrawo nie występuje, jak w Korei.

„Według obyczajów korejskich, każdy jań-bań, który otrzymał miejsce, powinien nietylko utrzymywać

rodziców i blizkich krewnych, lecz obowiązany jest pomagać nawet dalekim powinowatym. To już nie obyczaj, ale obowiązek, którego zaniedbanie ciężko dadzą mu uczuć ci sami krewni. Nie należy się dziwić, że wskutek tego urzędnik, dla zadowolenia wymagań otaczających, musi brać łapówki i wybierać od ludu nieprawne pobory" [1]). Ma prócz tego zwykle znaczne długi, które zaciągnął na naukę i dla zdania egzaminu, co też drogo kosztuje. Musiał dobrze zapłacić wyższym urzędnikom za nominacyę. Nadomiar nie jest pewny swego stanowiska, stara się więc szybko i z procentem powetować swe straty. Wśród większości jańbaniów panuje niedostatek, niemal nędza, gdyż liczba ich wzrasta o wiele szybciej, niż miejsca biurowe. Według Łubiencowa, ilość szlachty wynosi trzecią część ludności półwyspu [2]). Obawa utraty przywilejów na wieczne czasy i zejścia do warstw uciemiężonych wstrzymuje ich od zajęcia się jakąkolwiek pracą godziwą, każdy z nich żywi nadzieję, że wcześniej czy później los mu się uśmiechnie i da możność powetowania sobie za głód, chłód, poniżenie, zimy spędzone bez ognia i przytułku, drwiące uśmiechy zamożniejszych nieraz kupców i chłopów. Ciekawa anegdotka krąży z tego powodu wśród wieśniaków korejskich: „Pewnego razu jań-bań przechadzał się po wsi. Gdy mijał wieczerzających wieśniaków, ci powitali go zwykłem:

---

[1]) „Opis Korei", str. 359.
[2]) Tamże, str. 356.

„Czy pan jadł już?" — „Nie, nie jadłem" — odpowiedział. Wtedy oni grzecznie zaprosili go do swego stołu; ale on obraził się strasznie, zelżył i zbił wieczerzających wieśniaków. Minął czas jakiś i znowu jań-bań przechadzał się po wsi, znowu mijał wieczerzających wieśniaków i ci powitali go zwykłem: „Czy pan jadłeś już?" — „Nie, nie jadłem!" odrzekł. Wieśniacy tym razem jednak zachowali głębokie milczenie. „Czemu nie zapraszacie mię?" — spytał on. — „Nie śmiemy traktować waszej dostojności, jak naszego towarzysza". — Ale jań-bań spokojnie zapytał: „Co wy jecie?"—„Grubo-ziarniste proso".— „Czyż tak?!... Czyż bywa proso na tyle grubo-ziarnistem? Spróbuję, co to za dziwne proso!"... Siadł z ludźmi i jadł po ludzku" [1]).

Czy opowiadanie to nie przypomina hiszpańskich satyr z XVI wieku i czy nie potwierdza mniemania, że pod każdą szerokością w środowiskach ludzkich jednakowe przyczyny wywołują jednakowe skutki? Czy np. spółcześni „muńgäk" korejscy nie są podobni do niemieckich knechtów, polskich dworzan magnackich, do hiszpańskich popleczników albo rzymskich „klijentów"? Wszystkich jednak, wyjąwszy rosyjską „opriczynę", przewyższyli oni w zuchwałości i gwałtach. „Muńgäk? są to ubodzy jań-baniowie, grupujący się dokoła bogatych i wpływowych urzędników; należą oni zwykle do ich rodów i w oczekiwaniu na miejsce pełnią drobne posługi przy nich, znoszą plotki, czytają głośno książ-

---

[1]) „Korean Repository", 1898 r., str. 18.

ki, bronią panów w razie zatargu lub napadają według rozkazu na ich nieprzyjaciół. Przedpokój znakomitego Korejczyka zawsze pełen tych ludzi, którzy powiedziawszy mu „dzień dobry“, uważają się już dzień cały za jego gości, jedzą i piją u jego stołu, palą jego tytoń, dodzierają jego ubrania, piszą jego pędzlami i nawet, o ile się da, wydają jego pieniądze... Najpotężniejszy dygnitarz nie ośmieli się ich wygnać. Zresztą, w tym kraju gwałtów, bezprawia, przemocy oni potrzebni, gdyż właściwie są tą pięścią, która jedynie tu rządzi, są wreszcie sztabem, z którego urzędnik może wybrać wierne, na wszystko gotowe sługi i urzędników. Muńgäkowie i słyną przedewszystkiem z umiejętności zdobywania pieniędzy. W tym celu często chwytają poprostu zamożnego kupca lub rzemieślnika na ulicy albo, wpadłszy w nocy do jego domu, uprowadzają go do jakiej kryjówki, częstokroć do swego zwierzchnika. Tam trzymają jeńca, biją i morzą głodem, żądając okupu. Ma to być niby pożyczka, ale nie było wypadku zwrotu takiej pożyczki. „Muńgäkowie nieraz podstępnie zdobywali u ludzi prostych ich domy albo posiadłości i odprzedawali je niezwłocznie innym, nie zapłaciwszy grosza istotnym właścicielom. Część zdobyczy zabierał zwykle możny opiekun muńgäków i wskutek tego nikt nie odważał się zaczepiać, nawet skarżyć się na krzywdzicieli. Zresztą byłoby to napróżno [1]).

---

[1]) „Korean Repository“, 1895 r., str. 367—369. Cytowane według „Opisu Korei“.

Wogóle, dawniej jań-banlowie, a obecnie ich dziedzice — urzędnicy, dręczą i obdzierają lud, ile się da, zachowują się zawsze i zachowywali tak, jakgdyby półwysep dla nich był stworzony i nie istniały na nim nigdy ani inne sprawy, ani inne prawa prócz ich zysków i samowoli. Reforma 1894 roku rzuciła popłoch na całą tę zgraję, ale trwało to krótko; z osłabnięciem wpływów japońskich wszystko wróciło do dawnego porządku. I. I. Bishop już po reformie powiedziała z goryczą na jednym z odczytów w Seulu, że „w Korei istnieją tylko dwie klasy ludności: rabusie i rabowani". — „Ci, co mieszkają w stolicy, nie mogą wyobrazić sobie tego, co się dzieje w innych częściach kraju!" biada sprawozdawca angielski, wymieniając cały szereg nadużyć, z których przytoczę kilka.

„W mieście So-heung, o 120 mil na północ od stolicy, 5 urzędników w ciągu 5 lat pobrało 14,000 dol. nieprawych podatków. Dwa lata temu, gdy zostały wprowadzone reformy, obywatele poskarżyli się ministrowi spraw wewnętrznych i tych 5 urzędników aresztowano i odesłano do Seulu. Ale wkrótce powrócili oni do swych zajęć; ludność jednak wzburzyła się przeciw temu i zmusiła do naznaczenia komisyi pod przewodnictwem gubernatora. Komisya uznała skargi ludności za *słuszne* i rozkazała 5 urzędnikom zwrócić część nieznaczną zabranych 14,000 dol. Gubernator zapłacił rządowi 4,000 dol., 1,800 dol. zwrócono ludowi, a 2,700 dol. wydano *pewnej osobie*... Obywatele nie zadowolili się tym wyrokiem, lecz gubernator kazał

Śpiący tragarz (po-sań).

aresztować protestujących i 4 z nich, jak się okazało, przetrzymał całą zimę w więzieniu". W tym samym artykule czytamy fantastyczną zaiste historyę pewnego spadku: „Student miejskiej szkoły Konfucyusza, zmarły 12 lat temu, podarował szkole *dwa akry* ziemi. Rzecz chwalebna. Po upływie 5 lat od jego śmierci szkoła zażądała *trzystu czterdziestu* akrów od okolicznych włościan. Na protest właścicieli nie zważano i dopiero ostatnimi czasy (w roku reformy) grabież została zwrócona. Lecz obecnie władze szkolne znowu zagarnęły ziemię, twierdząc, że rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych z owego czasu (z roku reform) nie mają teraz *znaczenia*. Odebrano włościanom oba wyroki, stary i nowy, i zmuszono ich do ustąpienia z pól".

„W prefekturze w pobliżu Czemulpo, pisze inny sprawozdawca, pobierano 10°/₀ ponad całość podatków na rzecz „gońców urzędowych". Podatek ten został zniesiony przed 4 laty (w roku reform), ale obecnie nałożono go znowu i kazano włościanom nietylko zapłacić 10°/₀ nadwyżki za rok bieżący, lecz i całą *zaległość*, choć lud w tej okolicy ucierpiał od głodu. I zapłacili. Szemrali trochę, lecz zapłacili... O zwierzchnikach swych i gońcach urzędowych mówią Korejczycy, gdy ci przechodzą: „Oto idą zbóje!" lub tym podobnemi częstują przezwiskami, lecz... słuchają ich".

Do najbardziej może znienawidzonych poborów, należy nieprawnie pobierana zwyżka na tych „gońców urzędowych". Została ona wzbroniona umyślnym ukazem cesarskim, mimo to „ze wszech stron nadchodzą

skargi, że ostatecznie dawne pobory wróciły w rozmiarach *dziesięć razy* większych", żali się inny sprawozdawca [1]). W Korei wprost roi się od ubogich, źle płatnych i rozwydrzonych urzędników. Jest ich wszędzie pełno i wtrącają się do wszystkiego, węsząc dla siebie łup i zabraniając tego, co nie obiecuje im zysku. Kupcy

---

[1]) Tych „gońców urzędowych" „sa-rion", zwanych przez angielskich pisarzy „yamun runner" (ämun po korejsku — ministeryum oraz wszelki zarząd"; z chińskiego — ja-myń), nie należy mieszać ze skorochodami i kuryerami (sangarime) pocztowymi, których utrzymywały dawne poczty dla przewożenia przesyłek rządowych. Byli to zazwyczaj niewolnicy osadzeni na ziemi, należącej do stacyi pocztowej. „Sa-rion" są to drobni urzędnicy zarządów prowincyonalnych i powiatowych, wysyłani ze szczególnemi poleceniami lub ważniejszymi papierami rządowymi. Prócz tego jeździ dużo innych urzędników korejskich; lubią oni bardzo takie podróże, połączone zawsze ze znacznym zyskiem. Każdy urzędnik znaczniejszy miał prawo do *trzech koni* bezpłatnych i świty złożonej z 6 ludzi pieszych, drobniejsi urzędnicy dostawali 1 lub 2 konie i mieli prawo do 2 lub 4 ludzi ze służby. Wszystko to jadło i piło darmo, na rachunek wiosek, gdzie się zatrzymywali; koni podwodowych brali zawsze więcej i przewozili w ten sposób bezpłatnie z jednego końca kraju na drugi towary, których sprzedaż w głuchych kątach dawała im nieraz znaczne zyski. Nie jest to bynajmniej zjawisko właściwe tylko Korei. Owszem, w tych wysłańcach rządowych można się dopatrzyć mongolskich „baskaków", wysyłanych do zawojowanych prowincyi dla poboru podatków i przeglądu. To samo istnieje w Chinach, gdzie w dodatku urzędnicy nie opłacają likinu (podatku wewnętrznego) na rogatkach rzecznych i lądowych. Z państw europejskich „komenderówki" utrzymały się jedynie w Rosyi.

korejscy, rzemieślnicy i wieśniacy tak się boją ich chciwości i pomysłowości, że kryją się jak mogą ze źródłem swego zarobku i jego rozmiarami, udając ubogich. W tym celu każdy stara się jak najmniej sprzedawać i kupować a, o ile można, wytwarzać wszystko w domu. „Aby skłonić wieśniaka do zasiania większej ilości zboża, muszą kupcy wydawać zadatki na przyszły zbiór, inaczej nie weźmie się on do pracy... Wogóle, nikt nie przyjmie najmniejszego zamówienia bez znacznego zadatku", pisze znawca tych stosunków [1]). Pochodzi to z nędzy oraz z braku ufności do zamawiającego i własnej przyszłości — bo to tylko jest pewnem, co się ma w ręku. Ale i to nawet częstokroć niezupełnie. Oto przykład: Z dawien dawna urzędnicy zagarnęli na swoją korzyść handel mięsem. Dzięki temu, że starodawne prawo zabraniało zabijania bydła rogatego bez zezwolenia władzy, zaczęli oni za znaczne wynagrodzenie sprzedawać prawo handlu mięsem specyalnym „dzierżawcom" i ci tylko mieli prawo nabywania bydła na rzeź oraz sprzedaży mięsa w pewnej miejscowości. Choć rzeźnicy żyją w ogólnej pogardzie, handlarze mięsem cieszą się powszechnym szacunkiem i zwykle należą do ludzi bardzo zamożnych. Otóż w 1897 r. naczelnik okręgu Kan-hoa zrobił jednego ze swych podwładnych handlarzem mięsa w Jań-cźiu. Ministeryum przemysłu, rolnictwa i handlu, nie wiedząc o tem, za pewne wynagrodzenie oddało prawo na powyższy

---

[1]) „Korean Repository", 1897, str. 110.

handel w tej miejscowości innej osobie. Kiedy ta ostatnia przybyła do Jań-cziu i zabrała się do prowadzenia interesu, napadli nań policyanci z Kan-hoa, związali i odprowadzili do kancelaryi naczelnika okręgu. Tam wsadzono kupca bez pytania do więzienia i następnie torturowano. Musiał nieszczęśliwy ratować swe życie i wolność wydaniem świadectwa ministeryalnego [1]).

Takich monopolów handlowych istnieje w Korei bardzo dużo. Wbrew poglądowi, że handel wzbroniony jest jań-baniom, a więc i urzędnikom, ci tajemnie przez pośredników biorą udział w różnych przedsiębiorstwach, gnębiąc współzawodników we wszelki sposób.

Mimo tłumy urzędniczej hałastry, bezład w państwie panuje straszliwy.

Podatki i opłaty handlowe ściągane są bez żadnej kontroli, choć tysiące urzędników od rana do nocy pisze rozmaite „papiery" i tysiące ludzi przewozi je z miejsca na miejsce. Mr. Hunt, komisarz fuzańskiej komory celnej, powiada, że najmniejsze kupno w Korei nie odbywa się bez opłacenia podatku „ku-muń". Podatek ten nigdzie nie jest wniesiony do ksiąg i sprawozdań skarbowych i nie wiadomo, na czyją korzyść i przez kogo jest pobierany. Na wszystkich drogach większych w okolicach ruchliwszych podrzędniejsi

---

[1]) *Independent*, gazeta wydawana przez „Klub niezależnych" w Seulu, cytowane według „Opisu Korei". Część II, str. 222.

urzędnicy za małą opłatą, złożoną swej zwierzchności, urządzają rogatki, na których każą opłacać dowolne zupełnie cła. Ten sam pan Hunt podaje, że w prowincyi Kiŏn-san-do było ich 17, na rzece Nak-ton-gan znajdowało się aż *cztery*, że port Fuzan był otoczony *10 rogatkami*, tworzącemi łańcuch nie do przebycia. W Genzanie istniała taka rogatka na samej przystani. W Fuzanie w 1893 r. pod pozorem popierania handlu morskiego, budowy dżonek, portów, składów, przystani, założył rząd korejski „Towarzystwo ubezpieczeń". Miało ono również pośredniczyć w handlu cudzoziemców z krajowcami, załatwiać spory i naznaczać ceny. Rozumie się, że kupcy japońscy i europejscy nie przyjęli tego pośrednika, którego zalety dobrze im były skądinąd znane. Za to kupcy korejscy *muszą* wszyscy płacić daninę temu nowemu gniazdu rozboju urzędniczego, wykupywać od niego świadectwa, pozwolenia i załatwiać przez niego większość swych interesów [1]).

Sami Korejczycy przypisują zupełny zanik przedsiębiorczości u swych rodaków, upadek handlu, rzemiosł, sztuki, wiedzy tej podejrzliwej, łupieżczej opiece urzędników. Gdym pewnego światłego Korejczyka spytał o powód zupełnego zniknięcia świetnych niegdyś gałęzi przemysłu, odpowiedział mi smutno:

— Widzi pan... Prawda, że mieliśmy niegdyś zdolnych rzemieślników i artystów, którzy wyrabiali piękne

---

[1]) Report on the Trade of Corea for the Yar 1893, str. 5—7, cytow. według „Opisu Korei", cz. II, str. 260.

rzeczy z porcelany, drzewa, laki i kości, ale zgubiła ich... szlachta i dygnitarze. Zapraszali oni do siebie na dwór takiego słynnego majstra, a gdy nie chciał przyjść dobrowolnie, przyprowadzali go przemocą i kazali mu wyrabiać piękne rzeczy... Przez zazdrość, aby innym nie robił, albo żeby nie uciekł, trzymali go, jak w więzieniu. Musiał całe życie nieraz tak pracować... Nie płacili mu, a gdy źle robił, bili go... Skutkiem tego człowiek zdolny zniechęcał się do swego zajęcia, często przeklinał swój talent i nie chciał nikogo nauczyć swych tajemnic, mówiąc synom i uczniom: „Zostańcie lepiej prostymi i ciemnymi chłopami; moja wiedza i umiejętność jest mojem nieszczęściem!...“ Dlatego znikli u nas mistrzowie, albo uciekli do Japonii...

Ani chwili nie wątpię, że tak istotnie było niegdyś w Korei i dziś poniekąd jest tak samo. Strach przed urzędnikami kazał kryć się z zamożnością, co doprowadziło do zaniku potrzeb wśród ludu.

Czy ta rozległa organizacya urzędnicza, bardzo sprężysta w nadużyciach, daje wzamian choć względne bezpieczeństwo obywatelom? Bynajmniej! Rozboje, oszustwa, kradzieże są w Korei na porządku dziennym, a sądy do tego stopnia przekupne i bezczelne, że ten sam światły Korejczyk powiedział mi o nich:

— W Korei prawo istnieje tylko dla bogatych. Bogaty może zabić człowieka i sądy uwolnią go za pieniądze; człowieka niewinnego, jeśli nie ma czem się opłacić, aresztują i na pewno skażą!...

Dla charakterystyki stosunków policyjno-sądowych przytoczę następujący urywek o rozbójnikach korejskich z miesięcznika wydawanego w Seulu:

„Ze wszystkich stron dochodzą wieści o wielkiej liczbie rabusiów (kan-doe) i złodziei (to-tok-nomi). Ich posterunki znajdują się głównie w wielkiej ilości koło stolicy, przy drogach, po których jeżdżą handlujący; z nich to opryszki ciągną, co mogą. Tegoroczny raport nosi zwykły charakter. Istotnie, co rok, jakiekolwiek są zbiory, liche czy obfite, ci ludzie ukazują się, jak tygrysy, wichrem zimy wypędzone z kryjówek. Chodzą bandami, w liczbie od 30 do 90, pod wodzą przemyślnego wieśniaka, który odznacza się więcej bujną pomysłowością i sprytem w dostarczaniu potrzebnych informacyi, aniżeli męstwem osobistem. Raporty donoszą czasem, że taka banda składa się z trzystu do czterystu osób, sądzimy jednak, że tę wielką liczbę należy przypisać jedynie bujnej fantazyi Wschodu, tak u Azyatów pospolitej. Bandy działają brutalnie i zuchwale, ich wodzowie bowiem umieją zjednywać sobie przyjaciół, gdzie należy, i unikać pogoni. Opryszki lubią dzielić się na oddziałki; te, ukryte przy drogach, napadają na podróżnych, okradają ich do cna i obchodzą się bardzo brutalnie z tymi, którzy tej robocie chcą stawiać opór. Często zabierają wszystko, nawet całe ubranie. Nie cofają się też przed zabójstwem, bez względu na wiek lub płeć. Świeżo zamordowali chłopca dziewięcioletniego na drodze z Seulu do Czemulpo; miał on przy sobie zaledwie 50 centów. Być może, iż łup tak mały

rozwścieklił rabusiów. Lubią również całą bandą napadać na wioski. W tym celu czekają nocy, a kiedy już wieśniacy śpią, ukazują się, donośnem uderzeniem w gong dają znak, aby nikt z mieszkańców nie wychodził z domu. Poczem banda plądruje po wszystkich domach z kolei, zabierając co się podoba. Przerażenie ogarnia wtedy mieszkańców, bo rabusie nie zadowalają się łupem i często puszczają wodze złym namiętnościom, okrucieństwu i rozpuście. Obciążywszy konie zdobyczą, znikają w górach przed świtem".

Korejczycy nazywają takie bandy *psuhan-dong*, czyli „niefrasobliwe" (*sweatless gangs*), dlatego, że one same nic nie robią, lecz korzystają z cudzego znoju. Teroryzują one całe okolice. Jak wspomnieliśmy wyżej, na gościńcu z Seulu do Czemulpo snują się gromady opryszków; drogi wzdłuż rzeki przez Kim-po, Yang-chŏn i Tang-jiu są pono nie do przebycia po zachodzie słońca; na traktach południowych, w biały dzień napadają na wsi i okradają ludzi; na północy, w okolicach Pa-ju polują na kupców jadących z towarami. Przed sześciu laty, przejeżdżając przez to miasto, widzieliśmy taką złowioną bandę. Przez długi czas siała ona trwogę w okolicy, rząd daremnie uganiał się za nią; wówczas rolnicy zawzięli się i udało się im schwytać sześćdziesięciu ludzi. Między nimi nie było ani jednego pięknego mężczyzny; wszyscy uderzali brzydotą i małym wzrostem; wyglądali, jak szczury w pułapce. Rzadko się zdarza, aby jaki rolnik wszedł do takiej bandy; chociaż jest mało skrupulatny, brutalny, chytry,

Seul. „Nam-hao", mały zbieracz siana i słomy.

ma jednak dość jeszcze uczciwości, by nie obdzierać w ten sposób swoich sąsiadów. „Niefrasobliwej bandzie“ dostarczają członków głównie sfery graczów i kryminalistów ze stolicy oraz z większych miast; przyłączają się też do niej biedacy, którzy przez długi czas daremnie stawiali czoło nieszczęściu, aż wreszcie pokonani spadli do poziomu opryszków; znajdujemy też wśród nich wielu ludzi bezdomnych, bezpańskich, ze stolicy i z większych miast; los ich, gdy dostaną się w ręce sprawiedliwości, rozstrzyga się szybko. Śmierć ich czeka, jeśli nie znajdą dostatecznych wpływów, któreby ocalić ich mogły.

Tych wpływów w danym razie nie zabrakło. Chociaż pochwycono sześćdziesiątkę na rabunku, wypuszczono ich wszakże na wolność. Może ci sami ludzie sieją teraz ponownie strach w okolicach miasta“ [1]).

„Jednocześnie urzędnicy bardzo się troszczą o prerogatywy tronu i przestrzegają starych obyczajów“...— powiada kronikarz angielski [2]). I wszystkie swe bezprawia pokrywają tą troską. Jeśli nie zostaną zapłaceni, natychmiast występuje tysiące „starych praw“ i niezłomność w ich obronie jest wprost budująca. W sprawach ważniejszych wyjeżdża na scenę miłość tronu, ojczyzny, obawa o wielkość i całość państwa i nieunikniona w takich razach... denuncyacya. Do tego obowią-

---

[1]) „Korean Repository“, 1897 r., vol. IV, December.
[2]) Tamże, str. 111.

zuje obywateli prawodawstwo korejskie, jak wogóle wszystkie prawodawstwa biurokratyczne. Niewolno jednak w Korei denuncyować młodszym osobom starszych: synowi ojca i matki, wnukowi dziada i babki, czem różni się prawodawstwo tego kraju od innych, a upodobania do prawodawstwa chińskiego. Donosiciele otrzymują nagrodę 30 do 250 sztuk tkaniny bawełnianej, zależnie od ważności przestępstwa. Wykrycie fałszerzy dokumentów rządowych daje szpiegowi prawo do majątku przestępców. Za denuncyacyę fałszywą grozi kara o jeden stopień mniejsza od kary, jakaby spadła na obwinionego.

Dzięki temu na życiu korejskiem leży smutny cień, wszystko wydaje się przygnębionem, pozbawionem wszelkiej przedsiębiorczości i chęci do życia. Najmniejsza nowość przeraża; jak zbolałe ciało lęka się najmniejszego dotknięcia, tak społeczeństwo korejskie obawia się wszelkich zmian. Wszędzie panuje nieufność i płynąca z niej obojętność. Myśl odwraca się od dalekich i rozległych planów społecznych, literatura i nauką karmi się tłomaczeniami z chińskiego; światopogląd tonie w suchych, oportunistycznych spekulacyach Konfucyusza, tego przedziwnego filozofa biurokratyzmu. Hodować długie paznokcie, nosić odpowiednią swemu położeniu odzież, nic nie robić, na nic się nie narażać, czcić starszych i zwierzchność bez względu na ich wartość, żyć ze wszystkimi w zgodzie, grzecznie usuwać się z drogi złym, lecz silnym, bezczynnie współczuć z nieszczęśliwymi, a głównie... pilnie prze-

strzegać wszelkich obyczajów towarzyskich, prawideł, przesądów, uważając je za „mądrość wieków" — stało się kanonem dobrze wychowanego jań-bania i każdego szanującego się Korejczyka.

— Mo-gu-ra-gi!... mo-gu-ra-gi!... — powtarza inteligentny Korejczyk, oznaczając tym wyrazem dążenie do *wewnętrznej* doskonałości oraz ćwiczenie się w *myśleniu oderwanem*.

Znaczy ono „żaba" i nie obowiązuje do ujawniania *na zewnątrz* cnót posiadanych. Przeciwnie obowiązuje do panowania nad swemi uczuciami, zarówno złemi, jak dobremi. Korejczyk z towarzystwa nie gniewa się, nie krzyczy, nie unosi, ale nie cieszy się też, nie dziwi niczemu i do niczego nie zapala... Łagodna wyrozumiałość z domieszką sceptycyzmu powinna zdobić jego rozumowania...

Na szczęście ta „żaba" umysłowa, pilnie szczepiona przez chińskich myślicieli na tutejszym gruncie w ciągu wielu stuleci, nie pożarła jeszcze całkiem duszy nieszczęśliwego ludu. Już w „Jö-czi-son-nam" z XV stulecia wspomniany jest zaszczytnie Köm-gun, który w czasie suszy, kiedy lud sprzedawał własne dzieci, aby zdobyć środki do życia, nie przyjął swej części zboża, nadesłanej mu przez rząd; ukradli ją wprawdzie urzędnicy i otruli go, aby ich nie wydał. Tam również w spisie znakomitych obywateli wymieniony jest Kim-hu-czik, z którego grobu wybiegł odgłos łkania i skłonił króla Silla do wprowadzenia reform,

oraz Ccho-czi-uon, znakomity podróżnik i uczony, którego zawistni urzędnicy zmusili zostać pustelnikiem.

Od tej pory lista szlachetnych szermierzy znacznie wzrosła, gdyż żadne społeczeństwo nie może istnieć bez czynnego dobra i odruchów sprawiedliwości...

XX.

Szkic historyczny.

Pierwsze wzmianki o Korei odnaleziono w kronikach chińskich z III wieku przed N. Chr. Opisują one walki udzielnego księstwa Jan (po korej. Jöń) z państwem Dzo-siön, które zajmowało ziemie na wschód od rzeki Lao-he, a więc półwysep Lao-dun i dalej południową Mandżuryę aż do górskiego węzła Päk-tu-sań u źródeł Jalu (Amok-kan) oraz część Korei północno-zachodniej aż po rzekę Tä-don-hań (obecnie obie prowincye Phiön-ań-do). Dalej na wschód od tego państwa, nad rzeką Tu-mań-hań i w północnej części obecnej prowincyi Cham-giön-do, mieszkały w owym czasie plemiona pasterskie Kö-gu-riö, które miały dużo koni i bydła rogatego, a ziemi uprawiały mało. Zdaje się, iż był to szczep tunguski, przybyły z północy. Nosili odzież barwną, wyszytą wzorzysto, upiększoną srebrem, złotem i kamykami. Lubili zebrania, uroczystości, mu-

zykę i procesye. Czcili duchy Nieba i Ziemi, gwiazdę Poranną oraz niewidzialne siły przyrody. Na mogiłach wznosili nagrobki kamienne i obsadzali je sosnami. Byli silni, zręczni, odważni i pełni godności. Nie mieli więzień, ale w razie spełnienia zbrodni winnego sądzili naczelnicy rodowi i zwykle skazywali na śmierć, a żonę i dzieci jego oddawali w niewolę. Posiadali oni własne piśmiennictwo i literaturę. Według podań Kŏ-gu-riŏ, przybyli z za gór Czeń-bo-szania, z środkowego biegu Sungari, oderwawszy się od rodzimego pnia osiadłego tam szczepu Fu-iu (po korej. Phu-ju [1]).

W owym czasie południową część półwyspu zaludniały plemiona rolnicze, które nie miały wcale miast obronnych i mieszkały w obłożonych darniną ziemiankach z drzwiami w dachu. Odziewały się one w tkaniny jedwabne, chociaż znały bawełnę i len (?) [2]. Jako upiększenia używały paciorków, zawieszanych na włosach, twarzy i w uszach. Nogi obuwały w słomiane

---

[1]) Kronikarze zwracają uwagę na wielkie podobieństwo w wierzeniach, obyczajach, charakterze i sposobie zabawiania się między plemionami Kŏ-gu-riŏ a Tungusami oraz starożytnymi Japończykami z drugiej strony. Istotnie, podobieństwo jest uderzające i pochodzi stąd zapewne, że w czasie panowania Kŏ-gu-riŏ w Korei wiele z ich zwyczajów rozpowszechniło się wśród reszty ludności korejskiej, a następnie przesiąkło do Japonii wraz z tłumami wychodźców korejskich.

[2]) Zapewne pokrzywę i konopie, gdyż lnu w Korei niema i prawdopodobnie nigdy nie było.

sandały. Słynni byli jako dzicy, mężni łucznicy i dzirytnicy [1]). Mówiły te ludy pokrewnemi gwarami i rozpadały się na trzy grupy rodowe (hań, po chińsku), według zajętych przez się terytoryi: Ma-hań na zachodzie, Cziń-hań — na wschodzie i Piöń-hań — na południu. Największą z nich była pierwsza, która ogarniała 54 rody; dwie pozostałe miały do 12 rodów. Rządziły się prawem rodowem. Z czasem wpływy wychodźców chińskich i ciągłe walki o niezależność z napastniczymi sąsiadami i rozbójnikami morskimi przetworzyły te luźne zespoły rodowe w silnie zorganizowane państwo wojownicze.

W II wieku przed N. Chr. Dzo-siön zostaje zajęte przez Chińczyków, ale w początkach naszej ery ludy Kö-gu-riö usiłują odebrać je Chinom i w II stuleciu po N. Chr. zagarniają dawne jego terytoryum aż po rzekę Lao-he, tworząc wielkie państwo, obejmujące całą północną Koreę i południową Mandżuryę. Od tej pory rośnie Kö-gu-riö w potęgę i liczbę poddanych, a rozszerzając się drogą wychodztwa coraz dalej na południe, styka się z plemionami półwyspu. Tam w owym czasie już powstawały dwa ustroje państwowe wzdłuż brzegów wschodnich i zachodnich, oddzielone od siebie wysokim łańcuchem górskim. W IV stuleciu po N. Chr. istniały już w Korei trzy królestwa: na północy Kö-gu-riö (po chiń. Gao-guj-li), na południo-zacho-

---

[1]) Korean Repository, 1895, p. 222. Hulbert przypuszcza, że byli to Malajowie.

dzie—Pāk-cžie (Bo-dzi) i na południo-wschodzie Silla (Siń-lo). Podział ten utrzymał się aż do VII stulecia i, zdaje się, był epoką najwyższego rozkwitu samoistnej kultury korejskiej. W I wieku po N. Chr. poselstwo z państwa Silla (po japoń. Sin-ra) wiezie do Japonii, o wiele niżej naówczas stojącej, podarunki rozmaitych wyrobów wytwornych: mieczów, zwierciadeł, naczyń jaszmowych...

Wyżej wszakże od Silla stało państwo Pāk-cžie, gdzie zbiegowie chińscy z dawien dawna wnieśli uprawę ryżu, piśmiennictwo, sztuki piękne i buddyzm... Były to czasy, kiedy myśl chińska nie zmartwiała jeszcze pod tchnieniem mongolskiego biurokratyzmu, zapładniała dobroczynnie sąsiednie narody i dawała początek samodzielnnym cywilizacyom. Kwitną w Korei nauki, sztuki, literatura, szeroko słyną wykwintne obyczaje koreiskie, wspaniałość i polor ich arystokracyi dziedzicznej, męstwo wojska, szlachetność i rozum rządców. Trzy państwa koreiskie wciąż ścierają się z sobą i, lękając sąsiedniego zaboru, współzawodniczą o lepsze urządzenia, o pieczę nad dobrobytem i oświatą ludu. Korea rozwija się, ale zasiane przez wojnę ziarna państwowości rychło zaczynają zachwaszczać życie młodych społeczeństw. Ościenne Chiny, lękając się wzrostu sąsiada, przeszkadzają pokojowemu zlaniu się ludów półwyspu, wciąż podszczuwają jedne na drugie plemiona i państwa, napadają na poróżnionych i narzucają im swoje zwierzchnictwo. Trwa to kilka wieków. W grę zostaje z czasem wciągnięta i Japonia,

u której gnębione ludy szukają pomocy. Bezpośrednio sąsiadujące z Chinami północne Ko-gu-riŏ i Păk-cżie z brzegów morza Żółtego stale ciążą ku Japonii, podczas gdy Silla z wschodnich wybrzeży półwyspu skłania się ku Chinom. W początkach VII stulecia cesarz Jan-di dynastyi Sujskiej postanawia ostatecznie wcielić Koreę do Chin. Ale trzy ogromne jego armie ponoszą ciężkie klęski od wojsk korejskich, od głodu i chłodu. Zabójstwo Jan-di i upadek dynastyi Suj odsuwa na czas pewien od półwyspu grożące mu niebezpieczeństwo. Lecz w dwadzieścia lat potem dynastya Tan wznawia napaść, zajmuje półwysep Lao-dun i oblega miasto Yj-cżiu (Widżu); 150,000 wojska korejskiego zostaje rozbite, 10 miast wziętych, 70,000 niewolników uprowadzonych do Chin, a 40,000 zabitych na placach bojów. Yj-cżiu jednakże nie poddało się i wojsko chińskie, stale posiadające złą intendenturę, cofa się dla braku pożywienia. Niedługo potem (w 660 r. po N. Chr.) Chiny ponawiają napad; tym razem wojska swe kierują przeciw Păk-cżie, zajmują kraj i zmuszają władcę państwa do ucieczki na północ do sprzymierzonych Kŏ-gu-riŏ. W dziesięć lat potem wybucha jednak powstanie pod przewodnictwem mnichów buddyjskich i wodzą wojownika Fu-ku-sinia (Fu-siń). Ogłaszają oni królem nieletniego następcę tronu Ho-so, który wychowywał się w Japonii i przybył do Korei pod osłoną wojsk japońskich. Powstańcom początkowo udało się wyprzeć Chińczyków z kraju, lecz następnie niezgody w obozie tubylców wróciły przewagę na-

jeźdźcy. Wojska korejskie i japońskie zostały pobite. Ho-so uciekł do Kŏ-gu-riŏ, tysiące Korejczyków, chroniąc się przed zemstą zwycięzców, uszło wraz z niedobitkami japońskimi do Japonii, przenosząc tam z sobą wysoką kulturę, religię buddyjską, swój przemysł, handel, nauki i sztukę... Jednocześnie prawie upada Kŏ-gu-riŏ, skąd też tłumy wychodźców uciekają przed Chińczykami do Japonii lub na północ za rzekę Tumań-hań do państwa Bo-chaj. Cały półwysep dostaje się pod berło Chin, jako państwo lenne, i zostaje oddany pod rządy sprzymierzonej ze zdobywcami Silly [1]). Korea po raz pierwszy zlewa się w jedną całość polityczną. Język Silla, jako urzędowy, spoił oddzielne gwary i dał podwaliny spółczesnemu językowi korejskiemu. Koloniści z Silla zajęli stopniowo wyludnione przez zbiegostwo okolice północnej Kŏ-gu-riŏ, choć kraj tamten nigdy już nie odzyskał utraconego wskutek wojen dobrobytu. Stolicą zjednoczonej Korei zostało główne miasto Silla — starożytne So-ja-bol, albo Sara (Soro), które przezwano Ki-rim w czasach, gdy państwo całe przybrało nazwę Silla [2]). Aby dać pojęcie o obyczajach dawnego Silla, przytoczę urywek ze sławnego dzieła korejskiego „Jŏ-czi-sŏn-nam" („Cudowne przedstawienie całości państwa"):

„Silla zwane było czasem „Państwem Syna Królew-

---

[1]) Tamże, str. 255, cyt. według „Opisu Korei".

[2]) Obecnie jest to mała, powiatowa mieścina Kiŏn-cziu (po ang. Kyŏng-ju).

skiego", ponieważ jeden z cesarzy dynastyi Tan (suzerenów Silla—*przyp. Aut.*), słuchając opowiadania posła Silli, uniesiony zachwytem, zawołał: „Doprawdy, jest to kraj syna królewskiego!"...

Lud lubił białe ubranie, kobiety splatały włosy w warkocze i układały je nad czołem, wiążąc jedwabiem kolorowym. Nosiły paciorki naokoło głowy. Na weselach mieszkańcy pili wino i jedli ryż. W dzień Nowego Roku składali sobie ukłony. Grzeczny ukłon polegał na klękaniu i położeniu rąk na ziemi (jeden z powszechnie przyjętych ukłonów w Chinach i Japonii, nie widziałem go obecnie w Korei — *prz. Aut.*). Składali ofiary *krowom*, ponieważ krowa ostrzegła raz króla Silla o niewierności królowej.

Święto Przędzenia Lnu (zapewne pokrzywy lub konopi—*prz. Aut.*) rozpoczynały córki szlacheckich rodów; za czasów króla Juri schodziły się u księżniczki i współzawodniczyły, która najwięcej lnu naprzędzie. Przegrywające ugaszczały resztę.

„Pan miesiąca Wiatru" i „Kwiat narzeczonego".

Za czasów króla Pok-heunga w Silla wybierano gromadę pięknych chłopców i oddawano pod opiekę doświadczonych nauczycieli. Tym chłopcom dawano nazwę „Panów miesiąca Wiatru". Aby znaleźć ludzi, którzy byliby odpowiedni do zajęcia stanowisk urzędowych, król puszczał innych dwóch chłopców w tłum udzi, a potem uważał, jak ci ludzie obchodzić się z nimi będą; zależnie od ich postępowania zapadał

wybór. Dwóch chłopców nazywano „Kwiatami Narzeczonego".

Taniec z szablą. Jeden chłopiec z Silla nauczył się tańca z szablą, udał się do Päk-cżie (państwa), gdzie tańcząc wobec dworu, zabił króla. Został patronem świętym tańca z szablą.

Dnia 15-go szóstego księżyca obchodzili święto kąpieli; wtedy kąpali się, ucztowali i grali.

Mienie przewozili na wozach; lud był dobry i uprzejmy, ziemia żyzna, klimat zdrowy"...

Przy wyliczaniu słynnych miejscowości są wzmianki w tem dziele, że na niektórych szczytach składano ofiary duchom i bohaterom. Wymieniona jest góra Tan-sok, albo Uol-san, o 23 li (i) od stolicy, na której miał ostrzyć swą szablę wódz Silla, Kim-cżu-sin, przed napadem na połączone wojska Kö-gu-rio i Päk-cżie. Po wyjściu z jaskini, gdzie się schronił, próbując miecza, roztrzaskał wielki głaz na drobne kawałki, stąd nazwa góry „Szczyt rozbitych kamieni. Na innej górze ten sam wojownik miał się modlić, prosząc o zwycięstwo. Dalej wymieniona jest dolina Jo-dże-mo, gdzie Ka-sa, dowódca Päk-cżie, urządził zasadzkę, lecz król Silla, Sön-gök odgadł ją i zniszczył nieprzyjaciela. Wspomniane jest jezioro On-dzi, gdzie mieszkał *smok* i gdzie zbierali się pobożni, aby błagać o deszcz. Wymieniona została cieśnina Cżi-söul, nad którą zagłodziła się się żona posła Päk-cże-sania, patrząc na wyspę Cu-szimę, gdzie zginął jej mąż z ręki Japończyków. Z klasztorów wymieniony jest Cżiun-cżiu, skąd

pochodził znany kapłan buddyjski, uwodziciel królowy Silli, wykryty i zabity przez króla za harfą, za którą się schował. Klasztor Sŏg-czang zasłynął przez swego kapłana Jang-cźi, który rzucał w powietrze cudowną maczugę spiżową, dzwoniącą przed upatrzonym domem, aż wyszli zeń mieszkańcy i złożyli do przyczepionej miseczki pieniądze lub jadło, naówczas maczuga zrywała się i wracała do pana [1]). Wymienione są ołtarze Silla dla duchów miejscowych, duchów chorób, świątynia Wielkich Królów, przybytek „Świętej Matki“ Jąg-mo, wystawiony na cześć matki starożytnego rodu Pak Hjŏkko-sä, którzy mieli powstać z jajka „Niewiadomego macierzyństwa“.

W spisie słynnych ludzi wymienieni są:

— On-cźiun-ha, który, kiedy żołnierze Kŏ-gu-riŏ przyszli zamordować króla Silla, przywdział suknie królewskie, udawał monarchę i został zamiast niego zabity.

Sol-som-du, który jako poseł udał się do Chin i skłonił je do wojny z Kŏ-gu-riŏ.

Pak-kjul, albo „Sto płatków“—twórca słynnej pieśni „O łuskaniu ryżu“.

Päk-cze-sań, który ułatwił ucieczkę bratu królewskiemu z Japonii; torturowany powiedział, iż wolałby być psem w Silla, niż urzędnikiem w Japonii.

Ji-sa-pu, który napadając na wyspę Ullŏng-do, umieścił na łod ziach drewniane lwy rzeźbione i zmusi w ten sposób wyspiarzy do poddania się bez oporu.

---

[1]) ?! bumerang.

Sŏk-u-rŏ, który znieważył japońskiego posła, wypowiadającego wojnę Silla; został wydany Japończykom i ci spalili go żywcem, ale wdowa jego w następnym roku otruła przybyłego znowu przedstawiciela Japonii. Wreszcie pomieszczony jest tam spis 44 urzędników cnotliwych, a na ich czele wielkorządca Silla już z ramienia królów Ko-riŏ, niejaki Ua-jong, który tak był kochany przez ludność prowincyi, że zbuntowani mieszkańcy Kŏn-cżiu, ujrzawszy go, natychmiast się uspokoili" [1]).

W tych nikłych zarysach doskonale można rozpoznać połączone obrazy Chin i Japonii, których wpływy na półwyspie coraz ostrzej zaczynają się ścierać. Szczególniej uderza podobieństwo starożytnej Korei do Japonii; ta sama cześć gór, ustrój arystokratyczny, sławienie wierności wasalów, czułości kobiet, tańce, których nie znają Chiny, naiwne bohaterskie lub miłosne legendy. Niższa w początkach kulturalnie Japonia zdobywa jednak bardzo wcześnie przewagę polityczną nad Koreą.

Już w poselstwach wysyłanych przez Japonię do Chin w III i IV stuleciu wymienieni są, jako podwładni, „pełnomocnicy i naczelnicy wojskowi sześciu państw

---

[1]) Korean Repository, 1898, November: Urywek tłomaczony przez H. B. Hulberta z wielkiej, dwudziestotomowej, korejskiej encyklopedyi geograficznej, wydanej w latach 1451—53, ułożonej przez korejskiego uczonego, Sa-sim (podpisującego się pseudonimem No-so-ia) i uzupełnionej w 50 lat potem przez So-ko-jun-ga (pseud. So-sa-ga).

korejskich" [1]). Ale szczytu swego wpływu dosięga ona w X wieku, kiedy powstanie pod wodzą Oangiona, potomka dawnych królów Kŏ-gu-riŏ, niszczy zwierzchnictwo chinofilskiej Silla i zakłada na półwyspie nowe państwo Ko-riŏ (po chińsku Gao-li) ze stolicą w mieście Son-do (obecne Kă-siŏn na pograniczu północnem prowincyi Kiŏn-gyj-do w środkowej Korei). Cztery stulecia panowania dynastyi Oan są epoką rozkwitu oświaty ogólnej, nauki korejskiej, sztuki oraz buddyzmu, który uznany został za religię państwową. Choć wolna od dawnej względem Chin zależności, Korea podtrzymuje z tem państwem stosunki przyjazne i korzysta z pełnego blasku ruchu umysłowego z czasów dynastyi Sun, po której upadku rząd korejski nabywa część nankińskiej biblioteki pałacowej (1313 r.). Szeroko rozlewające się czytelnictwo sięga warstw ludowych i wprowadza wśród pisarzy korejskich użycie, obok chińskiego i hieroglificznego pisma, znaków ludowego alfabetu dźwiękowego) [2]).

---

[1]) D. N. Anuczin: „Przyczynek do charakterystyki Japończyków", *Rusk. Wied.* 1904, nr. 183.

[2]) Wynalazek znaków „i—do", albo „i — muń" przypisują niejakiemu Cziŏl-dzon'owi z Silla w 692 roku, używano ich jako wstawek w szeregach hieroglifów chińskich dla oznaczenia fleksyi, spójników, przedimków oraz innych potrzeb gramatycznych, obcych językowi i piśmiennictwu chińskiemu a koniecznych w języku korejskim. Obecny alfabet korejski „o—muń" miał powstać o wiele później i również został niby wynaleziony przez jednego z królów dynastyi Sie-dzon w 1443 r. Ale bliższe badania wykazały w nim pierwiastki sanskryc-

Okres względnego spokoju, przerwany jedynie w początkach IX stulecia najściem kindaniów, trwa do XIII wieku, kiedy hordy mongolskie nagle zalewają Koreę i po 30-letnich walkach wcielają ją ostatecznie do swego ogromnego państwa. W 1256 r. król korejski musiał udać się osobiście na dwór chana dla złożenia hołdu poddańczego. W 1266 r. wnuk Czingisa Chubilaj (Kubłaj) wyrusza przez Koreę na zawojowanie Japonii; haniebnie pobity, ponawia w kilka lat swoją wyprawę. Oba razy wojska korejskie zniewolone są towarzyszyć mongołom. Po ostatecznem zniesieniu armii Chubilaja na brzegach Japonii, ucisk mongolski w Korei wolnieje i pod koniec panowania mongołów w Chinach Korea już nie płaci im daniny. Natomiast Japonia, zdaje się, że po raz pierwszy spostrzega niebezpieczeństwo, grożące jej z tej strony. Widmo zdobywców, którzy, przechodząc przez Koreę, jak po moście, godzą na jej niezależność, już jej nie opuszcza ani na chwilę. Udział Korejczyków w napadzie zwiększył japońską nieufność i trwogę o przyszłość. Od tej chwili w ciągu wielu lat nie

---

kie, syryjskie i żydowskie, które wraz ze znakami mongolskimi, mandżurskimi i turańskim alfabetem „kiu", runami ujgurów i pismem tunguskiem „kidań" złożyły się na ostateczne ukształtowanie znaków korejskich „o-muń". Przybyły one do Korei z północy, z państwa Kö-gu-riö o wiele wcześniej, niż to podają kroniki i zdradzają pokrewieństwo z „hira-ganą" i „kata-kaną", ludowymi alfabetami japońskimi, które przypuszczać należy, że wprost od nich pochodzą.

ustają dorywcze wyprawy korsarzy japońskich w celu opanowania wysp i brzegów w cieśninie korejskiej.

W 1368 roku upada w Chinach dynastya Mongolska; następująca po niej dynastya Miń żąda od Korei daniny i przyznania znowu protektoratu chińskiego. Ostatni król Ko-riö odmawia. Ale w wojsku wybucha bunt pod wodzą I-siön-ge, głównego wodza korejskiego, który kończy się złożeniem z tronu starej i wstąpieniem nowej linii królów „Dzo-siön" [1]).

I-siön-ge miał pochodzić z okolic Genzanu, z rodziny wieśniaczej. Służąc w wojsku, odznaczył się, został mianowany głównodowodzącym całej armii i przez zaślubienie córki królewskiej zajął wyjątkowe stanowisko u dworu. Starał się skłonić swego teścia, ostatniego króla Oan, Konjana, do reform, ale zepsuty i niedołężny monarcha nie mógł ukrócić swawoli i bezrządu szlachty. Gdy Chiny zagroziły wojną za odmowę da-

---

[1]) W Silla od 57 roku przed N. Chr. do 661 po N. Chr. panowało 30 królów z rodzin Pak, Ciök i Kim. W Kö-gu-rio od 37 r. przed N. Chr. do upadku państwa w 668 r. panowało 28 królów z dynastyi Ko. W Päk-cżie od od 78 roku przed N. Chr. do upadku w 660 r. panowało 31 królów z dynastyi Pu-iö (Fu-ju). W epoce połączenia trzech państw pod zwierzchnictwem Silla (thon-hap) panowało 23 królów Kim i 3 królów Pak. Ostatni, złożony z tronu przez Ko-riö, był z familii Kim w 935 r. Z dynastyi Ko-riö, Oan panowało 37 królów do upadku w 1392 r. Od tego czasu rządziło Koreą 34 królów z panującej obecnie dynastyi „Dzo-siön". Ogółem w ciągu bez mała 2000 lat panowało w Korei 186 królów.

niny, I-siŏn-ge skorzystał ze wzburzenia w wojsku, zawładnął stolicą i wysłał natychmiast do Nankinu gońców z oświadczeniem swej zależności lennej oraz z prośbą o uznanie go królem Korei i przywrócenie państwu, a zarazem jego dynastyi starożytnego miana „Dzo-siŏn". I-siŏn-ge w historyi Korei odegrał taką samą rolę, jak Piotr Wielki w historyi Rosyi. Wzorując się ślepo na Chińczykach, wzmocnił władzę królewską, zbiurokratyzował urządzenia, wprowadził chiński ubiór, chińskie zwyczaje, chińskie prawodawstwo i wyłącznie chiński język w urzędowaniu i literaturze. Konfucyanizm został uznany za religię państwową i rozpoczęto nielitościwe prześladowanie buddyzmu. Wprowadzono chińskie egzamina państwowe i kolegium Konfucyusza (Siŏn-giuń-goań), odpowiadające ministeryum oświaty, zaczęło odgrywać ważną rolę w zarządzie, szerząc gwałtownie chińszczyznę wśród ludu [1]). Stolicę przeniósł I-siŏn-ge do Seulu (Chań-siŏn) i podzielił kraj cały na 8 prowincyi. Prowincyami zarządzali gubernatorowie (koań-cchal-sa, inaczej kam-sa) za pośrednictwem dwóch sekretarzy przybocznych: wojennego (cżiuń-guń) i cywilnego (to-sa). W razie zaburzeń, miejscowości dotknięte niemi oddawane były pod zarząd niezależnych generał-gubernatorów (ań-mu-sa, co znaczy „pogromca"). Miasta były podzielone na cztery rodzaje: miasta wielkie, „cżiu", rządzone

---

[1]) „Korean Repository, 1896, str. 344, cyt. według „Opisu Korei".

przez „pasterzy" (mok-sa); 2) miasta średnie, „pu", z „opiekunem praw ogólnych" na czele (to-ho-bu-sa, albo „pu-sa" w skróceniu); 3) miasta pomniejsze, „kuń", z „ochmistrzem" (kiu-su); 4) miasta małe, „chiön", rządzone przez „chiön-nionów".

Państwem rządziła Rada Najwyższa (Yj-czion-bu), składająca się z trzech książąt (sam-gou), przybocznych doradców króla. Tytuł członka rady był dożywotni, ale istotny w niej udział miały tylko trzy osoby, zmieniające się kolejno. Równolegle istniała Rada Królewska, która składała się z prezesa, 2 radców, 6 starszych i 8 młodszych asesorów, oraz 8 asesorów nadzwyczajnych, 1 registratora i 3 sekretarzy. Rada zbierała się raz na miesiąc w obecności króla.

Poszczególnymi wydziałami zarządzały izby („dzo"). było ich sześć: 1) urzędów, 2) finansów, 3) obrządków, 4) wojny, 5) sprawiedliwości, 6) robót publicznych. Między izbami a królem pośredniczyła „izba pośrednictwa" (sy-cźion-uöń), przedstawiająca coś w rodzaju przybocznej kancelaryi królewskiej. Na jej czele stali „syn-cźi", czyli „sprawozdawcy królewscy". Prócz tego istnieli „tajni rewizorowie" (ö-sa), którzy wysyłani byli na prowincyę dla sprawdzania rządów gubernatorów i innych urzędników [1]). Podróżowali w przebraniu, otoczeni przebraną strażą i byli obdarzeni wiel-

[1]) Coś w rodzaju rosyjskich „rewizyi senatorskich", tylko otoczonych większą tajemniczością i obdarzonych większą władzą.

kiemi prawami. Mogli zrzucać urzędników z miejsc, więzić, wszczynać przeciw nim sprawy karne, a podrzędniejszych nawet skazywać na śmierć.

Sądownictwo pozostawało całkowicie w rękach administracyi. Drobne sprawy po wsiach sądzili wójtowie; wyższą dla nich instancyę przedstawiał naczelnik powiatu, który przesądzał większość spraw nieodwołalnie. Bardzo ważne sprawy szły do gubernatora lub nawet ministra. Sprawy kryminalne sądził sąd, od którego wyroku wolno się było odwołać do gubernatora. Sprawy polityczne rozpatrywał sąd Najwyższy; on również sądził szlachtę i urzędników...

Zależność od Chin wyrażała się, w „przyznaniu“ (inwestytury), o jakie obowiązany był prosić każdy z królów korejskich przy wstąpieniu na tron, oraz w corocznem poselstwie z daniną, składającą się z wyrobów i płodów krajowych; w zamian dwór korejski otrzymywał *kalendarz chiński* na znak zależności i opieki. Prócz tego królowie korejscy obowiązani byli zawiadamiać niezwłocznie cesarza chińskiego o wszelkich ważniejszych wypadkach i zmianach, jakie zaszły w ich państwie. Monarchowie korejscy mieli jednak prawo nadawać latom swego panowania osobny tytuł „niöńho“ oraz sami za życia używali tytułu „cżin-sancżiöńha“, a po zgonie otrzymywali od cesarza chińskiego „tytuł pośmiertny“ (si-ho [1]). Mieli prawo uży-

---

[1]) Taki tytuł obowiązkowo składał się z 4 hieroglifów: dwa były tytułem, a dwa imieniem. Drugi hieroglif z rzędu

wać żółtego koloru, korony, miecza, trójzębu i wizerunku smoka, jako regalii.

Przewrót wywołany temi reformami, wprowadzającemi ukształcenie, jako czynnik, równający wszystkie stany, nadzieja polepszenia doli, obudzona w ludzie prostym, pewne złagodzenie okrutnego systemu karnego, ustanowienie sprawiedliwszych podatków... obudziły ruch w całym kraju. Rozpadł się on na dwa stronnictwa: zwolenników starego porządku i obalonej dynastyi, oraz zwolenników reform i panującego. Panowanie syna i wnuka I-siŏn-ge'a upłynęły w ciągłych walkach tych dwu stronnictw i tłumieniu powstań [1]. W tym czasie (1443 r.) Japonia w osobie księcia wyspy Cuszima uzyskuje prawo założenia stałej faktoryi handlowej w Fuzanie, sadowi się więc przezornie nietylko na wyspach, ale i na obu brzegach cieśniny korejskiej. Do końca XVI w. w ciągu dwustu lat panowało 19 królów i chociaż rządy większości mąciły wewnętrzne niesnaski jan-baniów, dworskie intrygi i zamachy stanu, lecz za to Korea cieszyła się trwałym pokojem na zewnątrz, kwitły nauki i literatura, podtrzymywane przez

---

zawsze musiał być albo „Dzo" (założyciel), które było dawniejszą nazwą, używaną przez królów wojowniczych z panowaniem burzliwem, albo „dzon", które dostawali królowie, panujący w czasach spokojnych.

[1]) I-siŏn-ge na 11 lat przed swym zgonem ustąpił rządy państwa synowi swemu „Cźiŏn-dzo Kon-Cźion"; otrzymał zaszczytne si-ho (miano pośmiertne) „Thä-dzo" (wielki założyciel).

monarchów. W 1451 roku rozpoczęto słynne wydawnictwo „Jö-cżi-sön-nam“ (Cudowne przedstawienie całości państwa), uczony Siń-siuk-dzu opracował obszerne dzieło historyczne „Kuk-dzo-bo-gam“; w 1485 r. ukazała się praca historyczna Sö-gö-dzona pod tytułem „Ton-guk-ton-gam“ oraz „Tä-miön-jol“ (Statut dynastyi Miń), który wnikł w osnowę prawodawstwa korejskiego. Wreszcie traktaty moralne w stylu Konfucyusza: „Sam-gań-hän-sil-do“ (1434 r.) i „I-riuń-hań-sil-do“ (1518 r.). Ale wszystkie te prace były mało oryginalne, naśladowały ciężkie, drobiazgowe encyklopedye chińskie lub wypracowania Konfucyusza i Mendzy, Pouczały o „obrzędach“, o „pięciu stosunkach ludzkich“, „o czci synowskiej“ (hio) lub wpływach wzajemnych „dwóch pierwiastków świata“ itd. Te suche, jałowe płody scholastyczne pochłonęły całkowicie żywą twórczość myśli korejskiej. Poezya korejska, zanim zdołała rozwinąć się, zwiędła już w uścisku łatwego i powierzchownego wierszoklectwa chińskiego. Na wspomnienie zasługuje zaledwie poemat „Cżio-yj-cżie-bu“, napisany w XV stuleciu przez Kim-dzon-cżika, który dzięki znajdującemu się w poemacie napomknieniu o zgonie króla Tań-dzon (1455 roku) wywołał w 1498 r. prześladowania polityczne. Wszystkie dzieła w owych czasach były pisane po chińsku z wyjątkiem powieści i piosenek ludowych, w których ukryły się i przechowały resztki niezależnej duszy korejskiej. Ale ukształcony Korejczyk wstydził się czytać te rzeczy; były to książki dla kobiet i prostaków.

Tę trochę wiedzy przyrodniczej, jaką posiadała mądrość chińska, uprawiał w tym czasie wyłącznie *stan trzeci;* szlachta i urzędnicy nie opuszczali nigdy sfer filozofii i moralności, gdyż one jedynie dawały... stopień naukowy i urząd.

Sztywny biurokratyzm zwolna przenikał urządzenia korejskie, ale zupełny jego tryumf nastąpił dopiero po wojnie Japońskiej.

Dynastya Dzo-siŏn za przykładem swego założyciela starała się utrzymać zgodę z potężnymi sąsiadami i w tym celu stale opłacała daninę Chinom i Japonii. Ale zaburzenia, jakie wstrząsnęły Japonią w XV i XVI wieku, tak ją osłabiły, że Korea przestaje jej się lękać i w 1460 r. odmawia wysyłania przyjaznych poselstw i daniny. Niepokoje w Japonii kończą się upadkiem rodziny Asikawa i przedsiębiorczy, utalentowany szioguń Hidejoszi poczyna rządzić niepodzielnie państwem „Wschodzącego Słońca". W lecie 1592 r. wypowiada on niespodzianie wojnę Chinom i przerzuca do Korei ogromną na owe czasy 150,000 wyborową armię, zaopatrzoną nawet w broń ognistą, którą Japończycy wzięli od Portugalczyków. Przyczyny wojny niewiadome [1]). W 18 dni po wylądowaniu w Fuzanie już Seul

---

[1]) Historycy różnie ją sobie tłomaczą. Źródła korejskie pomawiają Japonię o chęć zawojowania całych Chin; w tym celu miała ona proponować sojusz Korei, ale król Siŏn-dzo odmówił, uważając ten zamiar za szaleństwo. Griffis widzi w tem zdradziecki pomysł pozbycia się chrześcijan, którzy

został przez Japończyków zdobyty. Król uciekł na półwysep Lao-dun, skąd pisał listy błagalne do cesarza chińskiego. W Seulu wodzowie japońscy rozdzielili się: Kato ruszył na północo-wschód, Konisi na północo-zachód i zajął Phiön-jan, pierwszorzędną twierdzę korejską, gdzie zatrzymał się, oczekując na poparcie floty, która okrążała z zachodu półwysep, aby dostać się do ujścia rzeki Tă-don-gań. Ale około wyspy Quelpart flota korejska rozbiła flotę japońską i odpędziła ku brzegom Japonii. Tymczasem Chiny, których pierwsze oddziały, wysłane na pomoc Korei, zostały zniesione na pograniczu, podjęły rokowania pokojowe, aby zyskać na czasie. Jednocześnie pchnęły pod Phiön-jań olbrzymią, 200,000 armię. Konisi liczebnie o wiele słabszy cofnął się w nocy ku Seulowi, gdzie połączył

---

w znacznej liczbie służyli w wojsku. Inni twierdzą, że Hidejoszi chciał przez wojnę zatrudnić swe niespokojne, bitne pułki, które po zwyciężeniu wrogów wewnętrznych nie miały co robić. Słowem, jak i obecnie, powodów do wojny przytaczają wiele. Wątpliwą jest jednak rzeczą, aby Japonia marzyła o zdobyciu Chin, których potęga i urok panowały jeszcze wszechwładnie nad nią samą; korejskie tłomaczenie wykazuje jedynie wielką lojalność Korei względem Chin i, nietylko w tym wypadku występującą, chęć zaskarbienia sobie łaski i zaufania dworu chińskiego. Prawdopodobniej, Japonia miała powody obawiać się powtórzenia napaści z lądu, jak w 1266 roku, postanowiła uprzedzić ją i zawładnąć Koreą. Być może, iż trwożył ją wzrost floty korejskiej, grożącej jej rybołówstwu i handlowi, a zawieszenie daniny i poselstw świadczyło, że szacunek i strach przed nią zanikł na półwyspie.

się z innymi oddziałami. W zaszłej następnie bitwie, pomimo znacznej liczebnie przewagi i pomocy Korejczyków, Chińczycy zostali na głowę pobici, cofnęli się na północ. Jednakże strata floty wstrzymała pochód Japończyków, cofnęli się więc też na południe, gdzie okopali się w obronnym obozie. W warunkach pokoju, prócz pewnych ustępstw terytoryalnych na wybrzeżach cieśniny Korejskiej, domagał się Hidejoszi uznania przez Koreę protektoratu Japonii i zupełnej jej równości z Chinami. Otrzymawszy odmowę, kazał wojskom ruszyć znowu w głąb kraju. Po kilku zwycięstwach wojska opanowały Seul, lecz musiały się cofnąć, gdyż flota japońska została powtórnie przez Korejczyków pobita [1]). Ustępując, niszczyli oni poza sobą kraj ogniem i mieczem, ścigająca ich armia chińska nie ustępowała im również w grabieżach. W zgliszczach legły najpiękniejsze okolice półwyspu. Kiön-cziu, dawna stolica Silli, słynąca ze świątyń, pałaców i staro-

---

[1]) Według Griffisa flota korejska składała się naówczas z 200 wielkich statków wojennych, zwanych „łodzie-smoki“, gdyż miały dzioby rzeźbione i malowane w kształcie rozwartych pysków smoczych. Uzbrojone były w armaty, katapulty i ogromne łuki, wyrzucające strzały na 6 stóp długie i 4 cale grube. Na pokładzie stały baszty, w których chowali się łucznicy i procarze. Trzecia część pokładu była wolna od sprzętów oraz budowli i przeznaczona dla ruchów piechoty i zarzucania haków oraz mostów w razie walki burta w burtę. Korejczycy przypisują sobie wynalazek tych dwu-pomostowych okrętów, przyjętych następnie przez Chiny i Japonię.

żytnych zabytków architektury i sztuki, padła w gruzach. Wojska japońskie okopały się w Fuzanie i Ulsanie [1]), gdzie trzymały się przez rok, cierpiąc wielki niedostatek. Ul-sański korpus uniknął zagłady jedynie dzięki bohaterskiej odsieczy wojsk z pod Fuzanu. Obie armie, zarówno japońska jak i korejsko-chińska, były zbyt wyniszczone długą kampanią, aby mogły stanowczo na siebie natrzeć. Śmierć Hidejoszi w r. 1598 położyła koniec wojnie. Jedyną zdobyczą tej 6-letniej wyprawy było dla Japonii stałe zajęcie Fuzanu i pozostawienie w nim załogi. Wpływ chiński zapanował niepodzielnie w wyniszczonej, zrujnowanej krainie. I chociaż w 1623 r. na żądanie wnuka potężnego Je-jasu Korea wznowiła swą daninę Japonii, znaczenie ostatniej na półwyspie upadło doszczętnie i odżyło zaledwie w 200 lat później. W 1627 r. w zimie Mandżurowie przebywają po lodzie rzekę Jalu (Amok-kan), znoszą armię chińską i oblegają Seul. Król Iń-dzo uznaje się za wasala Mandżurów, lecz po ich odejściu, zrywa umowę, wywołuje powtórne najście, w czasie którego zwyciężony ucieka wraz z dworem na wyspę Kan-hoa, gdzie już raz dwór korejski szukał schronienia przed Mongołami. Po zawartym pokoju Korea ostatecznie uznaje poddaństwo mandżurskie, daje synów królewskich na zakładników i obiecuje płacić sutą, roczną daninę z ryżu, futer, mat, papieru, płócien, tkanin, żeń-

---

[1]) Miasta nadmorskie na północ od Fuzanu nad zatoką „Cesarzewicza“ i „Dydymowa“.

szenia oraz wielu innych rzeczy... Dynastya mandżurska odbiera królom korejskim prawo bicia własnej monety, wtrąca się do rządów i wogóle traktuje Koreę prawie jak prowincyę zawojowaną. Zwolna jednak własne sprawy odciągają uwagę dworu pekińskiego od półwyspu i nieszczęśliwy, obolały kraj zasklepia się w sobie. Państwa ościenne nie przeszkadzają temu, gdyż nastraszone przez Europejczyków, same uprawiać zaczynają politykę odosobnienia.

Rząd korejski opustoszył wybrzeża z ludności, zakazał stosunków z cudzoziemcami pod karą śmierci, zamknął szczelnie swe granice z wyjątkiem dwu miast na granicy chińskiej i Fuzanu od strony japońskiej, gdzie odbywały się parę razy do roku jarmarki. Używanie wyrobów cudzoziemskich uważane było za występek godny śmierci, nawet prosta rozmowa rybaków z spotkanymi na morzu obcokrajowcami wywoływała przewlekłe śledztwa i prześladowanie. Cudzoziemiec, pojmany w granicach Korei, płacił za to życiem, a krajowców, co mu dali schronienie, skazywano na wygnanie. Jednocześnie wzbroniono ludowi korejskiemu wszelkiego zbytku, noszenia złotych lub srebrnych upiększeń, jedwabnych oraz wogóle wzorzystych tkanin, budowania domów wygodniejszych i większych, gromadzenia wytwornych przedmiotów... Wszystko w celu zabezpieczenia się od pożądliwości łupieżczych sąsiadów. Wskutek tego upadł do reszty wyrób sprzętów ozdobnych, naczyń cennych, upadły: malarstwo, rzeźba, tkactwo, garncarstwo i większość rzemiosł...

Lud wylękły gotów był wyzbyć się wszelkich potrzeb wyższych, byle uniknąć rzezi i pożóg... Ale strach i pokora złe zwykle wydają owoce... Ucisk wewnętrzny potężniał z dnia na dzień. Schińszczała szlachta, wychowana i zorganizowana w duchu biurokratyzmu wschodniego, strasząc cudzoziemcami, zagarniała całkowicie i nieodparcie rządy państwa w swe ręce. Jak pleśń, przenika ona zwolna najdrobniejsze przejawy życia, ssąc z niego soki i pokrywając swe bezprawia obroną starych obyczajów oraz rzekomą troską o bezpieczeństwo tronu i państwa. Ich solidarność i intrygi sprowadzają do zera znaczenie monarchy, napozór samowładnego: on może jedynie czynić zło i dążyć w kierunku celów urzędniczych. Daremnie rozumny Siuk-dzon Uöń-hio (1673—1719 r.) stara się podnieść oświatę ludu, zreformować podatki. Wszystko tonie w wirze walk szlachecko-urzędniczych (jań-bań). Z dawien dawna istniało współzawodnictwo i nienawiść między jańba-niami ton-iń (wschodnim) pochodzenia cywilnego i siö-iń (zachodnim) wojennego. Ale za panowania wspomnianego monarchy rozpadli się oni jeszcze na cztery odłamy, zbiorowo nazywane Sasäk: 1) Nam-iń (południowi); 2) Puk-iń (północni); 3) No-iń (No-riön) (starych); 4) Siö-iń (Sio-riöń) (młodych) [1]. Wskutek

---

[1]) Podział powyższy utrzymał się do ostatnich czasów; partye te niby to walczą o zasadę, wciąż mówią o miłości ojczyzny i jej szczęściu, ale w istocie jest to walka o posady, gdyż żadna z nich ani nie ma programu, ani nie różni się w poglądach. („Korean Repository", 1897 r., str. 19—20).

ich zabiegów ginie, stracony w 85 roku życia, szlachetny doradca króla, uczony Son-si-riöl, filozof i pisarz znakomity, który za życia jeszcze uzyskał przydomek „dza“ (mędrzec).

Od czasu do czasu, w ciągu XVIII stulecia niektórzy monarchowie, popierani przez szlachetniejsze jednostki ze swego otoczenia, przerażeni wybuchającymi wśród ludu rozruchami, usiłują ukrócić bezprawia swych urzędników, złagodzić obyczaje, podnieść dobrobyt ludu. W 1785 r. zostaje ogłoszony uzupełniony „Wielki Zbiór Praw“ (Tă-cżioń-thon-phiön), oparty na prawodawstwie chińskiem z czasów dynastyi Min, a przedtem jeszcze zniesiono ukazem króla Iön-dzö niektóre kary i tortury, jak piętnowanie rozpalonem żelazem, kruszenie kości, tortury ogniowe... Ale wszystko rozbija się o niechęć urzędników, martwieje w zwojach papierów biurowych. Polip urzędniczy trwa dalej a nawet wzrasta. Z pojawieniem się chrześcijaństwa przybywa jeden więcej z powodów do ucisku, szpiegostwa i grabieży. Rozpacz i nienawiść ciemnego ludu, nękanego przez biedę, urzędnicy umiejętnie kierują na wyznawców obcej religii, o wiele lat wyprzedzając w pomysłach antisemitów europejskich. W 1786 r. o mało nie wybuchła wojna z Chinami z powodu zajęcia przez Chińczyków wysp rybołówczych prowincyi Phiön-ań-do. Wojsko korejskie wyparło ich. W czasie rządów Suń-dzo (1800 — 1834) wybuchło straszne prześladowanie chrześcijan, wywołane współzawodnictwem partyi No-iń z Nam-iń. Ostatnia, wśród której

było wielu chrześcijan, została zniszczona. W 1811 r. wstrząsnęło państwem krwawe powstanie w prowincyi Phiön-ań-do, wybuchłe pod wodzą Chiön-giön-na „z niewiadomych przyczyn", według doniesień urzędowych. Trwało ono pół roku. W 1846 r. Francya żąda zadośćuczynienia za stracenie biskupa Imbert'a i wielu misyonarzy. Wysłana ekspedycya osiada jednak na mieliźnie w morzu Żółtem. Za panowania króla Chöń-dzon Kiö-muń (1834—1849) szczególnym wpływem cieszył się ród Kim, z którego pochodziła królowa-matka i żona królewska: jań-banowie uzyskali nowe przywileje, pozwolono im samowolnie nakładać na chłopów pobory z ryżu i pieniędzy; bezprawia i gwałty dosięgły niebywałych rozmiarów.

Chöń-dzon umarł bezdzietnie; wdowa-matka wybrała na następcę tronu prawnuka zabitego przez ojca księcia Dzan-höń (w 1728 r.). Młodego monarchę, Cziöl-dzon, ożeniono z dziewczyną z rodu Kim, dzięki czemu ten ród zachował w dalszym ciągu swój wpływ. Za jego panowania Anglia i Francya daremnie kołaczą za pośrednictwem Japonii do rządu Korei o otwarcie granic dla ich handlu. Cziöl-dzon również umiera bezdzietnie i w roku 1863, po długich walkach trzech wdów królewskich, ubiegających się o „prawo pieczęci królewskiej", zostaje obrany królem przez najstarszą z matek Dzo, dwunastoletni Ik-siön, panujący obecnie, syn księcia I-ha-yn, też wnuk wspomnianego powyżej Dzan-hön'ia. Zręczny, przebiegły i stanowczy I-ha-yn

uzyskał tytuł Tă-uŏń-gun'ia [1]), przyjął zaszczytne imię Chyn-siŏn i zwolna za pośrednictwem małoletniego syna i starej Dzo, której umiał schlebiać, owładnął rządami państwa. Z usposobienia był to despota, nienawidzący chrześcijan i cudzoziemców. Zrozumiał on jednak, że głównem źródłem słabości politycznej Korei jest bezrząd, gwałty i złodziejstwa jań-baniów. Więc, w celu wzmocnienia władzy królewskiej, podjął zaciętą walkę z nimi, a przedewszystkiem z wszechwładnym rodem Kim. Piętnastoletniego syna swego ożenił z córką swego szwagra (Miń-cżi-rio-ka), ubogiego naczelnika powiatu z rodu Miń, co pozwoliło mu się oprzeć w swej walce na tym rodzie i było początkiem wywyższenia Miniów. Zmian zasadniczych w urządzeniach państwowych Tăn-uŏń-guń nie wprowadził, zburzył jedynie świątynie Sławy w całem państwie (z wyjątkiem 48) i spalił tablice pamiątkowe „znakomitych przodków“, na których opierały się przywileje wielu rodzin szlacheckich. Większe znaczenie miało wprowadzenie przezeń podatku „ho-bo“ (podymnego), w miejsce dawnej wojennej daniny pogłównej, płaconej wyłącznie przez lud prosty. Ho-bo płacą niby wszystkie stany, prócz *urzędników*. Właściwie więc mało co się zmieniło [2]),

---

[1]) Tăn-uŏń-guń — zwykły tytuł ojców królewskich, niesprawujących rządów.

[2]) Tego podatku, gdyby opłacały go wszystkie domy, posiadające ogrzewane z dołu pokoje, jak tego wymaga prawo, wpływałoby do skarbu 700,000 dol. (po 0.60 dol. z domu).

lecz lud został cokolwiek ugłaskany i pozyskany nadzieją dalszych reform. Tän-uöń-guń jednak nie spieszył się z niemi; przeciwnie, wszczął okrutne prześladowanie chrześcijan, którzy uchodzili za głównych stronników zmiany. W roku 1866 został stracony biskup Berneux i wielu misyonarzy, rząd francuski wysłał 7 wojennych okrętów pod wodzą admirała Rose z żądaniem zadośćuczynienia. Dwie łodzie działowe weszły w ujście rzeki Chań-hań i podpłynęły do Seulu, jednocześnie Francuzi zdobyli małą twierdzę i miasto na wyspie Kang-hoa, ale nie zdołali wziąć na lądzie obronnego klasztoru, obsadzonego wojskiem i „tygrysimi strzelcami". Cofnięcie się Francuzów a następnie bezkarne wymordowanie załogi i spalenie statku amerykańskiego „General Sherman" upewniło ostatecznie rząd korejski w jego nietykalności, gdyż egzekucyjna eskadra amerykańska admirała Rogersa również cofnęła się po zburzeniu fortów w Kang-hoa. Lecz przymusowe otwarcie granic chińskich dla Europejczyków, a głównie rewolucya w Japonii stworzyły i w Korei prądy, dążące do zmian i zawiązania stosunków z Europą. Zdaje się, że na czele ruchu postępowego stanął prześladowany naówczas przez Tän-uöń-gun'ia ród królowej Miń, dążący do władzy. W 1872 roku król dosięga pełnoletności i za namową swej ambitnej małżonki usuwa od rządów wszechmocnego dotychczas ojca. Walka

---

w istocie jednak daje on zaledwie 278,479 dol. (rok 1900, budżet państwa, dochody).

o wpływy zaczyna się toczyć dokoła zagadnień polityki zagranicznej. Młody król chwiał się i początkowo odmówił nawet przyjęcia posła japońskiego, który przybył z żądaniem wznowienia daniny, przerwanej w 1811 r., i przyznania protektoratu Japonii. Japończycy pozornie ustąpili, lecz gdy w 1875 roku jeden ze statków japońskich został powitany strzałami z twierdzy Kang-hoa, wysłali poselstwo do Pekinu z zapytaniem: jakie stosunki łączą Chiny z Koreą i kto odpowiada za jej zachowanie się? Jednocześnie flota japońska pod dowództwem Kurody Kiotaku zawinęła do ujścia rz. Chań. Chiny, któremi Korea, jako wasal, zasłaniała się zwykle w stosunkach z obcemi państwami, na stanowcze pytanie Japonii oświadczyły, że zgoła nie odpowiadają za postępki Korei i nic nie mają przeciw zawarciu japońsko-korejskiego traktatu handlowego. W rezultacie stanęła umowa (26 lutego 1876 r.), mocą której Korea obowiązywała się otworzyć dla handlu japońskiego jeszcze dwa porty oprócz Fezanu — Genzan i Czemulpo. W maju tegoż roku udało się do Japonii pierwsze poselstwo korejskie, przyjaźnie i uroczyście przyjęte. Zawiązały się między obu narodami i następnie całym światem nowe, odmienne stosunki. Ale Korea bardzo niechętnie wypełniała swoje zobowiązania. Poseł japoński w Seulu Chanabuza musiał osobiście wyznaczyć miejsce dla kolonii japońskiej w miasteczku Iń-czió (obecnie Czemulpo), co nastąpiło dopiero w 1880 r., a jeszcze w 1882 r. zwolennicy

„starych obyczajów“ z Tän-uŏń-guniem na czele żądali zerwania traktatów i wypędzenia Japończyków oraz cudzoziemców. Zdarzyło się jednak, że wykryto w tym czasie spisek na życie królewskie, uknuty przez partyę konserwatywną, wskutek czego nietylko traktat z Japonią nie został zerwany, lecz zawarto umowę z Ameryką i rozpoczęto wstępne rokowania z Anglią i Niemcami. Chiny pozornie sprzyjały otwarciu granic półwyspu, szukając w tem przeciwwagi dla wzrastająjącego znaczenia Japonii; jednocześnie prowadziły intrygi na swoją rękę. Tän-uŏń-guń oraz wroga wszelkim „nowościom“ partya nie dała również za wygraną. Gdy w r. 1882 zabójcza susza nawiedziła kraj, urzędnicy tłomaczyli ciemnemu ludowi, że to kara niebios za naruszenie „starych obyczajów“, za stosunki z „zamorskimi dyabłami“. Wybuchły rozruchy, do których przyłączyły się i wojska suelskie, podrażnione zmniejszeniem porcyi ryżowych. Podczas modłów uroczystych o deszcz 23 lipca stronnicy Tän-uŏń-gunia spróbowali pochwycić króla, a gdy im się to nie udało, rozpuścili wśród wzburzonych tłumów pogłoskę, że Japończycy obsaczyli pałac i wzięli w swą moc króla i królowę. Motłoch rzucił się na poselstwo japońskie, spalił je, następnie zburzył domy ministrów, sprzyjających zmianom. Trzy dni trwały zamieszki, zanim, oblegany w dzielnicy swej, poseł Chanabuza z resztą Japończyków zdołał przebić się z szablą w ręku do Czemulpo, uprowadzając kobiety i dzieci.

Zamiary Tän-uŏń-gunia zupełnie się powiodły, rzą-

dy znowu znalazły się w jego ręku. Król, królowa oraz dwaj pierwsi ministrowie z rodu Miń, Miń-thä-ho i Miń-jön-ik ratowali się ucieczką do twierdzy Cżiun-cżiu (w prowincyi Cziun-cziön-do). Zaczęły się prześladowania i mordy wybitniejszych osób z rodu Miń, gdyż właściwie cała ta rewolucya nie była niczem innem, jak walką dwóch stronnictw urzędniczych o posady i dochody. Najlepiej zarysowało się to w stosunku do Japończyków, którzy niezwłocznie uruchomili swą flotę i zgromadzili znaczne wojsko w Simonoseki i na wyspie Cuszima. Nowy rząd korejski nieomieszkał zadośćuczynić wszystkim ich żądaniom, pozornie ukarał winnych, wypłacił 50,000 dol. (jap.) rodzinom zabitych oraz 500,000 dol. (jen) kosztów wojennych i pozwolił wprowadzić do Seulu 200 żołnierzy załogi japońskiej. Tän-uöń-guń udawał nawet wielką przyjaźń dla stanowczych Japończyków i szukał u nich dla siebie poparcia. Za to Chińczycy, którym to się wcale nie podobało, poprzysięgli mu zgubę, zwabili na statek wojenny i wywieźli do Chin, a do Korei natomiast posłali 5,000 wojska, które zajęło Mo-sam-pho. Garnizon chiński w Seulu pod dowództwem generała Ju-ań-szi-kaj'a był podwyższony do 3,000 żołnierzy. Do władzy wróciła natomiast królowa Miń i cały jej ród, który, uważając Chińczyków za swych zbawców, zapomniał o pierwotnie postępowych rojeniach i począł wspierać „dobre, stare obyczaje chińskie". Nieliczna partya reform znikła zupełnie wśród tej zawieruchy; znaczenie wiernego jej sprzymierzeńca, Japonii, zmalało nie-

zmiernie wobec wojennej przewagi Chińczyków i przybycia przedstawicieli dyplomacyi europejskiej, żądnej udziału we wpływach i zyskach.

Do zaufania królowej wcisnął się rychło Niemiec Mellendorf, polecony jej przez Li-chun-czan-ga, i zajął posadę dyrektora komór celnych w portach otwartych dla cudzoziemców.

Ale poza tem reformy nie postąpiły ani kroku. Wsteczna, urzędnicza klika chinofilska po staremu prześladowała zażarcie najmniejszy przebłysk godności ludzkiej lub pragnienia podźwignięcia kraju z upadku. Dyplomacya europejska godziła się z tem, nawet sprzyjała temu, gdyż ciemnota, swawola i bezrząd były źródłem słabości Korei, wygodnej dla nich, a przekupstwo jej urzędników i dygnitarzy doskonałem środowiskiem dla intryg o wpływy i koncesye korzystne. Partya reform, która wiele sobie obiecywała od stosunku z Europą, zawiedziona, zwróciła się znowu całkowicie do Japonii i do solidarnej z nią w polityce korejskiej Ameryki. W 1883 r. wyrusza do Stanów Zjednoczonych poselstwo z wpływowym ministrem Miń-jöń-ik na czele. Wśród członków poselstwa znajdował się utalentowany Kim-ok-kiuń, który po powrocie do Korei w 1884 r. został mianowany wice-prezesem, nowo utworzonego ministeryum spraw zagranicznych. Stanął on niebawem na czele maluchnej partyi reform, która straciwszy ostatecznie nadzieję przeprowadzenia jakichkolwiek polepszeń drogą prawną, uciekła się do zamachu stanu. 4 grudnia 1884 r. uderzono w wielki

dzwon seulski na trwogę i napadnięto na członków rządu, bankietujących u naczelnika departamentu pocztowego, pana Chon-jŏn-sik'a, należącego, jak się zdaje, do spisku. Jednocześnie poseł japoński z oddziałem 150 żołnierzy udał się do pałacu cesarskiego i, opowiedziawszy o wybuchłych zaburzeniach, zaproponował królowi swą opiekę. Straż korejska, w której służyło 14 młodzieńców wychowanych w Japonii i którą dowodził spiskowy Chań-giń-cżik, nie stawiła oporu żołnierzom japońskim. Kim-ok-kiuń wysłał niezwłocznie rozkazy do ważniejszych osobistości z partyi konserwatywnej, aby przybyli do króla. W miarę, jak przychodzili, tracono ich niezwłocznie wschodnim obyczajem. Zgładzono w ten sposób około 11 osób. Konserwatyści wszelako zdążyli uwiadomić o zajściu Chińczyków, i generał Juań z półtora tysiącami żołnierzy chińskich i 3,000 korejskich wpadł do pałacu, gdzie rozpoczęła się zacięta walka, zakończona ucieczką spiskowców i Japończyków. W samem mieście wybuchły poważne rozruchy. Tłum pod wodzą urzędników rzucił się na domy stronników reform i Japończyków, palił, rabował i zabijał. Zginęło 74 Japończyków, w tej liczbie 35 żołnierzy, zabitych w pałacu. Spłonęło znowu poselstwo japońskie, a oni sami cofnęli się do Czemulpo, jak niegdyś, zabrawszy czterech głównych spiskowców, w ich liczbie wspomnianego powyżej Kim-ok-kiunia. Zamach, dzięki Chińczykom, nie udał się i zwycięska partya chinofilska święciła tryumf straceniem w odwet 12 uczestników spisku, których tor-

turowano, następnie poćwiertowano, a ciała ich i kości rozrzucano po ulicach stolicy.

Japonia zażądała od Korei zwrotu strat poniesionych przez kupców i poddanych japońskich, a od Chin — wyjaśnienia przyczyn napaści. W rezultacie między obu państwami zawarto umowę, podpisaną w Tien-tsinie przez Li-chun-czanga i hrabiego Ito, nazwaną umową „Li-Ito". Oba państwa obowiązywały się wycofać swe wojska z Korei i nie dostarczać jej więcej instruktorów wojennych; w razie zaburzeń, skoro jedna ze stron będzie zmuszona wysłać na półwysep siły zbrojne, to obowiązana jest uprzedzić o tem niezwłocznie drugą. Chińskie i japońskie oddziały opuściły istotnie Koreę, natomiast przybył tam Tän-uön-guń, wrócony z wygnania przez Chińczyków. Mieli oni nadzieję za jego pośrednictwem zrzucić z tronu króla i odzyskać wpływy, mocno bądź co bądź zachwiane przez traktat Tien-tsiński. Ale po trzyletniej niewoli Tän-uön-guń znienawidził Chińczyków na równi z Japończykami.

W 1885 r. Korea po raz pierwszy stała się powodem niezgody między państwami europejskiemi. Anglia zajęła wyspy Hamilton w cieśninie Korejskiej i opuściła je dopiero po uroczystem zapewnieniu Korei i Rosyi, że ta ostatnia nie zajmie nic nigdy na terytoryum półwyspu [1]).

---

[1]) Gdy w 1902 r. Rosya, zapomniawszy obietnicy, wysłała pancernik dla zajęcia portu Mosampho, o mało nie wybuchła o to wojna między nią a Anglią w połączeniu z Japonią

Po traktacie Li-Ito dziewięć lat trwała błoga cisza w wewnętrznej i zewnętrznej polityce Korei. W tym okresie zawarte zostały wszystkie przymierza handlowe, powstały nowe instytucye administracyjne, w Seulu założono szkoły języków europejskich, szpitale [1]) i misye. Szczególniej dodatnio w humanitarno-oświatowym kierunku zaznaczyły się misye presbiteryanów i metodystów amerykańskich. Chiny w tym czasie przez ścisłe przestrzeganie lenniczych ceremoniałów Korei starały się odzyskać zachwianą powagę. Japonia skrzętnie wyzyskiwała zdobyte ulgi, zabudowywała uzyskane w portach i miastach udziały, urządzała stałą komunikacyę pocztową i towarową z półwyspem, zakładała szkoły, banki, kantory — podwaliny swego przyszłego na półwyspie znaczenia.

W sferach rządowych Korei zapanowało też pewne ożywienie, wywołane głównie napływem pieniędzy z nowopowstałych komór celnych, mennic i prywatnych biur handlowych. Ucisk wszakże nie zmalał, lecz wzrósł. Polip urzędniczy nietylko kładł swe macki na tworzące się nanowo ośrodki pracy, ale jednocześnie wszędzie je zacieśniał, wylękły o swe panowanie. W rezultacie w r. 1893 wybuchło powstanie ton-chaków w najbogatszych i najludniejszych prowincyach byłego państwa Päk-cżie.

Ton-chakowie są sektą religijną, mistyczną, po-

---

[1]) Pierwszy szpital powstał staraniem lekarza amerykańskiego, Allen'a, pod godłem „House of Civilised Virtue".

krewną pod wielu względami z bokserami chińskimi. Jak tamci nienawidzą cudzoziemców, jak tamci szukają ratunku dla ojczyzny w powrocie do starodawnych obyczajów, jak tamci wierzą w cudowne zaklęcia i formuły, wracające zdrowie i chroniące od śmierci. W Seulu przytoczono mi króciutką modlitwę ton-chaków:

Jąg-sy — ? [1])
Pul-mang — (nie zapominaj),
Man-sadżi!... — dziesięć tysięcy rzeczy
spełnij)...

która okazała się częścią słynnego zaklęcia „trzynastu dźwięków“: Si-czum... dżiu-do... hua-jöng... *jąg-se... pul-mang... man-sa-dżi* (czi)...

— Miesiąc odmawiaj, a kula cię nie zabije!... — dodał tłomacz.

Prócz tego używają ton-chakowie przeciw duchom zaklęć: czi-kui-hum-czi-nen-ui-taj-kang... i wielu innych, których odmawianie wraca zdrowie i daje powodzenie. Opowiadano mi, że ton-chakowie śmiało szli do boju, pewni swej nietykalności.

— Cóż, kiedy to okazało się zabobonem, i polegli od pierwszych strzałów. Wtedy prorocy ich obiecywali innym, że zabici na trzeci dzień zmartwychwstaną, a gdy i tó nie nastąpiło, zapewniali: że zginęli wskutek braku wiary, że niedość szczerze i gorąco modlili

---

[1]) Tłomaczono mi to wyrażenie: „światłości wiecznej nie zapomnij“, ale nie jestem pewny, czym dobrze zrozumiał.

się... Zwyczajnie oszuści!... — zawyrokował wspaniały Szin-mun-giun, urzędnik pałacowy.

Według Korejczyków, doktryna ton-chaków powstała pod wpływem chrześcijaństwa. Pierwszy jej głosiciel, niejaki Cchoe-cżje-u, pochodzący z Kiŏn-san-do, z powiatu Kiŏn-cżju, został uderzony wielkiem powodzeniem katolicyzmu i bohaterstwem jego misyonarzy. Zaczął badać nową naukę i był nawet gotów w nią uwierzyć, wstrzymywało go tylko jej prześladowanie ze strony królów korejskich. Dlaczegoż, skoro jest dobrą, mordują jej wyznawców? Od tych rozmyślań mędrzec zachorował i był blizkim śmierci. Pewnego poranku, „gdy promienie słońca zaledwie tknęły szczytów gór“, ukazała mu się w marzeniu istota nadziemska i zapytała:

— Cchoe-cżje-u, czy wiesz, kto mówi z tobą?

— Nie wiem!... Któż jesteś?!

— Jestem Władcą Nieba (San-cżie), uderz czołem przede mną, a osiągniesz władzę nad ludem.

Naówczas Cchoe-cżje-u spytał się zjawiska:

— Czy katolicyzm jest religią prawdziwą?

— Nie!... Słowa i obrządki te same, ale duch i znaczenie odmienne!

Gdy widzenie znikło, Cchoe ujrzał obok siebie pędzel i skreślił natychmiast na papierze natchnioną modlitwę do „San-cżie“, spalił ją i wypił popiół z wodą, co uzdrowiło go niezwłocznie.

Wkrótce potem napisał księgę „Sŏn-giŏn-dă-cżion“, w której wyłuszczył zasady nowej religii; złożyły się

na nią: nauka „o pięciu stosunkach życiowych“ Konfucyusza, nauka „o udoskonaleniu serca“ — buddyzmu, nauka „o oczyszczeniu ciała od brudu moralnego i materyalnego“ — Laotse. Z chrześcijaństwa Cchoe wziął jedynie miano boga Thiŏń-cżiu (Władca Niebieski) oraz nazwę swej religii, którą nazwał ton-chak (nauką wschodnią) w przeciwstawieniu do siŏ-chak (nauki zachodniej, czyli chrystyanizmu). Ton-chakowie są monoteistami, ale wcale nie poruszają zagadnień życia zagrobowego. Nie mają bałwanów i kaplic. Proste modlitwy i obrzędy odbywają przed ołtarzami, zbudowanymi z kamienia, gliny i cementu. Na ołtarzu stawiają dzbanek z wodą i modlą się podczas nocy, bijąc czołem, poczem wypijają wodę, którą zwą „czarą łaski bożej“. Nowonawrócony zapala dwie świece, stawia na ołtarzu chleb, wino i rybę, poczem obecni 24 razy powtarzają z nim modlitwę ton-chaków i biją czołem. Obrzęd kończy się skromną wieczerzą, którą opłaca nowonawrócony [1]).

W 1863 r. Cchoe został stracony jako podejrzany o wyznawanie katolicyzmu, ale nauka jego zwolna rozpowszechniała się i nabrała znaczenia społecznego, gdyż jej wyznawcy należą przeważnie do ludzi pokrzywdzonych przez rząd. Nie są jednak ton-chakowie przeciwnikami zasadniczymi obecnego systemu, dążą oni tylko do jego poprawienia przez *wewnętrzne* udoskonalenie jednostek rządzących, a na tem stanowisku

---

[1]) „Korean Repository“, 1895, str. 56—60.

chcieliby widzieć swoich wyznawców. W r. 1898, już po upadku powstania, został schwytany w powiecie Uŏń-cżiu [1]) jeden z jego przywódców, niejaki Czoi-si-chjęg. Razem z nim pojmano i osadzono w więzieniu jego wiernych towarzyszów i współwyznawców Chuan-g'a i Song'a, oraz Pak-jun-taj'a, który dobrowolnie przybył do Seulu, aby opiekować się i dostarczać pożywienia uwięzionemu prorokowi (Pu-phum). Czoi-si-chjęg zeznał na torturach, że z nauką ton-chaków zapoznał go przed 33 laty kupiec z Kan-uoń-do, niejaki Päk-czum-sŏk, poczem on został przewodnikiem i mistrzem (pu-phum) ton-chaków. Na wiosnę w 1892 r. kilka ich tysięcy zebrało się w Seulu i podało prośbę do tronu o przywrócenie czci straconemu niewinnie założycielowi ich sekty, Cchoe-cżje'u. Nie otrzymując długi czas odpowiedzi, postanowili napaść w żołnierskiem przebraniu na dom ministra Jung-cżium, lecz projekt nie przyszedł do skutku i spiskowcy rozproszyli się. Następnie słysząc, że rząd zamierza wysłać przeciw nim wojsko, umyślili wywiesić chorągiew antyjapońską i wzniecić powstanie w miejscowości Pomu, gdzie głównie odbywały się ich zebrania, i dalej wzdłuż rzeki Chań do Seulu. Wysłaniec rządu U-jąg-cżiung skłonił ich jednak do zaniechania zamiaru [2]). Dopiero bunty

---

[1]) Powiat głuchy w prowincyi Kan-uŏń-do, w górach na południo-wschód od Seulu.

[2]) „Korean Repository", 1898 r., str. 234.

w Kobu [1]), które zrazu były zwykłymi rozruchami ludowymi, stały się początkiem poważnego powstania ton-chaków. Jeden z ich przywódców, Czun-piąg-cziun, nadał im charakter religijny i polityczny. Naówczas gromadnie przyłączyli się doń z prowincyi Cziun-cziön-do ton-chakowie i powstanie przybrało szerokie rozmiary. Wojska królewskie zostały rozbite i wszczęły się zaburzenia w samej stolicy. Wtedy rząd zwrócił się do Chin o pomoc; te wysłały parotysięczny oddział, który powstanie uśmierzył. Ale Japonia wylądowanie na półwyspie wojsk chińskich uznała słusznie za złamanie umowy tien-tsińskiej i natychmiast obsadziła swymi oddziałami port Czemulpo i okolice Seulu. Daremnie przedstawiciele mocarstw europejskich i Stanów Zjednoczonych żądali wycofania wojsk obu państw: ani Chiny, ani Japonia usłuchać nie chciały; Chińczycy dowodzili, że Korea jest ich krajem lennym, Japończycy powoływali się na traktat. Wreszcie Japończycy otrzymali od Chin groźbą wojny wymuszoną odpowiedź, że te zrzekają się zwierzchnictwa nad Koreą i uznają ją za państwo niezależne. Naówczas Japonia zażądała od rządu korejskiego reform wewnętrznych w duchu postępowym oraz zmiany traktatu z Chinami z r. 1882, w którym Korea była traktowana jako lenniczka Państwa Niebieskiego. Gdy Korejczycy zwlekali z odpowiedzią, 23 lipca poseł japoński Otori kazał zająć woj-

---

[1]) Miasto powiatowe w prowincyi Cziolla-do, na południe od portu Kuń-sań, otwartego dla handlu europejskiego.

sku pałac cesarski i rodzinę monarchy otoczyć strażą honorową. Na ministrów zostali powołani postępowcy i stary intrygant, Tä-uoń-guń, który udawał w owym czasie wielkiego liberała i stronnika Japonii. Nowy rząd zawarł z Japonią przymierze i polecił jej wypędzić z granic Korei Chińczyków. To dało początek słynnej wojnie chińsko-japońskiej, która zakończyła się zwycięstwem Japonii, zajęciem półwyspu Lao-dun, Portu Artura, zniszczeniem floty chińskiej, wreszcie zawarciem pokoju w Simonosaki, mocą którego Korea została uznana przez Chiny za państwo niezależne. Wyjątkowe do niego prawa Chińczyków zniesiono.

Jednocześnie obradowała w Seulu „Izba spraw państwa wojującego“ (Kuń-guk-kyj-mu-cżio), zwołana za poradą posła Otori, która miała być zarodkiem przyszłego parlamentu. W ciągu 15 miesięcy opracowała ona za wskazówką Japończyków szereg ważnych zmian organizacyjnych i ustawodawczych, te stały się bądź co bądź podstawą rodzącej się spółczesnej Korei. Oto są ważniejsze z nich:

Jan-baniowie i lud prosty równi są wobec prawa.

Znosi się niewolnictwo.

Wszystkie urządzenia państwowe podlegają reformie.

Wdowy po szlachcicach mogą po raz wtóry wychodzić za mąż.

Wczesne małżeństwa zostają wzbronione.

Przywileje urzędów wojskowych i cywilnych stają się równe.

Szerokie rękawy urzędników podlegają zwężeniu.

Zabrania się używania dat chińskich w ukazach rządowych.

Rodziny zbrodniarzy nie podlegają karom bez winy osobistej.

Należy zreformować ministeryum skarbu dla zdobycia środków rządzenia krajem.

Urzędnicy wszelkich stopni mogą chodzić po ulicach, nie przestrzegając żadnych prawideł szczególnych, wolno im jeździć konno lub chodzić piechotą według życzenia.

Znosi się obyczaj, nakazujący ludziom prostym stawać i zsiadać z konia, gdy ich mija dostojnik.

Jeżeli urzędnik przywłaszczy sobie cudze pieniądze albo majątek, to ma być ukarany, a pochwycona własność odebrana.

Jedynie władza sądowa i policya mają prawo aresztowania i karania winnych.

Urzędnik po utracie miejsca ma prawo zająć się handlem albo rzemiosłem.

Egzamina literackie, dające prawo do stopnia służbowego, zostają zniesione; mianowanie odpowiednich urzędników ma się załatwiać w inny sposób.

Ranga i urząd nie chronią od kary za bezprawia.

Podatki mają być pobierane pieniędzmi, a nie w naturze, tkaninie lub ryżu.

Wewnętrzny handel zbożem nie podlega ograniczeniom.

Mają być zaprowadzone dokładne miary, wagi i pieniądze.

Za niewłaściwy pobór i utajenie podatków urzędnicy podlegają karze.

Młodzi Korejczycy ukształceni będą wysyłani za granicę dla pobierania tam nauk.

Ministerya powinny zaprosić cudzoziemskich doradców.

Przedstawicielom obcych mocarstw dozwala się na przyjęciach u Jego Cesarskiej Mości wychodzić z lektyk wprost przed wejściem do sali przyjęć.

Książki dla szkół początkowych mają być wybierane i drukowane przez ministeryum oświaty [1]).

Należy przypuszczać, że bez względu na ogrom ogarniętych reformą pytań, Japonia umiałaby je przeprowadzić, opierając się na nabytem we własnym kraju doświadczeniu. Ale z końcem wojny znaczenie jej w Korei osłabło. Ta sama koalicya państw, która zmusiła ją do zwrócenia Chinom Portu Artura, zaczęła czynnie mieszać się do jej polityki korejskiej. A ponieważ Japonia popierała politykę postępową, więc z natury rzeczy mocarstwa europejskie wzięły pod swą opiekę partyę zachowawczą. Na czele tej ostatniej stanął zagrożony w swym wpływie i dochodach, rozwielmożniony na wszystkich urzędach ród Miń, używając jako narzędzia dworskich intryg królowej, swej

---

[1]) „Opis Korei", Petersburg, wyd. minist. skarbu. Cz. I, str. 47.

krewniaczki, istoty ograniczonej, okrutnej, i zabobonnej, otaczającej się astrologami, wróżbitami i czarownicami.

Przebiegły Tă-uŏń-guń spiskował na swoją rękę. Dnia 19 kwietnia 1895 roku aresztowano wnuka jego, księcia I-dzuń-jon, obwinionego o udział w zamachu na życie króla oraz o współdziałanie w zabójstwie wiceministra sprawiedliwości, Kim-chak-u, wybitnego członka partyi reform. Książę był skazany na 10 lat wygnania. Daremnie Tă-uŏń-guń błagał, aby jego skazano zamiast młodzieńca, nie pozwolono mu nawet towarzyszyć wnukowi na wygnanie. Ojciec skazańca, I-dză-miŏn, również usunięty został od władzy. Wkrótce potem obwiniono o zdradę państwa i spisek na życie króla głowę gabinetu, dzielnego i postępowego Păk-jŏń-ho, który uniknął srogiego losu tylko przez szybką ucieczkę do poselstwa japońskiego. Było widoczne, że partya urzędnicza bierze górę, zamierzone reformy zostały powstrzymane lub istniały tylko na papierze, nie spełniane i nie szanowane przez nikogo. Prześladowania mnożyły się, państwa europejskie, prócz Anglii i Stanów Zjednoczonych, podtrzymywały tajemnie dogodne dla nich prądy wstecznicze, jako źródło słabości kraju upatrzonego dla przyszłego zaboru. Dnia 26 września urządziła partya reform powtórny zamach stanu z pomocą Japonii; oddział żołnierzy japońskich usiłował zająć pałac, Korejczycy wpadli do wnętrza, w walce została zabita królowa i minister dworu w oczach przerażonego króla. Za-

Góry na drodze do Seulu.

mach, choć dał chwilową przewagę postępowcom, miał złe skutki, gdyż wzburzył przywiązany do dynastyi lud i spowodował jawne już wmieszanie się państw europejskich, które zażądały od Japonii ukarania winnych. Urzędnicy tymczasem podżegali wszędzie ciemną tłuszczę, przeprowadzając z nadzwyczajną bezwzględnością błahe reformy, jak np. zakaz noszenia warkocza lub zmianę kalendarza, zostawiając jednocześnie bez zmiany stare krzywdy i nadużycia. Wybuchły rozruchy. Król uciekł do poselstwa rosyjskiego. Stamtąd wydał obszerne orędzie w stylu chińskim, w którem obłudnie bijąc się w piersi, znosił reformy, publicznie przed rokiem przez siebie zaprzysiężone, pod pozorem, że stały się źródłem cierpień dla „ukochanych poddanych". Rozumie się, że konserwatyści nie omieszkali urządzić polowania na swych przeciwników. Prezes ministrów, Kim-chon-cziu, oraz minister rolnictwa, Dzun-phun-cha, zostali zamordowani, innych obronili żołnierze japońscy.

Pobieżna nawet znajomość warunków, w jakich żyje monarcha korejski, każe przypuszczać, że jest on literalnie więźniem swego otoczenia i kroku zrobić nie może bez wiedzy i woli ministrów oraz enuchów. Do poselstwa została zwołana komisya, składająca się z kilku dygnitarzy korejskich, dwóch Amerykanów, Anglika Mac Levi Browna, oraz naturalizowanego w Ameryce Korejczyka, dr. Filipa Jaisohna. Miała ona niby to przejrzeć i poprawić reformy, wprowadzone w ciągu ubiegłych trzech lat, lecz zamiast tego musiała obrado-

wać nad manifestem królewskim, który w dziewięciu punktach ustanawiał na półwyspie dawną monarchię nieograniczoną. Jedynie jasnym rysem tego ukazu było przyznanie zupełnej niezależnośści Korei [1]). Komitet ministrów (nä-gok), który w myśl Japończyków miał być zawiązkiem przyszłego parlamentu korejskiego, został znowu zastąpiony przez starodawną Radę państwa (yj-czlön-bu [2]).

Japonia pospieszyła zawrzeć z Rosyą umowę, zapewniającą jej prawo utrzymania małych oddziałów strażniczych w Seulu, Fuzanie, Genzanie oraz wzdłuż linii telegraficznych. Rosya wzamian osadzała w swem poselstwie w Seulu oddział równej siły [3]) i brała w swe ręce przewodnictwo w polityce korejskiej.

W czasie pobytu w poselstwie rosyjskiem Ik-siön rozdał Europejczykom liczne i bogate koncesye na budowę kolei żelaznych, eksploatacyę bogactw mineralnych i leśnych. Rosyanin Bruner uzyskał słynne pozwolenie na poręby leśne nad rz. Jalu i Tumań-hań oraz dostał 20-letnią dzierżawę w. Dagelet, zapewniając Rosyi panowanie nad wschodniem pobrzeżem Korei. Cesarz korejski wysłał po raz pierwszy do Europy przedstawiciela na koronacyę Cesarza Rosyi. Wogóle garnął się nietyle do europejskiej kultury, co do europejskich Dworów. Jednocześnie pospiesznie budowano

---

[1]) „The Independent", r. 1899 nr. 12.

[2]) Korean Repository, 1895, nr. 10.

[3]) Protokół Seulski, podpisany 14 maja 1896 r.

nowy pałac królewski w pobliżu poselstw. Po jego ukończeniu monarcha opuścił dom przedstawiciela rosyjskiego, spędziwszy w nim prawie rok cały.

Na krótki czas przedtem założono kamień węgielny pod budowę „Arki Niezależności" w tem samem miejscu, gdzie przed r. 1895 stała „Brama powitania" i lenni królowie korejscy obowiązani byli spotykać przyjeżdżających z Pekinu posłów bogdychana. Wzniesienie tej arki pamiątkowej było sprawą słynnego patryoty korejskiego, So-czaj-pila. Ten szlachetny i wysoce ukształcony Korejczyk spędził 11 lat w Ameryce, stał się obywatelem amerykańskim pod imieniem dr. Filipa Jaisohna; tak zabezpieczony od gwałtów rządu ojczystego, wrócił do Korei i oddał się cały jej odrodzeniu. Został radcą Rady Cesarskiej i zaczął wydawać po angielsku i korejsku gazetę *The Independent*, założył słynny „Klub Niezależności" (Tą-miń-hopen), który cieszył się ogromnym wpływem i powodzeniem. Miał ten klub około 2,000 członków. Sam król popierał go z początku. I gazeta i klub miały na celu poprawę obyczajów i instytucyi, szerzenie oświaty, obronę uciśnionych, walkę z przesądami. Pierwotnie klub unikał pilnie tak zwanej polityki, ograniczając swą rolę do celów wychowawczych; życie wszakże okazało się potężniejszem i rychło zmusiło go do wyjścia z ramek zakreślonych.

W jesieni 1897 roku zmienił król odwieczny swój tytuł „Kuk-oan" (kierownik królestwa) na Choan-czie (chińskie Chuan-di) — cesarz a starodawną nazwę swej

dynastyi „Dzo-siŏń" na „Tă-hań"—Wielkie Hań (państwo); rządom swym nadał nazwę Koan-mu, od czego 1897 rok przyjęcia tytułu zwany jest „pierwszym rokiem ery „Koan-mu". Na parę tygodni przed tem przybyło do Seulu 3 oficerów i 10 żołnierzy rosyjskich, zaproszonych, jako instruktorowie przybocznej gwardyi cesarskiej. Przyjechał również p. K. A. Aleksiejew, mianowany doradcą ministra skarbu na miejsce Anglika, M. L. Browna, który miał powierzony sobie nadzór nad dochodami skarbu i komorami celnemi. Wielkie koncesye, szczodrze udzielane kapitalistom cudzoziemskim, zaniepokoiły poważnie patryotów korejskich. Pod ich naciskiem „Klub niezależności" podał następującą prośbę do tronu [1]):

„My, Waszej Cesarskiej Mości korni poddani, pragniemy zaznaczyć, że dwa ważne czynniki stanowią o niepodległości i potędze państwa, mianowicie: popierwsze, państwo nie powinno nawet pośrednio dopuszczać cudzoziemców do spraw administracyi narodowej; powtóre, sama ona powinna się wzmacniać przez mądrą politykę i utrwalenie praw w królestwie. Niebo obdarzyło Waszą Cesarską Mość władzą podtrzymania dwóch zasad powyższych.

Przyczyną wzniesienia Arki Niezależności i utworzenia naszego klubu była cześć dla Tronu Waszej Cesarskiej Mości oraz chęć wzmocnienia serc ludu, aby przez to utrzymać Dynastyę na Tronie i ocalić nieza-

[1]) Podajemy ją w wyjątkach.

leżność narodu. W ostatnich czasach my, wierni słudzy W. C. Mości, widzimy, że swobodzie naszego narodu grozi zagłada, że rozczarowanie i niezadowolenie lęgną się w sercach obywateli. Taki stan rzeczy został wywołany oddaniem cudzoziemcowi zarządu sprawami finansowemi, która to władza powinna zostać w rękach urzędników rodaków. Ci urzędnicy są też cudzoziemcami. Nawet prawo mianowania i dymisyonowania zostało odjęte władzom krajowym. Nieuczciwe i sprzedajne koła to sprawiły, skorzystały one ze sposobności zadowolenia swojej pogardy godnej natury. Wpływy cudzoziemskie ciążą aż nad W. C. Mością i posuwają się tak daleko, że nawet uciskają Tron i zagrażają mu dla własnej korzyści oraz zysku urzędników cudzoziemskich.

Nieprawdziwe sprawozdania, pozbawione wszelkiej podstawy, które te koła składają W. C. Mości, wywierają najszkodliwszy wpływ na Święty Jej Umysł.

Opierając się na tak rozpaczliwym stanie rzeczy, dochodzimy do wniosku, że zanim upłynie kilka miesięcy, nasz samorząd należeć już będzie do przeszłości.

A gdy go raz utracimy, żale i skrucha go nie wrócą. Jedynym środkiem utrzymania porządku i przyspieszenia rozwoju życia narodowego jest przyznanie słusznej siły prawu oraz wydanie odpowiednich rozporządzeń i uporządkowanie instytucyi rządowych. Lecz władze lekceważą tak dawne, jak i nowe prawa, a rozporządzenia, zasady i instytucye stały się literą mart-

wą. W takich warunkach jakże możemy przypuszczać, aby inne ludy wierzyły w zdolność naszego samorządu do dalszego istnienia. Nie wierzą w naszą siłę, wskutek czego skłonne są wglądać w nasze sprawy, a jeżeli im na to pozwolimy, pójdą dalej, szukając własnej korzyści.

Niestety! Na obszarze 3,000 li żyje 15 milionów dusz, dzieci W. C. Mości, których obowiązkiem jest opiekować się Domem Cesarskim, bronić wolności i praw rządu naszego kraju. Ale przez ciemnotę i samolubstwo zapomnieli oni o wielkiem, chlubnem zadaniu obrony praw narodu. Więc potężni sąsiedzi za nic nas mają i nawet stanowisku W. C. Mości zagrażają. Nie winimy o to nikogo, prócz siebie. Wstyd nam wobec nieba i ziemi naszego niedbalstwa i nieudolności. Lepiejby nam mieć serca przebite i żołądki rozprute dla zbawienia naszej ojczyzny i praw naszych, niż wlec bezużytecznie życie we wstydzie i poniżeniu, spowodowanem opieszałością w spełnieniu obowiązków.

Po tem wyznaniu kornie i jednogłośnie błagamy W. C. Mość, aby uważała dobro i interesy 15 milionów dusz jak swoje własne, prosimy, aby cieszyła się, gdy one w pomyślności żyją, by płakała z niemi, kiedy są pogrążone w smutku i nieszczęściu, by współczuła ich porywom, płynącym z miłości dla ojczyzny, aby W. C. Mość podtrzymała siłę prawa w całym kraju, zazdrośnie chroniła rządy swe od wpływów cudzoziemskich, czego pokornie pragniemy. Jeżeli W. C. Mość zechce

użyczyć współdziałania swego poddanym, jeżeli wyciągnie ku niem pomocną rękę, Dom W. C. Mości panować będzie nad krajem przez szereg lat nieskończony. Tysiące wrogów nie odważą się targnąć na naszą niezależność. W obliczu Nieba zobowiązaliśmy się złożyć nasze życie za ojczyznę i pokornie składamy przed W. C. Mością przysięgę, że zobowiązania dotrzymamy.

Prosimy W. C. Mości, aby przyjęła zapewnienie prawowierności naszych uczuć dla Cesarskiego domu i dla sprawy naszej niepodległości" [1]).

Jednocześnie prasa japońska uderzyła na alarm, wykazując, że zaproszenie Aleksiejewa było zbyteczne wobec prac i znanej powszechnie kompetencyi poprzedniego doradcy, M. L. Browna, że uważać je należy za zamach na niezależność Korei. Próba zajęcia przez Rosyan wyspy Jeleniej w zatoce Fuzańskiej dolała oliwy do ognia.

Wzburzenie było tak powszechne, że K. A. Aleksiejew musiał ustąpić, nie przeprowadziwszy nic prawie z zamierzonych ulepszeń, jednocześnie zostali odwołani instruktorzy wojskowi. W miesiąc po ich odjeździe Rosya i Japonia podpisały traktat, w którym obowiązywały się nie mieszać do spraw wewnętrznych Korei (punkt 1), nie wysyłać doradców i iustruktorów wojskowych i nie dawać rządowi żadnych rad bez poprzedniego porozumienia się z sobą (punkt 2). Rosya obiecywała

---

[1]) „The Korean Repository", r. 1898, str. 74.

nie przeszkadzać rozwojowi handlowych i przemysłowych stosunków Korei z Japonią (p. 3). [1]) Ale patryoci korejscy doskonale pojmowali, że żadne traktaty mocarstw ościennych nie zabezpieczą ich od zaboru, jeśli kraj sam się nie dźwignie ze swej niedoli, nie ukróci grabieży i bezprawi urzędniczych, nie podniesie oświaty i godności ludzkiej wśród swych współobywateli. Wszyscy oni skupili się koło Klubu Niezależności, który śmiało już wszedł na drogę polityczną i wyraźnie żądał reform. Pod jego naciskiem usunięta została straż przyboczna cesarza, składająca się z cudzoziemców. Wreszcie w październiku został zwołany przezeń olbrzymi wiec z udziałem wszystkich warstw narodu, włączając nawet pogardzanych rzeźników, na którym stanowczo zażądano przyznania obywatelom wolności słowa i niezależności osobistej poza władzą sądową. Cesarz przyjął przedstawioną sobie petycyę i obiecał spełnić żądania, lecz natychmiast uwolnił wszystkich ministrów, którzy na tym wiecu byli, co pociągnęło za sobą cały szereg groźnych demonstracyi. Nie ufając wojsku i policyi, cesarz wezwał przekupniów wędrownych (pu-sań) i ci, uzbrojeni w maczugi, w liczbie kilkuset napadli na członków klubu. Stronnicy reform rzucili się z kolei na wrogich im ministrów i urzędników. Wywiązały się krwawe bójki, w których pusaniowie zostali pokonani i musieli opuścić Seul. Cesarz zadość uczynił niektórym żądaniom „Niezależ-

---

[1]) Protokół podpisany w Tokio 5 kwietnia 1898 r.

nych". Kiedy jednak klub ten zaprotestował przeciw torturom i ćwiertowaniu pewnego Kim-chon-niuka, skazanego za rzekomy zamach na życie cesarskie, cesarz nie ustąpił, obwinionego rozszarpano wołami na ulicach Seulu, a klub niedługo został rozwiązany. Przedtem szlachetny jego założyciel, dr. F. Jaisohn, musiał opuścić tak gorąco ukochaną ojczyznę.

W ostatnich latach politykę Korei zewnętrzną i wewnętrzną wypełniają całkowicie odgłosy zatargów i współzawodnictwa Rosyi z Japonią na Dalekim Wschodzie. Wpływy rosyjskie cały czas przeważają wśród urzędników koreјskich i u Dworu. Tam rej wodzą potężny minister skarbu Ij-jąg-ik, słynny z umiejętności napełniania wiecznie pustej szkatuły cesarskiej, oraz wpływowa pani Om, która ze zwykłej niewolnicy haremowej została po zabójstwie królowej Miń wyniesiona do godności nałożnicy pierwszej klasy. Zabiegała ona przedewszystkiem o uzyskanie praw do tronu dla swego małoletniego syna z pominięciem księcia [1]).

Polityka korejska Rosyi polegała na stopniowem rozszerzeniu południowych granic w zajętej przez nią Mandżuryi. Prócz koncesyi leśnych nad rzekami Jalu i Tumań-hań zażądała ona pozwolenia na urządzenie stacyi dla okrętów wojennych w cieśninie Korejskiej. Mocą cichej umowy wyznaczono dla tego celu port

---

[1]) Obecnie śmierć tego ostatniego usunęła jedyną ku temu przeszkodę i jeżeli niezależność Korei się ostoi, syn pani Om prawdopodobnie zasiądzie na tronie.

Mo-sam-pho. Lecz Japończycy, dowiedziawszy się przed czasem, zajęli port wojskiem i zmusili Koreę do otworzenia go dla handlu powszechnego. Naówczas przedmiotem nowych zabiegów stał się port Czing-haj-ueń (Szing-haj) na południowym cyplu półwyspu w połowie drogi z Portu Artura do Władywostoku, niedaleko od portu Hamiltona, który w swoim czasie był przedmiotem zatargu pomiędzy Rosyą a Anglią. Już wówczas o mało niewybuchła wojna, gdyż Japonia oparła się stanowczo udzieleniu przywilejów jakiemukolwiek państwu w cieśninie Korejskiej, dowodząc, że to zagraża jej handlowi i niezależności.

Podczas gdy na południu toczyły się wspomniane walki dyplomatyczne, układy i demonstracye, na północy udało się dyplomacyi rosyjskiej wznowić koncesyę Brunera. Wyprzedzając ostatecznie jej podpisanie, oddział żołnierzy rosyjskich zjawił się w maju 1903 r. w porcie Ją-nam-pho u ujścia Jalu i zaczął budować tam własną dzielnicę. W miesiąc potem przybyła nowa partya. Pospiesznie wybudowano wązkotorową kolejkę wzdłuż Jalu, założono telegraf i połączono w Yi-czu z ogólną siecią telegrafów mandżurskich; przyczem zajęto m. Piäk-tąg, leżące powyżej na rzece, a do zbudowanych w Ją-nam-pho koszar przybył oddział, złożony z 700 żołnierzy. Dnia 25 sierpnia poseł Hajaszy zaprotestował przeciw wprowadzeniu wojsk rosyjskich w granice Korei. Zaczęły się nowe układy o długoletnie wydzierżawienie przez Rosyę portu Ją-nam-pho. Natrafiły one jednakże na zacięty opór nawet wśród

przekupnej biurokracyi korejskiej. Dnia 27 sierpnia poseł Pawłow daremnie dobijał się widzenia z przebiegłym Ij-jąg-ikiem; do 7-ej wieczorem przesiedziawszy w ministeryum, zwrócił się wprost do cesarza. Rząd korejski pod naciskiem opinii całego kraju, poparty przez Japończyków, odmówił żądaniom. W połowie września oddział rosyjski zajął miasteczko Jąg-czen po drodze z Yj-cżju do Seulu. Jednocześnie koło portu Tiu-cżu wzniesiono wieżę strażniczą i usypano warowne szańce dla artyleryi.

Dnia 8 października nadszedł termin ogłoszonego przez Japonię *ultimatum*. D. 23 października 500 żołnierzy rosyjskich pod wodzą dwóch oficerów przebyło w nocy rzekę Tiu-meń i owładnęło przeprawą na niej. Japonia wysłała okręt wojenny do Ją-nam-pho. Były to właściwie pierwsze kroki obecnie toczącej się wojny. Ale posłowi, bar. Rosenowi, szczeremu zwolennikowi pokoju, dzięki jego wpływom w Japonii, udało się odwlec jej rozwój. Mówiono wówczas głośno na Dalekim Wschodzie, że proponowano Japonii zajęcie południowej Korei na tych samych warunkach, na jakich Mandżurya została zajęta przez Rosyę, ale bez prawa wznoszenia fortyfikacyi w cieśninie Korejskiej. Środkowa Korea miała tworzyć neutralne państwo-bufor pod zwierzchnictwem królów korejskich, a północna Korea miała zostać wcielona do Mandżuryi. Podobno Japonia na warunki te nie zgodziła się, w krokach wojennych nastąpiła jednak zwłoka. Ścierały się

gwałownie dwa prądy: pokojowy, dyplomatyczny i wojskowy. Ostatni okazał się silniejszy.

— Czy tak, czy owak, przewaga Rosyi na Dalekim Wschodzie to tylko kwestya czasu — słyszałem wielokroć.

— Po zajęciu Korei, zanim upłynie lat dziesięć, Japonia zostanie gubernią rosyjską...—mówiono otwarcie na brzegach morza Żółtego. Zdania te dochodziły pewnie do uszów japońskich.

Tymczasem nad Jalu gromadziły się znaczne siły wojenne; flota admirała Vireniusa spieszyła z Bałtyku do Portu Artura. Dnia 24 stycznia 1904 r. przerwane zostały stosunki dyplomatyczne, a 2 lutego Japończycy napadli niespodzianie na okręty w Porcie Artura oraz zatopili w Czemulpo „Warjaga" i „Korejca".

Wybuchnął zatarg rujnujący i doniosły dla całego świata. Polały się rzeki gorącej krwi chłopskiej...

XXI.

Seul w przeddzień wojny.

Przy wjeździe do Seulu uderzyła mię ogromna ilość wojska. W głębi kraju prawie go nie widziałem; tymczasem tutaj nieledwie co krok wśród tłumu białych „cywilusów“ przewijały się figury żołnierzy w czarnych mundurach, z czerwonemi wypustkami. U wrót, na rogach ulic, na placach, na stacyach kolejki elektrycznej, wszędzie błyskały bagnety i niezliczone posterunki wojskowe, straże, pikiety przerzucały zaciekle z ramienia na ramię broń, strzelając oczami w naszą stronę.

— Ci się pilnują! — pomyślałem.

Skoro jednak spostrzegłem, że ilość wojska w miarę posuwania się ku środkowi miasta nie zmniejszała się, lecz wzrastała, ogarnął mię niepokój.

— Co to? Czy wojna została wypowiedziana? Czy może... mieliście rewolucyę? — spytałem monsieur Moulis'a, upatrzywszy odpowiednią chwilę.

— Dlaczego?... Co pan widział? — odparł ten również poruszony.

— Tyle wojska na ulicach!

— Ach!... To nic! — rozśmiał się Francuz. — My tak codzień... Pan zobaczy jutro rano... Tu oni wszyscy przechodzą... Pod samym balkonem... Mój hotel bardzo dobry punkt. Cały pałac widać... Nawet Jego Ekscelencya pan poseł przychodzi nieraz stąd patrzeć... Niech pan wyjdzie, pan zaraz zobaczy...

Ujął mię pod rękę i wyprowadził uprzejmie na drewniany balkon, zawieszony nad małym placykiem. Środek placyku zajmowała wspaniała, czerwona brama w chińskim stylu, o trzech wylotach, nakryta zadzierzyście podwiniętym dachem. Pod jego cienistym okapem, nad środkową, zamkniętą wierzeją, widziałem tablice ze złoconym napisem chińskich hieroglifów. Cienkie smugi kolorowych szlaków biegły wzdłuż gzymsów. Na nizki, wyłożony płytami piaskowca taras przed bramą prowadziły szerokie, ciosane schody kamienne. Z prawej strony do bramy przylegały pod kątem piętrowe koszary, murowane z czerwonej cegły, z lewej ciągnął się wysoki, szary mur, oddzielający obszar pałacowy od ulicy i miasta. Z poza muru wychylały się wierzchołki z liści obnażonych, jesiennych drzew, a dalej za nimi wysoko w błękitach piętrzył się wielorogi, purpurowy dach chińskiego budynku, bardzo wspaniałego, lecz napół już rozwalonego.

— Co to jest?

— To nic. To jest nowy pałac cesarski.

— Nowy? Wszakże on zupełnie zniszczony! Czyż w nim cesarz mieszka?

— Tego nikt nie wie, gdzie cesarz mieszka! — odrzekł tajemniczo monsieur Moulis. To trudno wiedzieć! W nocy Jego Cesarska Mość spaceruje, każe się w lektyce po ogrodzie nosić, albo patrzy na tańce, albo urządza próbną trwogę żołnierzom, a we dnie wypoczywa w niewiadomej sali, gdzie wskaże... Tam za tymi murami całe miasto, same kobiety...

Następnie, podczas gdym się przebierał z drogi, opowiedział mi monsieur Moulis wiele ciekawych szczegółów, których dowiadywał się codzień na targu, kupując warzywa:

— ...Jego Cesarska Mość żyje w ciągłej trwodze, musi się wszystkich strzedz. Niedawno znowu odkryto zamach na jego życie. Wypadkiem uniknął śmierci. Trucizna była w jajku. Gdy je wziął, wyśliznęło mu się niechcący z ręki, upadło i stłukło się. Przybiegł piesek, zjadł je i zaraz zdechł. Każdej potrawy przed cesarzem próbuje osobny urzędnik, ale, niech pan powie, jak spróbować jajka!?... Przekłuli ostrożnie i wpuścili truciznę... Najlepiej czuł się Jego Cesarska Mość w *naszej* ambasadzie i nigdyby jej nie opuścił, gdyby nie... Japończycy. Wszystkich tam bardzo polubił, pewnej pani podarował nawet cały pałac z umeblowaniem. I mnie parę razy wzywał do siebie. Miałem honor przyrządzać dlań torty i majonezy. Teraz Jego Cesarskiej Mości o wiele gorzej!... Jego Cesarskiej Mości wciąż brak pieniędzy... Już drugą noc nie pali się świat-

ło elektryczne w pałacu, towarzystwo amerykańskie przerwało prąd, gdyż dwór już kilka rat zaległ z opłatą... Onegdaj przyszło 80,000 dolarów, ale dziś już nic niema... Albo to można nastarczyć na to stado białych kruków?!... Tu ich lata, jak much!... Głodne, wciąż tylko patrzą na ręce...

Wiele z tych wiadomości istotnie okazało się prawdziwemi.

Nazajutrz rano, około 7-ej, istotnie obudziła mię muzyka wojskowa i rzęsiste bębnienie. Gdym wyszedł z lornetką na balkon, ujrzałem cały plac przed bramą pełen wojska. Było tam tego pewnie ze dwa bataliony. Część żołnierzy stała w bezładnym szeregu, ustawiwszy broń w kozły, część szła długą wstęgą, błyskając szczeciną bagnetów... Podobno w Seulu wojsko zajmuje codzień aż 1,200 posterunków. Samego pałacu strzeże batalion. Ale czy wojsku temu ufać można, dowodzi okoliczność, że w czasie zamieszek 1882 roku przyłączyło się ono do wichrzycieli, a w 1895 (8 października) przyboczna gwardya cesarska (si-uj-dä) haniebnie rozbiegła się na samą wieść o napadzie na pałac. Płynie to stąd, że w pierwszym wypadku wojsko cierpiało wprost od głodu, gdyż zmniejszono mu niesłychanie i tak już skromne porcye ryżu. Następnie ze sprawozdania rosyjskich instruktorów dowiadujemy się ciekawej rzeczy, iż „wydanie batalionowi (wzorowemu) *całkowitego* żołdu i *wpisanie pokwitowania* z odbioru do książeczki służbowej sprawiło silne wraże-

Seul. Woły korejskie obładowane drzewem na ulicy Ministrów (Juk-dżo-ab).

nie w wojsku i wywołało w innych batalionach wzburzenie przeciw naczelnikom“ [1]).

Nie należy sądzić o armii korejskiej z tych porządnie ubranych, nieźle uzbrojonych i sprawnie maszerujących żołnierzyków, jakich rząd korejski pokazuje codzień przed pałacem cesarskim gościom cudzoziemskim z hotelów „Imperial“ lub „Grand-Hôtel“. Gdym starał się przedostać do starego pałacu cesarskiego, aby go zwiedzić i obejrzeć tam ślady niedawnych szturmów chińskich i japońskich, wyszli do mnie jacyś pijani, oberwani nędzarze, w których z trudnością poznałem żołnierzy. Wzbronili mi wstępu dość grubiańsko, lecz byłbym się tam mógł łatwo dostać za parę dolarów. Tak mi powiedziano. Ponieważ nie miałem ze sobą tłomacza, obawa pozostania sam na sam z taką hołotą przemogła moją ciekawość i nie skorzystałem ze sposobności.

W Korei, podobnie jak w Chinach, panuje pojęcie, że wojsko jest złem koniecznem. Służba w wojsku nie jest traktowana pogardliwie, ale uważana za mniej zaszczytną, niż służba cywilna. Korejska organizacya wojskowa różni się od chińskiej obowiązkowością, nie jest najemna, lecz powszechna i poborowa. Z ulg wojskowych korzystali dawniej: wszyscy synowie i wnuki tych, którzy byli na wojnie, wszyscy synowie starców

---

[1]) „Opis Korei“. Wydanie ministeryum skarbu. Cz. II, str. 427.

90-letnich, wnuk lub syn 70-letnich, jeden z 4 braci służących wojskowo oraz ojciec trzech synów popisowych. Szlachta, urzędnicy oraz osoby obdarzone zaszczytnem odznaczeniem wolne były zupełnie od wojska. Poza tem wszyscy do lat 60 uważani byli za żołnierzy, co dawało Korei około 1,200,000 ludzi orężnych [1]). Ale ponieważ każdy rekrut miał prawo dać za siebie zastępcę, więc znaczna część wojska składała się z niewolników. Nie to jednak wpłynęło na słabość wojenną Korei, lecz złodziejstwo i łapownictwo, trawiące cały jej organizm rządowy. Arsenały i składy wojenne istniały na papierze lub znajdowały się w opłakanym stanie [2]). Zaciągi wojsk były o wiele mniejsze w rzeczywistości, niż w wykazach służbowych. Żołd, strawne, mundurowe płynęły do kieszeni urzędników i oficerów. Po reformie (1894 r.) zniesiono przywileje szlachty, otworzono szkoły wojskowe, zmieniono uzbrojenie i umundurowanie, wezwano instruktorów, z początku chińskich, potem japońskich, wreszcie amerykańskich, rosyjskich... lecz obyczaje pozostały te same.

Przedtem wojsko korejskie naśladowało wojowników chińskich, dzieliło się na brygady „smocze" i „ty-

---

[1]) Dmitrewski: „Zapiski Otano Kigoro". Zap. C. R. Tow. geogr. XII, nr. 1, str. 269.

[2]) „Opis Korei". Wyd. min. skarbu. Część II, str. 413. Właściwie oznaczało to, że ci ludzie płacą podatek wojenny i są obowiązani wyjść w pole w razie wojny, jako pospolite ruszenie; armia stała była długi czas najemna. Nominalnie armia korejska ma 10,000, rzeczywiście 6,000 żołnierzy.

grysie", nosiło na piersiach potwory naszyte, a na plecach znaki swych oddziałów; używało jako broni łuków i pik bambusowych, lubowało się w wielkich chorągwiach kolorowych. Obecnie ma pozory europejskie: karabiny, bagnety, armaty; wydatki ministeryum wojny (1,463,000 dol.) wciąż rosną: w roku 1900 przedstawiały $^1/_5$ ogólno państwowych rozchodów (5,891,000 dol.), mimo to sami Korejczycy odzywają się o swej armii z powątpiewaniem.

— Strzelać do bezbronnych chłopów, gwałcić kobiety, to oni umieją. Ale przed Japończykami, nawet przed ton-chakami uciekają... Gdyby nie Chińczycy, toby powstańcy ostatnim razem zdobyli Seul. Dawniej inaczej bywało, przecie pobiliśmy nawet Francuzów. Teraz lud zmarniał, niema posłuszeństwa!... — powtarzały te niepoprawne dusze urzędnicze. — Dawniej zwierzchność nie potrzebowała nawet więzień; urzędnik nakreślił koło na ziemi i posadził winowajcę, a ten nie śmiał się ruszyć, choć straży wcale nie było. Teraz mury łamią, z więzień uciekając... Władza osłabła, zmalała powaga rządu!...

I snuły się dalej ostrożne skargi na cudzoziemców, na reformy, choć te w istocie pozostały literą martwą.

Orędziem cesarskiem 19 kwietnia 1895 r. zostały np. zamiast dawnych sądów policyjno-administracyjnych wprowadzone sądy niezależne z sędziów, naznaczanych przez ministeryum sprawiedliwości, z prokuraturą na wzór europejski. Ale już w rok potem, również orędziem cesarskiem (dnia 11 stycznia 1896 r.) są-

downictwo prowincyonalne zostało znowu powierzone gubernatorom, a powiatowe naczelnikom powiatów. Tortury niby zniesiono i karę śmierci ograniczono; w istocie jednak nawet w stolicy używają dawnych, okrutnych sposobów badania, a na prowincyi torturują obywateli z najbłahszego powodu, poprostu na rozkaz byle naczelnika. Co się zaś tyczy kary śmierci, to w jednym miesiącu lutym 1897 r. było skazanych na powieszenie *trzydziestu siedmiu* więźniów [1]). Podobno w Seulu istnieje zreformowane po europejsku więzienie; nie zdążyłem go zwiedzić i nic o tem powiedzieć nie mogę, lecz wiem, że wszędzie na prowincyi pozostały dawne chińskie więzienia-klatki, gdzie więźniowie żyją z jałmużny, a sądząc z powyżej przytoczonego protokółu sprawy wodza ton-chaków, Czoi-si-chjęga, powyższy sposób żywienia ich utrzymywał się do niedawna i w stolicy [2]). Widziałem również na ulicach Seulu więźniów ze skrępowanemi na piersiach rękami, skutych łańcuchami za szyje. Mieli na głowach wielkie kołpaki słomiane, głęboko na twarze nasunięte, towarzyszyli im nadzorcy z maczugami w ręku.

„Kanga" [3]) oraz chłosta bambusem lub knutem należą do rzeczy zwykłych i uważane są za kary łagodne. Po dziś dzień również wystawiają na widok publiczny

---

[1]) „Korean Repository", r. 1897, str. 78.

[2]) Rok 1898. Patrz rozdział poprzedni.

[3]) Deska wielka i ciężka w kształcie dyby, wkładana na szyję.

w klatkach lub wywieszają na murach miejskich głowy straconych [1]). Wogóle kary sądowe do tej pory są bardzo surowe, ale najlepszym przykładem ich niemocy wobec wymagań życia jest kara śmierci *za łapownictwo*, z dawien dawna wpisana do kodeksu korejskiego, lecz niestosowana nigdy, gdyż należałoby śmiercią ukarać zbyt wielu. Grasuje ono w sądach niegorzej, niż gdzieindziej. Mój orędownik a zarazem tłomacz, urzędnik pałacowy Szin-mun-giun, otwarcie mi mówił:

— W Korei kto bogaty, ten niewinny! Biedny, choćby nic nie zrobił, zostanie surowo ukarany, ale bo-

---

[1]) Ciekawą jest rzeczą, że w czasach dawnych kara śmierci stosowana była dość rzadko i dopiero w końcu XVIII stulecia rozpowszechniła się tak bardzo. Karano śmiercią za następujące przestępstwa: 1) za zbrodnie wszelkie przeciw osobie monarchy; 2) za wszelkie zbrodnie stanu i polityczne; 3) za udział w buncie; 4) za wyznawanie chrześcijaństwa; 5) za naruszenie dyscypliny wojskowej; 6) za zdradę tajemnicy państwowej; 7) za zabójstwo; 8) za rozbój; 9) za podpalenie; 10) za zburzenie i zbezczeszczenie mogił; 11) za podrobienie pieczęci i dokumentów rządowych; 12) za podrobienie pieniędzy; 13) za *łapownictwo*; 14) za kradzież przedmiotów wysłanych królowi w podarunku; 15) (niewolnika) za spalenie pamiątkowej tabliczki przodków pana; 16) za doniesienie (młodszych) na starszych (ojca, wuja, dziada, matkę itd.); 17) za uderzenie ojca; 18) za palenie opium; 19) za przemycanie opium, żeńszenia, złota, rudy srebrnej i piasku złotego; 20) za kopanie szlachetnych metali (do 1882); 21) za wywóz zboża i ryżu za granicę; 22) za przejście granicy; 23) za stosunki z cudzoziemcami. (M. Pogio: „Korea", tłom. niem., str. 77).

gaczowi nawet zabójstwo ujdzie!... Nie na sumienie i prawo baczą sędziowie, lecz patrzą na ręce obwinionego!...

Sprawy sądowe były i są poniekąd jednym z głównych dochodów osławionych „muń-gäków", dworzan ludzi wpływowych. Za pewną opłatę, zależną od ważności sprawy, zobowiązują się oni do jej obrony, wyłudzają następnie od swego patrona list polecający i zjawiają się z nim u sędziego; ten wówczas nie śmie osądzić winowajcy, co najwyżej stara się sam coś odeń otrzymać. Słowem, niczem niekrępowana samowola po dawnemu panuje od góry do dołu.

A ponieważ każdemu chodzi przedewszystkiem o dochody, stan finansowy kraju jest wprost opłakany. Ale i dwór ma się wcale nie lepiej. Wprawdzie jeden z seulskich dyplomatów rosyjskich dowodził mi, że „wcale tak źle nie jest", że „u cesarza korejskiego *kury pieniędzy nie dziobią*", że „w bieżącym jeszcze roku Jego Cesarska Mość ma zamiar upamiętnić przyjęcie przez siebie cesarskiego tytułu wspaniałym festynem, na który zostaną zaproszeni przedstawiciele wszystkich państw i nawet... podróżni, czego nie można przecie dokonać z pustą kieszenią"...

Lecz nie przekonało mię to. Nie przekonał mię również szanowny Szin-mun-giun, który twierdził, że oświetlanie pałacu elektrycznością zostało przerwane nie dlatego, że niema za nie czem płacić, lecz dlatego, że „cesarz gniewa się na nieuczciwe Towarzystwo elektryczne amerykańskie", zaś dach na nowym budynku

pałacowym załamał się nie dlatego, że go źle postawiono, lecz „z powodu niesłychanie ulewnych deszczów“, a jest nienaprawiany nie z przyczyny braku pieniędzy, lecz dlatego, że przez zawalenie się „obrzydł cesarzowi“... W parę dni jednak zdarzył się mały wypadeczek, który przekonał mię już niezbicie, że bądź co bądź najwiarogodniejsze są wiadomości... zbierane przez monsieur Moulis'a na targu.

Byłem z wizytą u pewnego znacznego urzędnika korejskiego. Siedzieliśmy właśnie w jego wewnętrznym, „gościnnym pokoju“, upiększonym europejskiemi zwierciadłami, zegarami oraz cennymi, starożytnymi przedmiotami korejskimi; siedzieliśmy po japońsku: bez butów na wysłanej ślicznemi matami posadzce. Gospodarz, bardzo miły w obejściu, o ściągłej, oliwkowej twarzy i podłużnych, smutnych oczach, opowiadał ciekawe szczegóły o zamierzonej przez rząd budowie huty szklanej, o fabryce tkackiej, o eksploatacyi kopalni węgla i rozmaitych nadziejach, związanych z temi przedsiębiorstwami, gdy do pokoju przemocą nieledwie wpadł Chińczyk... Ukląkł, uderzył czołem, poczem wyciągnąwszy z rękawa jakiś papier, począł mówić z uniesieniem i papier gospodarzowi domu podsuwać... Ten papieru nie brał, ale słuchał w milczeniu, z głową pochyloną na piersi. Szin-mun-giun też głowę zwiesił. Wreszcie zaczęli coś cicho i ostrożnie przekładać napastnikowi. Był to przedsiębiorca budowlany, który wielokrotnie już żądał nadaremnie wypłacenia należności. Teraz poniósł znaczne straty wskutek gwałtownego

spadku kursu, wywołanego pogłoskami o wojnie, ponieważ w kontrakcie wypłata umówiona była w dolarach korejskich, a robotnikom musiał wypłacać srebrem chińskiem. Pytał, kto mu wynagrodzi straty, płynące ze zwłoki?... W końcu zgodził się i na nie, byle mu należność wypłacono natychmiast...

— Niema pieniędzy!... — westchnął Szin-mun-giun, który mi opowiedział to wszystko. — Niedawno wpłynęło do skarbu 80 tysięcy, ale już niema ani dolara!

Nie mogłem się jednak dowiedzieć, co to były za tajemnicze 80,000 i dlaczego znikły tak szybko. Skarżył się tylko ostrożnie, że trzymają w pałacu za dużo niepotrzebnej hołoty, wróżbitów, czarowników, tancerek (ki-sań [1]).

— Cesarz zbyt jest dobry, ale jego wola święta!... Całe państwo, i skarb, i my sami jesteśmy jego własnością...

W tem utartem zdaniu, które często słyszałem w Korei, było wiele lojalnej obłudy, gdyż właściwie *dochody skarbowe należały do każdego, kto miał śmiałość i możność z nich czerpać.*

Skarbowość korejska, podobnie jak cały układ pań-

---

[1]) Wydatki na szamańskie ofiary dworskie rosną istotnie szalenie: w r. 1897 wynosiły 60,000 jen, a w 1900—już 150,000 według budżetu, w istocie były zawsze większe. Wpływ wróżbitów na cesarza i cesarzową był tak silny, iż Japończycy po zajęciu Seulu w 1904 r. wypędzili ich przedewszystkiem z pałacu jako wrogów wszelkiej reformy.

stwowy wzorowała się na chińskiej. Polega ona na decentralizacyi administracyjnej. Naczelnicy prowincyi są uważani za przedstawicieli cesarza i samowładztwa; obdarzeni znacznemi prawami w zakresie sądownictwa i policyi, posiadają prócz tego własne kasy, niepodlegające kontroli władz stołecznych. Minister skarbu zatwierdza tylko ogólną sumę podatków, przypadającą na każdą część kraju; po odesłaniu należnej ilości do skarbu stołecznego, władze miejscowe rozporządzają resztą według własnego uznania. Stąd powstało dążenie do stałego zmniejszania sum pierwszego rodzaju oraz zwiększania i usuwania od wszelkiej rachunkowości wydatków i poborów miejscowych. W rezultacie *kilkunastomilionowy* lud, jęczący pod brzemieniem podatków, wnosi do skarbu państwowego zaledwie *siedem milionów* jenów rocznie [1]). Ale i tę sumę trudno wydostać od władz prowincyonalnych; one wiecznie zalegają albo zwłóczą z wypłatą we wszystkich instan-

---

[1]) Przytoczę dla przykładu budżet dochodów na r. 1900: a) podatek gruntowy 2,981,318 j. (powinno być 4,750,000 j.); b) zaległości podatku gruntowego i podymnego 990,000 j.; c) podatek podymny 278,478 j. (powinno być 700,000 j.); d) dochody celne i łasztowe (od okrętów) 800,000 j. (powinno być 900,000); e) podatek od złota 10,000 j. (powinno być z górą 150,000); f) akcyza od żeń-szenia 150,000 j.; g) podatki mieszane (przeważnie handlowe) 200,000 j.; h) rozmaite dochody drobne (?) 70,000 j.; i) dochody z mennicy 350,000 j. — razem z pozostałością (?!) z roku przeszłego— 333,000 = 6,162,796 j. („Opis Korei“, wyd. minist. skarbu. Cz. III, str. 223.

cyach, poczynając od władz gminnych i powiatowych, kończąc na gubernatorach. Przetrzymane pieniądze wypożyczają, korzystając w ten sposób z procentów. Dawniej, kiedy podatki pobierane były w naturze, działy się nadużycia stokroć większe, poborcy kazali sobie odmierzać zboża i grochy miarami handlowemi trzy razy większemi od miar rządowych tej samej nazwy, skarb znowu okpiwali na gatunku oddawanych materyałów, zamieniając lepszy na gorszy, dodając piasku i śmiecia. Reforma 1894 roku, która miała wnieść ład i jawność przedewszystkiem w tę dziedzinę, zdołała zaledwie wprowadzić podatki pieniężne. Reszta pozostała po dawnemu. Skarb nic nie daje na utrzymanie administracyi i policyi prowincyonalnej, ale też nie odbiera żadnych sprawozdań o ich dochodach i wydatkach. Wogóle budżetu państwa, w pojęciu europejskiem, Korea nie posiada, gdyż te sprawozdania, które od czasu do czasu pojawiały się w gazecie rządowej, oraz ogłaszane wyciągi z ksiąg państwowych nie zasługują wcale na wiarę i pełne są tajemniczych sprzeczności i niedomówień. Naprzykład dochody celne i łasztowe (od okrętów) w latach 1896 i 98 były podane na 501,873 i 486,163 jen., tymczasem dorównywały w tych latach 691,784 i 1,000,451 jenów, a w 1899 r., kiedy ich wcale nie wniesiono do ksiąg ministeryum skarbu, sięgnęły 902,955 jenów. Gdzie się te sumy podziewają i na co są zużytkowywane, tego w księgach niema i śladu, gdyż zupełnie samodzielnie rozporządza niemi komisarz celny, zależny całkowicie od ce-

sarza. To samo dzieje się w innych gałęziach dochodów. W budżecie 1899 r. podano 300,000 jenów, jako spodziewany dochód od podatków mieszanych, gdy tymczasem w rzeczywistości wpłynęło ich 26,935 jenów.

Na utrzymanie administracyi, policyi i sądownictwa prowincyonalnego skarb, jak to powiedziałem, zupełnie nic nie daje, tymczasem w budżecie stale figuruje od 700—800,000 jen. niby na ten cel przeznaczonych. Wyjezdne dla urzędników wykazane jest w ilości 10,000 jen., lecz wiadomo, że tylko w 1899 roku wydano na to 7,552 jen. W budżecie ministeryum sprawiedliwości wykazano za lata 1897 i 1898 1,680 jen. i 2,100 jen. na utrzymanie sądów, które nigdy nie istniały i t. d. Możnaby wykaz tych niedokładności o wiele przedłużyć [1]). Przykład idzie z góry, jakkolwiek na utrzymanie dworu wyznaczono wszystkiego 500,000 jen., w rzeczywistości prócz tego pochłania on 25% do 30% wszystkich dochodów skarbowych, co dochodzi prawie do 200,000 jenów rocznie. Robi się to w sposób bardzo prosty: gdy pieniądze wyjdą, ministeryum dworu dostaje od skarbu państwa zaliczkę niby to z sum przyszłego roku, które jednak nigdy nie bywają strącane. Następnie dwór zaciąga długi u kupców, dostawców, przedsiębiorców, które skarb musi płacić jako *zobowiązania państwowe*. W roku 1898 wydał na to 87,000 j.

---

[1]) „Opis Korei". Część II. Rozdział XIV: Finanse, str. 431.

Nareszcie istnieje osobna rubryka wydatków dworskich *nadzwyczajnych*, dochodzących corocznie do 200—300,000 j., również zaspokajanych przez skarb państwowy. Gdy budowano nowy pałac, oprócz 200,000 j. wydanych niby z cesarskiej szkatuły musiało ministeryum skarbu dać na *dokończenie* budowy *249,000* w ciągu dwóch lat (1898 i 1899). W tym też czasie cesarz odebrał skarbowi dochody z kopalni złota i cło z żeńszenia... A jednak zaledwie upłynęło dwa lata od przysięgi wykonanej przezeń publicznie na żądanie Japończyków, w której 14 punktach znajdują się i następujące [1]): 4) Sprawy majątkowe króla zostaną oddzielone od spraw państwowych. 6) Pobory skarbowe, opłacane przez lud, będą określone drogą prawodawczą; nieprawne pobory nie będą więcej miały miejsca. 7) Naznaczanie, zbieranie i wydawanie wpływających do skarbu podatków należy wyłącznie do ministeryum finansów. 8) Przedewszystkiem będą ograniczone wydatki dworu cesarskiego, co powinno posłużyć za przykład dla ministrów i urzędników prowincyonalnych. 9) Co rok będzie układana lista wydatków dworskich i ministeryów z baczeniem, aby dochody państwowe zostały używane tylko na ściśle określone potrzeby.

---

[1]) Przysięga została wykonana uroczyście przez obecnie panującego cesarza w świątyni jego przodków 7 stycznia 1895 roku. Jest ona właściwie streszczeniem główniejszych postanowień z 208 praw wydanych przez zebranie prawodawcze z 1894 roku.

Wątpliwą jednakże jest rzeczą, czy cesarz mógłby dokonywać, nawet gdyby chciał, powyższych ograniczających go zobowiązań. Jest on całkowicie w mocy swego otoczenia, którego potrzeby i wymagania powiększają się z dnia na dzień. Mnożą się i dorastają liczni książęta krwi, synowie i wnukowie poboczni, mnoży się ich harem i służba. Wciska się wciąż do pałacu ciżba nowych ulubieńców, zauszników, wróżbitów, ambitnych i chciwych. Cesarz jest wciąż ogołocony z pieniędzy, a często nie może dostać paruset jen. na osobiste wydatki [1]), gdyż przeznaczone dlań sumy topnieją po drodze w tajemniczy sposób... A tymczasem musi wciąż dawać, zapełniać wyciągnięte ku sobie szpony drapieżne, rozwarte gardziele, wyszczerzone zęby rozmaitych osobistości, wśród których daremnieby szukał odrobiny uczucia dla siebie. Zdradzano go tylekroć, tylekroć płaszczący się przed nim niewolnicy podawali mu kłamstwo i ukrytą truciznę, więc wierzyć już nie może i pamięta jedynie, jak sługi jego mordowano w jego oczach; pamięta burzliwe napady i bitwy dokoła siebie, wyzysk uśmiechniętych przyjaciół krajowych i cudzoziemskich lub groźbę utajoną w dworskim frazesie możnego dostojnika...

Szin-mun-giun opowiedział mi legendę dworską, która wiernie maluje dawniejsze życie prywatne monarchów korejskich, jakiem ono pozostało zresztą i po dziś dzień:

---

[1]) „Opis Korei". Część II, str. 453.

— Przed 200 laty panował król Cchan, który upodobał sobie bardzo drugą żonę a obrzydził pierwszą i kazał ją nawet odesłać z powrotem do rodziców za bramę wschodnią. Tam wygnanka pędziła żywot w wielkiej żałobie, nie myjąc twarzy, nie czesząc włosów i nie obcinając paznokci. Tymczasem król coraz bardziej przywiązywał się do swej wybranki. Nareszcie ministrowie zwrócili mu uwagę, że to niedobrze tak krzywdzić prawowitą małżonkę, że należy kochać obie żony jednakowo.

Ale król nie usłuchał. Wtedy ministrowie kazali wydrukować książkę i niby stare dzieło podali mu ją, mówiąc:

— W tej księdze jest opisana historya, jak pewien król wyróżnił niegdyś drugą żonę, a pogardził pierwszą i co z tego wynikło. Niech Wasza Cesarska Mość raczy łaskawie przeczytać".

A stało w tej książce, że wskutek niesprawiedliwej miłości królewskiej spłynęły na kraj wielkie nieszczęścia. Król zrozumiał o co chodzi, posłał po swoją pierwszą żonę, kazał jej się umyć, uczesać i wrócił ją do swej łożnicy. Odtąd kochał obie, ale tajemnie przekładał zawsze drugą, chętniej się z nią bawił i obcował. Aż zdarzyło się, że zrana, gdy przy myciu igrał z nią, ta broniąc się i odpychając go od siebie, zadrasnęła go wypadkiem w czoło. Jest takie prawo, że kto cesarza dotknie a tembardziej zrani, musi umrzeć. Ministrowie dostrzegli znak na czole króla i, dowiedziawszy się, że uczyniła go druga jego żona, zażądali wydania jej. Król

odmówił. Dwadzieścia razy zwracali się doń, wciąż odmawiał, aż spadły na kraj susze niezmierne. Wtedy wydać ją musiał. Ministrowie kazali jej zażyć truciznę, lecz ponieważ nie chciała umierać i skopała nawet nogami dostojników, co jej czarę przynieśli, postanowiono udusić ją między podwójnemi drzwiami, aby stało się zadość prawu, i ona umarła, nietknięta rękami ludzkiemi. Pochowano ją za bramą południową (pałacu), tam, gdzie teraz poselstwo rosyjskie. Król nie mógł jej zapomnieć, ani pocieszyć się po jej śmierci: wciąż ciągnął na jej mogiłę. Przedtem bywało najwyżej po dwa „wyjścia" (ku-don) na miesiąc, teraz uczyniło się ich 29, a więc codzień w małym miesiącu, a w dużym został jeden tylko dzień wolny.

W zamęt popadły wszystkie sprawy; urzędnicy nie jedli, nie spali, nie robili nic, gdyż musieli towarzyszyć królowi przy „wyjściach". A król wciąż siedział na mogile królowej, wzdychał i płakał. Dwadzieścia razy ministrowie przedstawiali mu, że nie należy tak bardzo rozpaczać, że powinien swe drogocenne zdrowie szanować. Nic nie pomagało. Wtedy umyślili ciało w nocy wykopać i wywieźć daleko. Lecz przyśniła się królowi nieboszczka żona i ostrzegła go o zamiarze ministrów.

— Dobrze, niech mię odkopią, lecz niech pochowają mię, gdzie wskaże twoja królewska chorągiew— powiedziała mu, znikając. Król wezwał ministrów i wyjawił im, że wie o ich zamiarach. A gdy się zlękli, rzekł im, że daje swe przyzwolenie, byle pochowali ciało

tam, gdzie wskaże jego monarsza żółto-czerwona chorągiew.

Nazajutrz otwarto mogiłę, wydobyto trumnę i ruszono w uroczystym pochodzie, na którego czele wystąpił rycerz z monarszą żółto-czerwoną chorągwią. Chorągiew natychmiast rozwinęła się i pociągnęła za sobą chorążego. Wiodła go, za 99 gór i dołów; wreszcie zatrzymała się i gdy rycerz chciał ją dalej ponieść, kroku nie mógł uczynić.

W tem miejscu kazał cesarz swą zabitą żonę pochować. Zwie się to miejsce Kiąg-nun. Przedtem były tam tylko suche skały, ale wkrótce ludzie mówić zaczęli, że ze wszystkich 99 dolin płynąć zaczęły strumyki, że wszędzie bić zaczęły źródła... Chodzili, oglądali, dziwili się. Mieszkał wówczas niedaleko Seulu ubogi jan-bań, który miał dwóch synów: jednego — ślepego, drugiego — suchorękiego. Ponieważ pochodzili z rodu jan-baniów, choć byli kalekami, musieli służyć. Mały, co prawda, zajmowali urząd i niebardzo na nich zważano. Sami jednak zwrócili się do rodziców:

— Wszyscy już złożyli hołd małżonce króla w jej nowej mogile, myśmy tylko tam jeszcze nie byli... Choć mały zajmujemy urząd, wypada i nam to uczynić. Puśćcie nas!

Rodzice po naradzie zgodzili się, gdyż nie mogli im odmówić. Najęli dwa palankiny i wysłali synów. Wędrując przez rzeczki i strumienie, zapragnęli ochłodzić się od spiekoty i od wypitej „suli“ (wódki), zdjęli

„Kiąg-nun“ — mogiła drugiej żony cesarza Can na drodze genzańskiej, z którą związana jest legenda o cudownem źródle.

odzienie i zanurzyli się w wodzie. Niedługo spostrzegł ślepy z przerażeniem, że widzi, a suchoręki, że włada rękami... Wieść o tym cudzie niezwłocznie rozbiegła się po całej Korei i zaczęły się schodzić do grobu cesarzowej tłumy chorych, szukając uzdrowienia. Długo nikt nie wiedział, skąd to pochodzi, aż znalazł się taki urzędnik, który wytłomaczył, że to pewnie cesarzowa-nieboszczka obchodzi w ten sposób swoją żałobę, której jej, jako zgładzonej, odmówiono. Tłumy obdartych, brudnych, nieczesanych przychodziły na jej grób z płaczem i błaganiem. Sto lat trwała uzdrawiająca moc źródeł, poczem zaczęła słabnąć i obecnie już znikła...

Minęła pierwsza żałoba i druga!.. — dokończył pouczająco Szin-mun-giun.

Wielka pozornie cześć za życia i po śmierci a w gruncie rzeczy — niewola, ogromna możność czynienia złego i niesłychanie mała dobrego — oto los cesarzów korejskich.

*   *

*

Codzień sam albo z tłomaczem zwiedzałem jakiś zakątek Seulu. Czasami brałem „rikszę“, których tłum stał wiecznie przed hotelem, innym razem siadałem do tramwaju elektrycznego, który biegnie od bramy Wschodniej do Zachodniej, przecinając podługowate w planie miasto wzdłuż jego największej osi. Wolałem jednakże

robić wycieczki pieszo, co pozwalało zatrzymywać się przed ciekawszymi sklepami oraz zaglądać do krętych, ciasnych uliczek starych dzielnic seulskich. Na ulicach ruch bardzo ożywiony, szczególniej zrana; snują się ciżby biało odzianych Korejczyków w czarnych cylindrach włosiennych lub bambusowych kapeluszach — grzybach; jadą ciężkie wozy zaprzężone w woły; idą z dalszych okolic karawany objuczonych koni a z bliższych wielkie byki korejskie, uginające się pod stosami naładowanego na nie drzewa, chróstu lub siana. Ale ruch, gwar, wołanie, brzęk żelaza, kucie młotów pracujących w otwartych warsztatach rzemieślniczych, ogólne tętno miejskiego ruchu znacznie jest jednak mniejsze, niż w miastach chińskich, a wygląd ludności dużo uboższy, brzydszy i bardziej prostaczy, niż w japońskich. Jednostajnie biała barwa ubrań oraz brak bogatych wystaw sklepowych pozbawiają ulice korejskie wszelkiego kolorytu. Brudne, zakopcone ściany domów bez okien od strony ulicy, pokłady śmieci, leżące na ulicach, brak chodników, kałuże i potoki brudnych pomyj, płynących nieraz środkiem, nieznośny odór gnijących odpadków włoszczyzny, ludzkich nieczystości, trupów kocich, psich, ptasich... wyrzucanych z mieszkań za próg, czynią przechadzkę po podrzędniejszych ulicach Seulu wprost niemożliwą. Dodać należy nieznośny, białawy kurz, którego gęsty obłok otula miasto od najwcześniejszego ranka. O polewaniu ulic niemają tu pojęcia, a ulice są niebrukowane. Zresztą nie ma wody. Łożysko rzeki, przepływającej przez miasto, wy-

pełnia się jedynie w czasie deszczów, poza tem jest to płytki, brudny i cuchnący potok, dość opieszale płynący wśród ośmieconych głazów. Pod wyłożonymi kamieniami bulwarami szeregiem siedzą u wody praczki, tłukące zawzięcie bieliznę krótkimi wałkami. Można się tam dowoli napatrzyć wdzięków kobiecych, gdyż damy korejskie zakrywają przed mężczyznami jedynie... twarze. Tajemnicą pozostało dla mnie w jaki sposób te osoby, tak często piorące śnieżne szaty swych mężów i własne, umieją zachować w stanie nienaruszonym brud swego ciała.

Najpiękniejszą i najruchliwszą jest ulica Dzon-no, po której biegnie tramwaj. Tutaj są najlepsze sklepy i bazary, naśladujące niezbyt udatnie bogate składy chińskie. Z trudnością odszukałem księgarnię, których tak wiele spotyka się w Chinach i Japonii. Sklepów z przedmiotami sztuki wcale nie znalazłem. Wprawdzie w bazarze, gdzie sprzedawano dywany, dość ładne maty, żelazne szkatułeczki korejskie i liche hafty jedwabne, pokazywano mi jednocześnie ordynarne malowidła, podobne do japońskich „kakemono", ale żadną miarą nie mogłem uznać ich za rzeczy sztuki. Zasmucony przewodnik, który wschodnim obyczajem miał sobie zapewniony 10% od kupionego przeze mnie przedmiotu, zaprowadził mię wreszcie do sklepów stolarskich, gdzie stały całe szeregi słynnych skrzyń korejskich i szaf rozmaicie malowanych, upiększonych ozdobami z blachy mosiężnej i cynowej lub pobielanej. Doprawdy myślę, że trzeba było specyalnie pracować

w ciągu całych wieków, aby tak zupełnie pozbawić smaku rzemieślników korejskich. A przecież to ongi pierwsi nauczyciele wykwintnych Japończyków! Jedynie skiepy „żałobne“ wywarły na mnie wrażenie. Długie rzędy otwartych bud pełnych sznurów konopnych, zgrzebnej odzieży, jakichś pęczków i wiechci słomianych, siatek białych do altanek żałobnych, no i przedewszystkiem... olbrzymich jak parasole kapeluszy dla ukrycia rozżalonych twarzy...

O tak, bezwarunkowo lud ten miał sposobność nauczyć się smutku i pokochać żałobę!...

Obejrzałem słynny wielki dzwon In-czion [1]), którego głos był sygnałem krwawych zaburzeń 1884 roku, a który przedtem codzień o zachodzie słońca wzywał mężczyzn okolicy, aby pozostali w domach i oddali ulice miasta aż do północy na wyłączny użytek kobiet, w innych godzinach więzionych po domach obyczajem korejskim. Wolno było wtedy przechodzić przez tłumy niewiast tylko gońcom rządowym i urzędnikom ze specyalnymi pasportami (phă), inni mężczyzni byli chwytani jako złoczyńcy. Co za pole do romantycznych przygód w stylu „Tysiąca i jednej nocy“!

Oglądałem następnie na placu, przeznaczonym na przyszły ogród Seulski, pomnik „nieprzyjaciół cudzoziemców“ na olbrzymim żółwiu i śliczną poczerniałą od czasu i dymu trzynastopiętrową pagodę marmuro-

---

„In-czion“ znaczy: mężczyzna postanawia (iść spać)—stara nazwa dzwonu.

wą, upiększoną przedziwnemi płaskorzeźbami buddyjskiemi. Jest ona podobno wytworem chińskim i była przysłana z Nankinu w XIV stuleciu w posagu księżniczki z domu Juań, która wyszła za jednego z monarchów korejskich. Utrącony wierzchołek pagody stoi obecnie obok niej na ziemi. Rozumie się, że utrącili go „Japończycy", rozgniewani za to, że „ptaki z płonącemi żagwiami, jakie puścili na oblegany przez siebie Seul, siadały nie na domach miasta, lecz na tej pagodzie". Stąd ma pochodzić i sadza, powlekająca śliczny pomnik. Nie mogłem się dowiedzieć, kiedy popełnili „Japończycy" ten wandalizm.

Zresztą pagoda bardzo zaniedbana: podstawa jej kruszy się, rozwala, płaskorzeźby psują, szczerbione rękami rozmaitych barbarzyńców miejscowych. Plac przyszłego ogrodu wygląda jak pustoć zamiejska, usypana górami śmiecia, gruzu, piasku, porosła lichą darniną. Nigdzie śladu drzewka, krzewów, kwiatków. Tylko pośrodku „altanka dla muzyki", jako początek ogrodu, i obrzydliwy parkan wokoło. Tak wyglądają mniej więcej wszystkie „starożytności" Seulu. Ruiny zaniedbane i brzydkie, ale za to otoczone murami, parkanami i pilnie strzeżone przez straże. Trzeba się wszędzie dostawać ukradkiem lub gwałtem. I wszędzie, jako usprawiedliwienie ostrożności... Japończycy.

— Dawniej wszystko było otwarte i dostępne, ale... Japończycy tak się zachowywali, że cesarz zamknąć kazał.

— Cóż oni zrobili!?

— Fotografowali, mierzyli, zapisywali, potem... jedli śniadania i papierki rzucali na ziemię!—odpowiadano mi prawie jednozgodnie w tych wyrazach, gdym starał się o pozwolenie zwiedzenia mogiły zamordowanej cesarzowej Min, letniego i starego pałacu, świątyni Nieba i t. d. Byłem wprost zbudowany wymaganiami porządku panów z „Ulicy Ministrów", szkoda jednak, że go nie stosują do siebie. Wszędzie, gdziem tylko dotarł, w świątyniach i pałacach leżały kupy gruzu i napół zgniłego śmiecia. Względnie czysto utrzymana była tylko nowo zbudowana świątynia „Ogłoszenia Cesarskiego Tytułu". Stoi ona niedaleko dzwonu na skrzyżowaniu ulic Dzon-no. Ma charakter chiński, ale jest otoczona balustradą z żelaznemi, europejskiemi sztachetowemi wrotami. Inne budowle, świątynie, bramy i mury wszystkie przedstawiają naśladowanie pekińskich budynków cesarskich, lecz są o wiele uboższe i drobniejsze.

Całe miasto wydało mi się jako brudny, ale ruchliwy i ożywiony dodatek do ogromnych, martwych obszarów pałacowych, otoczonych wysokim murem. Jedynie pięknym pomnikiem budownictwa jest potężny łuk wiaduktu, przerzucony nad ulicami z nowo wybudowanego pałacu do starego, gdzie odbywają się ćwiczenia wojskowe. Wznieśli go dwaj inżynierowie korejscy — mój dobry znajomy Szin-mun-giun i Kiu-ma. Pozwala on cesarzowi „bezpiecznie" udawać się na przeglądy wojsk bez ukazania się lu-

dowi i „wyjść“ uroczystych (ku-don), które niby „za drogo kosztują“. Powstał on niedawno, w czasach największego rozprzężenia finansowego i wykazuje dosadnie, na co płyną sumy, tajemniczo notowane w księgach skarbowych, jako roboty „użyteczności publicznej“.

Wyznaję, że najwięcej podobała mi się w Seulu dzielnica japońska, „Czin-go-gaj“, czysta, doskonale utrzymana, pełna sklepów i tłumu przechodniów. Przeważają Japończycy, ale snuje się niemało krajowców i nawet Europejczyków, gdyż każdy, kto chce kupić coś lepszego i bardziej wyszukanego, musi tu się udać. Nawet monsieur Moulis, wbrew wielokroć stwierdzonemu europejskiemu patryotyzmowi, posyłał mię tam zawsze, gdy zażądałem czegoś porządniejszego, tam szukałem również kąpieli, której on nie miał w swoim hotelu, aby obmyć się z kurzu i znoju po długiej podróży. Dostać tu można wszystkiego, poczynając od pięknych fotografii widoków i typów korejskich, kończąc na starych książkach korejskich, mapach i obrazach. Ale przeważają towary japońskie. Budowle też są japońskie i cały skład życia japoński. Przyzwyczaiwszy się doń w czasie dłuższego pobytu w Japonii, z przyjemnością błądziłem znowu wśród znanych ulic, uśmiechając się do uprzejmych mężczyzn i kobiet, zaglądając do sklepów, gdzie często odpowiadano mi po angielsku lub po rosyjsku. Poczta japońska mieściła się w czyściuchnej kamienicy piętrowej. Ani jeden list, wysłany przeze mnie tą pocztą, nie zgi-

nął, gdy tymczasem listy, wyprawione przez pocztę rosyjską statkiem, idącym wprost do Portu Artura, wcale tam nie przyszły [1]) Poselstwo japońskie również znajduje się w dzielnicy Czin-go-gaj, ale stoi już na skraju miasta, na podgórzu Nam-sania, starej góry strażniczej, za której szczycie ocalało jeszcze kilka słupów kamiennych do rozniecania ogni sygnałowych. Poselstwo jest skromnym budynkiem, ale bardzo ładnie położonym wśród całego układu dziwacznie załamanych tarasów, oblicowanych granitem. Opodal, na tej samej gǫrze stoi katedra katolicka. Poselstwa europejskie mieszczą się w innej dzielnicy, zwanej Dzon-no, u bramy Zachodniej, na podgórzu, tuż po za Nowym Pałacem cesarskim. Panują one nad miastem. Z poselstwa rosyjskiego otwiera się rozległy widok na miasto i okalające dolinę poszarpane, różowo-szare, granitowe wiszary. Na południu wznosi się Nam-sań, na północy Puk-sań (góra północna), na wschodzie trójgłowy Sam-kgyksań. W dzielnicy, europejskiej koło głównej bramy pałacowej mieszczą się dwa hotele i nieliczne sklepy europejskie, francuskie, angielskie i amerykańskie. Są tam również po europejsku urządzone magazyny chińskie i japońskie oraz jeden rosyjski. Towary liche a drogie.

---

[1]) Wogóle poczta japońska nie ustępuje angielskiej, należy do najlepszych w świecie i o wiele przewyższa, co do poszanowania tajemnicy listowej i praw adresatów, osławioną pocztę niemiecką.

Dzielnica chińska w Seulu jest najstarszą z cudzoziemskich. Przylega ona do świątyni Konfucyusza, jest bardzo brudną, brudniejszą nawet od dzielnic krajowych, poza tem mało różni się od nich. W budach siedzą przekupnie w narodowych, chińskich strojach oraz drobni rzemieślnicy, którzy w Seulu przeważnie rekrutują się z Chińczyków.

Godne widzenia są jeszcze: „Arka Niezależności", posągi Amitoby u bramy północnej przedmieścia, gdzie mieszkają czarownice (mu-dań), dzielnica papierników u stóp Puk-sania i kilka świątyń Boga Wojny (Koan-uöń-dzan). W świątyniach są ciekawe, stare obrazy a na ścianach freski, przedstawiające dawne wojsko korejskie i różne wojenne legendy [1]). W świątyni Pun-mio freski wyobrażają czyny bohaterskie pewnego Waria-son-tsena, który wysłany przez cesarza przeciw Tiegola (?!) zwyciężył ich podstępem, podsunąwszy im w czasie nocy kryte słomą łodzie, wewnątrz których grała muzyka. Tiegola wyrzucili wszystkie posiadane strzały do tych strzech, a Waria, który strzał miał mało, zebrał je następnie i, napadłszy w dzień na wrogów, pobił ich na głowę.

Piękne są wycieczki w okolice Seulu nad rzekę

---

[1]) Za sfotografowanie paru tych fresków zrobili mi kapłani awanturę, którą z trudnością załagodziłem pieniężnym datkiem. W jednej ze świątyń podano bogu wojny suty obiad w srebrnych naczyniach; składał się z ryżu, gorącego mięsiwa i jarzyn.

Chań, do mogił cesarskich, do wykutego w prostopadłych skałach przesmyku na drodze Genzańskiej. Należy również zobaczyć miejsce, gdzie odbywają się doroczne bitwy Pjen-sä. Bitwy te mają wiele cech wspólnych z walkami „na pięście“, w zapusty, jakie do niedawnych czasów zachowały się były w wielu prowincyonalnych miastach wielko-rosyjskich. W umówionem miejscu schodzą się szermierze, rozdzieleni na dwie części według zamieszkanych przez siebie dzielnic. W Seulu są „wschodni“ i „zachodni“. Na głowy wdziewają wielkie, twarde kapelusze, wysłane grubą warstwą słomy, w prawych rękach trzymają maczugi długie na cali czternaście i grube na dwa cale, lewe ręce wyciągają przed siebie, chroniąc twarz od ciosu. Idą ławą i starają się przeciwnika wyprzeć ze stanowiska, rozbić i rozproszyć. W czasie bitwy wydają dzikie okrzyki i wycia. Ogromne tłumy widzów biorą gorąco do serca przebieg zapasów, podniecają walczących głośnymi krzykami i często nawet czynny biorą w nich udział. Kończą się one zwykle rzucaniem kamieni z proc. Na placu pozostaje zawsze dużo pokaleczonych i... kilka trupów. Boje te zachowały się według podania z czasów, gdy Korea dzieliła się na wiele drobnych gmin.

W samem mieście nie należy pominąć ulicy Ministeryalnej, cichej, szerokiej, jak plac, wyłożonej gładkiemi płytami, wiodącej wprost do schodów kamiennych Głównej bramy letniego pałacu, wspaniałego starożytnego zabytku chińskiego stylu, strzeżonego przez

chińskie lwy kamienne. Po obu stronach ulicy, w głębi obszernych dziedzińców stoją niezliczone, długie, nizkie i brzydkie budynki, gdzie setki urzędników zapisują stosy papierów, duszących i paczących życie Korei.

Ciekawą jest również dzielnica bogaczów „ta-bań-kol", składająca się z dwunastu ulic, zamykanych na końcach na mocne wrzeciądze. W razie zamieszek zamienia się ona w nieprzystępną twierdzę, gdyż wszystkie budynki zwrócone są na ulicę głuchemi, kamiennemi ścianami, pozbawionemi zupełnie otworów, a same ulice są tak wązkie, że rzędem może przejść najwyżej trzech ludzi i nawet mały wózek przesuwa się z wielką trudnością. Z ulicy przez wązkie bramy wchodzi się na szereg dziedzińców, które chińskim obyczajem im dalej, tem stają się czystsze i ozdobniejsze. Na niektórych są małe ogródki i klomby kwiatów. Skorzystałem z grzeczności jednego z mieszkańców ta-bań-kol'u i zwiedziłem jego posiadłość. Pierwszy dziedziniec otaczały jakieś szopy i składy; dalej wpoprzek drogi stało nizkie skrzydło budynku w korejskim stylu, z wystawą nad długim, wzdłuż całej ściany gankiem. Gdyśmy tam weszli, znaleźliśmy się w pierwszej „poczekalni zewnętrznej", gdzie paru krajowców, siedząc na ziemi, przepisywało jakieś papiery. Poczekalnia była dość brudna i uboga, czuć ją było dymem i staremi matami. Sługa odebrał nasze bilety wizytowe i poniósł je w głąb domostwa. Wkrótce poproszono nas dalej. Znowu minęliśmy dziedziniec

ładnie wybrukowany i okolony mieszkalnymi domami korejskimi; przez otwarte szeroko drzwi dostrzegłem w jednem ze skrzydeł siwo-brodego starca, w szlacheckim kapeluszu, siedzącego bez ruchu na macie. Pokoik, do którego nas wprowadzono, był nieduży i niewysoki, ale wyłożony pięknemi matami i upiększony artystycznymi drobiazgami. Miał w sobie coś japońskiego, lecz był ciemniejszy z powodu małych okienek i przepełnienia sprzętami. Na ścianach wisiały dość wytworne korejskie „kakemono", malowane tuszem. Pierwszy raz widziałem starodawną robotę krajową i przyznaję, że robiła wrażenie artystyczne [1]). Pod jedną ze ścian stała półeczka z kilkoma dziesiątkami książek w chińskich błękitnych oprawach. Gospodarz podsunął nam płaskie poduszki do siedzenia i prosił, byśmy zaczekali, aż kobiety się pochowają w głębi domu, aby można iść było dalej. Przez wązkie wejście, chronione kilkoma przekątnymi murkami, dostaliśmy się na podwórze kuchenne. Wielkie kotły, wmurowane w paleniska, mieściły się na poziomie dziedzińca, po drugiej stronie rzędem stały ogromne dzieże gliniane. Podobne dzieże i garnki stały na podwórzu, a obok leżały kupy zielonej, świeżo zwiezionej sałaty. Kuchnia mieściła się pod dachem, ale miała bok na podwórze otwarty.

Pod dachem kuchennym, wysoko na pół piętra

---

[1]) Ładne były również niektóre stare malowidła na jedwabiu, jakie widziałem w świątyniach.

wznosiła się na słupach otwarta platforma, służąca widocznie za pokój stołowy; pod ścianami mieściły się tam rzędy naczyń glinianych, fajansowych i metalowych, stały skrzynie i szafy obite blachą, stoły i nizkie stoliki do obiadu. Stąd widać było za niewysokim, obrosłym winem murkiem mały ogródek, do którego prowadziła okrągła, jak koło, bramka bez drzwi. Po wygodnych schodach weszliśmy na wzniesienie jadalne i stamtąd nawróciliśmy do pokojów kobiecych — niewielkich, ciepłych, ogrzanych z dołu, z podłogą żółtym papierem oklejoną. Uprzejmy gospodarz kazał nawet otworzyć sypialnię równie małą i schludną, w której pod ścianami leżała zwinięta w wałek pościel. W jednym z mniejszych pokoików dostrzegłem przed ładnem lusterkiem bukieciki kwiatów w zgrabnych wazonikach. Cały dom robił oryginalne wrażenie mieszaniny chińszczyzny z japońszczyzną, pełnej jednakże odrębnego smaku i wdzięku. Szczególniej oryginalną wydała mi się ta wzniesiona połowa domu, składająca się z małych, żółtych, schludnych izdebek, ozdobionych artystycznymi drobiazgami i ledwie rozwidnionych bladem światłem papierowych okien. Gospodarz odprowadził nas uprzejmie aż do samej bramy.

— Co jeszcze macie ciekawego? — spytałem Szinmun-giuna, który uprzejmie oprowadzał mię po tym domu i następnie po Seulu.

— Mamy... kinematograf, ale go cesarz zabrał do pałacu... Mamy teatr, ale przestał grać, gdyż nie opłaca się. Dla pokrycia wydatków potrzeba conajmniej 50

widzów, a i tylu się nie zbiera... Skarb pałacowy zaprzestał dawać zapomogi... Niema pieniędzy!

— A prywatnie czy można wezwać tancerki?

— Owszem, ale to dość drogo kosztuje! Nie ma ich gdzie wezwać!

Obiecał zresztą po krótkim namyśle urządzić widowisko w domu u siebie, możliwie najtaniej.

— Nie prędzej, jak za parę dni, bo to, widzi pan, trzeba zamówić tancerki (ki-sań), nająć muzykę i lektykarzy, którzy dziewczęta przyniosą, wreszcie przygotować obiad dla nich wszystkich oraz dla ich „siăk-ca-dzi"; po dwie tancerki mają jednego „siăk-ca-dzi", który opiekuje się niemi, dogląda ich, broni, uczy śpiewu i tańca. Oni wszędzie towarzyszą tancerkom.

Prosiłem go, aby mi pokazał domowe życie „ki-sań"; zmieszał się i zgodził dopiero, gdym prośbę powtórzył.

— Na co one panu!? To są biedne dziewczęta sieroty, kupione zwykle w dzieciństwie...

— A czy skazanych na niewolę sądownie już niema?

— Takich w Seulu już obecnie niema.

Szin-mun-giun był bardzo dogodnym dla mnie przewodnikiem, zajmował niepośledni urząd i doskonale mówił po rosyjsku.

Ale w Korei nic się nie załatwia prędko i prosto. Szin-mun-giun dowodził, że zanim powiedzie mnie do „ki-sań", musi postarać się o człowieka, który bywa u nich i zna je.

— Są tacy, którzy cały czas spędzają u nich, o takiego postarać się należy...

Tymczasem poszliśmy błąkać się po ulicach miasta, blado oświetlonych światłem nowego miesiąca. W ulicach tu i owdzie migały jeszcze po sklepach światełka; były to przeważnie kramy z jedzeniem oraz pewne wertepy, gdzie szynkarki „säk-cziu-ga“ handlowały sobą i obrzydliwą „suli“ (wódką). Weszliśmy do kilku z nich; wszędzie za szynkwasami stały pojedyńcze młode tęgie niewiasty z wyzywającem, śmiałem spojrzeniem. Budy były zupełnie otwarte od ulicy i miały w kątach małe alkówki zawieszone matami...

— Za noc spędzoną tam i wypicie, ile się chce, wódki, płaci się cztery dolary (jeny). Säk-cziu-ga nie sprzedają się inaczej, jak na całą noc, jednemu tylko mężczyźnie i zawsze z wódką. Ale są inne pośledniejsze „oji-hanyn“, które puszczają do siebie nawet Europejczyków. Z tych najlepsze biorą dwa dolary (jeny) za noc, a najgorsze kilka phunów ($^1/_{10}$) grosza)— objaśniał naiwnie zacny Szin-mun-giun.

W Korei niema wcale domów publicznych, nic takiego, coby przypominało japońskie „josziwara“ lub chiński „ogrody słodkich wczasów“. Podrzędne prostytutki, „oji-hanyn“ i „säk-cziuga“, uprawiają swój zawód z osobna i z wolnej ręki. Prostytutki wyższego rzędu, jak „sam-pe“ i „ki-sań“, również mieszkają pojedyńczo, lecz są niewolnicami.

— Kupione w dzieciństwie za małą sumę 10—20—40

dol. zostawały po dojściu do lat nałożnicami [1]) opiekunów albo brał je od nich kto inny za zwrotem kosztów wychowania. Gospodarz znalazłszy się w potrzebie, odprzedawał je na jedną noc albo na dłużej. Między „sam-pe" a „ki-sań" ta zachodzi różnica, że pierwsze nie odebrały wykształcenia i są poprostu młodemi, ładnemi dziewczętami, podczas, gdy „ki-sań" uczono rozmaitych nauk, śpiewu i tańca, układania wierszy, przyjemnej rozmowy i obejścia. Są wśród nich bardzo przyjemne i rozumne: u takich zawsze pełno... Przyjaźń z „ki-sań" dużo kosztuje. „Sam-pe" bierze za noc cztery dolary i kwita... Z „ki-sań" inaczej: za pierwszą noc płaci się osiem dolarów, ale za drugą można nic nie zapłacić i płaci się dopiero za trzecią noc. Jeżeli kto nie zapłaci za trzecią, to może już nie płacić sześć nocy z rzędu, gdyż to znaczy, że się dziewczyna podobała; siódmej nocy powinien znaczną sumę wypłacić albo „ki-sań" wykupić. Wykupić można na rok, na dwa, dziewczyna zostaje jednak u dawnego gospodarza, który jeden ma do niej prawo. Można wreszcie wykupić zupełnie, lecz to kosztuje drogo, co najmniej 1,000 dol., a są takie „ki-sań", za które płacono i po 10,000 dolarów — opowiadał mi Szin-mun- giun.

Dowiedziałem się następnie, że wszystkie prostytutki płacą podatek do szkatuły pałacowej od *dwóch*

---

[1]) Nałożnictwo, jak to już powiedzieliśmy, jest instytucyą uznaną w Korei przez prawo.

jen *rocznie* do *dwóch* jen *miesięcznie*. Najlepsze „kisań", w liczbie coś pięćdziesięciu, tworzą trupę dworską, która jest obowiązana dawać przedstawienia w pałacu na rozkaz cesarza lub członka rodziny cesarskiej. Prócz tego, grywały one w niedawno zamkniętym teatrze. Pobierały od 10 do 15 jen miesięcznie. Czy te dziewczęta trudniły się też prostytucyą i czy opłacały podatek do skarbu, gdzie mieszkały i kto się niemi opiekował—dowiedzieć się nie mogłem. O ile można wnioskować ze sprzecznych odpowiedzi, naznaczona im pensya, korejskim obyczajem, nigdy do nich nie dochodziła i musiały się utrzymywać i ubierać własnym przemysłem. Dawniej mieszkały w pałacu, obecnie werbują je wśród prywatnych „ki-sań", na co chętnie godzą się ich właściciele, gdyż to daje im dobrą markę.

Szin-mun-giun obiecał mię zapoznać i z dworskiemi i ze zwykłemi „ki-sań".

Długo tej nocy błądziliśmy z rozmownym krajowcem po śpiącym, cichym Seulu. Pokazywał mi rozmaite zapadłe i głuche kąty stolicy, chałupki nędzarzy, budy trędowatych, przytułki złodziei... Już powracając, spostrzegliśmy w małym domku lepszej dzielnicy samotnie migocące światełko. Gdym go spytał, co to jest? pchnął ze śmiechem drzwi i znaleźliśmy się w małej, nizkiej izdebce, pośrodku której siedział stary mężczyzna w czarnym kapeluszu i czarnem ubraniu. Zobaczywszy nas, pospiesznie wdział na nos ogromne okulary... Był to znachor i astrolog zarazem. Ściany

izdebki zajmowały do samej góry tajemnicze, czarne pudełka z białymi znakami, a pod sufitem wisiały jakieś suszone gady i olbrzymie jaszczurki... Żywy wizerunek naszego średniowiecza!

Przed powrotem do domu zmusił mię mój przewodnik do obejrzenia ulicy Trzech Światłości, gdzie w głębi, w cieniu wysokiej, krzyworogiej bramy chińskiej, jaśniały w blasku księżyca trzy złote hieroglify... Było tu istotnie pięknie!... Niby w cichym, głębokim akordzie zestrzeliły się w trzech łagodnych, czarownych promieniach wszystkie szepty, jęki i westchnienia zasypiającego białego miasta. Zdawały się mówić:

„Nie rozpaczaj, gdyż jest ukojenie!"

Szin-mun-giun nic nie rzekł, ale na dobranoc jakoś inaczej, mocniej uścisnął mi rękę. Zanosiło się między nami na początek przyjaźni.

Nazajutrz późno wieczorem puściliśmy się w naszą wędrówkę do „ki-sań" pod przewodnictwem „dobrze obeznanego" z niemi młodego krajowca.

— Jakie pan życzy sobie widzieć? Czy tylko najlepsze?

— Ależ nie! Chciałbym poznać najrozmaitsze!...

— Owszem. Lecz niech pan pamięta, że żadna z nich nie umie po europejsku. Te najlepsze, tancerki dworskie, znają Europejczyków; widywały ich na zabawach w pałacu i w teatrze; są jednak i takie, co nigdy Europejczyków nie widziały.

Pierwsza „ki-sań" mieszkała niedaleko pałacu. Przebyliśmy kilka pustych podwórek, ominęliśmy jakieś

zwaliska, jakieś roztargane murki i lepianki i stanęliśmy przed małemi, zawartemi drzwiami. Przewodnik nasz mocno i długo kołatał. W lepiance po niejakim czasie zabrzmiały ostrożne szmery, błysło w szczelinach światło, lecz natychmiast zgasło. Ktoś stanął zadrzwiami i oglądał nas najpierw przez szparę. Drzwi otworzył dopiero po krótkiej rozmowie z naszym przewodnikiem. Znowu przebyliśmy kilka tajemniczych podwórek, okolonych wysokimi murami; pomimo, że księżyc już wszedł, było tu ciemno, choć oko wykol. Szin-mun-giun mówił głośno z tęgim Korejczykiem, który nas tu wpuścił, coś mu rozkazywał i przekonywał go, wreszcie ten ustąpił i weszliśmy po małych schodach do osobnej przybudówki, przylepionej do boku dużego domu mieszkalnego. W maluchnym, jak cela więzienna, pokoiku znaleźliśmy dziewczynę i chłopca. Była to „ki-sań" gospodarza ubogiego, albo skąpego. Gołych, szarych ścian jej mieszkania nie upiększały ani rysunki, ani ozdoby; glinianą podłogę zaściełała prosta, cienka mata; nie dostrzegłem innych mebli, oprócz nizkiego drewnianego wezgłowia. Sama mieszkanka siedziała w głębi na ziemi, oparta o ścianę; była drobna, wątła, wydała mi się dzieckiem prawie; widocznie bała się nas i wstydziła; nie odpowiadała na pytania, odwróciwszy twarz w bok i zakrywszy ją łokciem zarzuconej na głowę ręki. Jej gość równie zdawał się być zmieszany, ostrożnie zabrał swą fajeczkę z kapciuchem i wyniósł się niepostrzeżenie. Nie pomogły ani zachęcające namowy Szin-mun-giuna,

ani żarty doświadczonego przewodnika: Me-ha, jak on nam ją nazwał, milczała. Dopiero gdyśmy jej podsunęli przyniesione podarunki — trochę cukierków i flakonik perfum, uchyliła cokolwiek twarzy i dziecinnem ruchem schwyciła łapczywie gościńce. Była wcale ładna, ale nie miała więcej nad dwanaście lat.

Następna „ki-sań“ „Pi-czu“ mieszkała w większym domku; dostaliśmy się do niej po przejściu równie wielkiej ilości podwórz i podwóreczek, po równie tajemniczych układach z gospodarzem, który właśnie był u niej w odwiedzinach. Była to dziewczyna lat dwudziestu, wysmukła, świeża, dobrze ułożona, która odpowiadała na nasze pytania z prostotą i skromnością panny z lepszego towarzystwa. Pokoik miała maluchny, ale wysłany pięknemi, wzorzystemi matami, upiększony rysunkami i kwiatami. Na nizkiej toaletce stało ładne lusterko, napół zasłonięte jedwabnemi firankami, stały japońskie drobiazgi artystyczne, leżała książka i przybory do pisania. Poproszona zaśpiewała nam parę piosenek czystym, piersiowym głosem. Okazało się, że nie była kształcona specyalnie na tancerkę, ale kolei swego losu nie chciała nam opowiadać. Skusiła mię ciekawość zobaczenia, jak też wygląda jej pan, więc udając, że zbłądziłem, wszedłem przez półotwarte drzwi do sąsiedniego domu, gdzie się jeszcze świeciło. Zastałem siedzącego na ziemi brzydkiego, dziobatego, niemłodego już Korejczyka a w głębi jakiś cień kobiecy. Meble i sprzęty izby zdradzały zamożność.

Inne z odwiedzanych „ki-sań“ zbliżały się albo do typu pierwszej—ubogiej, albo do drugiej—bogatej. U jednej wesołej, grubej dziewczyny zastaliśmy całe towarzystwo młodych krajowców.

Śpiewała ona najładniej i najdowcipniej odpowiadała na nasze pytania.

— Czego szukasz, cudzoziemcze, w naszych ubogich mieszkaniach?

— Chcę zobaczyć, jak żyją korejskie „ki-sań“, aby opowiedzieć o tem naszym tancerkom i śpiewaczkom.

Zamyśliła się chwilkę.

— To i u was są takie, jak my?

— Wszędzie są ludzie, lubiący muzykę i taniec.

Uśmiechnęła się przebiegle, trochę smutno i odwróciła ode mnie oczy.

Zebrani Korejczycy nie omieszkali uczynić kilku wesołych uwag, których Szin-mun-giun nie chciał mi jednak przetłomaczyć.

* *

*

Nazajutrz odbyło się u Szin-mun-giuna obiecane widowisko. Ale nie tańczyła żadna z odwiedzanych przez nas wczoraj tancerek, gdyż nie wszystkie w równym stopniu były zręczne i nie wszystkie należały do tego samego towarzystwa.

— „Ki-sanie“ nie chcą tańczyć z nieznanemi sobie osobami. Musiałem zaprosić wskazane przez nie to-

warzyszki z jednego kółka — tłomaczył się gospodarz.

Rozesłano maty na podwórku, muzyka, składająca się z bębna, fletu, skrzypiec, kobzy, tamtamu i arfy, usiadła z boku rzędem. „Ki-sanie“ ubrały się w długie, powłóczyste, kolorowe szaty, przywiązały na głowach małe korony ze sztucznych kwiatów, ze złotego szychu i jedwabiem obleczonego kartonu. Do kiści rąk przywiązały pięknie haftowane, długie chusty, zszyte jak narękawki. Dwie tancerki stanęły nieruchomie w głębi, dwie rozpoczęły taniec, nadzwyczaj powolny, rytmiczny, pełen ruchów mimicznych i gestów symbolicznych. Był to uroczysty taniec „Ip-cun“. Po nim nastąpił niemniej uroczysty „Han-dzan-mu“; potem słynny taniec starożytnej Silli z nożami „Kă-mu“, wreszcie wesoły, hoży „Syng-mu“, podobny do ruskiego trepaka. Tańce korejskie naogół są bardzo podobne do japońskich, lecz nie posiadają i w połowie nawet tego wykończenia oraz rozmaitości szczegółów, co te ostatnie. Za to śpiew korejski jest bezwarunkowo najprzyjemniejszy dla ucha europejskiego ze wszystkich śpiewów Dalekiego Wschodu. Wrzaskliwa muzyka zaś przypomina chińską.

* *
*

Po tańcach nastąpiła uczta, składająca się z mocno pieprznych marynat korejskich, rzodkwi, rzepy i ryżu, suto polewanych „suli“. W rezultacie podochocony

gospodarz kazał jeszcze raz zagrać muzyce wesołego „Syng-mu" i puścił się z tancerkami w tan, rozwiewając szeroko rękawy, poły odzieży i zgrabnie przebierając nogami. Pokrzykiwał sobie od czasu do czasu, a obecni rozbawieni przyklaskiwali i przytupywali mu zgodnie. Nawet za kratkowanemi drzwiami, gdzie z za zasłony przyglądała się zabawie jego żona, dolatywał stłumiony śmiech i wesołe uwagi. Tancerki ruszały się niezwykle żwawo i wykonywały nawet chwilami dość trudny piruet, polegający na szybkiem obróceniu się dokoła samej siebie przy pochyleniu pod kątem 45° i wyciągnięciu nóg.

Wszyscy byli zachwyceni.

Kosztowało mię widowisko z górą 50 jenów [1]. Musiałem prócz tego dać tancerkom po dwa jeny naddatku, gdyż określona niby to taksą zapłata — 4 jeny dla każdej „ki-sań", szła do kieszeni ich właścicieli. Musiałem dać po jenie dwom jakimś jegomościom, którzy nietylko zjedli z nami obiad i wypili sporo „suli", lecz natarczywie domagali się datku jako „przyjaciele i nauczyciele" najętych „ki-sań"... Żądano osobno za „taniec z nożami". Słowem, rachunek miał rdzennie korejskie cechy i wypadł o wiele słoniej, niż podobne przedstawienie w Japonii.

---

[1] Tancerki — 16 jenów, muzykantom po 2 jeny = 12, obiad dla wszystkich — 15 jenów, lektykarzom, którzy przynieśli tancerki — 4 jeny.

Tam „gejsze", przedstawiające dużo szlachetniejszy typ tancerek, których zawód nie jest związany z obowiązkowym nierządem, łączą się w stowarzyszenia, posiadające ścisły regulamin i stałe taksy, zabezpieczające obie strony od wyzysku. W Japonii można wezwać „gejsze" do prywatnego domu lub herbaciarni tylko za pośrednictwem biura ich stowarzyszeń. W Korei nic podobnego nie istnieje. Mam jednak powody przypuszczać, że instytucya „gejsz" oraz ich tańce w blizkiem pozostają pokrewieństwie z produkcyami korejskich „ki-sań" i pochodzą z tego samego źródła, prawdopodobnie z Indyi z domieszką pierwiastków miejscowych. W Chinach niema tancerek, są jedynie śpiewaczki publiczne; chińczycy nie uprawiają tańca jako zabawy towarzyskiej; przeciwnie w Japonii zachowały się tańce religijne i tańce dworskie uroczyste, wykonywane przez dostojników i przedstawiające przegląd państwa dopełniany przez mikada [1]). Ainosi, aborygiewie wysp Japońskich oraz sybirskie plemiona tunguskie, pokrewne Korejczykom, namiętnie lubią taniec.

Korea jest krainą, gdzie częściej może, niż gdzieindziej, zdarzenia wesołe ocierają się bezpośrednio o zjawiska smutne lub okropne. Doba nie minęła od wyprawionego przez Szin-mun-giuna balu a byłem świad-

---

[1]) Widziałem taki taniec w Hakodate na dorocznym obiedzie sądowników.

Seul. Manifestacya stowarzyszenia wędrownych kramarzy (pu-sań) przed pałacem cesarskim.

kiem wcale innych tańców. Około południa plac przed bramą pałacową zaroił się od tłumów ludzi. Oddział żołnierzy uszykował się na ulicy przyległej i postawił broń w kozły. Wszyscy zwracali głowy w stronę Dzonno, gdzie zaznaczył się pewien ruch i skąd wciąż płynęła ciżba. Wreszcie usłyszałem przenikliwe dźwięki piszczałek i echa rosnącego pogwaru. Wkrótce nad głowami tłumów powiały daleko barwne, wielkie chorągwie i płynęły ku nam. Ciekawi rozstępowali się, tworząc szpaler, którego środkiem postępowała gromada, niosąca znak, poprzedzana przez muzykę. Na przedzie w podskokach szło kilku tęgich „pu-saniów“ (kramarzy) z krótkiemi maczugami w ręku i do taktu dzikiej muzyki tańczyło dziki taniec.

Poza nimi sunął zbity tłum ich towarzyszów w białych szatach, w żółtych cylindrach bambusowych z zatkniętymi za brzegi kawałkami bawełny. Wielkie chorągwie z kolorowego jedwabiu ze złotymi lub czerwonymi napisami chwiały się nad ich głowami. Bliżsi tańczących wydawali od czasu do czasu przenikliwe okrzyki, podobne do orlich krakań. Muzyka składała się z fletów i wielkich kobz ze skórzanymi miechami. Przyszli „pu-saniowie“ wyrazić cesarzowi swą wiernopoddańczą radość z powodu powrotu do zdrowia jednego z jego małych wnuków.

Seulczycy, wielcy miłośnicy wszelkich widowisk, przyglądali im się z jawną ironią; wielu z obecnych pewno pamiętało dobrze niedawne w stolicy

wybryki wędrownych przekupniów, ich gwałty i nadużycia.

— Upiją się „makale“ [1]) i skaczą bez wstydu! Cesarza tylko niepokoją! Pewnie myślą, że ich puści do środka pałacu! — mruknął niechętnie Szin-mun-giun.

Z godzinę pewnie wykrzykiwali i wyskakiwali pusaniowie na pałacowym tarasie przed zamkniętą bramą.

Wreszcie wrzeciądze otwarły się nawpół, chorągwie pochyliły się, w głębi ogrodu ukazał się w lektyce cesarz. Wkrótce potem wyruszyli pu-saniowie z powrotem, wciąż tańcząc i wywijając maczugami. Ich ogorzałe, obrzękłe twarze, błędne, przekrwione oczy, wyuzdane ruchy bynajmniej nie usposabiały ku nim życzliwie.

Szin-mun-giun sprowadził mię pospiesznie z ich drogi.

— Lepiej zejdźmy im z oczu. Nienawidzą cudzoziemców, szczególniej Japończyków, a tutaj stoi ich dużo wśród widzów, może wyniknąć... nieporozumienie!

— Skądże taka szczególna do Japończyków niechęć?...

— A stąd, że odbierają im chleb, że budują koleje

---

[1]) Wódka, przyprawiająca o szaleństwo; piją ją tubylcy przed bitwą, przed zaburzeniami publicznemi, aby, jak mi powiadali, „stracić pamięć i wstyd“.

żelazne, przeprowadzają poczty i telegrafy, zakładają własny handel. Pu-saniowie lubią stare obyczaje!

W kilka dni potem dowiedziałem się, że do Czemulpo zawinął pancernik i dwa kontrtorpedowce rosyjskie. Przybyły żądać zadośćuczynienia za pokrzywdzenie marynarzy rosyjskich. Sądząc z opowiadania agenta rosyjskiego, rzecz tak się miała: Z powodu święta japońskiego na ulicach dzielnicy japońskiej w Czemulpo były wystawione ołtarze ozdobne, na których leżały kwiaty ofiarne i owoce. Gromadka podpiłych majtków, sądząc, że to stragany, zabrała z jednego z nich kilka gruszek i zjadła. Oburzeni Japończycy rzucili się na żartownisiów. Majtkowie uciekli pod ochronę towarzyszów pozostałych na łodziach. Wszczęła się bójka, w której kilku Japończyków zostało ciężko ranionych a dwóch zabitych. Marynarze odpłynęli szczęśliwie bez strat. Wtedy tłum obległ agenturę „Floty Ochotniczej", wpadł do niektórych domów prywatnych i udał się nawet do konsulatu angielskiego, szukając zbiegłych majtków. Przeszukawszy domy, rozszedł się na rozkaz konsula japońskiego, któremu nareszcie udało się opanować wzburzoną gawiedź. W 1903 r. było w Korei mnóstwo takich wypadków: to w lasach pobili się przebrani za drwali żołnierze, to na wyspie Dżalet zabito kilku Japończyków, to w Fuzanie pokaleczono oficera rosyjskiego, to w samym Seulu wynikła bójka pomiędzy kozakami straży poselskiej a mieszkańcami dzielnicy japońskiej, to wybuchły poważne nieporozumienia w porcie Mo-sam-pho. Ale zatargi te załatwiano

zazwyczaj drogą dyplomatyczną, bez uciekania się... do pancerników. Pojawienie się okrętów rosyjskich zatrwożyło mię; miałem w pamięci wielkie wzburzenie, jakie panowało w Japonii na krótko przed 8 października, wyznaczonym przez dyplomacyę japońską, jako termin wypowiedzenia wojny, albo opuszczenia przez Rosyan Mandżuryi. Już wówczas przypuszczałem, że nie uda mi się wycieczka do Korei. Dyplomacyi rosyjskiej powiodło się jednak odwlec wybuch wojny. O ile wiem, ofiarowano Japonii południową i środkową Koreę z zastrzeżeniem, że północna pozostanie księstwem niezależnem pod protektoratem obu państw i że Japonia nie wzniesie warowni na południowych cyplach półwyspu w cieśninie Korejskiej. W sprawy mandżurskie Japonia miała się nie mieszać. Łatwe było do przewidzenia, że ona nie zgodzi się na te warunki, lecz omawianie ich przez dwory dawało mi trochę czasu na odbycie ciekawej podróży. Powiedziano mi w Tokio, że mam zapewnione *trzy tygodnie* pokoju, minęło jednak *sześć* i nic o wojnie nie było słychać. Jużem nabrał otuchy i umyślił odwiedzić niektóre interesujące miasta dawnej Päk-cżie i Ko-riŏ, gdy wtem... panceniki. Udałem się niezwłocznie do rosyjskiego posła z zapytaniem, co mam czynić? Spotkałem się z nim na ulicy, szedł właśnie w stronę dzielnicy japońskiej.

— Ależ jedź pan! Upewniam pana, że wojny nie będzie. Japonia nie ośmieli się nigdy! Tak tylko straszy! Papiery jej spadły na łeb na szyję na giełdzie londyńskiej, kiedy tylko spróbowała ostrzej wystąpić! —

uspokajał mię dyplomata, gdym mu swą sprawę wyłuszczył. — I nad Jalu pan może podróżować bezpiecznie. Tam nasz wpływ panuje całkowicie. Na krok nigdzie nie puściliśmy Japończyków. Muszę jednak powiedzieć, że cesarz korejski odmówił panu audyencyi. Między nami mówiąc, nie udziela jej już od kilku miesięcy nikomu, aby mieć prawo nieprzyjmowania i posła japońskiego. Pozwolenia na zwiedzenie Starego Pałacu też nie uzyskałem, gdyż tam podobno... zarządzono... reparacyę.

Gawędząc, szliśmy przez ulice, rojące się od cichych tłumów wieczornych. Obłoki kurzu, przesiąknięte różowym blaskiem zorzy, pokrywały miasto gęstym, oślepiającym muślinem. Białe figury przechodniów ginęły w nim, jak w dymie. Perspektywy ulic ledwie się rysowały, tonąc w tumanie podobnym do mgławicy pożaru. Ciemne mury, bramy i dachy pałaców cesarskich oraz dawnych warowni wystawały wysoko ponad tłum brzydkich, ubogich budowli seulskich. Ruch uliczny pozbawiony turkotu, ale ożywiony, płynął niemilknącą gędźbą ludzkich głosów. Wianek różowych zamglonych szczytów górskich strzegł zazdrośnie doliny wokoło. Nagłe znikanie ciżby, ginącej w jakichś szparach i szczelinach ledwie dostrzegalnych uliczek, gęste potoki spokojnych, wesołych ludzi, snujących się wśród domów o pozorach ruin, dopełniały dziwacznego wrażenia. Wtem poseł przestał mówić i zrobił znak ręką. Dostrzegłem wysokie krzesło, w jakich noszą znacznych dostojników korejskich, wzniesione w tumanie

kurzawy ponad głowami czeredy tragarzów. Tęgi Europejczyk, który w niem siedział, zwrócił ku nam energiczną, wąsatą twarz. Był to mistr. Mac Levi Brown, radca finansowy dworu korejskiego i naczelny Komisarz Celny. Zszedł z krzesła i zbliżył się do nas; po powitaniu odszedłem cokolwiek, domyślając się, że ci panowie mają sobie coś do powiedzenia. Istotnie rozmawiali dość długo i wydało mi się, że są zaniepokojeni. Poseł niezwłocznie pożegnał się ze mną, siadł do swej rykszy, która w czasie przechadzki szła nieodstępnie za nami, i odjechał w kierunku cokolwiek odmiennym, niż zamierzony poprzednio.

Krwawa zmora wojny wychyliła się z za granitowych wiszarów...

* *
*

Prosił mię koniecznie Szin-mun-giun, abym przed wyjazdem zwiedził budowaną przez skarb hutę szklaną.

— Niech pan zobaczy i powie nam, czy co z tego będzie.

Pojechaliśmy tramwajem elektrycznym za bramę Zachodnią, minęliśmy stacyę kolei, piękny szpital amerykański, parę will europejskich, zbudowanych na wyniosłościach, i zatrzymaliśmy się na końcu przedmieścia przed wielkim, do koszar podobnym domiskiem, na którego końcu wznosił się niedobudowany komin fa-

bryczny. Nigdzie żywego ducha; błądziliśmy po pustym dziedzińcu, poszukując nadzorcy. Był nim Czech ożeniony z Polką, zawodowy hutnik szklarski. Zaprosił nas do mieszkania, gdzie zostawił klucze. Po drodze wzdychał i biadał:

— Znowu stanęła robota! A myślałem, że tej zimy puścimy w ruch piece. Cóż, kiedy pan inżynier rozgniewał się! O głupstwo poszło, o zupełny drobiazg. Chińczycy nie chcą budować komina bez rusztowania, a pan inżynier zmusza ich budować w nowy sposób na takim, ot, kołnierzu. Mówi, że rusztowanie mu przeszkadza... a Chińczycy znowu, że im się w głowie kręci. Przestali robić. Nie wiem, co będzie. Pewnie trzeba się będzie wynosić. A kto mi zapłaci za to, żem miejsce porzucił i tu przyjechał, tego nie wiem...

Wzdychał i miał czego, gdyż z zajmowanej przezeń na mieszkanie szopy wyległa taka moc dzieci, że mimowoli zapytałem:

— Czy to wszystko pana?

— A moje!... Jest jeszcze jedno w kołysce...

Wyszła z kuchni okazała kobieta rodaczka i potwierdziła słowa męża. Ucieszyła się bardzo, usłyszawszy mowę polską, i nie chciała nas puścić bez herbaty. Ponieważ rozmowa wciąż płynęła po polsku, Sin-mungiun siedział nadąsany, gdyż nic nie rozumiał. Za to ja zdążyłem dowiedzieć się kilku ciekawych szczegółów. Pan inżynier był też Polakiem i miał kontrakt na cztery, zdaje się, lata, pobierał rocznie około sześciu tysięcy rubli.

— Na budowie to on się zna, ani słowa nie powiem! Ale co na szkle, to widzi mi się, że wcale nic się nie zna. Dlatego ciągle zwleka, żeby do kontraktu dociągnąć i fabryki przedtem nie puścić. A przecie gdyby mi tylko pozwolił, tobyśmy tu wszystko zaraz urządzili i jak jeszcze! Tu, panie, takie materyały, taka opoka, taki szpat, że szkło będzie pierwszego gatunku, niegorsze od czeskiego! — gadał hutnik, wsuwając mi w rękę kawałek „szpatu".

— Nic on nie wie, tylko pieniądze darmo bierze! — wmieszał się nagle po rosyjsku Szin-mun-giun. — Choć to pana rodak, ale muszę powiedzieć, że jest człowiek nieuczciwy. Czyż to pięknie zmuszać ludzi pracować tak wysoko bez żadnej ochrony, kiedy im się w głowie kręci? A potem dla takiego głupstwa robotę przerywać... Cegła kupiona, ludzie najęci, pogoda piękna, a on zabrał plany i wyjechał.

— I puściliście go?

Szin-mun-giun wzruszył po europejsku ramionami.

— Skandale robi, że słuchać niepodobna! Ryczy jak byk! Wzywał go minister, to taką mu przykrość powiedział, że wstyd powtórzyć! Skarżył się minister posłowi, ale ten bardzo chwalił obu inżynierów, a nas obwiniał.

— Więc jest i drugi inżynier?

— Jest i drugi. Ma budować tkalnię, ale wciąż podróżuje nad Jalu. Też go wzywał minister i spytał: „Cóż to, my za to panu płacimy, żeby pan podró-

Seul. Sklepy z przedmiotami żałobnymi.

żował"? A on na to kazał nam jakieś słupy z lanego żelaza sprowadzić, że niby bez nich obejść się nie może i że dopóki nie przyjdą, budować nie zacznie. Ani planów pokazać nie chce, ani wytłomaczyć. Rozumie się, że my nie zgadzamy się wyrzucić na ślepo kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Więc pojechał sobie znowu nad Jalu!

— Czy on też Polak?

— Nie, on jest rodowitym Rosyaninem. Mimo to lepszy jest, gdyż nie naraził nas darmo na takie straszne koszta, jak ten pański Polak.

Obejrzałem bardzo uważnie budynek i wydał mi się dobrze pomyślany, starannie stawiany. Towarzyszący mi hutnik potwierdził to również.

— Panie, tu byłyby anielskie warsztaty. Gdyby mi tylko pozwolono, jabym zaraz młyny ustawił, opokę mełł, suszarnia prawie gotowa a i piece-by można w czasie zimy pod dachem murować. Ach, gdyby nie ten komin!...

„Ten komin" istotnie zastanawiał mię i skłaniał do podejrzeń, wypowiedzianych przez majstra hutnika.

— Czy ten Rosyanin nic nie postawił?

— Nic a nic, nawet cegiełki nie ruszył. Podobno bardzo zna się na rzeczy! — pospiesznie dorzucił Szin-mun-giun.

— Obaj są nicponie. Ale muszę mego rodaka wziąć w obronę. Zawsze wam coś zrobił. A skoro teraz przeszkadza, wypędźcie go i skończcie sami. Nie-

wielka rzecz. Pan, panie Szin-mun-giun, który wybudowałeś taki śliczny wiadukt, z łatwością wyprowadzisz według planu komin; piece postawi wam pan majster i będziecie mieli piękną hutę. Szkło takie tu drogie, że koszta wrócą wam się rychło.

Szin-mun-giun poweselał.

— Ba, dawnobyśmy to zrobili, ale... plany: planów niema! Zabrali je! Bez dyrektora-znawcy lękamy się też huty w ruch puścić. Nie wiedzie nam się! Nic się nam nie wiedzie.

— A tam co za fabryka idzie? — spytałem, dostrzegłszy na podgórzu dymiący się komin wysoki.

— To... też fabryka skarbowa. Japończycy budowali.

— Ci, bo ogromne są zuchy. Do czego się wezmą, na poczekaniu zrobią: kolej zaraz budują, papiernię stawiają, tę tu fabrykę (nie wiem czego) w przeszłym roku, jak było w umowie, w ruch puścili. Ale im teraz tu nigdzie chodu nie dają — objaśnił mię po polsku hutnik.

Odprowadził nas do stacyi tramwajowej i przysiadł z nami na bloku kamiennym w oczekiwaniu wagonu. Ten bardzo długo się nie zjawiał. Zmierzchało się.

— Nie przyjdzie. Od czasu jak tu konduktora kamieniami sprali, nie chodzą pod wieczór — powiedział Czech.

Radzi nie radzi, musieliśmy wracać parę wiorst piechotą po przykrej, zaśmieconej drodze.

W tym czasie Sin-mun-giun opowiedział mi w krótkości powód elektrycznego zatargu:

— Rząd, dając koncesyę na tramwaje Towarzystwu amerykańskiemu, wymówił sobie prawo wykupu linii, ale gdy przyszło do tego, Towarzystwo postawiło nadzwyczaj wygórowane żądania: półtora miliona jenów za zbite szyny, stare wagony i maszyny. W swoim czasie cesarz dopomógł Towarzystwu dużo gotówką, rozgniewany więc, zażądał rachunku. Towarzystwo odmówiło dowodów, ile ich kolej istotnie kosztowała, i obliczało jej wartość z dochodu. Stąd nieporozumienia i przykrości. Robotnicy dowiedzieli się o gniewie cesarza, a że lubią swego monarchę, więc zaczęli ciskać kamieniami i błotem na tramwaje z podróżnymi za miejską bramą Zachodnią. Wówczas Towarzystwo zamiast 8 wagonów zaczęło posyłać tam tylko dwa pod pozorem uszkodzenia i przez posła zażądało wynagrodzenia. Działo się to ze dwa miesiące temu, lecz niedawno, przed trzema tygodniami zaszły nowe wypadki. Tramwaj przejechał dziecko; tłum napadł na konduktora Amerykanina i zaczął go ścigać. Ten schował się do sklepu japońskiego, wziął tam rower i uciekł. Wtedy krajowcy rozbili sklep i pobili Japończyka, który dał rower. Stąd nowe ciężkie rozmowy w ministeryum spraw zagranicznych, zaś cesarz rozgniewany kazał zgasić w pałacu elektryczność.

Wiemy, że monsieur Moulis przedstawił tę sprawę trochę inaczej, a w poselstwie rosyjskiem ten sam pan, co mi dowodził, iż „w Korei pieniędzy kury nie dziobią",

objaśnił bez cienia zafrasowania, że rząd korejski wprawdzie zastrzegł sobie prawo wykupu tramwajów, lecz w kontrakcie istniał punkt, na mocy którego jedna niezapłacona w terminie rata oddawała z powrotem wykupioną linię Towarzystwu i przyznawała mu prawo niezwracania pobranych dotąd pieniędzy w charakterze „nieustojki". Rząd zapłacił pierwszą i drugą ratę, ale z trzecią spóźnił się i — linię stracił.

— Otóż Korejczycy uważają się za pokrzywdzonych, gdyż tu na Wschodzie tych rzeczy... nie rozumieją!

Umówiliśmy się z Szin-mun-giunem, że spędzimy ostatni wieczór w słynnej seulskiej restauracyi. W porównaniu z chińskimi i japońskimi zakładami, był to przybytek bardzo skromny, pachniał mocno obrzydliwą „su-li", stoły, krzesła, ściany miał brudne i odrapane. Za cienkiem przepierzeniem sali, gdzieśmy usiedli, rozległy się chichoty kilku „ki-sań" i głosy hulającej złotej młodzieży korejskiej. Jedyną zaletą miejsca był śliczny widok, otwierający się z wąziutkiego balkonu na miasto. Szin-mun-giun był jakoś nieswój i dopiero gdy za ścianą głosy ucichły i goście stamtąd wynieśli się, sprawdził ich nieobecność przez dziurkę w ścianie i... rozgadał się. Mówiliśmy wciąż o tem samem, wciąż o Korei.

— Nie widzę ratunku, nie widzę! Trzeba się uczyć, szkoły zakładać, zagranicę jeździć, ale niema pieniędzy. A pieniędzy niema, bo urzędnicy kradną, a urzędnicy kradną, bo pensye mają liche, gdyż nie zwiększono im

ich od wielu lat, a wszystko tymczasem podrożało. Przed dwoma laty miara ryżu (5 funt.) kosztowała 10 sen, teraz kosztuje 60 sen, za noszę (byczą) drzewa płaciło się 80 sen, teraz — trzeba za nią dać 8 dolarów. I tak wszystko! Skąd wziąć? A żyć trzeba, jeść, ubierać się, dawać zwierzchnikom podarunki, trzeba utrzymywać niedołężnych rodziców, pomagać krewnym. Więc kradną. Mówią, że za dużo urzędników, że za dużo niepotrzebnej pisaniny, że należy zmniejszyć ilość osób, za to lepiej je wynagradzać. Prawda! Zgadzam się. Ale gdzie się reszta podzieje? Przecie i to są ludzie i mają małe dzieci! Innej pracy prócz biurowej niema w Korei. Rolnik w takiej nędzy i ucisku, że psu lepiej się dzieje! Nikt sobie źle nie życzy. Każdy woli mieszkać na górze, niż w studni. Tak smutno, tak smutno, że kiedy się o tem myśli, to się jeść odechciewa. Lepiej nie myśleć, aby nie krajać wody nożem... Pan się pytał o cudzoziemców, pan inny od nich i otwarcie panu powiem: oni myślą tylko, jakby nas rozdrapać! Biorą za bezcen najcenniejsze kopalnie, najlepsze lasy, nie spełniają zobowiązań, zajmują obszary dziesięćkroć większe, niż im ustąpiono, a gdy się im opieramy, zaraz skarżą się u swych posłów, zaraz straszą, posyłają okręty. Wyśmiewają się z nas, żeśmy sprzedajni. A kto psuje nas? Kto za pieniądze kusi o zdradę własnego kraju? Wasi posłowie! Tak, panie, zginie Korea, bo musi pić wodę, kto sól połknął!

Urwał i pił chciwie grzaną „suli“ z małej filiżaneczki, którą wciąż napełniał.

— A Japończycy? — spytałem ostrożnie.

— Japończycy! — porwał się Korejczyk. — Ci są najgorsi! Ci nam żywcem stryczek na szyję zakładają! Otwierają banki, pożyczają pieniądze. My będziemy niedługo służyć im za niewolników! Czy pan wie, że trzecia część ziemi w Seulu już do nich należy, trzymają ją w zastawie!

— Tak, ale oni jedni szczerze pragnęli wprowadzić u was dobre zmiany, polepszyć administracyę, podnieść oświatę, uporządkować gospodarstwo. A teraz czy nie spełniają przyzwoicie swych zobowiązań? — spytałem.

— Prawda — odrzekł z namysłem. — Ale oni chcą tylko nas zaspokoić z wierzchu: samą zmienić skorupę a wydrzeć wnętrzności, zostawić łupinę, zniszczyć ducha!

Oparł się łokciami na stole i pił w posępnej zadumie.

Nie miałem serca powiedzieć mu, że ducha sobie tylko sam naród może obronić.

Wyszliśmy na balkon. Białe od poświaty miesięcznej, wielkie, zamglone miasto rozścielało się pod nami aż pod stopy gór. Gdzie niegdzie blado w cieniach migały ognie. Gdzie niegdzie majaczyły w ukryciach murów białe, powłóczyste postacie przechodniów, owdzie zapalały się i gasły iskry na bagnetach przechadzających się straży. Wspaniały łuk wiaduktu przelatywał nad ulicami niby stężała srebrna błyskawica. Dalej czerniały niezmierzone mury pałacowe. Wiały nad nimi puchy bezlistnych jesiennych gajów, lśniły się

wśród nich wygięte dachy dworskie, strzelały szpice kiosków.

Zdawało się, że niema końca tym „Starym i Nowym ogrodom Rozkoszy“.

Nagle wydało mi się, że dostrzegam widmo starca, który daremnie szuka wśród nich kąta, gdzieby bezpiecznie mógł złożyć senną, zbolałą głowę...

Straszne zaiste wcielenie nieszczęsnej przeszłości korejskiej.

KONIEC.

Skorowidz imion własnych.

Skorowidz przedmiotowy.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

SPIS RYSUNKÓW.

34

aponia

Wi.